

# ASSASSIN'S CREED

PORZUCENI



OLIVER BOWDEN

Oliver Bowden

# **Assassin's Creed**

## **PORZUCENI**

przełożył  
Przemysław Bieliński



2013

# Spis treści

Karta tytułowa

Prolog

## **CZĘŚĆ I Wyjątki z dziennika Haythama E. Kenwaya**

6 grudnia 1735

7 grudnia 1735

8 grudnia 1735

9 grudnia 1735

10 grudnia 1735

11 grudnia 1735

## **CZĘŚĆ II 1747, dwanaście lat później**

10 czerwca 1747

11 czerwca 1747

18 czerwca 1747

20 czerwca 1747

14 lipca 1747

15 lipca 1747

16 lipca 1747

17 lipca 1747

## **CZĘŚĆ III 1753, sześć lat później**

7 czerwca 1753

25 czerwca 1753

12 sierpnia 1753

18 kwietnia 1754

8 lipca 1754

10 lipca 1754

13 lipca 1754

14 lipca 1754

15 listopada 1754

8 lipca 1755

9 lipca 1755

10 lipca 1755

13 lipca 1755

1 sierpnia 1755

4 sierpnia 1755

17 września 1757

21 września 1757

25 września 1757

8 października 1757

9 października 1757

27 stycznia 1758

28 stycznia 1758

#### **CZĘŚĆ IV 1774, szesnaście lat później**

12 stycznia 1774

27 czerwca 1776

28 czerwca 1776

7 stycznia 1778

26 stycznia 1778

7 marca 1778

16 czerwca 1778

17 czerwca 1778

16 września 1781

#### **Epilog**

2 października 1782

15 listopada 1783

Spis postaci

Od autora

## Prolog

Tak naprawdę nie znałem go. Wydawało mi się, że go znam, ale potem przeczytałem jego dziennik i zrozumiałem, że nic o nim nie wiem. A teraz jest już za późno. Za późno, by mu powiedzieć, że źle go oceniłem. Za późno, by mu powiedzieć, że mi przykro

# **CZĘŚĆ I**

Wyjątki z dziennika Haythama E. Kenwaya

6 grudnia 1735

*i*

Dwa dni temu miałem świętować dziesiąte urodziny w swoim domu przy Queen Anne's Square. Tak się jednak nie stało; zamiast zabaw są pogrzeby, a spalony dom wygląda jak poczerniały, spróchniały ząb wśród wysokich, zbudowanych z białej cegły rezydencji wokół placu.

Na razie mieszkamy w jednej z posiadłości ojca w Bloomsbury. To ładny dom, i choć rodzina jest zdruzgotana, a nasze życie w gruzach, przynajmniej za to jedno możemy być wdzięczni. Tu zostaniemy: w szoku, w zawieszeniu, jak spłoszone duchy... dopóki nie zapadnie decyzja o naszej przyszłości.

W poździe przypadły moje dzienniki, więc rozpoczynając ten, czuję się, jakbym robił to od nowa. Wobec tego powinienem chyba zacząć od mojego imienia. Jestem Haytham, to arabskie imię małego Anglika, którego domem jest Londyn i który od urodzenia do nocy sprzed dwóch dni wiódł idylliczny żywot, chroniony przed plugastwem innych części miasta. Z Queen Anne's Square widzieliśmy mgłę i dym wiszące nad rzeką i jak wszystkim innym przeszkadzał nam smród, który mogę opisać tylko jako zapach „mokrego konia”, ale nie musieliśmy brodzić przez potoki cuchnącej brei z garbarni, jatek oraz tyłków zwierząt i ludzi. Rzeki mazi, która przyspiesza nadejście zarazy: dyzenterii, cholery...

– Musi się pan ciepło ubrać, paniczku Haythamie. Bo dostanie pan gorączki.

Prowadząc mnie przez pola do Hampstead, opiekunki omijały szerokim łukiem nieszczęśników targanych kaszlem i zasłaniały mi oczy, bym nie oglądał zdeformowanych dzieci. Najbardziej ze wszystkiego bały się



choroby. Pewnie dlatego, że z chorobą nie da się negocjować; nie można jej przekupić ani stawić jej czoła z bronią w ręku, choroba nie zważa na majątek ani pozycję. To wróg nieprzejednany.

Do tego, oczywiście, atakuje bez ostrzeżenia. Dlatego co wieczór opiekunki oglądały mnie dokładnie, szukając objawów odry czy ospy, a potem donosiły o moim dobrym zdrowiu matce, która przychodziła pocałować mnie na dobranoc. Widzicie, byłem jednym z tych szczęśliwców, którzy mają matkę całującą na dobranoc i takiego samego ojca; rodziców, którzy kochali mnie i moją przyrodnią siostrę Jenny, którzy opowiadali mi o biedzie i bogactwie, którzy przypominali mi o moim szczęściu i napominali, żebym zawsze myślał o innych; którzy zatrudniali dla mnie nauczycieli i opiekunki, abym wyrósł na człowieka wartościowego, przydatnego światu. Byłem jednym ze szczęściarzy. W przeciwieństwie do dzieci, które musiały pracować na polach, w fabrykach i w kominach.

Czasami jednak zastanawiałem się, czy tamte dzieci miały jakichś przyjaciół? Jeśli tak, to – oczywiście świadom, że wiodę życie o wiele wygodniejsze niż one – zazdrościłem im jedynie tego: przyjaciół. Ja nie miałem ani jednego, nie miałem także braci czy sióstr w zbliżonym wieku, a co do poznawania nowych ludzi – cóż, nie miałem śmiałości. Poza tym był jeszcze jeden problem: coś, co wyszło na jaw, kiedy miałem zaledwie pięć lat.

Wydarzyło się to pewnego popołudnia. Rezydencje przy Queen Anne's Square stoją w niewielkiej odległości jedna od drugiej, więc często widywaliśmy sąsiadów albo na samym placu, albo na podwórzach za domami. Po jednej stronie mieszkała rodzina, która miała cztery córki, dwie mniej więcej w moim wieku. Wydawało się, że całymi godzinami skakały przez skakankę albo bawiły się w ogrodzie w ciuciubabkę, a ja słyszałem je, siedząc w pokoju nauczania pod czujnym okiem mojego nauczyciela, starego pana Faylinga, który miał krzaczaste, siwe brwi i nawyk dłubania w nosie, starannego badania tego, co z jego głębin wygrzebał, a potem zjadania tego ukradkiem.

Tamtego popołudnia stary pan Fayling wyszedł z pokoju, a ja zaczekałem, aż jego kroki ucichną. Wtedy wstałem znad słupków, podszedłem do okna i zerknąłem na ogród sąsiedniej rezydencji.

Mieszkali tam Dawsonowie. Pan Dawson był członkiem Izby Gmin, jak mówił ojciec, ledwie powściągając grymas. Dawsonowie mieli ogród otoczony wysokim murem; mimo drzew, krzewów i rozkwitłej bujnie roślinności jego części były widoczne z mojego okna, widziałem więc małe Dawsonówny. Tym razem grały w klasy; ułożyły je sobie z młotków do pall-malla, ale nie traktowały gry zbyt poważnie – dwie starsze próbowały chyba nauczyć młodszą jej zawilności.

Powiewając kucykami i różowymi, czyściutkimi sukienkami, przekrzykiwały się i śmiały. Czasami dobiegał mnie głos kogoś dorosłego, pewnie opiekunki, ukrytej przed moim wzrokiem pod niskimi koronami drzew. Na chwilę zapomniałem o rachunkach na stole i przyglądałem się zabawie dziewczynek, aż nagle jedna z nich – o jakiś rok młodszą ode mnie – jakby wyczuła, że jest obserwowana, podniosła wzrok, zobaczyła mnie stojącego w oknie i wtedy nasze spojrzenia się spotkały.

Przełknąłem ślinę i z wielkim wahaniem podniosłem rękę, by jej pomachać. Ku mojemu zaskoczeniu uśmiechnęła się szeroko. Zanim się spostrzegłem, zawołała siostry; zebrały się we cztery. Podniecone wyciągały szyje, osłaniały oczy od słońca i wpatrywały się w moje okno, gdzie stałem niczym muzealny eksponat – tyle że ruchomy, machający ręką i zaróżowiony lekko ze wstydu. Jednocześnie poczułem przyjemne, ciepłe uczucie czegoś, co mogło być przyjaźnią.

Znikło ono jak mydlana bańka chwilę później, kiedy spod drzew wyszła opiekunka, która gniewnie spojrzała w moją stronę, nie pozostawiając mi wątpliwości, za kogo mnie uważa – podglądacza albo kogoś jeszcze gorszego – a potem pospiesznie odpędziła wszystkie dziewczynki.

Widziałem już wcześniej to spojrzenie i miałem je spotykać jeszcze wiele razy na placu albo na polach za domem. Pamiętacie, jak pisałem, że moje opiekunki trzymały mnie z dala od nieszczęśników w łachmanach? Tak samo inne nianki odsuwały swoje dzieci ode mnie. Nigdy właściwie nie zastanawiałem się dlaczego. Nie pytałem, bo... sam nie wiem, nie miałem

powodu, żeby o to pytać; tak po prostu było, a ja nie wiedziałem, że może być inaczej.

## ii

Kiedy skończyłem sześć lat, Edith podarowała mi komplet ubrań jak spod igły i parę trzewików ze srebrnymi klamerkami.

Wyszedłem zza parawanu w nowych butach, kamizelce i fraku. Edith zawołała jedną ze swoich pokojówek, która powiedziała, że wyglądam zupełnie jak ojciec – a oczywiście o to właśnie chodziło.

Później przyszli mnie zobaczyć rodzice i przysięgłbym, że ojcu zwilgotniały oczy. Matka nie dbała wcale o pozory i rozplakała się otwarcie; machała ręką, aż Edith podała jej chustkę.

Stojąc tam, czułem się dorosły i mądry, chociaż moje policzki znów płonęły.

Zastanawiałem się, czy spodobałbym się Dawsonównom w moim nowym, całkiem dżentelmeńskim stroju. Często o nich myślałem. Czasami widywałem je z okna, jak biegały po ogrodzie albo były wsadzane do karet przed rezydencją. Wydawało mi się, że raz któraś rzuciła mi spojrzenie, ale jeśli mnie zobaczyła, to tym razem nie było uśmiechów ani pozdrowień, tylko cień miny opiekunki z owego pierwszego dnia, jakby dezaprobata wobec mnie była przekazywana z pokolenia na pokolenie niczym jakaś tajemna wiedza.

Po jednej stronie mieszkali więc Dawsonowie i nieuchwytnie, długowłose, rozbrykane Dawsonówny, po drugiej zaś Barrettowie. Ci mieli ośmioro dzieci, chłopców i dziewczęta, ale widywałem je rzadko. Podobnie jak Dawsonów, Barrettów widziałem tylko wsiadających do karet albo z oddali na polach.

Pewnego dnia, niedługo przed moimi ósmymi urodzinami, spacerowałem w ogrodzie wzdłuż kruszącego się, ceglanego muru, ciągnąc po nim patykiem. Czasami przystawałem, odwracałem kamienie i przyglądałem się czmychającym spod nich stworzeniom – skorkom, stonogom i dżdżownicom, które pełzały, wyciągając swoje długie ciała – aż natrafiłem

na furkę, łączącą nasze podwórze z dziedzińcem Barrettów. Grube drzwi były zamknięte na olbrzymią, zardzewiałą kłódkę, która wyglądała, jakby nie otwierano jej od lat. Gapiłem się na nią przez chwilę, ważyłem w dłoni, kiedy nagle usłyszałem natarczywy, chłopiący szept.

– Ej, ty tam. Czy to prawda, co mówią o twoim ojcu?

Głos dobiegał zza furty, chociaż umiejscowiłem go dopiero po chwili, przez którą stałem wstrząśnięty i niemal zmartwiały ze strachu. Zaraz potem omal nie wyskoczyłem ze skóry, ujrawszy w dziurze nieruchome, wpatrzone we mnie oko. Pytanie zostało powtórzone.

– Mówże, zaraz zaczną mnie wołać. Czy to prawda, co mówią o twoim ojcu?

Uspokoilem się i pochyliłem, aż mój wzrok zrównał się z otworem w furcie.

– Kto tam? – spytałem.

– To ja, Tom, mieszkam obok.

Wiedziałem, że Tom, najmłodsze dziecko Barrettów, jest mniej więcej w moim wieku.

Słyszałem, jak go wołali.

– Kim jesteś? – spytał. – To znaczy, jak masz na imię?

– Haytham – odparłem, zastanawiając się, czy Tom jest moim nowym przyjacielem.

Przynajmniej jego oko wyglądało przyjaźnie.

– Dziwne imię.

– Arabskie. Oznacza „młodego orła”.

– Cóż, to by pasowało.

– Co to znaczy, że „by pasowało”?

– Och, sam nie wiem. Po prostu pasuje. Jesteś tylko ty, prawda?

– I moja siostra – odparowałem. – Oraz matka i ojciec.

– Mała rodzina.

Skinąłem głową.

– Posłuchaj – rzekł znów nagłaco – to prawda czy nie? Czy twój ojciec jest taki, jak o nim mówią? Tylko nie próbuj mi tu kłamać, widzę twoje oczy. Od razu poznam, jak skłamiesz.

– Nie będę kłamał. Nie wiem nawet, kim są „oni”, ani jaki on według „nich” jest.

Ogarnęło mnie dziwne i niezbyt przyjemne uczucie: że gdzieś tam istnieje wyobrażenie o tym, co „normalne” i że my, Kenwayowie, do niego nie pasujemy.

Być może właściciel oka usłyszał coś w moim głosie, bo pospiesznie dodał:

– Przepraszam... wybacz, jeśli powiedziałem coś niegrzecznego. Byłem po prostu ciekawy, to wszystko. Widzisz, krąży plotka, niezmiernie ekscytująca, jeśli prawdziwa...

– Jaka plotka?

– Pomyślisz, że to głupstwo.

W przyпіywie odwagi nachyliłem się do dziury i spojrzałem na niego, oko w oko.

– O co ci chodzi? Co ludzie mówią o ojcu?

Zamrugął.

– Mówią, że był kiedyś...

Nagle za nim rozległ się jakiś hałas i usłyszałem rozgniewany, męski głos:

– Thomasie!

Tom, wystraszony, odskoczył do tyłu.

– A niech to – szepnął pospiesznie. – Muszę iść, wołają mnie. Zobaczymy się jeszcze, mam nadzieję?

Z tymi słowami znikł, a ja zostałem z zagadką, co miał na myśli. Jaka plotka? Co ludzie mówili o naszej małej rodzinie?

Jednocześnie przypomniałem sobie, że lepiej się pospieszyć. Było już prawie południe – pora na mój szermierczy trening.

7 grudnia 1735

*i*

Czuję się niewidzialny, jakbym tkwił w zawieszeniu pomiędzy przeszłością i przyszłością. Dorośli dookoła mnie prowadzą nerwowe rozmowy. Twarze mają ściągnięte, panie płaczą. W kominkach płonie ogień, ale dom jest pusty, nie licząc nas kilkorga i nielicznego dobytku, który wynieśliśmy z płonącej rezydencji. Na dworze zaczął padać śnieg, w środku zaś do szpiku kości przenika nas chłód smutku.

Nie mając nic innego do roboty, piszę pamiętnik; miałem nadzieję uzupełnić go o historię mojego dotychczasowego życia, ale wychodzi na to, że do opowiedzenia jest więcej, niż mi się z początku wydawało, a trzeba się zająć ważniejszymi sprawami. Pogrzebami. Dzisiaj Edith.

– Jest pan pewny, paniczu Haythamie? – spytała mnie wcześniej Betty, z troską malującą się na twarzy i znużonym spojrzeniem. Od lat, odkąd pamiętam, pomagała Edith. Była tak samo zrozpaczona jak ja.

– Tak – odparłem, ubrany jak zwykle we frak i specjalnie na dzisiejszą okazję w czarną chustę. Edith nie miała nikogo innego, więc na stypie pod schodami zebrali się ocalali Kenwayowie i służba – na szynkę, piwo i ciasto. Kiedy stypa dobiegła końca, mężczyźni z domu pogrzebowego, dość mocno już pijani, załadowali ciało na karawan, by je zawieźć do kaplicy.

My wsiedliśmy do powozów dla żałobników. Potrzebne nam były tylko dwa. Po wszystkim wróciłem do mojego pokoju, żeby kontynuować opowieść...

*ii*

Dwa dni po mojej rozmowie z okiem Toma Barretta wciąż nie dawało mi spokoju to, co powiedział. Dlatego pewnego ranka, kiedy zostałem z Jenny sam na sam w bawialni, zdecydowałem ją o to spytać.

Jenny. Ja miałem prawie osiem lat, a ona dwadzieścia jeden; miałem z nią tyle wspólnego, co z węglarzem. Pewnie nawet mniej, bo jak się nad tym zastanowić, to węglarz przynajmniej lubił się śmiać, tak samo jak ja, podczas gdy Jenny rzadko widziałem choćby uśmiechniętą.

Ma czarne lśniące włosy, oczy ciemne i... cóż, ja bym powiedział „senne”, ale słyszałem, jak nazywano je „zadumanymi”, a przynajmniej jeden z jej wielbicieli posunął się do określenia jej spojrzenia „dusznym”, cokolwiek to znaczy. Uroda Jenny była częstym tematem rozmów. Jest bardzo piękna, a przynajmniej tak mi mówiono.

Nie dla mnie. To była po prostu Jenny, która tak wiele razy nie chciała się ze mną bawić, że przestałem ją o to prosić; która zawsze, kiedy ją sobie wyobrażam, siedzi w wysokim fotelu, z głową pochyloną nad haftem albo szyciem – cokolwiek tam robiła z igłą i nitką. I krzywi się.

To duszne spojrzenie, o którym mówili jej wielbiciele? Ja to nazywałem krzywieniem się.

Sęk w tym, że choć byliśmy zaledwie gośćmi w naszych życiorysach, jak statki manewrujące w tym samym małym porcie, blisko, ale nigdy się nie stykając, mieliśmy tego samego ojca. A Jenny, dwanaście lat ode mnie starsza, wiedziała o nim więcej niż ja. Dlatego, choć od lat powtarzała mi, że jestem za głupi albo za młody, żeby to zrozumieć – czy też za głupi i jednocześnie za młody, a raz nawet „za mały”, cokolwiek to miało znaczyć – próbowałem nawiązać z nią rozmowę. Sam nie wiem dlaczego, bo, jak mówiłem, nigdy niczego się nie dowiedziałem. Może po to, żeby ją rozdrażnić. Ale tym razem, jakieś dwa dni po konwersacji z okiem Toma, naprawdę chciałem się dowiedzieć, o co mu chodziło.

Dlatego zapytałem Jenny:

– Co ludzie o nas mówią?

Westchnęła ostentacyjnie i podniosła wzrok znad robótki.

– O co ci chodzi, konusie?

– Właśnie o to, co ludzie o nas mówią?

– Pytasz o plotki?

– Jeśli tak chcesz to nazwać.

– A czemu miałyby cię obchodzić plotki? Nie jesteś na to trochę za...

– Obchodzą mnie – przerwałem, zanim zdążyła mi powiedzieć, że jestem za młody, za głupi albo za mały.

– Doprawdy? Dlaczego?

– Ktoś coś powiedział, to wszystko.

Odłożyła swoją robótkę, wciskając ją między udo a poręcz fotela, i wydeła usta.

– Kto? Kto powiedział i co?

– Chłopiec przy furcie na podwórzu. Powiedział, że nasza rodzina jest dziwna i że ojciec jest...

– Kim?

– Nie dowiedziałem się.

Jenny uśmiechnęła się i wzięła z powrotem za wyszywanie.

– I to ci dało do myślenia, tak?

– Cóż, a tobie by nie dało?

– Ja wiem już wszystko, co potrzebuję wiedzieć – odparła wyniośle. – I powiem ci tyle: guzik mnie obchodzi, co o nas mówią u sąsiadów.

– W takim razie powiedz mi – poprosiłem – co ojciec robił przed moim urodzeniem...

Jenny czasami się uśmiechała. Robiła to, kiedy miała nad kimś przewagę, kiedy mogła okazać swoją władzę – zwłaszcza gdy tym kimś byłem ja.

– Dowiesz się – powiedziała.

– Kiedy?

– W swoim czasie. W końcu jesteś jego męskim spadkobiercą.

Zapadła przedłużająca się cisza.

– Co to znaczy „męskim spadkobiercą”? – spytałem. – Czym to się różni od tego, kim ty jesteś?

Jenny westchnęła.

– Cóż, na razie niczym, chociaż ty ćwiczysz szermierkę, a ja nie.

– Ty nie? – Wiedziałem jednak, że to prawda, i chyba nawet się zastanawiałem, czemu ja machałem mieczem, a ona igłą i nitką.



– Nie, Haythamie, ja nie ćwiczę szermierki. Żadne dziecko nie uczy się walki mieczem, przynajmniej nie w Bloomsbury, a może i w całym Londynie. Nikt oprócz ciebie. Nie powiedziano ci?

– Czego?

– Żeby o tym nikomu nie mówić.

– Tak, ale...

– A nie zastanawiałeś się nigdy dlaczego? Dlaczego nie wolno ci nikomu o tym mówić?

Może się i zastanawiałem. Może w duchu wiedziałem od początku. Milczałem.

– Już wkrótce się dowiesz, co cię czeka – powiedziała Jenny. – Nasze życie zostało dokładnie zaplanowane, już ty się nie bój.

– W takim razie co czeka ciebie?

Prychnęła z pogardą.

– „Co mnie czeka” to niewłaściwie postawione pytanie. Należałoby raczej spytać „kto mnie czeka”. – W jej głosie pojawił się ton, który zrozumiałem dużo później; popatrzyłem na nią, wiedząc, że lepiej nie dopytywać i nie ryzykować ukłucia igłą. Kiedy jednak w końcu odłożyłem czytaną książkę i wyszedłem z bawialni, miałem świadomość, że choć nie dowiedziałem się niczego o ojcu ani rodzinie, to wiem coś o Jenny: dlaczego nigdy się nie uśmiecha, dlaczego zawsze jest tak wrogo wobec mnie usposobiona.

Dlatego że poznała swoją przyszłość. Zobaczyła ją i dowiedziała się, że to ja jestem wybranym losu, a tylko dlatego, ponieważ urodziłem się mężczyzną.

Może nawet byłoby mi jej żal, gdyby nie była wiecznie taka skwaszona.

Jednak nowa wiedza sprawiła, że lekcja szermierki następnego dnia miała dodatkowy urok. A więc nikt inny tego nie robi. Nagle ćwiczenia zaczęły smakować jak zakazany owoc, a fakt, że nauczycielem był mój ojciec, sprawiał, że owoc ten był tym bardziej soczysty. Jeśli Jenny miała rację i byłem przygotowywany do jakiegoś powołania, tak jak innych chłopców uczy się na księży, kowali, rzeźników czy cieśli, to dobrze. Odpowiadało mi to. Nikt na całym świecie nie był dla mnie wzorem takim jak ojciec. Myśl, że przekazywał mi swoją wiedzę, była krzepiąca i zarazem podniecająca.

Poza tym, oczywiście, w grę wchodziły tu miecze. O czym więcej mógł marzyć mały chłopiec? Patrząc wstecz, wiem teraz, że od tamtego dnia stałem się bardziej chętnym i pełnym zapału uczniem. Codziennie w południe lub po wieczornym posiłku, zależnie od zajęć ojca, szliśmy do sali nazywanej przez nas treningową, choć w rzeczywistości była to bawialnia. Tam właśnie zacząłem doskonalić umiejętności szermiercze.

Nie ćwiczyłem od dnia napaści. W ogóle nie miałem chęci brać miecza do ręki, ale wiem, że kiedy to zrobię, przypomnę sobie tamten pokój, z ciemną, dębową boazerią na ścianach, z półkami pełnymi książek i obitym suknem stołem bilardowym, odsuniętym na bok, żeby zrobić miejsce. Na środku zaś – mojego ojca, spoglądającego uważnie, ale łagodnie, i zawsze uśmiechniętego, zawsze podpowiadającego: blok, parada, praca nóg, równowaga, czujność, przewidywanie. Powtarzał te słowa jak mantrę, czasami nie mówiąc nic innego przez całą lekcję, tylko wyszczekując polecenia; kiwał głową, kiedy mi wychodziło, kręcił nią, kiedy czegoś nie umiałem. Czasami przerywał, odgarniał włosy z twarzy i stawał za mną, żeby ustawić mi poprawnie ręce i nogi.

To właśnie kojarzy mi się – albo raczej kojarzyło – z lekcjami szermierki: półki z książkami, stół bilardowy, mantry ojca i szczęk...

Drewna.

Tak, drewna.

Używaliśmy drewnianych mieczy ćwiczebnych, ku mojej wielkiej zgryzocie. Zawsze, kiedy marudziłem, ojciec mówił, że na stal przyjdzie jeszcze czas.

### *iii*

Rankiem w dniu moich urodzin Edith była dla mnie wyjątkowo miła, a matka dopilnowała, żebym dostał na śniadanie swoje ulubione przysmaki: sardynki w sosie musztardowym i świeży chleb posmarowany dżemem wiśniowym z owoców zebranych w naszym sadzie. Kiedy się opychałem, zobaczyłem, że Jenny zerka na mnie z pogardą, ale nie przejąłem się tym. Od czasu naszej rozmowy w bawialni jej władza nade mną, choć i tak

niewielka, straciła jeszcze na wyrazistości. Przedtem może wziąłbym sobie jej kpiny do serca, może zrobiłoby mi się trochę głupio albo wstyd z powodu mojego urodzinowego śniadania. Ale nie tego dnia. Wracając do niego myślą, zastanawiam się, czy moje ósme urodziny nie były początkiem przemiany chłopca w mężczyznę.

Dlatego zupełnie nie przejąłem się pogardliwym wykrzywieniem ust Jenny ani świńskimi pochrząkiwaniami, które ukradkiem wydawała. Patrzyłem tylko na matkę i ojca, a oni zaś tylko na mnie. Z ich mowy ciała, z drobnych, rodzicielskich gestów, które poznałem przez lata, domyślałem się, że szykuje się coś jeszcze; że moje urodzinowe przyjemności będą trwały. I tak też się stało. Pod koniec śniadania ojciec oznajmił, że wieczorem udamy się do Pijalni Czekolady White'a na Chesterfield Street, gdzie przyrządza się gorącą czekoladę z litych bloków kakao sprowadzanych z Hiszpanii.

Później tego dnia stałem nieruchomo, a Edith i Betty uwijały się, ubierając mnie w mój najwytworniejszy strój. Potem całą czwórką wsiedliśmy do powozu na ulicy, skąd ukradkiem zerknąłem na okna sąsiadów, zastanawiając się, czy Dawsonówny albo Tom i jego bracia

przyciskają nosy do szyb. Miałem taką nadzieję. Liczyłem na to, że mnie teraz widzą. Patrzą na nas wszystkich i myślą sobie: „Kenwayowie jadą na wieczór do miasta, jak zwyczajna rodzina”.

#### iv

Okolice Chesterfield Street były zatłoczone. Udało nam się podjechać pod samo wejście do White'a; tam drzwiczki powozu się otworzyły i przeprowadzono nas szybko przez gwarną ulicę do środka.

Choć przejście z powozu do bezpiecznego schronienia w pijalni czekolady trwało bardzo krótko, rozejrzałem się jednak na boki i zobaczyłem kawałek prawdziwego, tętniącego życiem Londynu: ścierwo psa w rynsztoku, włączęgę rzygającego pod jakąś barierką, kwiaciarki, żebraków, pijaków, uliczników taplających się w rzece błota, która zdawała się kipieć na środku ulicy.

A potem byliśmy już w środku. Powitała nas mocna woń dymu, piwa, perfum i oczywiście czekolady, a także gwar podniesionych głosów i dźwięki fortepianu. Krzyżący ludzie pochylali się nad stołami do gry. Mężczyźni pili piwo z wielkich kufli, kobiety również.

Niektórzy delectowali się gorącą czekoladą i kawałkami ciasta. Wszyscy wydawali się bardzo podekscytowani.

Obejrzałem się na ojca, który stanął jak wryty, i wyczułem jego wahanie. Przez chwilę bałem się, że odwróci się na pięcie i wyjdzie, zaraz potem zauważyłem jednak dżentelmena unoszącego w górę laskę. Był młodszy od ojca, uśmiechał się swobodnie z błyskiem w oku, widocznym nawet z tej odległości. Machał do nas laską. Ojciec pomachał mu z wdzięcznością i poprowadził nas przez salę, przeciskając się między stołami, przestępując nad psami, a nawet nad jakimiś dziećmi, które przemykały pod nogami rozbawionych gości, prawdopodobnie czyhając na wszystko, co może spaść ze stołu: kawałki ciasta, może pieniądze.

Dotarliśmy do dżentelmena z laską. W przeciwieństwie do ojca, który włosy miał zmierzwione i ledwie związane na karku aksamitką, mężczyzna nosił białą, pudrowaną perukę, z tyłu wpuszczoną w czarny, jedwabny saczek, oraz ciemnoczerwony frak. Pozdrowił ojca skinieniem głowy, a potem odwrócił się do mnie i ukłonił przesadnie nisko.

– Dobry wieczór, paniczu Haythamie, czeka pana dużo atrakcji, jak mniemam. Zechce mi pan przypomnieć, ile ma lat? Z postawy pana widzę, żeś pan dzieckiem wielce dojrzałym.

Jedenaście, dwanaście może?

Mówiąc to, zerkał za moje plecy z psotnym uśmiechem; matka i ojciec zaśmiali się z uznaniem.

– Mam osiem lat, proszę pana – odparłem i nadałem się dumny jak paw.

Ojciec dokończył prezentację. Dżentelmen nazywał się Reginald Birch i był jednym z zarządców jego posiadłości. Powiedział, że jest zachwycony, mogąc mnie poznać, a potem przywitał się z moją matką, ukłoniwszy się nisko i pocałował ją w rękę.

Następnie zwrócił się ku Jenny; ujął jej dłoń i przycisnął do niej usta. Wiedziałem, że to element zalotów, i zerknąłem szybko na ojca,

spodziewając się interwencji.

Ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem, że zarówno on, jak i matka wyglądają na zachwyconych, choć Jenny zachowała kamienną twarz, nawet kiedy zaprowadzono nas do ustronnej sali w głębi i posadzono obok pana Bircha, a wokół zaczęła się krzątać obsługa.

Mógłbym tam siedzieć całą noc, pochłaniając gorącą czekoladę i ciasta, podawane do naszego stołu w wielkiej obfitości. Ojciec i pan Birch z przyjemnością raczyli się piwem.

Ostatecznie więc to matka zaczęła nalegać, żebyśmy wracali – zanim pochoruję się ja lub oni.

Wyszliśmy na nocną ulicę, która przez te kilka godzin zrobiła się jeszcze gwarniejsza.

Przez chwilę czułem się dezorientowany hałasem i smrodem. Jenny zmarszczyła nos, a ja zobaczyłem, że po twarzy matki przemyka wyraz zatroskania. Ojciec odruchowo przysunął się bliżej, jakby chcąc nas odgrodzić od tego jazgotu.

Ktoś podetknął mi pod nos brudną łapę; podniosłem wzrok i zobaczyłem żebraka, bezgłośnie proszącego o datek. Miał wytrzeszczone, błagające oczy, jaskrawobiałe na tle brudnej twarzy i włosów. Kwiaciarka próbowała przepchnąć się obok ojca do Jenny i wykrzyknęła z oburzeniem, kiedy pan Birch zablokował jej drogę laską. Ktoś zaczął mnie szturchać; zobaczyłem dwóch uliczników, wyciągających do nas ręce.

Nagle matka krzyknęła. Z tłumu wyskoczył jakiś mężczyzna w brudnych łachmanach, z wyszczerzonymi zębami, i sięgnął po jej naszyjnik.

W następnej chwili zaś dowiedziałem się, czemu laska ojca tak intrygująco grzechotała: kiedy obrócił się, by bronić matki, z wnętrza laski wysunęło się ostrze. W mgnieniu oka pokonał dzielącą ich odległość, ale zanim wy dobył broń, zmienił zdanie, być może widząc, że złodziej jest nieuzbrojony; wepchnął szpadę z powrotem i płynnym ruchem zakręcił laską, odtrącając rękę rzezimieszka.

Zaskoczony złodziej wrzasnął z bólu i odskoczył w tył, prosto na pana Bircha, który powalił go na ziemię i przydusił, przygniatając mu pierś kolanami i przystawiając sztylet do gardła.

Wstrzymałem oddech.

Nad ramieniem ojca zobaczyłem, że matka szeroko otwiera oczy.

– Reginaldzie! – zawołał ojciec. – Stój!

– On chciał cię okraść, Edwardzie – powiedział pan Birch, nie odwracając się. Złodziej zaskomlał. Ściągną na dłoniach pana Bircha były napięte jak postronki, kłykcie palców na rękojęści sztyletu pobiełały.

– Nie, Reginaldzie, tak nie wolno – oznajmił mój ojciec spokojnie. Obejmował matkę, która wtuliła twarz w jego pierś i cicho łkała. Jenny stała tuż obok nich, ja zaś z drugiej strony.

Dookoła nas zebrał się spory tłumek; włóczędzy i żebracy, którzy przed chwilą nas napastowali, teraz trzymali się na pełen szacunku dystans. Pełen szacunku i strachu.

– Ja nie żartuję, Reginaldzie – powiedział ojciec. – Schowaj sztylet i puść go.

– Nie rób ze mnie głupca, Edwardzie – rzekł Birch. – Proszę, nie przy ludziach. Obaj wiemy, że ten człowiek musi zapłacić, jeśli nie życiem, to może chociaż paroma palcami.

Znów wstrzymałem oddech.

– Nie! – rozkazał ojciec. – Nie będzie rozlewu krwi, Reginaldzie. Wszelkie nasze stosunki ustaną, jeśli natychmiast nie zrobisz, jak mówię.

Wszyscy dookoła ucichli. Usłyszałem, jak złodziej bełkoce raz po raz: „Proszę, panie, proszę, panie”. Ręce miał przyciśnięte do boków i unieruchomione, bezsilnie wierzgał i kopał nogami po zabłoconym bruku.

Aż w końcu pan Birch podjął decyzję i cofnął sztylet, zostawiając na szyi rzezimieszka małe, krwawiące skaleczenie. Kiedy wstał, poczęstował go kopniakiem. Złodziej nie potrzebował dalszych zachęt i na czworakach czmychnął ulicą, wdzięczny, że zachował życie.

Woźnica otrząsnął się z zaskoczenia i stojąc przy drzwiczkach powozu, ponaglał nas, byśmy schronili się w środku.

Ojciec i pan Birch stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy. Kiedy matka pospiesznie poprowadziła mnie obok nich, zobaczyłem, że oczy pana Bircha płoną. Ojciec odwzajemnił jego spojrzenie ze spokojem i wyciągnął do niego dłoń.

– Dziękuję, Reginaldzie – powiedział. – W imieniu nas wszystkich dziękuję ci za szybką reakcję.

Poczułem na plecach dłoń matki, starającej się wepchnąć mnie do powozu. Obejrzałem się jeszcze i zobaczyłem, że ojciec stoi dalej z wyciągniętą ręką, a pan Birch patrzy na niego wilkiem, odmawiając pojednania.

A potem, kiedy już ostatecznie wepchnięto mnie do środka, ujrzałem, jak pan Birch chwyta dłoń ojca, a jego ponury grymas przeistacza się w uśmiech – nieco wstydlawy, skrępowany uśmiech, jakby właśnie się opamiętał. Uścisnęli sobie ręce, a ojciec nagrodził go krótkim skinieniem głowy, które tak dobrze znałem. Oznaczało ono, że sprawa została załatwiona. Że nie trzeba już nic więcej mówić.

v

W końcu wróciliśmy do domu na Queen Anne's Square, gdzie zamknęliśmy drzwi na skoble i odgradziliśmy się od smrodu dymu i końskiego nawozu. Powiedziałem matce i ojcu, że doskonale się bawiłem, wylewnie im podziękowałem i zapewniłem, że awantura na ulicy bynajmniej nie zepsuła mi wieczoru, w duchu myśląc jednocześnie, że była jego najjaśniejszym punktem.

Okazało się jednak, że to nie koniec, kiedy bowiem ruszyłem do schodów na górę, ojciec przyzwał mnie do siebie i poprowadził do bawialni, gdzie zapalił świecę.

– A więc podobał ci się wieczór, Haythamie – powiedział.

– Bardzo, panie ojcze – odparłem.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie pan Birch?

– Bardzo go polubiłem, panie ojcze.

Ojciec się roześmiał.

– Reginald przywiązuje wielką wagę do pozorów, manier i etykiety. Nie jest taki jak niektórzy, co zachowują się zgodnie z protokołem, tylko kiedy im pasuje. To człowiek honoru.

– Tak, panie ojciec – powiedziałem, ale musiałem zdradzić głosem swoje wątpliwości, bo ojciec spojrział na mnie surowo.

– Ach – rzekł. – Myślisz o tym, co się wydarzyło później?

– Tak, panie ojciec.

– Cóż, i co o tym sądzisz?

Przywołał mnie do jednego z regałów. Chciał chyba, żebym stanął w świetle, tak by mógł widzieć moją twarz. Blask świecy igrał po jego obliczu, jego ciemne włosy lśniły. Spoglądał zawsze z łagodnością, ale potrafił także przeszyć kogoś wzrokiem, tak jak teraz. Zauważyłem, że jedna z jego blizn lśni w świetle bardziej niż inne.

– To było bardzo podniecające, panie ojciec – odparłem i dodałem szybko: – choć najbardziej obawiałem się o matkę. To, jak szybko ją uratowałeś... nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak szybko się poruszał.

Ojciec się roześmiał.

– Tak działa miłość. Pewnego dnia sam się o tym przekonasz. Ale wróćmy do pana Bircha. Do jego reakcji. Co o tym sądzisz, Haythamie?

– Ojciec?

– Pan Birch chciał srodze ukarać tego łotra, Haythamie. Uważasz, że byłaby to kara zasłużona?

Zastanowiłem się, nim udzieliłem odpowiedzi. Po minie ojca, czujnej i spiętej, widziałem, jak ważne jest dla niego to, co powiem.

I w rozgorączkowaniu chyba nawet myślałem, że złodziej zasłużył na surową karę. Przez ulotną chwilę, ogarnięty pierwotnym gniewem pragnąłem, by za napaść na moją matkę spotkała go krzywda. Teraz jednak, w delikatnym świetle, pod łaskawym wzrokiem ojca, uważałem inaczej.

– Powiedz szczerze, Haythamie – zachęcił ojciec, jakby czytał w moich myślach.

– Reginald ma bardzo wyrazisty pogląd na sprawiedliwość, czy też na to, co nią nazywa. Nieco... biblijny. Ale co ty uważasz?

– Z początku czułem chęć... zemsty, ojciec. Ale to zaraz minęło i ucieszyłem się, widząc okazaną temu człowiekowi łaskę – odparłem.

Ojciec uśmiechnął się i kiwnął głową. Potem niespodziewanie odwrócił się do regału i szybkim ruchem przesunął jakąś dźwignię. Część książek



odsunęła się w bok, odsłaniając ukryty schowek. Serce zabiło mi mocniej, kiedy coś z niego wyjął: skrzynkę, którą podał mi i skinieniem głowy kazał otworzyć.

– To urodzinowy prezent, Haythamie – powiedział.

Ukląknęłam i położyłam pudło na podłodze. Otworzywszy je, ujrzałam skórzany pas, który szybko odsunąłem na bok, wiedząc, że pod spodem będzie miecz – nie drewniana broń ćwiczebna, ale migotliwa, stalowa klinga ze zdobioną rękojeścią. Wyjąłem go z pudła i ująłem w dłoń. Był to krótki miecz. Choć ze wstydem przyznam, że poczułem z tego powodu pewien zawód, od razu zobaczyłem, że to naprawdę piękny krótki miecz, do tego mój własny.

Natychmiast postanowiłem, że nigdy nie opuści mojego boku, i sięgałem już po pas, kiedy ojciec mnie powstrzymał.

– Nie, Haythamie – powiedział. – Zostaje tutaj i nie wolno ci go wyjmować ani używać bez mojego pozwolenia. Czy to jasne?

Zabrał mi miecz, włożył go wraz z pasem do pudła i zamknął.

– Wkrótce rozpoczniesz ćwiczenia z tym mieczem – ciągnął. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć, Haythamie, nie tylko o stali, którą dzierżysz w dłoni, ale także o stali w swoim sercu.

– Tak, ojczy – powiedziałem, starając się nie zdradzić zmieszania i zawodu. Patrzyłem, jak chowa puzdro do skrytki, a jeśli usiłował zataić przede mną, która książka ją otwierała, cóż, nie udało mu się to. To była Biblia Króla Jakuba.

8 grudnia 1735

*i*

Dziś były jeszcze pogrzeby dwóch żołnierzy stojących na warcie na naszej posesji. O ile wiem, kamerdyner ojca, pan Digweed, poszedł na mszę za kapitana, którego nazwiska nigdy nie poznałem, ale nikt z nas nie był na pogrzebie drugiego mężczyzny. Tkwimy w tak głębokiej rozpacz i smutku, że po prostu nie potrafimy nic więcej wziąć na siebie, jakkolwiek nieczule to brzmi.

*ii*

Po moich ósmych urodzinach pan Birch stał się częstym gościem w naszym domu, a kiedy nie towarzyszył Jenny na spacerach w ogrodzie albo nie zabierał jej do miasta swoim powozem, albo nie siedział w bawialni, popijając herbatę z sherry i zabawiając panie opowieściami o swoich żołnierskich przygodach, spotykał się z ojcem. Dla wszystkich było jasne, że zamierzał ożenić się z Jenny i że ich związek miał błogosławieństwo ojca. Mówiło się jednak, że pan Birch prosił o przełożenie zaślubin, gdyż chciał się wpierw dorobić jak największego majątku, by Jenny miała męża, na jakiego zasłużyła; miał na oku posiadłość w Southwark, pragnął bowiem, aby dalej mogła żyć na poziomie, do jakiego przywykła.

Matka i ojciec byli tym oczywiście zachwyceni. Jenny mniej. Widywałem ją z czerwonymi oczami; nabrała zwyczaju wybiegania w pośpiechu z pokoju, porywana wściekłością albo tłumiąca płacz dłonią przyciskaną do ust. Słyszałem, jak ojciec mówił, że się opamięta, a raz zerknął na mnie z ukosa i przewrócił oczami.

Tak jak Jenny coraz bardziej wędła pod brzemieniem swojej przyszłości, tak ja rozkwitałem w oczekiwaniu mojej. Miłość, jaką darzyłem ojca, była niewyobrażalnie wielka. Ja go nie tyle kochałem, co wprost ubóstwiałem. Czasami czułem się tak, jakbyśmy we dwóch posiadali jakąś wiedzę niedostępną reszcie świata. Na przykład często chciał wiedzieć, czego uczą mnie moi nauczyciele, słuchał uważnie, a potem pytał dlaczego. Kiedy zadawał mi jakieś pytanie, czy to o religię, etykę czy o moralność, od razu wiedział, że klepałem wyuczoną odpowiedź jak papuga, i mawiał: „Cóż, właśnie powiedziałaś mi, co uważa stary pan Fayling” albo: „Wiemy, co sądzi jakiś autor sprzed wieków. Ale co słyszysz tutaj, Haythamie?”, i kładł mi dłoń na piersi.

Teraz już wiem, po co to robił. Stary pan Fayling uczył mnie faktów i prawd absolutnych; ojciec chciał, żebym je kwestionował. Skąd pochodziła wiedza przekazywana mi przez starego pana Faylinga? Kto dzierżył pióro, którym ją spisano, i dlaczego miałbym temu komuś ufać?

Ojciec mawiał: „Aby widzieć inaczej, najpierw musimy nauczyć się inaczej myśleć”, i brzmi to głupio, możecie się śmiać, ja sam też może wspomnę to za wiele lat i się roześmieję, ale czasami miałem wrażenie, jakby mój rozum się autentycznie rozszerzał, i widziałem świat takim, jakim go widział mój ojciec. Ojciec miał zupełnie inną wizję świata niż pozostali; wizja ta podważała samo pojęcie prawdy.

Oczywiście wypytywałem pana Faylinga. Któregoś dnia, podczas czytania Pisma, zarzuciłem mu wręcz głoszenie nieprawdy i zarobiłem laską po palcach; zapowiedział, że powie o wszystkim ojcu, co zresztą uczynił. Ojciec zabrał mnie do swojego gabinetu i zamknąwszy drzwi, uśmiechnął się szeroko, a potem postukał się w nos. „Często, Haythamie, najlepiej jest zachować swoje myśli dla siebie. Ukryć się na widoku”.

Tak też robiłem. I zacząłem przyglądać się otaczającym mnie ludziom, starając się wejrzeć w głąb ich dusz, jakbym mógł w ten sposób odkryć, jak widzą świat – na sposób starego pana Faylinga czy mojego ojca.

Oczywiście pisząc o tym teraz, widzę, że porywałem się z motyką na słońce; czułem się dojrzały ponad swój wiek, co jest równie odpychające teraz, kiedy mam dziesięć lat, jak było wtedy, gdy miałem ich osiem i

dziewięć. Najpewniej byłem nieznośnie przemądrzały. Czułem się chyba małą głową rodziny.

Kiedy skończyłem dziewięć lat, ojciec sprezentował mi na urodziny łuk i strzały. Ćwicząc strzelanie w ogrodzie, miałem nadzieję, że Dawsonówny czy Barrettowie przyglądają mi się z okien.

Minął ponad rok od mojej rozmowy z Tomem przy furcie, ale dalej czasem się tam kręciłem, licząc, że go spotkam. Ojciec chętnie opowiadał o wszystkim z wyjątkiem własnej przeszłości. Nigdy nie mówił o swoim życiu przed przyjazdem do Londynu ani o matce Jenny, dlatego miałem nadzieję, że informacje Toma mogą mi coś wyjaśnić. Poza tym, oczywiście, chciałem mieć przyjaciela. Nie rodzica, opiekunkę czy nauczyciela – tych miałem pod dostatkiem. Zwyczajnego przyjaciela. I miałem nadzieję, że zostanie nim Tom.

Teraz to oczywiście niemożliwe.

Jutro go pogrzebią.

9 grudnia 1735

*i*

Pan Digweed przyszedł do mnie dziś rano. Zapukał, zaczekał na moją odpowiedź, a potem musiał się schylić, by wejść. Pan Digweed bowiem, oprócz tego, że jest łyśawy, ma lekko wyłupiaste oczy i poznaczone żyłkami powieki, jest też wysoki i szczupły, a drzwi w naszym tymczasowym domu są o wiele niższe niż przy Queen Anne's Square. To, że musiał się garbić, pogłębiało tylko wrażenie, że czuje się tu nieswojo. Był kamerdynerem mojego ojca, zanim przyszedłem na świat, a przynajmniej odkąd Kenwayowie osiedli w Londynie, i jak my wszyscy, a może nawet bardziej niż my wszyscy, przynależał do domu przy Queen Anne's Square. Cierpiał tym dotkliwiej, że czuł się winny – w noc ataku nie było go w domu, załatwiał sprawy rodzinne w Herefordshire; wraz z naszym woźnicą wrócili dopiero nazajutrz rano.

– Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć, paniczu Haythamie – powiedział mi któregoś dnia, z twarzą pobladłą i ściągniętą.

– Oczywiście, Digweed – odparłem, nie wiedząc, co jeszcze mogę rzec; nigdy nie lubiłem zwracać się do niego po nazwisku, wydawało mi się to niesłuszne. Dlatego dodałem tylko: – Dziękuję.

Tego ranka jego wymizerowane oblicze miało ten sam poważny wyraz i od razu się zorientowałem, że jakiegokolwiek przyniósł wieści, nie są one dobre.

– Paniczu Haythamie – rzekł, stając przede mną.

– Tak... Digweed?

– Okropnie mi przykro, paniczu Haythamie, ale przyszła wiadomość z Queen Anne's Square, od Barrettów. Chcą jasno wyrazić, że nie życzą sobie

obecności nikogo z domostwa Kenwayów na pogrzebie młodego panicza Thomasa. Z całym szacunkiem żądają, by w ogóle się z nimi nie kontaktować.

– Dziękuję, Digweed – powiedziałem, a ten ukłonił się nieznacznie, ze smutkiem, i wychodząc, schylił głowę pod niską belką nadproża.

Stałem tak, gapiąc się w miejsce, które przed chwilą opuścił, aż wróciła Betty i pomogła mi się przebrać z pogrzebowego stroju.

## *ii*

Pewnego popołudnia, kilka tygodni temu, bawiłem się pod schodami w krótkim korytarzyku odchodzącym od pokojów służby do solidnie okratowanych drzwi skarbczyka. To w nim przechowywano rodzinne skarby: srebrną zastawę stołową, która widywała światło dnia tylko przy specjalnych okazjach, kiedy matka i ojciec mieli gości; rodzinne klejnoty, biżuterię matki i książki ojca, które uważał za najcenniejsze – niezastąpione. Klucz do skarbczyka ojciec nosił cały czas przy sobie, na rzemyku przy pasie. Powierzał go wyłącznie panu Digweedowi, a i to na krótko.

Lubiłem się bawić w tym korytarzyku, bo bardzo rzadko ktoś się tu pojawiał – byłem wolny od opiekunek, które za każdym razem nakazywały mi wstawać z brudnej podłogi, zanim wytrę dziurę w spodniach, albo od innych służących, którzy, pełni dobrych chęci, nawiązywali ze mną uprzejme rozmowy i zmuszali do odpowiedzi na pytania o naukę czy nieistniejących przyjaciół. Może nawet wolny od matki i ojca, którzy też kazali mi wstawać z brudnej podłogi, zanim wytrę sobie dziurę w spodniach, a potem zmuszali do opowiadania o nauce czy nieistniejących przyjaciółach. Lub, co gorsza, od Jenny, która prychała pogardliwie na wszystkie moje zabawy, a jeśli bawiłem się akurat ołowianymi żołnierzami, złośliwie wszystkie mi wywracała.

Tak, korytarz między skrzydłem służby a skarbczykiem był jednym z nielicznych miejsc w domu przy Queen Anne's Square, gdzie miałem

nadzieję uniknąć wszystkich tych spotkań, dlatego tam właśnie chodziłem, kiedy chciałem, żeby mi nikt nie przeszkadzał.

Tym razem było inaczej. Pojawiła się nowa twarz: oto pan Birch wszedł do korytarza w chwili, gdy właśnie zamierzałem rozstawić armię. Miałem przy sobie świecę, stojącą na kamiennej podłodze; płomyk zamigotał w przeciągu od otwieranych drzwi. Ze swojego miejsca ujrzałem rąbek fraka pana Bircha i czubek jego laski, a gdy powędrowałem wzrokiem wyżej i zobaczyłem, że na mnie patrzy, przyszło mi do głowy pytanie, czy on też ma w lasce ukrytą klingę, która grzechocze podobnie jak ta należąca do mojego ojca.

– Paniczu Haythamie, miałem nadzieję, że cię tu znajdę – powiedział pan Birch z uśmiechem. – Czy jesteś bardzo zajęty?

Poderwałem się na nogi.

– Tylko się bawię, proszę pana – odparłem pośpiesznie. – Czy coś się stało?

– Och, nie – rzekł ze śmiechem. – Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, to przeszkadzać paniczowi w zabawie, miałem jednak nadzieję pomówić z paniczem w pewnej sprawie.

– Oczywiście – powiedziałem, przygnębiony zapowiedzią kolejnego zestawu pytań o moje postępy w arytmetyce. Tak, lubiłem rachunki. Tak, lubiłem lekcje pisania. Tak, miałem nadzieję, że któregoś dnia będę tak mądry, jak mój ojciec. Tak, miałem nadzieję, że któregoś dnia przejmę po nim rodzinny interes.

Pan Birch jednak gestem kazał mi wrócić do zabawy, a nawet odstawił laskę i podciągnął spodnie, żeby przykucnąć obok mnie.

– Co my tu mamy? – spytał, wskazując małe, cynowe ludki.

– To tylko zabawa, proszę pana – odparłem.

– To twoi żołnierze, prawda? – dociekał. – Który z nich jest dowódcą?

– Nie mam dowódcy, proszę pana.

Pan Birch roześmiał się sucho.

– Twoi żołnierze potrzebują wodza, Haythamie. Inaczej skąd będą wiedzieli, co mają robić? Kto inny zaprowadzi wśród nich dyscyplinę i wskaże im cel?

– Nie wiem, proszę pana.

– Proszę – powiedział pan Birch. Wyjął jednego żołnierzyka z oddziału, potarł nim o rękaw, a potem postawił go z boku. – Może zrobimy dowódcą tego oto dżentelmena, co ty na to?

– Jeśli tak pan sobie życzy, proszę pana.

– Paniczu Haythamie. – Birch uśmiechnął się. – To twoja zabawa. Jestem zaledwie intruzem, który ma nadzieję, że pokażesz mu jej reguły.

– Tak, proszę pana, w takim razie dowódca się przyda.

Nagle drzwi do korytarza znów się otworzyły. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Digweeda. W migotliwym blasku świecy ujrzałem, że on i pan Birch wymieniają spojrzenia.

– Czy twoja sprawa może zaczekać, Digweed? – spytał wyniośle pan Birch.

– Oczywiście, panie – odparł pan Digweed, uklonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Doskonale – podjął pan Birch, odwracając się na powrót do żołnierzyków. – W takim razie uczynimy tego dżentelmena dowódcą oddziału, by dowodził i przykładem uczył swoich ludzi cnót porządku, dyscypliny i lojalności. Co o tym myślisz, paniczu Haythamie?

– Tak, proszę pana – odparłem posłusznie.

– To nie wszystko, paniczu Haythamie – powiedział pan Birch. Sięgnął w dół i pomiędzy swoich stóp wyjął następnego żołnierzyka, po czym ustawił go obok dowódcy. – Dowódca potrzebuje zaufanych poruczników, prawda?

– Tak, proszę pana – zgodziłem się. W przeciągłej ciszy, która zapadła, patrzyłem, jak pan Birch z niezwykłą uwagą dostawia do dowódcy jeszcze dwóch poruczników. Milczenie robiło się coraz bardziej krępujące, w końcu więc się odezwałem, bardziej po to, by je przerwać, niż z chęci rozmowy o nieuniknionym.

– Proszę pana, chciał pan pomówić o mojej siostrze?

– Przejrzałeś mnie na wskroś, paniczu Haythamie. – Pan Birch roześmiał się głośno.



– Twój ojciec jest doskonałym nauczycielem. Widzę, że nauczył cię przebiegłości i sprytu, a także innych rzeczy, bez wątpienia.

Nie byłem pewny, co miał na myśli, więc milczałem.

– Jak idą lekcje szermierki, jeśli wolno wiedzieć? – zapytał pan Birch.

– Bardzo dobrze, proszę pana. Ojciec mówi, że codziennie robię postępy – odparłem z dumą.

– Świetnie, to świetnie. A czy twój ojciec zdradził ci, w jakim celu uczysz się szermierki?

– Ojciec mówi, że prawdziwa nauka zacznie się w dniu moich dziesiątych urodzin – odrzekłem.

– Cóż, ciekaw jestem, co takiego zamierza ci powiedzieć – rzekł pan Birch, ściągając brwi. – Naprawdę się nie domyślasz? Nie masz żadnego pojęcia?

– Nie, proszę pana, nie mam – odparłem. – Rzekł tylko, że wskaże mi ścieżkę, którą mam podążać. Credo.

– Rozumiem. Bardzo to ekscytujące. Nigdy nie zdradził, czym to „credo” może być?

– Nie, proszę pana.

– Fascynujące. Założę się, że nie możesz się doczekać. A czy ojciec podarował ci dorosły miecz do nauki szermierki, czy też wciąż używacie ćwiczebnych drewnianych palcatów?

Zachnąłem się.

– Mam własny miecz, proszę pana.

– Bardzo chciałbym go zobaczyć.

– Jest w bawialni, proszę pana, w bezpiecznej skrytce, do której dostęp ma tylko ojciec i ja.

– Tylko twój ojciec i ty? Chcesz powiedzieć, że ty też masz do niego dostęp?

Zaczerwieniłem się, wdzięczny za półmrok w korytarzu, dzięki któremu pan Birch nie mógł zobaczyć mojego zawstydzenia.

– Chcę powiedzieć, że wiem, gdzie jest mój miecz, proszę pana, a nie, że wiem, jak go stamtąd wydostać – wyjaśniłem.

– Rozumiem. – Pan Birch wyszczerzył się w uśmiechu. – Skrytka, tak?  
Ukryty schowek w półkach z książkami?

Moja twarz musiała zdradzić, co pomyślałem. Roześmiał się.

– Bez obaw, paniczu Haythamie, twój sekret jest u mnie bezpieczny.

Popatrzyłem mu w oczy.

– Dziękuję, proszę pana.

– Nie ma za co.

Pan Birch wstał, sięgnął po laskę, strzepnął ze spodni kurz – prawdziwy czy wyimaginowany – i ruszył do drzwi.

– A moja siostra, proszę pana? – zapytałem. – Nie spytał pan o nią.

Birch przystanął, uśmiechnął się pod nosem i zmierzwił mi dłonią włosy. Gest ten znalazłem całkiem przyjemnym. Może dlatego, że to samo robił mój ojciec.

– Ach, to nie jest konieczne. Powiedziałaś mi wszystko, co chciałem wiedzieć, paniczu Haythamie – rzekł Birch. – Wiesz o pięknej Jennifer tak samo mało jak ja i być może tak właśnie być powinno. Kobiety winny być dla nas zagadką, nieprawdą, paniczu Haythamie?

Nie miałem bladego pojęcia, o co mu chodzi, ale uśmiechnąłem się i odetchnąłem z ulgą, kiedy znów zostałem w korytarzyku sam.

### *iii*

Niedługo po tej rozmowie znajdowałem się właśnie w innej części domu, zmierzając do swojej sypialni, kiedy przechodząc obok gabinetu ojca, usłyszałem z wnętrza podniesione głosy: jego i pana Bircha.

Obawa przed solidnym laniem nie pozwoliła mi podejść bliżej i dosłyszeć, co mówią.

Dobrze się stało, że się nie zbliżyłem, gdyż chwilę później drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i wypadł z nich pan Birch. Był wściekły – gniew widać było wyraźnie po kolorze jego policzków i ogniu w oczach – lecz widząc mnie w korytarzu, stanął jak wryty; nie był jednak w stanie ukryć zdenerwowania.

– Próbowałem, paniczu Haythamie – powiedział, opanowując się i zapinając frak, żeby wyjść. – Próbowałem go uprzedzić.

I to powiedziawszy, założył na głowę trójgraniasty kapelusz i wyszedł. Ojciec stanął w drzwiach gabinetu i popatrzył za nim ze złością. Choć całe zajście nie należało na pewno do przyjemnych, były to sprawy dorosłych, i nie przejąłem się nim.

Miałem co innego na głowie. Dzień czy dwa później miała miejsce napaść.

#### iv

Stało się to w noc przed moimi urodzinami. Mówię o ataku. Nie spałem, może dlatego, że byłem podniecony nadchodzącym dniem, poza tym nabrałem zwyczaju wstawania po wyjściu Edith, siadania na parapecie i wyglądania przez okno. Z mojego punktu obserwacyjnego widywałem koty, psy, a nawet lisy przebiegające po skąpanej w blasku księżyca trawie. Jeśli nie oglądałem przyrody, wpatrywałem się po prostu w noc, patrzyłem na księżyc, na wodniście szarą poświatę, jaką zalewał trawę i drzewa. Z początku myślałem, że to, co widzę w oddali, to świetliki. Dużo o nich słyszałem, ale nigdy ich nie widziałem. Wiedziałem tylko, że zbierały się w roje i emanowały słabym blaskiem. Po chwili jednak zrozumiałem, że to nie żaden blask – światełko na przemian gasło i zapalało się. Ktoś dawał sygnały.

Oddech uwiązał mi w gardle. Światło błyskało niedaleko starej, drewnianej furty w murze, tam, gdzie widziałem wtedy Toma. Pierwszą moją myślą było, że to właśnie on próbuje się ze mną skontaktować. Teraz wydaje mi się to dziwne, ale nawet nie przeszło mi przez głowę, że sygnał mógł być przeznaczony dla kogoś innego. Byłem za bardzo zajęty wciąganiem spodni, upychaniem koszuli nocnej za pasek i zakładaniem szelek. Narzuciłem na ramiona frak. Mogłem myśleć tylko o tym, że czeka mnie wspaniała przygoda.

Teraz, kiedy to wspominam, oczywiście mam świadomość, że mieszkający obok Tom też musiał lubić przesiadywać wieczorami w oknie i

obserwować nocne życie w swoim ogrodzie.

I tak samo jak ja musiał zobaczyć sygnał. Może nawet naszła go myśl taka sama jak mnie: że to ja daję mu sygnały. I zrobił to samo, co ja: zeskoczył z parapetu, narzucił pospiesznie ubranie i poszedł sprawdzić...

W domu przy Queen Anne's Square pojawiły się dwie nowe twarze – dwaj byli żołnierze o zaciętych minach, zatrudnieni przez ojca. Wytłumaczył, że są nam potrzebni, ponieważ otrzymał „pewne informacje”.

Tylko tyle: „informacje”, i koniec. A ja zastanawiałem się wtedy, tak samo jak teraz, co miał na myśli, i czy miało to jakiś związek z podsłuchaną kłótnią między nim a panem Birchem.

Niezależnie od tego skąd się wzięli, nie widywałem ich zbyt często. Wiedziałem tylko, że jeden miał posterunek w salonie od frontu rezydencji, drugi zaś blisko kominka w sali służby pilnował skarbczyka. Obu z łatwością wyminąłem, skradając się w dół, pod schody, i wśliznąłem się do cichej, zalanej światłem księżyca kuchni. Nigdy nie widziałem jej tak ciemnej, pustej, cichej.

I zimnej. Oddech zamieniał się w obłoczki pary i natychmiast zadrzałem, nieprzyjemnie świadom tego, jak chłodno tu jest w porównaniu z moim pokojem, który dotąd uważałem za nieprzesadnie ogrzany.

Przy drzwiach stała świeca, którą zapaliłem, i osłaniając dłonią płomyk, oświetliłem sobie drogę na podwórze przed stajnią. A jeśli zdawało mi się, że to w kuchni było zimno, cóż... na dworze panował ziąb taki, że cały świat wydawał się kruchy i łamliwy; ziąb zapierający dech w piersiach, każący się zastanowić, czy warto iść dalej.

Któryś z koni zarżał i wierzgnął. Nie wiedzieć czemu hałas ten sprawił, że podjąłem decyzję. Na palcach ruszyłem wzdłuż zagród do bocznego muru, a potem pod łukiem furty do sadu. Szedłem między nagimi, rozcapierzonymi jabłoniemi, aż znalazłem się na otwartej przestrzeni, dotkliwie świadom bryły domu po prawej, z wyimaginowanymi twarzami w każdym oknie: Edith, Betty, matka i ojciec na pewno mi się przyglądali, jak biegam po ogrodach.

Oczywiście wcale nie biegałem, ale tak by powiedzieli; tego słowa użyłaby Edith, łajając mnie, i ojciec, karząc mnie razami laski.

Jeśli jednak spodziewałem się przywołania z domu, nic takiego się nie stało. Dotarłem do muru i ruszyłem spieszenie wzdłuż niego do furty. Wciąż dygotałem, ale z rosnącym podnieceniem zacząłem się zastanawiać, czy Tom przyniesie jedzenie na ucztę o północy: szynkę, ciasto i suchary. Och, z przyjemnością napiłbym się też gorącego grogu...

Zaszczekał pies. Kudłacz, wilczarz irlandzki ojca, ze swojego kojca obok stajni. Ujądanie sprawiło, że stanąłem jak wryty i przycupnąłem pod nagimi, zwisającymi nisko gałęziami wierzby, aż umilkło równie nagle, jak się zaczęło. Później oczywiście dowiedziałem się, czemu Kudłacz ucichł tak raptownie. Wtedy jednak nie zastanawiałem się nad tym, bo nie miałem powodu podejrzewać, że to napastnik poderżnął psu gardło. Teraz sądzimy, że było ich w sumie pięciu, zakradli się do nas z nożami i pałaszami. Pięciu mężczyzn otaczało rezydencję, a ja biegałem po ogrodzie, nic o tym nie wiedząc.

Ale skąd miałem wiedzieć? Byłem lekkomyślnym chłopcem, który myślał tylko o swojej przygodzie, nie wspominając o szynce i cieście. Szedłem dalej wzdłuż muru, aż dotarłem do furty.

Była otwarta.

Czego się spodziewałem? Chyba tego, że furta będzie zamknięta, a Tom będzie czekał po drugiej stronie. Może jeden z nas musiałby przeleźć przez mur. Może zamierzaliśmy rozmawiać przez furkę. Wiedziałem na pewno tylko tyle, że była otwarta, i zaczęło mnie ogarniać przeczucie, że coś jest nie w porządku. W końcu też zaświtało mi w głowie, że sygnały, które widziałem z okna sypialni, mogły nie być przeznaczone dla mnie.

– Tom? – szepnąłem.

Nie odpowiedział mi żaden dźwięk. Noc pogrążona była w zupełnej ciszy: milczały ptaki, zwierzęta, wszystko. Zdenerwowany, już miałem zawrócić do domu, do bezpiecznego, ciepłego łóżka, kiedy coś zobaczyłem. Stopę.

Wysunąłem się kawałeczek dalej z furty, tam, gdzie przejście było skąpane w brudnobiałym świetle księżycy, a wszystko zdawało się jarzyć słabym poblaskiem – w tym rozciągnięte na ziemi ciało chłopca.

Na pół leżał, na pół siedział pod przeciwległym murem, ubrany niemal tak samo jak ja, w spodnie i koszulę nocną, tyle że swojej nie wetknął za

pasek i owinęła mu się wokół nóg, wygiętych pod dziwnymi, nienaturalnymi kątami na zmarzniętym, nierównym błocie ścieżki.

Był to, jak mogłem się spodziewać, Tom. Tom, którego martwe, niewidzące oczy patrzyły na mnie spod przekrzywionej czapki; Tom, na którego piersi światło księżyca odbijało się w plamie krwi rozlanej z rany ziejącej na szyi.

Zęby zaczęły mi szczekać. Usłyszałem ciche pojękiwanie i uświadomiłem sobie, że to ja. W głowie kłębiły mi się setki histerycznych myśli. A potem wszystko zaczęło się dziać zbyt szybko, żebym zapamiętał choćby kolejność zdarzeń, chociaż pierwszy był chyba odgłos tłuczonego szkła i krzyk dobiegający z domu.

„Uciekaj!”

Ze wstydem przyznaję, że wszystkie kłębiące się w mojej głowie myśli wykrzyknęły chórem to jedno słowo.

„Uciekaj!”

I zrobiłem to. Pobiegłem. Tyle że nie w kierunku, w jakim mnie gnały. Czy postąpiłem tak, jak uczył mnie ojciec, i posłuchałem instynktu, a może przeciwnie, zignorowałem go? Nie wiem. Wiem tylko, że choć całym sercem pragnąłem uciec od straszliwego niebezpieczeństwa, rzuciłem się prosto w jego stronę.

Przebiegłem przez podwórko przed stajnią i wpadłem do kuchni, ledwie tylko zwalniając na widok wyłamanych drzwi zwisających na zawiasach. Usłyszałem dochodzące z korytarza krzyki, zobaczyłem krew na kuchennej podłodze. Za drzwiami prowadzącymi na schody natknąłem się na następne ciało. Był to jeden z żołnierzy. Leżał na podłodze korytarza, ściskając brzuch. Szaleńczo trzepotał powiekami, z ust strużką ciekła mu krew.

Przeskoczyłem go i pobiegłem w kierunku schodów. W głowie miałem tylko jedno – dostać się do rodziców. Sień była ciemna, pełna krzyków i tupotów, jak też pierwszych smużek dymu. Z piętra dobiegł kolejny wrzask. Spojrzałem w górę i zobaczyłem tańczące na galerii cienie, a także, przelotnie, błysk stali w rękach jednego z napastników. Potykał się z nim jeden z naszych służących, ale migotliwe światło nie pozwoliło mi zobaczyć, jak biedak skończył.

Usłyszałem tylko i wyczułem stopami mokre plaśnięcie, z jakim zwłoki spadły na podłogę niedaleko mnie. Zabójca zawył tryumfalnie i hałaśliwie ruszył w kierunku sypialni.

– Matko! – wrzasnąłem i rzuciłem się do schodów. Jednocześnie zobaczyłem, że drzwi pokoju rodziców otwierają się gwałtownie i wypada z nich na spotkanie napastnika mój ojciec.

Miał na sobie spodnie z szelkami założonymi na nagie ramiona, niezwiązane włosy opadały mu luźno na ramiona. W jednej ręce trzymał latarnię, w drugiej – szpadę.

– Haytham! – krzyknął, kiedy wbiegłem na górę.

Napastnik znajdował się pomiędzy nami. Przystanął, obejrzał się na mnie i w świetle latarni ojca po raz pierwszy zobaczyłem go wyraźnie. Miał na sobie spodnie, czarny kirys z utwardzanej skóry i małą maskę, taką, jakie nosi się na balach. Do tego zmienił kierunek.

Zamiast atakować ojca, z szerokim uśmiechem popędził z powrotem w moją stronę.

– Haytham! – krzyknął znów ojciec. Wyrwał się z ramion matki i pobiegł galerią za napastnikiem. Dystans między nimi natychmiast się zmniejszył, ale niewystarczająco. Rzuciłem się do ucieczki, ujrzałem jednak u podnóża schodów następnego mężczyznę, zastawiającego mi drogę z bronią w ręku. Był ubrany tak samo jak pierwszy, choć dostrzegłem jedną różnicę: uszy.

Były szpiczaste, co wraz z maską nadawało mu wygląd odrażającego, zniekształconego pana Puncta. Zamarłem na moment, a potem zawróciłem na pięcie i zobaczyłem, że ścigający mnie człowiek stał się z ojcem. Ojciec rzucił latarnię i walczyli w półmroku. Krótkie, zacięte starcie toczyło się przy akompaniamencie stęknień i szczęku stali. Mimo zagrożenia żałowałem, że nie mam dość światła, by patrzeć, jak ojciec walczy.

Nagle wszystko się skończyło i wyszczerzony zabójca przestał się uśmiechać, upuścił oręż, przewalił się z wrzaskiem przez balustradę i runął na dół. Szpiczastouchy intruz był w połowie schodów, ale rozmyślił się i zawrócił do sieni.

Na dole rozległ się krzyk. Przez balustradę zobaczyłem trzeciego mężczyznę, również w masce, który przywołał Szpiczastouchego

machaniem ręki, a potem obaj zniknęli pod galerią. Podniosłem wzrok i w słabym świetle zobaczyłem minę ojca.

– Bawialnia – powiedział.

W następnej chwili, zanim matka czy ja zdołaliśmy go powstrzymać, przesadził balustradę. Matka wrzasnęła: „Edwardzie!”, a rozpacz w jej głosie zabrzmiała echem moich własnych myśli. Nie! Mojej jednej, jedynej myśli: „Opuścił nas”.

Dlaczego nas opuścił?

Matka, w rozchełstanej koszuli nocnej, pobiegła galerią w moją stronę, ku schodom. Twarz miała wykrzywioną w grymasie przerażenia. Za nią pojawił się jeszcze jeden napastnik, wychynął ze schodów na drugim końcu galerii i dogonił matkę w tym samym momencie, kiedy ona dobiegła do mnie. Jedną ręką chwycił ją z tyłu, a drugą, dzierżącą oręż, wysunął do przodu, zamierzając przeciągnąć klingą po odsłoniętym gardle matki.

Nie zastanawiałem się. To przyszło dopiero dużo, dużo później. Jednym ruchem przyskoczyłem do schodów, porwałem broń zabitego, uniosłem ją nad głowę i oburącz wbiłem napastnikowi w twarz, zanim zdążył poderznąć matce gardło.

Dobrze wymierzyłem. Sztych trafił w otwór maski i w kryjące się pod nią oko. Wrzask mężczyzny rozerwał materię nocy; raniony odskoczył od matki z klingą tkwiącą w oczodole.

Uderzył o balustradę, broń upadła na ziemię, a on zachwiał się, osunął na kolana i runął do przodu. Był martwy, nim czołem dotknął podłogi.

Matka padła mi w objęcia i wtuliła twarz w moje ramię, a ja, podjąwszy znów oręż, wziąłem ją za rękę, chcąc sprowadzić na dół. Tyle razy ojciec mi powtarzał, wychodząc rano do swoich dziennych zajęć: „Dziś ty tu rządysz, Haythamie, ty masz się opiekować matką w moim imieniu”. Teraz naprawdę tak było.

Zeszliśmy na dół. W domu zapanowała dziwna cisza. Sień była teraz pusta i ciągle ciemna, choć rozświetlało ją złowrogie, pomarańczowe migotanie. W powietrzu gęstniał dym, ale dojrzałem przez niego ciała: zabójcę, służącego, który zginął wcześniej... i Edith, leżącą w kałuży krwi z poderżniętym gardłem.



Matka też ją zobaczyła, jęknęła i próbowała pociągnąć mnie w kierunku drzwi wejściowych, ale drzwi bawialni były na w pół otwarte, a zza nich dobiegał szczęk broni. Walczyło trzech mężczyzn, a jednym z nich był ojciec.

– On mnie potrzebuje – powiedziałem, próbując wyswobodzić się z ramion matki, która zrozumiała, co chcę zrobić, i pociągnęła mnie mocniej, aż wyszarpnąłem dłoń z jej uścisku z taką siłą, że upadła.

Przez krótką chwilę byłem rozdarty, pragnąłem pomóc jej wstać i przeprosić; widok matki leżącej na podłodze – i to przede mną – był okropny. Zaraz potem usłyszałem jednak rozpaczliwy krzyk dobiegający z bawialni i to wystarczyło, bym bez namysłu rzucił się do drzwi.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, była otwarta skrytka w regale z książkami. Wewnątrz leżało puzdro z moim mieczem. Poza tym pokój wyglądał jak zawsze, tak jak zostawiliśmy go po ostatniej lekcji szermierki – odsunięty stół bilardowy, miejsce na środku, gdzie wcześniej tego samego dnia ojciec uczył mnie i napominał.

A gdzie teraz klęczał, umierający.

Nad nim stał mężczyzna z pałaszem wbitym w jego pierś aż po samą gardę. Ostrze wychodziło ojcu z pleców, krew kapała z niego na drewnianą podłogę. Nieopodal stał Szpiczastouchy z okropną raną na twarzy. Potrzeba ich było dwóch, by pokonać ojca, a i tak przyszło im za to zapłacić.

Rzuciłem się na mordercę, który, zaskoczony, nie zdążył wyrwać ostrza z piersi ojca. Odskoczył tylko, uchodząc spod mojego ciosu; zarazem puścił broń, a ojciec osunął się na podłogę. Jak głupiec rzuciłem się na zabójcę, zapomniałem o flankach i natychmiast kątem oka dostrzegłem nagły ruch – to Szpiczastouchy skoczył do przodu. Nie wiem, czy zrobił to specjalnie, czy po prostu chybił, ale zamiast uderzyć klingą, rąbnął mnie koszem pałasza, tak że pociemniało mi w oczach; moja głowa zetknęła się z czymś, co dopiero po chwili rozpoznałem jako nogę stołu bilardowego, i znalazłem się na podłodze, ogłuszony, rozciągnięty naprzeciw ojca, który leżał na boku z rękojęcią wciąż wystającą z piersi. W jego oczach było jeszcze życie, ledwie iskierka – zamrugał oczami, jakby skupiał na mnie spojrzenie. Przez krótką chwilę leżeliśmy naprzeciw siebie, dwaj powaleni mężczyźni.

Poruszył ustami. Przez ciemną chmurę bólu i rozpacz zobaczyłem, że wyciąga do mnie rękę.

– Ojcie... – powiedziałem. W następnej chwili zabójca podszedł do niego, pochylił się i wyrwał ostrze z jego piersi. Ojciec zadygotał, jego ciało wygięło się w ostatnim spazmie bólu, wyszczerzył zakrwawione zęby i umarł.

Poczułem, że czyjś but obraca mnie na plecy, i spojrzałem w oczy zabójcy mojego ojca – teraz także mojego zabójcy – który z uśmiechem pod nosem oburącz uniósł pałasz, żeby mnie nim przebić.

O ile czułem wstyd, przyznając, że ledwie kilka chwil temu wewnętrzne głosy kazały mi uciekać, to z dumą opowiadam, że teraz milczały; że stawiałem czoła śmierci godnie i ze świadomością, iż zrobiłem dla rodziny wszystko, co było w mojej mocy. Z wdzięcznością, że wkrótce dołączę do ojca.

Ale nic takiego przecież nie nastąpiło. Słów tych nie pisze przecież duch. Ujrzałem coś kątem oka – była to głównia pałacza, który pojawił się między nogami zabójcy i natychmiast uderzył w górę, rozrąbując jego tors od pachwiny począwszy. Potem zrozumiałem, że kierunek ciosu nie był podyktowany okrucieństwem, lecz potrzebą odciągnięcia mordercy ode mnie, aby nie padł w przód. Był przy tym jednak okrutny; mężczyzna wrzasnął, z rany bryznęła krew, na podłogę wylały się wnętrzności, a on sam runął w ślad za nimi.

Z tyłu stał pan Birch.

– Jesteś cały, Haythamie? – spytał.

– Tak, proszę pana – wysapałem.

– To dobrze – powiedział, a potem, unosząc broń, odwrócił się do Szpiczastouchego, który rzucił się na niego, błyskając klingą.

Podźwignąłem się na kolana, chwyciłem upuszczony oręż i wstałem, gotów pomóc panu Birchowi, który zepchnął przeciwnika do drzwi bawialni, kiedy tamten nagle coś zobaczył – coś niewidocznego za drzwiami – i uskoczył w bok. W następnej chwili pan Birch wycofał się i wyciągnął rękę, abym nie podchodził. W drzwiach tymczasem pojawił się

na powrót Szpiczastouchy, tyle że tym razem miał zakładnika. Nie moją matkę, jak się obawiałem w pierwszej chwili, ale Jenny.

– Do tyłu – prychnął. Jenny załkała. Miała wytrzeszczone oczy – do jej gardła zabójca przytknął ostrze.

Czy mogę przyznać... Czy mogę przyznać, że w tamtej chwili o wiele bardziej zależało mi na pomszczeniu śmierci ojca niż na jej bezpieczeństwie?

– Nie ruszać się – powtórzył Szpiczastouchy, ciągnąc Jenny do tyłu. Rąbek nocnej koszuli oplątał jej kostki, szurała piętami, wlekąc je po podłodze. Nagle dołączył do nich kolejny zamaskowany mężczyzna, wymachujący pochodnią. Sień była już pełna dymu. Widziałem płomienie bijące z innej części domu, liżące drzwi bawialni. Człowiek z pochodnią doskoczył do zasłon, podpalił je i otaczający nas pożar jeszcze się wzmógł. Pan Birch i ja byliśmy bezsilni.

Kątem oka zobaczyłem matkę i podziękowałem Bogu, że nic jej nie jest. Inaczej było z Jenny. Ciągnięta w stronę wyjścia, wpatrywała się we mnie i pana Bircha – byliśmy jej ostatnią nadzieją. Napastnik z pochodnią dołączył do towarzysza, rozwarł drzwi i wybiegł do powozu, który zobaczyłem na ulicy.

Przez chwilę wydawało mi się, że puszczą Jenny, ale nie. Krzyczącą powlekli do powozu i wepchnęli do środka. Wciąż wrzeszczała, gdy trzeci zamaskowany mężczyzna na koźle szarpnął lejce i powóz z hurkotem odjechał w noc. Mogliśmy tylko uciekać z płonącego domu i próbować wyrwać ciała najbliższych ze szponów płomieni.

10 grudnia 1735

*i*

Chociaż dziś pochowaliśmy ojca, pierwsza moja myśl, kiedy się rano obudziłem, nie dotyczyła jego ani pogrzebu, lecz skarbczyka przy Queen Anne's Square.

Nie próbowali się do niego dostać. Ojciec wynajął dwóch żołnierzy, bo bał się kradzieży, ale napastnicy wdarli się na piętro, nawet nie próbując go złupić.

Dlaczego? Bo chodziło im o Jenny, oto dlaczego. A zabójstwo ojca? Czy to też była część ich planu?

O tym właśnie myślałem, kiedy obudziłem się w lodowatym pokoju – ziąb nie był niczym niezwykłym. W istocie taka była codzienność. Tyle że tego dnia w sypialni było wyjątkowo zimno. To był mróz, od którego cierpną zęby, przesywający do szpiku kości. Zerknąłem na palenisko, zdziwiony, że ogień nie daje więcej ciepła, i zobaczyłem, że w nim nie rozpalono, a krata jest szara i zasypana popiołem.

Wygramoliłem się z łóżka i podszedłem do okna, pokrytego od środka grubą, niepozwalającą wyrzeć na zewnątrz warstwą lodu. Posapując z zimna, ubrałem się i wyszedłem z pokoju. Uderzyła mnie panująca w domu cisza. Stąpając na palcach, zszedłem na dół, znalazłem pokój Betty, zapukałem cicho, potem nieco mocniej. Kiedy nie odpowiedziała, zacząłem się zastanawiać, co robić; trochę się o nią martwiłem. Wciąż nie otwierała, więc przyklęknąłem, żeby zajrzeć przez dziurkę od klucza, modląc się, bym nie ujrzał czegoś nieprzeznaczonego dla moich oczu.

Betty spała w jednym z dwóch łóżek. Drugie było puste i starannie zasłane, choć obok stała para najwyraźniej męskich butów ze srebrnym

okuciem na obcasie. Wróciłem spojrzeniem do Betty i przez chwilę przyglądałem się, jak okrywający ją koc unosi się i opada. Postanowiłem jej nie budzić.

Podniosłem się i poszedłem do kuchni, gdzie pani Searle wzdrygnęła się lekko na mój widok. Zmierzyła mnie od stóp do głów z dezaprobatą i wróciła do swojego zajęcia przy desce do krojenia. Nie byliśmy bynajmniej pokłóceni, pani Searle po prostu każdego traktuje podejrzliwie, tym bardziej teraz, po napaści.

– Nie należy do najbardziej wyrozumiałych – powiedziała mi któregoś popołudnia Betty.

To kolejna rzecz, która zmieniła się po ataku: Betty stała się o wiele bardziej szczera, co jakiś czas zdradzała, co naprawdę myśli o różnych sprawach. Nie miałem na przykład pojęcia, że nie lubiła się z panią Searle ani że podejrzliwie odnosiła się do pana Bircha.

Tak jednak było.

– Nie wiem, czemu podejmuje decyzje w imieniu Kenwayów – mruknęła wczoraj ponuro.

– Nie jest członkiem rodziny i wątpię, by nim kiedykolwiek został.

Świadomość, że Betty ma niezbyt wysokie mniemanie o pani Searle, dziwnym sposobem uczyniła ochmistrzynię mniej nieprzystępną w moich oczach. Podczas gdy wcześniej zastanowiłbym się dwa razy, zanim poszedłbym do kuchni i poprosił o coś do jedzenia, teraz nie miałem takich obaw.

– Dzień dobry, pani Searle – powiedziałem.

Dygnęła nieznacznie. W kuchni panował chłód, była tu sama. Na Queen Anne's Square pani Searle miała co najmniej troje pomocników, nie wspominając o innych służących, którzy wbiegali i wybiegali przez wielkie, podwójne drzwi kuchenne. Ale to było przed atakiem, kiedy zatrudnialiśmy pełno służby, a nic tak nie odstrasza sług, jak napaść wymachujących bronią, zamaskowanych mężczyzn. Większość następnego dnia po prostu nie wróciła.

Została tylko pani Searle, Betty, pan Digweed, pokojówka imieniem Emily i panna Davy, służąca matki. Tylko oni opiekowali się teraz

Kenwayami. Czy też powinienem raczej powiedzieć niedobitkami Kenwayów. Zostałem tylko ja i matka.

Wyszedłem z kuchni z kawałkiem ciasta zawiniętym w ściereczkę. Pani Searle wręczyła mi go z kwaśną miną, bez wątpienia nie pochwalając mojego wałęsania się po domu tak wcześnie rano i podjadania przed śniadaniem, które właśnie przygotowywała. Lubię panią Searle, tym bardziej że znalazła się wśród tych nielicznych sług, którzy pozostali przy nas po tamtej strasznej nocy. Mimo to mam teraz inne sprawy na głowie. Pogrzeb ojca. I matkę, oczywiście.

Zorientowałem się, że jestem w sieni, patrzę na drzwi wejściowe i zanim się spostrzegłem, już były otwarte. Bez namysłu – a przynajmniej bez nadmiernego namysłu – wyszedłem na schody, w świat pokryty szronem.

## ii

– Do kroćset, co zamierzasz porabiać w tak zimny poranek, paniczu Haythamie?

Pod dom właśnie zajechał powóz, a z okna wyglądał pan Birch. Miał na głowie cieplejszy niż zwykle kapelusz, a usta i nos otulił szalem, więc na pierwszy rzut oka wyglądał jak rabuś z gościńca.

– Rozglądam się tylko, proszę pana – odparłem ze schodów.

Birch ściągnął z twarzy szal i spróbował się uśmiechnąć. Dotąd, kiedy się uśmiechał, jego oczy wesoło połyskiwały, teraz przypominały stygnące, gasnące popioły, niezdolne dać ciepła, wytężone i zmęczone jak jego głos.

– Sądzę, że wiem, czego szukasz, paniczu Haythamie.

– Czego, proszę pana?

– Drogi do domu?

Zastanowiłem się nad tym i zrozumiałem, że ma rację. Kłopot w tym, że pierwsze dziesięć lat życia spędziłem pod baczną opieką rodziców i opiekunek. Choć wiedziałem, że Queen Anne's Square znajduje się niedaleko, może dosłownie dwa kroki stąd, nie miałem pojęcia, jak się tam dostać.

– Zamierzałeś go odwiedzić? – spytał pan Birch.

Wzruszyłem ramionami, ale po prawdzie tak właśnie było, wyobrażałem sobie siebie w skorupie dawnego domu. W bawialni. Wyobrażałem sobie, jak wyjmuję...

– Swój miecz?

Przytaknąłem.

– Obawiam się, że zapuszczanie się do domu jest zbyt niebezpieczne. Może jednak chciałbyś tam podjechać? Przynajmniej możesz popatrzeć. Wsiadaj, ziąb jak diabli.

Nie widziałem przeciwwskazań, zwłaszcza kiedy pan Birch wyciągnął z głębi powozu kapelusz i pelerynę.

Kiedy kilka chwil później zatrzymaliśmy się przed domem, nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażałem. Było o wiele, wiele gorzej. Jakby olbrzymia, nadprzyrodzona pięść spadła na niego z góry, przebijając dach i piętra, czyniąc w nim wielką, poszarpaną wyrwę. To nawet nie był dom, raczej puste miejsce po domu.

Przez pozbawione szyb okna można było zajrzeć do sieni i dalej, przez dziury w podłogach na korytarz trzy piętra wyżej; wszystko było poczerńiałe od sadzy. Rozpoznawałem niektóre meble, czarne i zwęglone; ze ścian krzywo zwisały nadpalone portrety.

– Przykro mi, naprawdę zbyt niebezpiecznie jest wchodzić do środka, paniczku Haythamie – powiedział pan Birch.

Po chwili zaprowadził mnie z powrotem do powozu, stuknął dwukrotnie laską w dach i odjechaliśmy.

– Jednakowoż – podjął – pozwoliłem sobie wczoraj wynieść twój miecz.

Sięgnął pod siedzenie i wyciągnął pudro. Ono również było pokryte sadzą, ale kiedy położył je na kolanach i otworzył, broń w środku zaśniła tak samo jak w dniu, kiedy ojciec mi ją podarował.

– Dziękuję, panie Birch. – Tylko tyle zdołałem wykrztusić. Zamknął pudło i położył je na siedzeniu między nami.

– To piękna broń, Haythamie. Nie wątpię, że będziesz jej strzegł jak skarbu.

– Będę, proszę pana.

– A kiedy, zastanawiam się, po raz pierwszy zakosztuje krwi?

– Nie wiem, proszę pana.

Zamilkliśmy. Pan Birch ścisnął laskę kolanami.

– Tamtej nocy zabiłeś człowieka – powiedział, odwracając głowę do okna. Mijaliśmy ledwie widoczne domy, sunące w tył w oparach dymu i mroźnego powietrza. Wciąż było bardzo wcześnie, ulice jeszcze się nie zaludniły. – Jak się wtedy poczułeś, Haythamie?

– Bronilem matkę – odparłem.

– To było jedyne możliwe wyjście, Haythamie – zgodził się pan Birch, przytakując – i postąpiłeś słusznie. Nawet przez chwilę nie myśl, że było inaczej. Ale jedyne wyjście czy nie, nie zmienia to faktu, że zabić człowieka to poważna sprawa. Dla każdego. Dla twojego ojca. Dla mnie. A zwłaszcza dla chłopca w tak młodym wieku.

– Nie smuciło mnie to, co zrobiłem. Po prostu zadziałałem.

– A czy myślałeś o tym później?

– Nie, proszę pana. Myślałem tylko o ojcu i matce.

– I o Jenny...? – podsunął pan Birch.

– Och. Tak, proszę pana.

Zapadła cisza. Kiedy znów się odezwał, głos miał poważny i spokojny.

– Musimy ją znaleźć, Haythamie – rzekł.

Milczałem.

– Zamierzam wyjechać do Europy, gdzie naszym zdaniem jest przetrzymywana.

– Skąd pan wie, że ona jest w Europie, proszę pana?

– Haythamie, jestem członkiem wpływowej i ważnej organizacji. Można ją nazwać klubem czy stowarzyszeniem. Jedną z wielu zalet członkostwa jest to, że wszędzie mamy swoje oczy i uszy.

– Jak się ona nazywa, proszę pana? – spytałem.

– Templariusze, paniczu Haythamie. Jestem rycerzem templariuszem.

– Rycerzem? – powtórzyłem powoli, przyglądając mu się bacznie.

Zaśmiał się krótko.

– Być może nie takim, o jakim myślisz, Haythamie, reliktem z wieków średnich, ale nasze ideały pozostają niezmienione. Tak jak nasi poprzednicy wyruszyli szerzyć pokój w Ziemi Świętej wieki temu, tak i my jesteśmy



niewidoczną siłą, która pomaga zachować pokój i porządek w naszych czasach. – Machnięciem ręki wskazał coraz ludniejsze ulice za oknem.

– Wszystko to, Haythamie, wymaga porządku i dyscypliny, a porządek i dyscyplina potrzebują przykładu. Templariusze dają taki przykład.

W głowie mi się zakręciło.

– Gdzie się spotykacie? Co robicie? Nosicie zbroje?

– Później, Haythamie. Później opowiem ci więcej.

– Czy ojciec też był jej członkiem? Czy był rycerzem? – Serce zabiło mi mocniej. – Czy uczył mnie na rycerza?

– Nie, paniczu Haythamie, nie był i o ile mi wiadomo, uczył cię szermierki jedynie po to, by... cóż, fakt, że twoja matka żyje, jest dowodem wartości tych nauk. Nie, stosunki z twoim ojcem nie wynikały z mojego członkostwa w zakonie. Z dumą stwierdzam, że zatrudnił mnie dzięki mojej umiejętności zarządzania majątkiem, a nie przez jakieś tajemne związki. Jednak wiedział, że jestem rycerzem. Ostatecznie templariusze mają wpływy wśród potężnych i bogatych, a te czasem przydawały się w interesach. Twój ojciec do nas nie należał, ale był dość przebiegły, by dostrzec wartość takich kontaktów: przyjazne słowo, przekazanie użytecznej informacji... – Pan Birch głęboko odetchnął – ...między innymi wiadomości o szykowanym ataku na Queen Anne's Square. Powiedziałem mu o tym, oczywiście. Spytałem, czy wie, dlaczego został wybrany na cel, ale on odrzucał samą taką myśl, być może nieszczęrze.

Pokłóciliśmy się o to, Haythamie. Poniosła nas złość, ale teraz żałuję, że nie byłem bardziej uparty.

– To tę kłótnię słyszałem? – zapytałem.

Pan Birch zerknął na mnie z ukosa.

– A więc słyszałeś, tak? Nie podsłuchiwałeś, mam nadzieję?

Powiedział to takim tonem, że poczułem wielką ulgę, iż rzeczywiście tego nie robiłem.

– Nie, proszę pana, usłyszałem podniesione głosy, i to wszystko.

Pan Birch przyjrzał mi się uważnie. Upewniwszy się, że mówię prawdę, odwrócił się.

– Twój ojciec był równie uparty, jak tajemniczy.

– Ale nie zlekceważył ostrzeżenia, proszę pana. Przecież najął żołnierzy.  
Pan Birch westchnął.

– Twój ojciec nie potraktował zagrożenia poważnie i sam nie zrobiłby nic. Kiedy zrozumiałem, że mnie nie posłucha, pozwoliłem sobie poinformować o wszystkim twoją matkę.

To na jej nalegania najął żołnierzy. Żałuję, że zamiast nich nie wziął kogoś spośród nas. Nie zostaliby tak łatwo pokonani. Teraz mogę tylko spróbować odnaleźć jego córkę i ukarać winnych. Żeby tego dokonać, muszę wiedzieć, dlaczego to zrobili, jaki był cel napaści. Paniczu Haythamie, powiedz mi, co wiesz o nim z czasów, zanim osiadł w Londynie.

– Nic nie wiem, proszę pana – odparłem.

Roześmiał się sucho.

– Cóż, czyli jest nas dwóch. A nawet więcej. Twoja matka również nic nie wie.

– A Jenny, proszę pana?

– Ach, równie tajemnicza Jenny. Tyleż była frustrująca, co piękna, tyleż nieodgadniona, co urocza.

– „Była”, proszę pana?

– Tak mi się tylko powiedziało, paniczu Haythamie, a przynajmniej taką mam szczerą nadzieję. Nieustannie wierzę, że Jenny jest bezpieczna w rękach swoich porywaczy, ponieważ użyteczna jest dla nich tylko żywa.

– Uważa pan, że porwali ją dla okupu?

– Twój ojciec był bardzo bogaty. Wasza rodzina mogła zostać wybrana na cel choćby przez wzgląd na majątek, a śmierć twojego ojca nie musiała być zaplanowana. To z całą pewnością możliwe. Nasi ludzie badają już taką ewentualność. Równie dobrze zadaniem napastników mogło być zgładzenie twojego ojca, i tym też się zajmujemy, a konkretnie ja się zajmuję, bo oczywiście dobrze go znałem i wiedziałbym, gdyby miał jakichś wrogów: nieprzyjaciół dość zajadłych, by przeprowadzić taką napaść, nie mówię, rzecz jasna, o niechętnych mu najemcach. Nie odnalazłem ani jednego tropu, co skłania mnie do przekonania, że mogło chodzić o wyrównanie jakichś krzywd. Jeśli tak, to bardzo zadawnionych, z czasów, zanim osiadł

w Londynie. Jenny, jako jedyna, która go wtedy znała, mogłaby udzielić odpowiedzi, ale cokolwiek wiedziała, zabrała ze sobą w niewolę. Tak czy inaczej, Haythamie, musimy ją odszukać.

Zaintrygowało mnie to, jak powiedział „musimy”.

– Jak mówiłem, uważa się, że została zabrana gdzieś do Europy, tam więc będziemy prowadzić poszukiwania. A mówiąc „będziemy”, mam na myśli ciebie i mnie, Haythamie.

Wzdrygnąłem się.

– Słucham? – wyjąkałem, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

– Dobrze słyszałeś – rzekł pan Birch. – Pojedziesz ze mną.

– Matka mnie potrzebuje, proszę pana. Nie mogę jej tu zostawić.

Pan Birch znów na mnie spojrzał. W jego oczach nie było ani łagodności, ani złości.

– Haythamie – powiedział – obawiam się, że ta decyzja nie należy do ciebie.

– Należy do matki – upierałem się.

– Cóż, owszem.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Pan Birch westchnął.

– Zastanawiam się, czy rozmawiałeś z matką od chwili napaści?

– Była zbyt wstrząśnięta, by widzieć kogokolwiek oprócz panny Davy czy Emily. Nie wychodziła ze swojego pokoju, a panna Davy mówi, że zostanie wezwany, kiedy będzie gotowa mnie ujrzeć.

– Kiedy się spotkacie, zobaczysz, że się zmieniła.

– Słucham?

– W noc ataku Tessa widziała, jak jej mąż umiera i jak jej mały synek zabija człowieka.

To odcisnęło na niej głębokie piętno, Haythamie; może już nie być osobą, którą pamiętasz.

– Tym bardziej mnie potrzebuje.

– Może potrzebuje raczej spokoju, żeby dojść do zdrowia, Haythamie. Z dała od wszystkiego, co przypominałoby jej o tamtej straszliwej nocy.

– Rozumiem, proszę pana – powiedziałem.

– Przepraszam, jeśli to dla ciebie wstrząs, Haythamie. – Pan Birch ściągnął brwi. – Oczywiście mogę się mylić, ale zajmowałem się interesami twojego ojca od jego śmierci; ustalałem sprawy z twoją matką, widywałem się z nią i nie sądzę, abym był w błędzie. Nie tym razem.

*iii*

Matka wezwała mnie do siebie na krótko przed pogrzebem. Kiedy Betty, cała czerwona i co rusz przepraszająca za to, że „sobie pospała”, przyszła mi to powiedzieć, w pierwszej chwili pomyślałem, że matka zmieniła zdanie co do mojego wyjazdu do Europy z panem Birchem, byłem jednak w błędzie. Pobiegłem do jej pokoju, zapukałem do drzwi i wszedłem, ledwie usłyszawszy zaproszenie – głos miała słaby i piskliwy, zupełnie nie taki jak kiedyś – cichy, lecz nieznoszący sprzeciwu. Siedziała przy oknie, a panna Davy mocowała się z zasłonami. Choć był dzień, na dworze panowała szarówka, matka jednak machała przed sobą dłonią, jakby dokuczał jej rozzłoszczony ptak, a nie szarzące promienie zimowego słońca. Ku jej zadowoleniu panna Davy w końcu uporała się z zadaniem i ze znużonym uśmiechem matka gestem nakazała mi usiąść.

Zwróciła ku mnie twarz, bardzo powoli, przyjrzała mi się i zmusiła się do uśmiechu.

Napaść pozostawiła na niej niezatarty ślad. Zupełnie, jakby uszło z niej życie, jakby straciła to wewnętrzne światło, które zawsze z niej biło, czy się uśmiechała, czy była zła, czy, jak to mawiał ojciec, miała serce na dłoni. Teraz uśmiech powoli ześliznął się z jej ust i zagościł na nich znów pusty grymas, jakby nie miała już siły zachowywać pozorów.

– Wiesz, że nie idę na pogrzeb, Haythamie? – powiedziała głucho.

– Tak, matko.

– Przepraszam. Przykro mi, Haythamie, naprawdę, ale nie mam siły.

Dotąd nigdy nie nazywała mnie „Haythamem”. Mówiła do mnie „skarbie”.

– Tak, matko – powiedziałem, wiedząc, że to nieprawda. „Twoja matka ma więcej siły niż wszyscy mężczyźni, jakich znam, Haythamie”, mawiał

ojciec.

Poznali się niedługo po tym, jak przyjechał do Londynu, a ona zapolowała na niego niczym „lwica na swoją ofiarę”, żartował, „widok tyleż mrozący krew w żyłach, co wspaniały”.

Za ten żart dostał szturchańca i można było pomyśleć, że było w nim ziarno prawdy.

Matka nie lubiła opowiadać o swojej rodzinie. „Majętni”, tyle tylko wiedziałem. Jenny wspomniała raz, że wyrzekli się matki przez jej związek z ojcem. Dlaczego – tego oczywiście nigdy się nie dowiedziałem. Kilka razy nagabywałem matkę, by opowiedziała o życiu ojca, zanim przyjechał do Londynu, ale ona tylko tajemniczo się uśmiechała. Ojciec mi powie, kiedy będzie gotowy. Siedząc w jej pokoju, uświadomiłem sobie, że powodem przynajmniej części mojego cierpienia jest to, że nigdy się nie dowiem, co ojciec planował powiedzieć mi w dniu urodzin. Choć muszę przyznać, że to mała część – zupełnie nieznacząca w porównaniu z bólem po stracie ojca i widokiem matki w obecnym stanie. Tak... skarłałej. Tak bardzo pozbawionej siły, o której mówił ojciec.

Być może w rzeczywistości źródłem tej siły był on sam. Być może rzeź tamtego okropnego wieczora okazała się dla niej czymś nie do udźwignięcia. Mówią, że tak bywa z żołnierzami. Dopada ich „serce wojaka” i zmieniają się w cienie dawnych siebie. Rozlew krwi ich odmienia. Czy tak było z moją matką? – zastanawiałem się.

– Przykro mi, Haythamie – dodała.

– Nic się nie stało, matko.

– Nie... chodzi mi o to, że masz jechać do Europy z panem Birchem.

– Ale jestem potrzebny tutaj, przy tobie. Żeby się tobą opiekować.

Roześmiała się słabo.

– Mały żołnierzek mamusi, tak?

Przeszyła mnie przy tym dziwnym, dociekliwym spojrzeniem. Wiedziałem dobrze, o czym myślała. Wracała do tamtej chwili na schodach. Widziała mnie, jak wbijam ostrze w oczodół zamaskowanego napastnika.

Potem odwróciła wzrok, a ja z trudem łapałem oddech, zniewolony intensywnością jej spojrzenia.

– Zaopiekują się mną panna Davy i Emily, Haythamie. Kiedy dom na Queen Anne’s Square zostanie wyremontowany, będziemy mogli tam wrócić i zatrudnię więcej służby. Nie, to ja powinnam się zająć tobą. Wyznaczyłam pana Bircha na rewidenta rodziny i twojego opiekuna, żeby niczego ci nie brakowało. Tego chciałby twój ojciec.

Spojrzała ze zdziwieniem na zasłonę, jakby próbowała sobie przypomnieć, czemu ją zaciągnięto.

– Jak rozumiem, pan Birch miał porozmawiać z tobą o wyjeździe bezzwłocznie.

– Owszem, rozmawialiśmy, ale...

– Dobrze.

Wróciła do mnie wzrokiem. Znów w jej spojrzeniu było coś nieprzyjemnego;

zrozumiałem, że nie była już matką, którą znałem. A może to ja nie byłem już tym samym synem?

– Tak będzie najlepiej, Haythamie.

– Ale matko...

Popatrzyła na mnie i szybko odwróciła wzrok.

– Pojedziesz bez dyskusji – oznajmiła stanowczo, spoglądając na zasłony. Odwróciłem się do panny Davy, jakby szukając wsparcia, ale nie znalazłem go: uśmiechnęła się współczująco i uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: „Wybacz, Haythamie, nic nie poradzę, już zdecydowała”. W pokoju zapadła cisza, słychać było tylko stukot kopyt na zewnątrz, dobiegający ze świata, który toczył się swoim zwykłym torem, nie zważając, że moje życie obraca się w ruinę.

– Możesz odejść, Haythamie – powiedziała matka, machając ręką.

Kiedyś – to znaczy przed atakiem – nigdy mnie nie „wzywała”. Ani nie „odprawiała”.

Kiedyś nigdy nie pozwalała mi odejść bez choćby pocałunku w policzek i przynajmniej raz dziennie powtarzała, że mnie kocha.

Kiedy wstałem, uświadomiłem sobie, że nie wspomniała o tym, co się wtedy wydarzyło na schodach. Nie podziękowała mi za uratowanie życia.

Przystanąłem przy drzwiach i odwróciłem się do niej; zastanawiałem się, czy nie pragnęła, by stało się inaczej.

*iv*

Pan Birch towarzyszył mi na pogrzebie – małej, nieformalnej uroczystości w tym samym kościele, w którym żegnaliśmy Edith, z niemal identyczną liczbą żałobników: służba, stary pan Fayling, paru podwładnych ojca, z którymi pan Birch później się rozmówił. Przedstawił mnie jednemu z nich, panu Simpkinowi, którego oceniłem na jakieś trzydzieści parę lat i który, jak mi powiedziano, miał od tej pory dbać o rodzinne interesy. Ukłonił się zdawkowo, obdarzając mnie spojrzeniem, w którym nauczyłem się rozpoznawać połączenie skrępowania i współczucia.

– Zaopiekuję się pańską matką, kiedy pan będzie w Europie, paniczu Haythamie – zapewnił mnie.

Dotarło do mnie nagle, że naprawdę jadę, że nie mam wyboru ani nic do powiedzenia w tej sprawie. Cóż, pozostawało mi jedno wyjście – ucieczka. Chociaż ta nigdy nie jest chyba tak naprawdę rozwiązaniem.

Wróciliśmy z pogrzebu powozami. Wchodząc do domu, zobaczyłem Betty, która popatrzyła na mnie i nieznacznie się uśmiechnęła. Wieści o mnie najwyraźniej już się rozeszły.

Kiedy spytałem, co zamierza dalej robić, powiedziała, że pan Digweed znalazł jej nową posadę. Gdy na mnie patrzyła, jej oczy lśniły od łez, a kiedy wyszła, z ciężkim sercem usiadłem za biurkiem, by pisać dalej pamiętnik.

11 grudnia 1735

*i*

Nazajutrz rano wyruszamy do Europy. Uderzające, jak niewiele potrzeba przygotowań. Czuję się tak, jakby pożar przeciął wszystkie więzy łączące mnie z dotychczasowym życiem. Mój ocalały niewielki dobytek zmieścił się w dwóch zaledwie kufrach, które zabrano dziś rano. Pozostało mi napisać listy oraz porozmawiać z panem Birchem o czymś, co wydarzyło się zeszłej nocy, kiedy poszedłem do łóżka. Prawie już spałem, kiedy usłyszałem ciche pukanie do drzwi. Usiadłem i powiedziałem:

„Proszę”, spodziewając się ujrzeć Betty.

To nie była ona. Zobaczyłem dziewczynę, która pospiesznie weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Podniosła świecę, żebym zobaczył jej twarz i palec przyłożony do ust. To była Emily, jasnowłosa Emily, pokojówka.

– Paniczu Haythamie – rzekła. – Muszę panu coś powiedzieć, coś, co nie daje mi spokoju.

– Oczywiście – odparłem, mając nadzieję, że nie zdradzam głosem faktu, iż nagle poczułem się bardzo młody i bezbronny.

– Znam pokojówkę Barrettów – powiedziała szybko. – Wśród tych, którzy wybiegli wtedy z domów była Violet. Znalazła się blisko powozu, którym uprowadzili pana siostrę. Kiedy ciągnęli pannę Jenny obok Violet, panna Jenny podchwyciła jej spojrzenie i szybko jej coś powiedziała, a Violet przekazała to mnie.

– Co to było? – spytałem.

– Powiedziała to bardzo się spiesząc, proszę pana, do tego panował ogromny hałas i zanim zdążyła dodać coś jeszcze, wpakowali ją do



powozu, ale Violet sądzi, że usłyszała słowo „zdrajca”. Następnego dnia odwiedził ją mężczyzna z akcentem z West Country, ale Violet powiedziała mu, że nic nie słyszała, nawet kiedy ów dżentelmen ją postraszył. Pokazał jej paskudny nóż, proszę pana, wyjął go zza pasa, ale wtedy też nic nie powiedziała.

– Ale tobie owszem?

– Violet to moja siostra, proszę pana. Martwi się o mnie.

– Mówiłaś o tym komuś jeszcze?

– Nie, proszę pana.

– Rano powiem panu Birchowi – rzekłem.

– Ale, proszę pana...

– Co?

– A jeśli tym zdrajcą jest właśnie pan Birch?

Roześmiałem się krótko i pokręciłem głową.

– To niemożliwe. Uratował mi życie. Był tam i walczył... – Nagle coś sobie uświadomiłem. – Jest jednak ktoś, kogo tam wówczas nie było.

## ii

Rankiem przy pierwszej sposobności wysłałem wiadomość do pana Bircha, a on doszedł do tego samego wniosku co ja.

Godzinę później przybył mężczyzna, którego wprowadzono do gabinetu. Był mniej więcej w wieku mojego ojca, miał posępną, kanciastą twarz, blizny i zimne, nieruchome oczy jakiegoś morskiego stworzenia. Przewyższał wzrostem i posturą pana Bircha; wydawał się wypełniać swoją obecnością cały pokój. Ponurą obecnością. I patrzył na mnie. Z góry. Marszcząc z pogardą nos.

– To pan Braddock – powiedział pan Birch, gdy stałem przygwożdżony spojrzeniem przybysza. – Również jest templariuszem. Cieszy się moim pełnym zaufaniem, Haythamie.

– Odchrząknął i głośno dodał: – Sprawia też czasem wrażenie człowieka innego, niż jest w istocie.

Pan Braddock zachnął się i rzucił mu miazdzące spojrzenie.

– Ależ Edwardzie – upomniął go pan Birch. – Haythamie, pan Braddock będzie odpowiedzialny za odnalezienie zdrajcy.

– Dziękuję panu – powiedziałem.

Pan Braddock zmierzył mnie wzrokiem, a potem odwrócił się do Bircha.

– Ten Digweed – odezwał się – może pokażesz mi jego pokój.

Gdy poszedłem za nimi, Braddock popatrzył ze złością na pana Bircha, który niemal niedostrzegalnie kiwnął głową i odwrócił się do mnie, z uśmiechem i spojrzeniem błagającym o wybaczenie.

– Haythamie – rzekł – zajmij się może czymś innym. Na przykład przygotowaniami do wyjazdu.

Musiałem wrócić do swojego pokoju, gdzie sprawdziłem dawno już spakowane walizki, a potem wyjąłem pamiętnik, w którym zapisuję codzienne wydarzenia. Kilka chwil temu pan Birch przyszedł z wiadomością: z ponurą miną oznajmił, że Digweed uciekł. Zapewnił mnie jednak, że zostanie odnaleziony. Templariusze zawsze łapią tych, których ścigają, a tymczasem wszystko pozostaje bez zmian. Nadal wybieramy się do Europy.

Dotarło do mnie, że to ostatni wpis, jaki sporządzę tu, w Londynie. To ostatnie słowa z mojego dotychczasowego życia, zanim zacznie się jego nowy rozdział.

## **CZĘŚĆ II**

1747, dwanaście lat później

10 czerwca 1747

*i*

Obserwowałem dziś zdrajcę, kiedy chodził po targowisku. W kapeluszu ozdobionym pióropuszem, z kolorowymi klamerkami i podwiązkami, kroczył od kramu do kramu i skrzył się w jasnym, prawie białym hiszpańskim słońcu. Z niektórymi kramarzami żartował i śmiał się, z innymi wymieniał ostre słowa. Nie był ani przyjacielem, ani tyranem; w istocie zaczynał na mnie robić wrażenie – choć z oddali, przyznaję – człowieka sprawiedliwego, nawet dobrotliwego. Z drugiej jednak strony to nie tych ludzi zdradzał.

Zdradził zakon. Zdradził nas.

Strażnicy nie odstępowali go podczas tego spaceru i widziałem, że są czujni. Nie przestawali rozglądać się po targowisku, a kiedy jeden z przekupniów serdecznie poklepał zdrajcę po plecach i wcisnął mu w dłoń bochenek chleba ze swojego kramu, mężczyzna przywołał wyższego z dwóch strażników, który wziął podarek lewą ręką, by prawą, tę od miecza, mieć w pogotowiu. Dobrze. Tak uczą templariusze.

Chwilę później mały chłopiec wyskoczył z tłumu, a moje spojrzenie natychmiast pomknęło w stronę strażników. Napięli się, ocenili zagrożenie, a potem...

Odprężyli się?

Roześmiali się z własnej nadgorliwości?

Nie. Pozostali spięci. Pozostali czujni, bo nie są głupcami i wiedzą, że chłopiec mógł mieć za zadanie odwrócić ich uwagę.

To byli dobrzy ludzie. Zastanawiałem się, czy zepsuło ich nauczanie pryncypała, człowieka, który zaprzysiągł lojalność jednej sprawie,

kultywując zarazem ideały innej. Miałem nadzieję, że nie, bowiem postanowiłem już pozostawić ich przy życiu. A jeśli komuś wydaje się, że to decyzja dla mnie wygodna, że może w istocie lękam się potyczki z tak dobrze wyszkolonymi ludźmi, to ów ktoś jest w błędzie. Są czujni, bez wątpienia są świetnymi szermierzami, na pewno mają doświadczenie w zadawaniu śmierci.

Ale ja też jestem czujny. Ja też jestem doskonałym szermierzem. I również nieobce jest mi zadawanie śmierci. Mam wrodzoną łatwość zabijania. Inaczej jednak niż w odniesieniu do teologii, filozofii, klasyków i języków, zwłaszcza hiszpańskiego, którym posługuję się tak biegle, że tu, w Altei, mogę uchodzić za Hiszpana – choć może nieco małomównego – nie czerpię przyjemności ze swojej biegłości w zabijaniu. Jestem w tym po prostu dobry.

Może gdyby moim celem był Digweed... Wtedy śmierć zadana moją ręką może przyniosłaby mi niewielką satysfakcję. Ale tak nie jest.

## *ii*

Po tym jak opuściliśmy Londyn, Reginald i ja, przez pięć lat przeczesywaliśmy Europę, podróżując od kraju do kraju w asyście służby i towarzyszących nam innych rycerzy. Ludzie pojawiali się obok nas i znikali; my dwaj jako jedyni trwaliśmy, czy to tropiąc tureckich handlarzy niewolników, którzy mieli przetrzymywać Jenny, czy to sprawdzając informacje dotyczące Digweeda, dostarczane przez Braddocka. Trwało to niekiedy całe miesiące, ale wciąż wracaliśmy z pustymi rękami.

Reginald był moim nauczycielem, i tu zauważałem pewne jego podobieństwa do ojca: po pierwsze, miał zwyczaj lekceważyć wszelką wiedzę książkową i utrzymywał, że istnieje wyższa, bardziej rozwinięta forma nauki niż zawarta w starych zakurzonych tomach – później dowiedziałem się, że chodziło mu o nauczanie templariuszy; po drugie, nalegał, bym myślał samodzielnie.

Różnili się tym, że ojciec kazał mi decydować za siebie samego. Reginald, jak się przekonałem, podchodził do świata bardziej

kategorycznie. Przy ojcu czasami miałem wrażenie, że myślenie wystarczy – że myślenie ma wartość samą w sobie, a wniosek jest mniej istotny niż proces dochodzenia do niego. Dla ojca fakty oraz – jak sobie uświadamiam, przeglądając dawne wpisy w pamiętniku – samo pojęcie prawdy były niestałe i zmienne.

Reginald nie podzielał tego poglądu. W pierwszych latach, kiedy mu się sprzeciwiałem, uśmiechał się i mawiał, że słyszy przemawiającego przeze mnie ojca. Opowiadał, że ojciec był wspaniałym, bardzo mądrym człowiekiem, a także najlepszym szermierzem jakiego znał, ale jego podejście do wiedzy nie było tak naukowe, jak być mogło.

Czy wstyd mi przyznać, że z czasem przekonałem się do poglądu Reginalda, do bardziej rygorystycznego podejścia templariuszy? Chociaż zawsze był pogodny, skory do żartów i śmiechu, Reginald nie miał naturalnej wesołości czy, rzekłbym nawet, figlarności ojca. Zawsze był schludny i elegancki, do tego fanatycznie dbał o punktualność; wymagał, by wszystko było w najlepszym porządku. Mimo to, niemal wbrew sobie, dostrzegałem w Reginaldzie coś pociągającego, jakąś pewność – wewnętrzną i zewnętrzną – która z biegiem lat wydawała mi się coraz atrakcyjniejsza.

Pewnego dnia zrozumiałem dlaczego. Chodziło o brak wątpliwości – a wraz z nimi zmieszania, niezdecydowania, niepewności. Owo uczucie, czy raczej poczucie „wiedzy”, które wpoił mi Reginald, było moim przewodnikiem z wieku chłopięcego w dorosłość. Nigdy nie zapomniałem nauk ojca; przeciwnie, byłby ze mnie dumny, bo kwestionowałem jego ideały, jednocześnie przyjmując nowe.

Nigdy nie znaleźliśmy Jenny. Po latach mój stosunek do niej złagodniał. Czytając pamiętnik, zauważyłem, że jako chłopiec nie dbałem o nią wcale, czego teraz się wstydzę, bo jestem dorosłym mężczyzną i widzę rzeczy w innym świetle. Oczywiście moja młodzięcza niechęć do niej nie przeszkodziła w naszych poszukiwaniach. W tym zadaniu pan Birch wykazywał dość uporę za nas obu. Ale to nie wystarczyło. Fundusze, które słał nam z Londynu pan Simpkin, były znaczne, ale nie mogliśmy z nich czerpać bez końca. Znaleźliśmy zameczek we Francji, ukryty niedaleko

Troyes w Szampanii, w którym założyliśmy bazę. Tam pan Birch uczył mnie nadal, został patronem mojego przyjęcia do zakonu – wpierw jako adepta, a potem, trzy lata temu, jako pełnoprawnego członka.

Upływały tygodnie bez żadnych wieści o Jenny czy Digweedzie, potem miesiące.

Zajęliśmy się innymi działaniami templariuszy. Wojna o sukcesję austriacką wessała całą Europę w swoją żarłoczną paszczę i musieliśmy bronić interesów zakonu. Moja „biegłość” w zadawaniu śmierci wyszła na jaw i Reginald szybko dostrzegł, jak można ją wykorzystać. Pierwszym zadaniem – nie moją pierwszą „ofiara”, oczywiście, raczej moim pierwszym zabójstwem – był chciwy kupiec z Liverpoolu. Drugim – austriacki książę.

Po zabiciu kupca, dwa lata temu, wróciłem do Londynu i odkryłem, że remont domu przy Queen Anne’s Square trwa, a matka... matka była zbyt zmęczona, żeby się ze mną tego dnia zobaczyć, i następnego także. „Nie ma też siły odpowiadać na moje listy?” – spytałem pannę Davy, która przeprosiła i odwróciła wzrok. Potem pojechałem do Herefordshire, mając nadzieję odszukać krewnych Digweeda, lecz okazały się one płonne. Zdrajca naszej rodziny miał pozostać nieodnaleziony – czy też powinienem raczej powiedzieć: pozostaje nieodnaleziony.

Ogień zemsty w moim sercu przygasł może dlatego, że dorosłem, a może dzięki naukom Reginalda o panowaniu nad sobą, kontrolowaniu własnych emocji.

Tak czy inaczej, choć słabszy, wciąż we mnie płonie.

### *iii*

Żona właściciela zajazdu przysła tylko na chwilę; obejrzała się szybko na schody i zamknęła za sobą drzwi. Powiedziała, że kiedy mnie nie było, przybył posłaniec i przekazała mi jego list z lubieżnym spojrzeniem, któremu może nawet dałbym się skusić, gdybym nie miał innych spraw na głowie. Na przykład wydarzeń zeszłego wieczoru.

Dlatego wyprosiłem ją z pokoju i zasiadłem do odczytania wiadomości. Napisano w niej, że kiedy skończę w Altei, mam nie wracać do domu, do Francji, tylko jechać do Pragi, gdzie spotkam się z Reginaldem w piwnicach domu przy ulicy Celetnej – siedzibie templariuszy.

Reginald miał pilną sprawę, którą musiał ze mną omówić. Tymczasem ja mam już ser. Dziś wieczorem zdrajcę spotka koniec.



11 czerwca 1747

*i*

Wykonane. To znaczy – zabójstwo. I choć nie obyło się bez komplikacji, egzekucja przebiegła sprawnie w tym znaczeniu, że on nie żyje, a ja pozostaję niewykryty, mogę więc sobie pozwolić na odrobinę satysfakcji z wykonania zadania.

Nazywał się Juan Vedomir i miał dbać o nasze interesy w Altei. Tolerowano fakt, że wykorzystał tę sposobność do zbudowania własnej fortuny. Z posiadanych przez nas informacji wynikało, że zarządzał portem i targowiskiem łaskawą ręką, a dzisiejsze obserwacje dowodziły, że cieszył się pewnym poparciem, nawet jeśli nieodłączna obstawa sugerowała, że nie zawsze tak bywało.

Czyżby był zbyt łagodny? Reginald tak właśnie uważał, zbadał sprawę i w końcu odkrył, że Vedomir odszedł od ideałów templariuszy tak daleko, iż zakrawało to na zdradę. Nie tolerujemy zdrajców w zakonie. Wysłano mnie do Altei. Śledziłem go. A wczoraj wieczorem wziąłem swój ser i wyszedłem z zajazdu po raz ostatni, brukowanymi ulicami kierując się do jego domu.

– Tak? – spytał wartownik, który otworzył drzwi.

– Mam ser – odparłem.

– Czuję go aż stąd.

– Mam nadzieję przekonać señora Vedomira, żeby pozwolił mi go sprzedawać na bazarze.

Strażnik zmarszczył nos.

– Señor Vedomir zajmuje się przyciąganiem klientów na targ, a nie ich odstraszeniem.

– Ktoś o bardziej wyrafinowanym podniebieniu mógłby się nie zgodzić, señor.

Wartownik zmrużył oczy.

– Twój akcent. Skąd jesteś?

On pierwszy zakwestionował moje hiszpańskie obywatelstwo.

– Pochodzę z Republiki Genui – odparłem z uśmiechem. – Tam ser jest jednym z najszlachetniejszych towarów.

– Twój ser będzie musiał się bardzo postarać, żeby przewyższyć ser Vareli.

Nie przestawałem się uśmiechać.

– Jestem przekonany, że jest lepszy. I z pewnością señor Vedomir się ze mną zgodzi.

Strażnik wyglądał na pełnego wątpliwości, ale odstąpił na bok i wpuścił mnie do przestronnej sieni, w której – choć noc była ciepła – panował chłód, niemal zimno. Była skromnie urządzona, stały tam zaledwie dwa krzesła i stół, na którym leżały karty. Zerknąłem na nie. Z zadowoleniem zobaczyłem, że rozdano je do pikiety; a ponieważ jest to gra dla dwóch osób, zapewne w pobliżu nie było więcej strażników.

Pierwszy wartownik nakazał mi położyć zawiniątko z serem na stole, a ja skwapliwie go posłuchałem. Drugi cofnął się, z ręką na głowni miecza, podczas gdy jego kompan mnie obszukał, dokładnie obmacując ubranie. Potem zajrzał do torby, którą miałem na ramieniu, gdzie trzymałem kilka monet i pamiętnik, ale nic poza tym. Nie miałem przy sobie broni.

– Nie jest uzbrojony – powiedział pierwszy strażnik, a drugi pokiwał głową. Pierwszy wskazał mój ser. – Rozumiem, że chcesz, by señor Vedomir go spróbował?

Z entuzjazmem pokiwałem głową.

– Może ja spróbuję pierwszy? – powiedział tamten, przyglądając mi się uważnie.

– Miałem nadzieję zachować cały dla señora Vedomira – odparłem ze służalczym uśmiechem.

Wartownik prychnął.

– Masz go pod dostatkiem. Może sam go spróbujesz.

Zacząłem protestować.

– Ale miałem nadzieję, że zachowam go...

Żołnierz położył rękę na mieczu.

– Spróbuj – rozkazał. Pokiwałem głową.

– Oczywiście, señor – powiedziałem, rozwinąłem ser, uszczknąłem nieco i zjadłem.

Strażnik kazał mi zjeść jeszcze jeden kawałek, co zrobiłem, starając się miną zasugerować jego niebiański smak.

– A skoro już jest napoczęty – rzekłem, podsuwając im pakunek – wy też możecie spróbować.

Strażnicy popatrzyli po sobie, aż w końcu pierwszy się uśmiechnął, podszedł do grubych,

drewnianych drzwi na końcu korytarza, zapukał i wszedł. Po chwili wrócił i gestem zaprosił mnie do komnaty Vedomira.

W środku panował mrok, a powietrze było ciężkie od perfum. Kiedy weszliśmy, pod niskim sufitem zafalował łagodnie jedwab. Vedomir siedział przy biurku, plecami do nas, z rozpuszczonymi długimi, czarnymi włosami, w nocnej koszuli. Pisał coś w blasku świecy.

– Czy mam zostać, señor Vedomirze? – spytał wartownik.

Vedomir się nie odwrócił.

– Jak mniemam, nasz gość nie jest uzbrojony?

– Nie, señor – powiedział żołnierz – chociaż smród jego sera wystarczy, żeby powalić armię.

– Cristianie, dla mnie ten zapach to pachnidło – roześmiał się Vedomir. – Wskaż, proszę, naszemu gościowi miejsce, aby usiadł, za chwilę podejść.

Usiadłem na niskim stołku przy wygaszonym palenisku. Vedomir osuszył stronicę książki i podszedł, po drodze zabierając mały nożyk ze stolika.

– A więc ser? – Uśmiech uniósł jego cienki wąsik. Vedomir podciągnął koszulę nocną i usiadł na drugim niskim stołku naprzeciwko mnie.

– Tak, señor – odparłem.

Popatrzył na mnie z uwagą.

– O? Powiedziano mi, że pochodzisz z Republiki Genui, ale słyszę po twoim akcencie, że jesteś Anglikiem.

Wzdrygnąłem się zaskoczony, ale jego szeroki uśmiech powiedział mi, że nie mam się czym kłopotać. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– A ja myślałem, że sprytnie ukrywam swoje pochodzenie – powiedziałem z uznaniem.

– Pan zaś mnie przejrzał, señor.

– I to jako pierwszy, dlatego wciąż masz głowę na karku. Nasze kraje są w stanie wojny, nieprawdaż?

– Cała Europa jest w stanie wojny, señor. Czasami wątpię, czy ktokolwiek się jeszcze orientuje, kto z kim walczy.

Vedomir parsknął śmiechem, a jego oczy zatańczyły.

– Nie mówisz prawdy, przyjacielu. Chyba wszyscy wiemy, komu sprzyja Jerzy, twój król, i jakie ma ambicje. Wasza brytyjska flota uważa się za najlepszą na świecie. Francuzi, Hiszpanie, nie wspominając o Szwedach, są innego zdania. Anglik w Hiszpanii ryzykuje życiem.

– Czy mam się zacząć martwić o swoje bezpieczeństwo, señor?

– Ze względu na mnie? – Vedomir rozłożył ręce i uśmiechnął się krzywo, z ironią.

– Chlubię się tym, że jestem ponad małostkowe interesy naszych królów, przyjacielu.

– A zatem komu pan służy, señor?

– Ależ mieszkańcom tego miasta, oczywiście.

– A komu zaprzysiągł pan wierność, jeśli nie królowi Ferdynandowi?

– Władzy, która stoi ponad nim, señor – powiedział z uśmiechem Vedomir, stanowczo ucinając temat i skupiając uwagę na zawiniątku z serem, które położyłem przy kominku.

– Musisz mi wybaczyć, bo nie mam pewności – podjął. – Ten ser pochodzi z Republiki Genui czy z Anglii?

– To mój ser, señor. Moje sery są najlepsze, nieważne, czyja flaga nad nimi powiewa.

– Dość dobre, by konkurować z Varełą?

– A może sprzedawać je razem z nią?

– I co dalej? Będę miał na głowie kłopot, niezadowolonego Varełę.

– Tak, señor.

– Taka sytuacja może nic nie znaczyć dla ciebie, señor, ale podobne rzeczy codziennie spędzają mi sen z powiek. A teraz niech skosztuję tego sera, zanim się roztopi, co?

Udając, że jest mi gorąco, poluzowałem chustę na szyi, a potem ją ściągnąłem.

Niepostrzeżenie sięgnąłem do torby i schowałem w dłoni dublona. Kiedy Vedomir skupił się na serze, zawinałem monetę w chustę.

Nóż zalśnił w blasku świecy, gdy mój rozmówca odciął pierwszy plaster z gomółki sera, przytrzymał go kciukiem i powąchał – niepotrzebnie, czułem zapach ze swojego miejsca – a potem wrzucił do ust. Przeżuł z namysłem, popatrzył na mnie i odciął drugi kęs.

– Hm – mruknął po kilku chwilach. – Mylisz się, señor, on nie jest lepszy od sera Vareli.

W istocie smakuje dokładnie tak samo jak ser Vareli. – Jego uśmiech zgasł, a twarz pociemniała.

Zrozumiałem, że zostałem zdemaskowany. – To jest ser Vareli.

Otworzył usta, żeby zawołać pomoc, a ja używając dublona i chusty, skręciłem jedwab w garotę jednym ruchem nadgarstków i skoczyłem do przodu ze skrzyżowanymi rękami, zarzucając mu pętlę na głowę i szyję. Jego ręka z nożem wystrzeliła w górę, ale był zbyt wolny i zaskoczony, dlatego nóż ciął jedynie na oślep jedwab nad naszymi głowami. Zaciągnąłem rumał, wbijając monetę zawiniętą w chustę w jego tchawicę i uniemożliwiając mu wydanie jakiegokolwiek dźwięku. Trzymając garotę jedną ręką, rozbroiłem go, rzuciłem nóż na poduszkę, a potem obiema rękami zacisnąłem pętlę.

– Nazywam się Haytham Kenway – powiedziałem spokojnie, nachylając się do przodu, by spojrzeć w jego wytrzeszczone oczy. – Zdradziłeś zakon templariuszy. Za to zostałeś skazany na egzekucję.

Jego ręka uniosła się w daremnej próbie wydrapania mi oczu, ale uchyliłem głowę i patrząc na łagodnie falujący jedwab, czekałem, aż ujdzie z niego życie.

Kiedy było po wszystkim, zaniósłem ciało do łóżka, potem podszedłem do biurka po jego dziennik, jak mi polecono. Był otwarty, a mój wzrok padł

na zdanie: „ *Para ver da manera diferente, primero debemos pensar diferente*”.

Przeczytałem je jeszcze raz i uważnie przetłumaczyłem, jakbym uczył się nowego języka: „Żeby inaczej widzieć, najpierw musimy inaczej myśleć”.

Wpatrywałem się przez kilka chwil w te słowa, pogrążony w głębokich rozmyślaniach, a potem zatrzasnąłem książkę, schowałem ją do sakwy i wróciłem do zadania. Śmierć Vedomira zostanie odkryta dopiero rano, kiedy już dawno będę w drodze do Pragi, gdzie musiałem teraz wypytać o coś Reginalda.

18 czerwca 1747

*i*

– Chodzi o twoją matkę, Haythamie.

Stał przede mną w piwnicy siedziby przy Celetnej. Nie ubrał się według praskiej mody.

Nosił swoją angielskość jak medal: schludne i czyste białe pończochy, czarne bryczesy i oczywiście białą perukę, z której większość pudru osypała się na kołnierz i rękawy fraka.

Oświetlały go płomienie z wysokich, żelaznych kaganków zamocowanych na trzonkach po obu stronach, a na kamiennych, prawie czarnych ścianach płonęły pochodnie, roztaczając kręgi bladego światła. Zazwyczaj Reginald stał rozluźniony, z rękami za plecami, oparty na lasce, dziś jednak zachowywał się sztywno i formalnie.

– Matkę?

– Tak, Haythamie.

„Jest chora” – pomyślałem w pierwszej chwili i natychmiast zalała mnie gorąca fala wyrzutów sumienia, tak potężna, że omal nie zakręciło mi się w głowie. Nie pisałem do niej od kilku tygodni; prawie o niej nie myślałem.

– Ona nie żyje, Haythamie – powiedział Reginald, spuszczać wzrok. – Tydzień temu upadła. Uraziła dotkliwie plecy i zmarła wskutek odniesionych ran.

Popatrzyłem na niego. Fala poczucia winy zniknęła równie szybko, jak nadeszła, a zastąpiło ją wrażenie pustki, otchłani ziejącej w miejscu, gdzie powinny się znajdować uczucia.

– Przykro mi, Haythamie. – Ogorzała twarz Reginalda wykrzywiła się w wyrazie współczucia; spoglądał łagodnie. – Twoja matka była dobrą

kobietą.

- Nie trzeba – powiedziałem.
- Natychmiast wyruszamy do Anglii. Odbędzie się nabożeństwo żałobne.
- Rozumiem.
- Jeśli potrzebujesz... czegokolwiek, proszę, nie wahaj się poprosić.
- Dziękuję.
- Teraz twoją rodziną jest zakon, Haythamie. Możesz do nas przyjść z

każdą sprawą.

- Dziękuję.

Reginald, skrępowany, odchrząknął.

- A gdybyś chciał... rozumiesz, porozmawiać, to cię wysłucham.

Starłem się nie uśmiechnąć na tę myśl.

- Dziękuję ci, Reginaldzie, ale nie potrzebuję rozmowy.
- Jak sobie życzysz.

Zapadło przeciągłe milczenie.

Reginald odwrócił wzrok.

- Załatwione?
- Juan Vedomir nie żyje, jeśli o to pytasz.
- Masz jego dziennik?
- Obawiam się, że nie.

Mina mu zrzedła, potem spochmurniała. Bardzo. Widziałem już u niego taki wyraz twarzy, kiedy się nie pilnował.

- Co? – spytał po prostu.
- Zabiłem go za zdradę naszej sprawy, czy nie tak? – rzekłem.
- Istotnie... – potwierdził Reginald czujnie.
- To po co mi jego dziennik?
- Zawarł w nim swoje pisma. Interesują nas.
- Dlaczego? – spytałem.

– Haythamie, miałem powody sądzić, że zdrada Juana Vedomira wykraczała poza kwestię jego wierności doktrynie. Uważam, że mógł posunąć się do współpracy z asasynami. Powiedz mi teraz prawdę, proszę, czy masz jego dziennik?



Wyjąłem pamiętnik z sakwy, podałem mu go, a on podszedł do jednego z kandelabrow, otworzył książkę, przekartkował ją szybko i zatrzasnął.

– Czytałeś to? – spytał.

– Jest zaszyfrowany – odparłem.

– Ale nie cały – zauważył Reginald.

Przytaknąłem.

– Tak. Tak, masz słuszność, niektóre ustępy mogłem przeczytać. Jego... rozmyślania o życiu. To była interesująca lektura. Tak naprawdę najbardziej zaintrygowało mnie to, Reginaldzie, jak bardzo filozofia Juana Vedomira zbieżna była z tym, czego kiedyś uczył mnie ojciec.

– To bardzo możliwe.

– A mimo to kazałeś mi go zabić?

– Kazałem ci zabić zdrajcę zakonu. To zupełnie co innego. Oczywiście wiedziałem, że twój ojciec o wielu, może nawet o większości zasad zakonu miał odmienną opinię niż ja, ale to dlatego, że nie zobowiązał się ich przestrzegać. Choć nie był templariuszem, nie oznaczało to, że mniej go szanowałem.

Przyjrzałem się mu, rozważając, czy słusznie postąpiłem, wątpiąc w niego.

– Czemu więc interesuje cię ta książka?

– Nie ze względu na rozmyślania Vedomira o życiu, to na pewno – rzekł Reginald i uśmiechnął się półgębkiem. – Jak sam mówisz, były zbliżone do przemyśleń twojego ojca, a obaj wiemy, co na ten temat myślimy. Interesują mnie zaszyfrowane ustępy, które, o ile się nie mylę, zawierają szczegóły dotyczące strażnika klucza.

– Klucza do czego?

– Wszystko w swoim czasie.

Prychnąłem sfrustrowany

– Kiedy odcyfruję dziennik, Haythamie – nalegał Reginald. – Kiedy, jeśli mam rację, będziemy mogli zacząć następną fazę tej operacji.

– A cóż to może być?

Chciał odpowiedzieć, ale dokończyłem za niego:

– „Wszystko w swoim czasie, Haythamie”, nieprawdaż? Kolejne sekrety, Reginaldzie?

Zjeżył się.

– „Sekrety”? Doprawdy? Tak sądzisz? Co takiego zrobiłem, by zasłużyć na twoją podejrzliwość, Haythamie, nie licząc tego, że wziąłem cię pod swoje skrzydła, wprowadziłem do zakonu, dałem życie? Czasem mógłbym powiedzieć, klnę się, że bywasz niewdzięczny, drogi panie.

– Ale nie udało się nam znaleźć Digweeda, prawda? – odparłem, niespeszony. – Nikt nie zażądał okupu za Jenny, więc głównym celem napaści musiała być śmierć ojca.

– Mieliśmy nadzieję znaleźć Digweeda, Haythamie. Tylko tyle mogliśmy zrobić.

Mieliśmy nadzieję kazać mu za to zapłacić. Ta nadzieja się nie spełniła, ale to nie znaczy, że zaniedbaliśmy swoją powinność. Co więcej, miałem obowiązek opiekować się tobą, Haythamie, i go wypełniłem. Stoisz przede mną jako dorosły mężczyzna, szanowany rycerz zakonu. Myślę, że o tym zapominasz. Pomiętaj też, że miałem nadzieję ożenić się z Jenny. Może w gorączce pragnienia zemsty za śmierć ojca uważasz ucieczkę Digweeda za naszą jedyną znaczącą porażkę, ale tak nie jest, prawda? Bo nie znaleźliśmy Jenny. Ale ty oczywiście nie zaprzątasz sobie głowy dolą swojej siostry.

– Zarzucasz mi nieczułość? Brak serca?

Reginald pokręcił głową.

– Proszę jedynie, żebyś przyjrzał się własnym porażkom, zanim zaczniesz wytykać moje.

Spojrzałem na niego uważnie.

– Nigdy nie wprowadziłeś mnie w tajniki naszych poszukiwań.

– Digweeda miał znaleźć Braddock. Regularnie mnie informował.

– Ale ty mi nie przekazywałeś tych informacji.

– Byłeś małym chłopcem.

– Który dorósł.

Reginald pochylił głowę.

– Wobec tego przepraszam, że nie wziąłem tego pod uwagę, Haythamie. Odtąd będę cię traktował jak równego sobie.

– Zaczynaj więc od razu. Opowiedz mi o dzienniku – powiedziałem.

Roześmiał się, jakbym go zaszachował.

– Wygrałeś, Haythamie. Dobrze więc: dziennik jest pierwszym krokiem do zlokalizowania świątyni. Świątyni pierwszej cywilizacji, wzniesionej, jak się uważa, przez Tych, Którzy Byli Wcześniej.

Zapadło milczenie. Pomyślałem: „To wszystko?”, a potem się roześmiałem. Reginald wydawał się wstrząśnięty, być może mając w pamięci pierwszy raz, kiedy powiedział mi o Tych, Którzy Byli Wcześniej, a ja nie zdołałem nad sobą zapanować.

– Ci, którzy byli wcześniej niż co...? – parsknąłem wtedy.

– Niż my – odparł krótko. – Przed człowiekiem. Poprzednia cywilizacja. Teraz zmarszczył brwi.

– Wciąż cię to śmieszy, Haythamie?

Pokręciłem głową.

– Nie, nie śmieszy. Raczej... – nie mogłem znaleźć właściwego słowa – ...nie mieści się w głowie, Reginaldzie. Rasa istot, które istniały przed człowiekiem. Bogowie...

– Nie bogowie, Haythamie, ludzie pierwszej cywilizacji, którzy władali ludzkością.

Zostawili po sobie artefakty, Haythamie, przedmioty o olbrzymiej mocy, o jakiej możemy tylko śnić. Wierzę, że kto zdoła osiągnąć te artefakty, zapanuje ostatecznie nad przeznaczeniem całej ludzkości.

Śmiech uwiązał mi w gardle, kiedy zobaczyłem, jak Reginald spoważniał.

– To bardzo śmiały cel, Reginaldzie.

– Istotnie. Gdyby był skromny, nie byłibyśmy nim tak zainteresowani, prawda? Asasyni też nie byłiby nim zainteresowani. – Oczy mu rozbłysły. Ognie kaganków odbiły się w nich i zatańczyły. Widywałem już to spojrzenie, ale rzadko. Nie kiedy uczył mnie języków, filozofii czy klasyków albo zasad walki. Nawet nie wtedy, gdy przedstawiał mi zasady zakonu.

Nie! Patrzył tak tylko wtedy, kiedy opowiadał o Tych, Którzy Byli Wcześniej.

Czasami Reginald wykpiwał to, co uważał za nadmierną namiętność. W jego mniemaniu była to wada. Kiedy jednak opowiadał o pierwszej cywilizacji, sam mówił jak zelota.

*ii*

Nocujemy w siedzibie templariuszy w Pradze. Siedząc w skromnym pokoiku o szarych, kamiennych ścianach, czuję na sobie brzemię tysięcy historii zakonu.

Myślami wracam na Queen Anne's Square, dokąd po zakończeniu remontu przenieśli się domownicy. Pan Simpkin na bieżąco informował nas o postępach prac; Reginald nadzorował odbudowę, nawet wówczas, kiedy jeździliśmy z kraju do kraju, poszukując Digweeda i Jenny.

(Owszem, miał rację. To, że nie znaleźliśmy kamerdynera, nie daje mi spokoju, ale prawie nigdy nie myślę o Jenny).

Któregoś dnia Simpkin przysłał nam wiadomość, że dom powrócił z Bloomsbury na Queen Anne's Square, że jest znów w naszej dawnej posiadłości, tam, gdzie jego miejsce.

Wróciłem wtedy myślą do wyłożonych boazerią murów domu, w którym się wychowałem, i odkryłem, że żywo pamiętam mieszkających w nim ludzi – zwłaszcza matkę. Ale oczywiście wyobrażałem ją sobie taką, jaka była, kiedy dorastałem, jaśniejącą, promienną niczym słońce i ciepłą, na której kolanach zaznawałem skończonego szczęścia. Moja miłość do ojca była wielka, może nawet większa, ale do matki – czystsza. Dla ojca żywiłem podziw, zachwyty tak ogromny, że czasem wprost przytłaczający, wraz z nim zaś poczucie, które mogę nazwać tylko lękiem, obawą, że muszę mu dorównać, wrosnąć w olbrzymi cień, jaki rzucał.

Matka za to nie wzbudzała we mnie żadnej niepewności, tylko świadomość pełnego bezpieczeństwa i bycia kochanym. Do tego była piękna. Lubiłem, kiedy ludzie porównywali mnie do ojca, bo miał uderzającą prezencję, ale kiedy mówili, że wyglądam jak matka, wiedziałem, że myślą o mnie: „przystojny”. O Jenny mawiali: „złamię niejedno serce”,

„mężczyźni będą się o nią bić”. Używali określeń nawiązujących do walki i przemocy. Ale nie wobec matki. Jej uroda była delikatna, matczyna, pokrzepiająca; nie mówiło się o niej z emocjami, jakie wzbudzała Jenny, lecz serdecznie i z podziwem.

Oczywiście nigdy nie poznałem Caroline Scott, matki Jenny, ale miałem o niej swoje zdanie: że była „drugą Jenny” i że mój ojciec uległ jej powabowi tak samo, jak moja siostra władała sercami swoich zalotników.

Matkę wyobrażałem sobie jako osobę zupełnie innego rodzaju. Kiedy poznała ojca, była zaledwie zwykłą Tessą Stephenson-Oakley. Tak przynajmniej zawsze o sobie mówiła: „zwykła Tessa Stephenson-Oakley”, co dla mnie nie brzmiało pospolicie, ale mniejsza z tym. Ojciec sprowadzając się do Londynu, przybył samotnie, nie miał domu ani służby, za to sakiewkę dość pełną, by to sobie kupić. Gdy wynajął dom od bogatego ziemianina, córka owego bogacza zaproponowała, że pomoże mu znaleźć stałe miejsce zamieszkania oraz zatrudni odpowiednią służbę. Tą córką była oczywiście „zwykła Tessa Stephenson-Oakley”...

Napomykała tylko, że jej rodzina nie była zadowolona z tego związku; rzeczywiście, nigdy się z nimi nie spotykaliśmy. Matka poświęciła całą energię nam i aż do owej strasznej nocy osobą, która cieszyła się jej niepodzielną uwagą, niewyczerpanym uczuciem i bezwarunkową miłością, byłem ja.

Kiedy jednak widziałem ją po raz ostatni, tamta kobieta zniknęła. Gdy wracam myślą do naszego ostatniego spotkania, pamiętam tylko podejrzliwość w jej spojrzeniu, którą teraz odczytuję jako wstręt. Zabijając człowieka, który chciał zabić ją, zmieniłem się w jej oczach. Nie byłem już chłopcem, który siadał jej na kolanach.

Byłem zabójcą.

20 czerwca 1747

W drodze do Londynu przeczytałem od nowa stary pamiętnik. Po co? Być może to intuicja. Jakaś podświadoma potrzeba... może wątpliwości.

Cokolwiek było tego przyczyną, kiedy przeczytałem wpis z 10 grudnia 1735 roku, nagle uświadomiłem sobie jasno, co muszę zrobić, kiedy dotrę do Anglii.

*2-3 lipca 1747*

Dziś odbyło się nabożeństwo, a także... cóż, wyjaśnię. Po mszy zostawiłem Reginalda rozmawiającego z panem Simpkinem na schodach kościoła. Pan Simpkin powiedział mi, że czekają na mnie jakieś dokumenty do podpisania. Po śmierci matki sprawy finansowe przeszły na mnie. Ze służalczym uśmiechem Simpkin wyraził nadzieję, że jak dotąd jego zarządzanie naszym majątkiem spotyka się z moją aprobatą.

Pokiwałem głową, uśmiechnąłem się, rzuciłem coś niezobowiązującego, potem oznajmiłem, że potrzebuję trochę czasu dla siebie, i wymknąłem się, rzekomo chcąc zostać sam na sam z myślami.

Miałem nadzieję, że kierunek, w jakim się oddaliłem, wygląda na przypadkowy. Poszedłem ulicą, uskakując przed błotem i końskim nawozem pryskającym spod kół powozów. Mijałem ludźmi ciżbę: handlarzy w zakrwawionych, skórzanych fartuchach, ładacznice i praczki. Ale tak nie było. Nie szedłem wcale w przypadkowym kierunku.

Moją uwagę przyciągała jedna kobieta, podobnie jak ja przeciskająca się między ludźmi, samotna i prawdopodobnie zatopiona w myślach. Widziałem ją na mszy. Siedziała z resztą służby – z Emily i dwoma czy trzema innymi, których nie znałem – po drugiej stronie nawy, z chustką przy nosie. Podniosła wzrok i dostrzegła mnie – musiała mnie zobaczyć – ale nie dała żadnego znaku. Zastanawiałem się, czy Betty, moja dawna opiekunka, w ogóle mnie poznała?

A teraz ją śledziłem, zachowując dyskretną odległość, żeby mnie nie zobaczyła, gdyby przypadkiem obejrzała się za siebie. Robiło się już ciemno, kiedy dotarła do domu – czy raczej nie tyle domu, a rezydencji, w której teraz pracowała, wspaniałej, wznoszącej się wysoko na tle ciemnego nieba, podobnej do tej przy Queen Anne’s Square. Wciąż była opiekunką, zastanawiałem się, czy może awansowała? Czy nosiła pod płaszczem uniform ochmistrzyni?

Ulica była mniej zatłoczona niż poprzednio, więc trzymając się poza zasięgiem jej wzroku, patrzyłem, jak Betty zeszła po krótkich schodkach do drzwi w suterenie i zniknęła za nimi.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, przeszedłem na drugą stronę ulicy i udałem się spacerem w stronę rezydencji, świadom, że nie mogę wzbudzać podejrzeń, gdyby czyjeś oczy obserwowały mnie z okien. Dawno temu byłem małym chłopcem, który wyglądał z okien domu przy Queen Anne’s Square, patrzył na przechodniów i zastanawiał się, gdzie i po co tak spieszą. Czy w tym domu też był taki chłopiec, który przyglądał mi się teraz i zachodził w głowę, kim jest ten człowiek? Skąd przyszedł? Dokąd zmierza?

Dlatego spacerowałem wzdłuż ogrodzenia przed rezydencją i zerkąłem na front budynku. Widziałem światło w oknach, jak się domyślałem, kwater służby i w końcu dostrzegłem charakterystyczną sylwetkę Betty, zaciągającej zasłony. Zdobyłem informację, po którą tu przyszedłem.

Wróciłem po północy, kiedy zasłony w oknach rezydencji były zasunięte, ulica pusta, a świeciły tylko latarnie z rzadka przejeżdżających powozów. Znów stanąłem przed rezydencją, rozejrzałem się szybko na boki, wspiąłem na ogrodzenie i bezszelestnie opadłem do rowu po drugiej stronie. Poczłogałem się jego dnem, aż znalazłem okno Betty. Tam bardzo ostrożnie

przyłożyłem ucho do szyby. Przez kilka chwil nasłuchiwałem, aż upewniłem się, że w środku nikt się nie porusza.

Potem, z wielką cierpliwością, przycisnąłem palce do dolnej ramy unoszonego okna i otworzyłem je, modląc się, by nie zaskrzypiało. Kiedy moje modły zostały wysłuchane, wpęłłem do środka i zamknąłem je za sobą.

Betty poruszyła się delikatnie w łóżku – może przez powiew z okna, a może podświadomie wyczuwając moją obecność? Stałem jak posąg, czekając, aż znów zacznie miarowo oddychać. Powietrze wokół mnie znieruchomiało, pokój przyjął moje wtargnięcie, tak że po kilku chwilach stałem się jego częścią – choć zawsze nią byłem, jak duch.

Wtedy dobyłem broni.

Dobrze się złożyło – może to ironia losu? – że był to miecz podarowany mi przez ojca.

Nigdzie się bez niego teraz nie ruszam. Wiele lat temu Reginald spytał, kiedy spodziewam się, że po raz pierwszy zakosztuje krwi, i oczywiście zrobił to już wiele razy. A jeśli miałem słuszną rację co do Betty, dziś popróbowaliby jej ponownie.

Usiadłem na łóżku, przyłożyłem kobiecie ostrze do gardła, a dłoń zacisnąłem na jej ustach. Ocknęła się. Natychmiast szeroko wytrzeszczyła oczy, zdjęta zgrozą. Poruszyła ustami, a dłoń zawibrowała mi od stłumionego krzyku.

Przycisnąłem jej miotające się ciało i milczałem. Czekałem, aż przyzwyczai się do ciemności i mnie zobaczy; musiała mnie rozpoznać. Jak mogłaby mnie nie poznać, skoro opiekowała się mną przez dziesięć lat, była mi jak matka? Jak mogłaby nie rozpoznać panicza Haythama?

– Witaj, Betty – szepnąłem, kiedy przestała się szarpać, ale nie zdjąłem dłoni z jej ust.

– Muszę cię o coś zapytać. Żeby odpowiedzieć, będziesz musiała móc mówić. Żebyś mogła mówić, będę musiał zabrać rękę. Może cię kusić, żeby krzyknąć, ale jeśli to zrobisz...

Dla podkreślenia swoich słów przystawiłem jej do gardła sztych miecza, a potem bardzo powoli cofnąłem dłoń.



Spojrzenie miała twarde jak granit. Przez chwilę poczułem, że cofam się do dzieciństwa, i omal nie przeląknęłam się ognia i wściekłości, jakie zobaczyłem w jej oczach, jakby sam ten widok obudził we mnie wspomnienie kar i wyrzutów, na które nie mogłem pozostać obojętny.

– Powinnaś cię za to przełożyć przez kolano, paniczku Haythamie – syknęła Betty. – Jak śmiesz zakradać się do pokoju śpiącej damy? Niczego cię nie nauczyłam? Edith niczego cię nie nauczyła? Twoja matka? – mówiła coraz głośniejsze. – Twój ojciec niczego cię nie nauczył?

Ów dziecięcy strach wciąż mnie nie opuszczał i musiałem sięgnąć w głąb siebie, żeby znaleźć odwagę, zwalczyć pokusę, by odłożyć miecz i powiedzieć „Przepraszam, panno Betty”, obiecać, że nigdy więcej tego nie zrobię i że teraz będę już grzeczny.

Odwagę tę dała mi myśl o ojcu.

– To prawda, że byłaś dla mnie jak matka, Betty – powiedziałem. – To prawda, że to, co robię, to rzecz straszna i niewybaczalna. Uwierz mi, nie przyszło mi to łatwo. Ale to, co ty zrobiłaś, również jest straszne i niewybaczalne.

Zmrużyła oczy.

– Co masz na myśli?

Drugą ręką sięgnąłem za pazuchę fraka i wyjąłem złożoną kartkę papieru, którą podsunąłem jej w ciemności.

– Pamiętasz Laurę, pomoc kuchenną?

Ostrożnie przytaknęła.

– Przysłała mi list – ciągnąłem. – List, w którym napisała o twoich stosunkach z Digweedem. Jak długo kamerdyner mojego ojca był twoim lubym, Betty?

Nie było żadnego listu; na kartce, którą trzymałem w ręku, zapisany był jedynie adres mojego dzisiejszego noclegu i liczyłem, że ciemność pozwoli mi zwieść kobietę. Prawda była taka, że kiedy przeczytałem swoje stare wpisy w pamiętniku, cofnąłem się do chwili sprzed wielu, wielu lat, gdy poszedłem szukać Betty. Tamtego zimnego poranka „pospała sobie”, a kiedy zajrzałem przez dziurkę od klucza, zobaczyłem w jej pokoju parę męskich butów. Wtedy nic mi to nie powiedziało, bo byłem zbyt młody.

Zobaczyłem je oczami dziewięciolatka i zlekceważyłem. I nie myślałem o nich aż do tej pory.

Aż przeczytałem ten wpis na nowo. Wtedy nagle dotarła do mnie pointa żartu,

zrozumiałem: buty należały do jej kochanka. Oczywiście. Mniej pewny byłem tego, że tym kochankiem był Digweed. Pamiętałem, że mówiła o nim z wielkim uczuciem, ale nie tylko ona; oszukał nas wszystkich. Kiedy jednak wyjechałem z Europy pod opieką Reginalda, Digweed znalazł Betty nową posadę.

Mimo to zgadywałem, że byli kochankami – owszem, miałem ku temu solidne podstawy, ale też w razie pomyłki ryzykowałem okropnymi konsekwencjami.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy sobie pospałaś, Betty? – spytałem. – „Pospałaś sobie”, pamiętasz?

Przytaknęła ze znużeniem.

– Przyszedłem cię szukać – ciągnąłem. – Widzisz, było mi zimno. A w korytarzu przed twoim pokojem... cóż, niechętnie się przyznaję, ale przyklęknałem i zajrzałem przez dziurkę od klucza.

Poczułem, że nawet w tych okolicznościach lekko się czerwienię. Betty patrzyła na mnie żałośnie, ale teraz jej spojrzenie stwardniało, a usta wyduły się gniewnie, zupełnie jakby tamto dawne najście było równie oburzające jak obecne.

– Niczego nie zobaczyłem – dodałem prędko. – Jeśli nie liczyć ciebie, śpiącej w łóżku, i pary męskich butów, należących do Digweeda. Miałaś z nim romans, prawda?

– Och, paniczu Haythamie – szepnęła, kręcąc ze smutkiem głową. – Co się z tobą stało?

W kogo zmienił cię ten Birch? To, że trzymasz nóż przy gardle kobiety w moim wieku, już samo wystarczy. Ale popatrz tylko na siebie, piętrzysz krzywdę na krzywdzie, oskarżasz mnie o romans, o to, że rozbiłam komuś rodzinę. To nie był żaden romans. Pan Digweed miał dzieci, to prawda – opiekowała się nimi jego siostra w Herefordshire. Jego żona jednak zmarła dawno temu, zanim przyszedł do nas na służbę. Nie łączył nas romans, jaki

widzisz w swoich niegodziwych myślach. Kochaliśmy się i wstydz się, że posądzałeś nas o coś innego. Wstydz się.

Znów pokręciła głową.

Czując, że dłoń zaciska mi się na rękojeści miecza, mocno zamknąłem powieki.

– Nie, nie, to nie ja powinienem się tu czuć winny. Możesz próbować grać przede mną święte oburzenie, ale fakt pozostaje faktem, że łączył cię... jakiś związek, nieważne jaki, z Digweedem, a Digweed nas zdradził. Gdyby nie ta zdrada, mój ojciec wciąż by żył. Matka by żyła, a ja nie siedziałbym tu z ostrzem przy twoim gardle, więc nie wiń mnie za swoją ciężką dolę, Betty. Wiń jego.

Wzięła głęboki oddech i zapanowała nad sobą.

– Jack nie miał wyboru – powiedziała w końcu. – Och, przy okazji, tak miał na imię: Jack. Wiedziałaś, paniczu Haythamie?

– Przeczytam na jego nagrobku – zasyczałem – a wiedza ta nie robi najmniejszej różnicy, bo miał wybór, Betty. Czy był to wybór między dżumą a cholera, to mnie nie obchodzi. Miał wybór.

– Nie. Ten człowiek zagroził dzieciom Jacka.

– Człowiek? Jaki człowiek?

– Nie wiem. Człowiek, który zaczepił Jacka w mieście.

– Widziałaś go?

– Nie.

– Co Digweed o nim mówił? Pochodził z West Country?

– Jack mówił, że owszem, miał taki akcent. A czemu?

– Kiedy porwano Jenny, krzyczała o zdrajcy. Violet z sąsiedztwa usłyszała ją, ale następnego dnia przyszedł do niej mężczyzna mówiący z akcentem z West Country. Ostrzegł ją, by nikomu nie mówiła, co słyszała.

West Country. Zobaczyłem, że Betty pobladła.

– Co? – warknąłem. – Co takiego powiedziałem?

– Chodzi o Violet, paniczu – jęknęła. – Niedługo po tym, jak wyjechałeś do Europy, może nawet następnego dnia, dokonała żywota napadnięta na ulicy.

– Czyli spełnili groźbę – powiedziałem. Popatrzyłem na Betty. – Opowiedz mi o tym człowieku, który wydawał polecenia Digweedowi.

– Nic nie wiem. Jack nigdy o nim nie mówił. Tyle tylko, że tamten nie żartował, że jeśli Jack nie zrobi, co mu każą, znajdą i zabiją jego dzieci. Powiedzieli mu, że jeśli Jack uprzedzi pana, to znajdą jego chłopców, będą ich powoli okaleczać, aż umrą. Powiedzieli mu, co planują zrobić w domu, ale klnę się na moje życie, paniczu Haythamie, mówili, że nikomu nie stanie się krzywda, że wszystko to odbędzie się głuchą nocą.

Coś mi przyszło do głowy.

– Do czego w ogóle był im potrzebny?

Betty zrobiła zdziwioną minę.

– W noc napadu nie było go nawet w domu – ciągnąłem. – Więc jego pomoc nie była konieczna, by się dostać do środka. Porwali Jenny, zabili ojca. Do czego był im potrzebny Digweed?

– Nie wiem, paniczu Haythamie – odparła. – Naprawdę nie wiem.

Znów na nią popatrzyłem. Ogarnęło mnie jakieś odrętwienie. Przedtem, gdy czekałem na zapadnięcie ciemności, gniew kipiał we mnie, bulgotał; myśl o zdradzie Digweeda podsyciała ogień pod kotłem mojej wściekłości, a myśl, że Betty była z nim w zмовie, a może nawet o wszystkim wiedziała, rozpaliała go jeszcze bardziej.

Pragnąłem, by była niewinna. Najbardziej liczyłem na to, że romansowała z innym służącym. Ale gdyby okazał się nim Digweed, chciałem, by nic nie wiedziała o jego zdradzie.

Chciałem, by była niewinna, bo w przeciwnym razie musiałbym ją zabić, bo jeśli mogła coś zrobić, by tamtej nocy zapobiec masakrze, i nie zrobiła nic, to musiała umrzeć.

To była... to była sprawiedliwość. Przyczyna i skutek. Bilans. Oko za oko. W to wierzę.

To moja ideologia. Droga, której się trzymam, idąc przez życie, która jest prosta i logiczna, nawet jeśli samo życie rzadko takie bywa. Sposób narzucania porządku chaosowi.

Ale ostatnią rzeczą, jakiej chciałem, była jej śmierć.

– Gdzie on jest teraz? – spytałem cicho.

– Nie wiem, paniczu Haythamie – odparła głosem drżącym ze strachu. – Ostatni raz rozmawialiśmy rankiem kiedy zniknął.

– Kto jeszcze wiedział, że byliście kochankami?

– Nikt. Zawsze bardzo się pilnowaliśmy.

– Nie licząc zostawiania jego butów na widoku.

– Natychmiast zostały zabrane.

Jej spojrzenie stwardniało.

– Poza tym większość ludzi nie ma w zwyczaju podglądać innych przez dziurkę od klucza.

Zamilkła na chwilę.

– Co teraz będzie, paniczu Haythamie? – spytała. Głos wiązał jej w gardle.

– Powinienem cię zabić, Betty – odparłem po prostu. Zajrzałem jej w oczy i zobaczyłem tam zrozumienie, że mogę to zrobić, jeśli zechcę, że jestem do tego zdolny.

Zaskomlała.

Wstałem.

– Ale nie zrobię tego. Tamta noc pociągnęła już za sobą wystarczająco dużo śmierci.

Więcej się nie zobaczymy. Za twoje lata służby i opieki daruję ci życie i zostawiam cię z brzemieniem twojej hańby. Żegnaj.

14 lipca 1747

*i*

Zaniedbałem dziennik na prawie dwa tygodnie, mam więc dużo do opowiedzenia i powinienem się cofnąć do tej nocy, kiedy odwiedziłem Betty.

Po wyjściu od niej wróciłem do kwatery, przespałem niespokojnie kilka godzin, a potem wstałem, ubrałem się i pojechałem powozem z powrotem pod jej dom. Tam kazałem woźnicy poczekać w pewnej odległości, dość blisko, by mieć dobry widok, ale nie wzbudzać przy tym podejrzeń. On się zdrzemnął, zadowolony ze sposobności odpoczynku, a ja wyglądałem przez okno i czekałem.

Na co? Sam nie wiedziałem. Ale po raz kolejny posłuchałem instynktu. I znów okazało się, że postąpiłem słusznie, bo niedługo po wschodzie słońca zobaczyłem Betty. Odprawiłem woźnicę i poszedłem za nią pieszo. Skierowała się do urzędu pocztowego przy Lombard Street. Weszła tam, by po kilku chwilach wyjść i ruszyć z powrotem do domu, niknąc w tłumie. Popatrzyłem w ślad za nią, nic nie czując: ani chęci, by pójść i poderżnąć jej gardło, mszcząc zdradę, ani choćby resztek serdeczności, która nas kiedyś łączyła. Po prostu nic.

Stałem za to przy drzwiach i patrzyłem na miasto, odpędzając laską żebraków i przekupniów. Po mniej więcej godzinie...

Tak, oto był on: listonosz, ze swoim dzwonkiem i torbą pełną listów. Odsunąłem się od ściany i kręcąc młynki laską, poszedłem za nim, doganiając go, aż skręcił w boczną uliczkę, gdzie było mniej przechodniów, i pojawiła się sposobność...

Chwilę później leżał nieprzytomny i zakrwawiony w zaułku, a ja przetrząsałem zawartość jego torby, aż znalazłem to, czego szukałem: kopertę zaadresowaną do Jacka Digweeda.

Przeczytałem list – Betty pisała, że go kocha i że dowiedziałem się o ich związku. Nie było tam niczego, o czym bym nie wiedział, ale nie interesowała mnie zawartość listu, lecz miejsce jego przeznaczenia, wypisane na kopercie. Wysłano go do Szwarzwaldu, do małej miejsciny o nazwie Sankt Peter, niedaleko Freiburga.

Dwa tygodnie później Reginald i ja ujrzeliśmy w oddali Sankt Peter – skupisko budynków na dnie doliny wypełnionej zielenią pól i lasów. Było to dziś rano.

## *ii*

Dotarliśmy do miasteczka około południa, brudni i znużeni po podróży. Kiedy jechaliśmy stępem przez wąskie, kręte uliczki, widziałem zwrócone ku nam twarze mieszkańców, albo znikających w zaułkach, albo szybko odwracających się od okien, zamykających drzwi i zaciągających zasłony. Przybyliśmy zadawać śmierć i pomyślałem wtedy, że w jakiś sposób to wyczuli, a może byli bojaźliwi. Nie wiedziałem, że nie byliśmy pierwszymi nieznajomymi, którzy tego ranka wjechali do miasteczka. Jego mieszkańcy już byli wystraszeni.

List zaadresowano do składu towarów w Sankt Peter. Wjechaliśmy na mały placzyk z fontanną ocienioną kasztanami i zapytaliśmy o drogę przerażoną mieszczkę. Inni mieszkańcy obchodzili nas szerokim łukiem. Kobieta wskazała kierunek i chyłkiem umknęła, wpatrzona w swoje buty. Chwilę później przywiązaliśmy konie pod składem i weszliśmy do środka. Jedyne klient rzucił na nas okiem i uznał, że zaopatrzy się innym razem. Reginald i ja popatrzyliśmy po sobie ze zdziwieniem, potem rozejrzałem się po składzie. Pod trzema ścianami pięły się wysokie, drewniane półki, pełne słoików i paczek zawiązanych sznurkiem, w głębi zaś znajdował się wysoki kontuar, za którym stał sprzedawca z sumiastym wąsem, w fartuchu. Jego uśmiech zgasł na nasz widok niczym płomień świecy na wietrze.

Na lewo ode mnie stała drabinka, służąca do sięgania na najwyższe półki. Siedział na niej chłopiec, około dziesięcioletni – po wyglądzie sądząc, syn sklepikarza. Omal nie połamiał nóg, zrywając się w pośpiechu ze swojego miejsca i stając na środku sklepu z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, oczekując poleceń.

– Dzień dobry, panowie – powiedział sprzedawca po niemiecku. – Wyglądacie, jakbyście mieli za sobą długą drogę. Potrzebujecie zapasów na dalszą podróż? – Wskazał dzban na ladzie przed sobą. – Może chcecie się odświeżyć? Coś do picia?

Machnął ręką na chłopca.

– Christoph, zapomniałeś o dobrych manierach? Weź od panów płaszcz...

Przed ladą stały trzy stołki. Sprzedawca wskazał je gestem.

– Proszę, proszę, niech panowie siadają.

Obejrzałem się znów na Reginalda, zobaczyłem, że chce skorzystać z zaproszenia sklepikarza, i powstrzymałem go.

– Nie, dziękuję – powiedziałem. – Mój przyjaciel i ja nie zostaniemy tu długo.

Kątem oka zobaczyłem, że Reginald się zgarbił, ale nic nie powiedział.

– Potrzebujemy tylko informacji – dodałem.

Sklepikarz spochmurniał, w jego oczach pojawiła się czujność.

– Tak? – spytał ostrożnie.

– Szukamy pewnego człowieka. Nazywa się Digweed. Jack Digweed. Znasz go?

Potrząsnął głową.

– Nie znasz go w ogóle? – nalegałem.

Znów zaprzeczył.

– Haythamie... – zaczął Reginald, jakby z tonu głosu odczytał moje zamiary.

Zignorowałem go.

– Jesteś całkowicie pewny? – zapytałem sklepikarza jeszcze raz.

– Tak, proszę pana – odparł. Jego wąsy nerwowo zadrżały. Przełknął ślinę.



Poczułem, że zacynam zęby. Potem, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, dobyłem broni i wyciągając rękę, dotknąłem sztychem Christopha pod brodą. Chłopiec wstrzymał oddech, stanął na palcach, a jego oczy zatańczyły. Nie odrywałem spojrzenia od sprzedawcy.

– Haythamie... – powtórzył Reginald.

– Pozwól mi się tym zająć, Reginaldzie – powiedziałem i zwróciłem się do sklepikarza.

– Listy Digweeda są wysyłane na ten adres. Zapytam jeszcze raz. Gdzie on jest?

– Panie – zaprotestował błagalnie mężczyzna. Jego spojrzenie rozpaczliwie błądziło to po mnie, to po Christophie, który wydawał ciche odgłosy, jakby miał kłopot z przełykaniem.

– Proszę, nie krzywdź mojego syna.

Pozostałem głuchy na jego prośby.

– Gdzie on jest? – powtórzyłem.

– Panie... – Sklepikarz błagalnie złożył dłonie. – Nie mogę powiedzieć.

Drobnym ruchem nadgarstka docisnąłem sztych miecza do gardła Christopha i usłyszałem jego skomlenie. Kątem oka ujrzałem, że chłopiec wspina się jeszcze wyżej na palce, i poczułem raczej, niż zobaczyłem, że stojący po drugiej stronie Reginald zeszywniał. Przez cały czas nie odrywałem wzroku od oczu sklepikarza.

– Proszę, panie, proszę... – wybełkotał pospiesznie. Błagalnie wymachiwał rękami, jakby usiłował żonglować niewidzialną szklanką. – Nie mogę powiedzieć... Zabronili mi.

– Aha. Kto? Kto ci zabronił? On? Digweed?

– Nie, panie – zapewnił sklepikarz. – Nie widziałem pana Digweeda już od kilku tygodni.

To był... ktoś inny, ale nie mogę powiedzieć... nie mogę powiedzieć kto. Z tymi ludźmi nie ma żartów.

– Ze mną, jak widzisz, również nie ma – stwierdziłem z uśmiechem. – Zaś różnica między nimi a mną jest taka, że ja tu jestem, a oni nie. A teraz gadaj. Ilu ludzi, kim byli i o co pytali?

Sprzedawca patrzył to na mnie, to na Christopha, który, choć dzielny i w opałach wykazywał odwagę, jakiej życzylbym własnemu synowi, znów zachlipał. Sklepikarz, słysząc to, podjął decyzję, bo jego wąsy znów zadrżały, a potem zaczął mówić tak szybko, jakby słowa wysypywały mu się z ust.

– Byli tu, panie – powiedziały. – Zaledwie godzinę temu. Dwaj mężczyźni w długich, czarnych płaszczach wdzianych na czerwone kurtki brytyjskiej armii, przyszli do sklepu tak jak wy i pytali o pana Digweeda. Kiedy im powiedziałem, gdzie jest, nic nie przeczuwając, bardzo spowaźnieli, panie, i powiedzieli, że ktoś jeszcze może szukać pana Digweeda, i gdyby tak się stało, mam się wyprzeć wszelkiej z nim znajomości, pod groźbą śmierci, a także nie mówić, że tu byli.

– Gdzie on jest?

– W chacie, piętnaście mil na południe stąd, w puszczy.

Reginald ani ja nie odrzekliśmy na to ani słowa. Obaj wiedzieliśmy, że nie mamy chwili do stracenia. Nie marnując czasu na groźby czy pożegnania, lub choćby przeprosiny dla Christopha za to, że śmiertelnie go wystraszyliśmy, wybiegliśmy za drzwi, odwiązaliśmy konie, wskoczyliśmy na siodła i krzykiem popędziliśmy wierzchowce.

Spinając je, gnaliśmy tak przez ponad pół godziny. Pokonaliśmy może osiem mil pastwisk, cały czas pod górę, aż konie zaczęły w końcu ustawać. Dotarliśmy do skraju lasu i odkryliśmy, że to ledwie wąski sosnowy zagajnik; po drugiej stronie zobaczyliśmy wstęgę drzew ciągnącą się wokół szczytu wzgórza. Tymczasem teren przed nami opadał w kierunku następnej gęstwiny i ciągnął się dalej faliście niczym olbrzymia płachta zieleni, z łąkami lasów, traw i pól.

Ściągnęliśmy wodze, a ja sięgnąłem po lunetę. Konie parskwały. Przepatrzyłem teren przed nami, skacząc lunetą to w lewo, to w prawo, w pośpiechu; straciłem panowanie nad sobą, a panika pozbawiła mnie jasności myślenia. W końcu musiałem się uspokoić, wziąć parę głębokich oddechów, zacisnąć mocno powieki, a potem zacząłem od nowa. Tym razem wodziłem lunetą powoli i metodycznie. Podzieliłem krajobraz przed

sobą na kwadraty i przepatrywałem je kolejno. Znow byłem systematyczny i dokładny, znow kierowała mną logika, a nie emocje.

Ciszę zakłócaną jedynie śpiewem ptaków przerwał Reginald.

– Zrobiłbyś to?

– Czy co bym zrobił, Reginaldzie?

Pytał, czy zabiłbym to dziecko.

– Czy zabiłbyś chłopca. Zrobiłbyś to?

– Nie ma sensu grozić, jeśli nie jesteś w stanie groźby spełnić. Sklepikarz domyśliłby się, że blefuję. Zobaczyłby to w moich oczach. Przejrzałby mnie.

Reginald poruszył się niespokojnie w siodle.

– A więc tak? Zabiłbyś go?

– Owszem, Reginaldzie, zabiłbym.

Zapadło milczenie. Przepatrzyłem następny kwadrat terenu, potem kolejny.

– Czy zabijanie niewinnych było kiedykolwiek częścią twoich nauk, Haythamie? – spytał.

Zachnąłem się.

– To, że nauczyłeś mnie zabijać, Reginaldzie, nie daje ci prawa decydowania, kogo zabiję i w jakim celu.

– Nauczyłem cię honoru. Wpołem ci kodeks.

– Pamiętam, Reginaldzie, jak wiele lat temu sam chciałeś wymierzyć sprawiedliwość pod pubem White'a. To było honorowe?

Czyżby lekko się zaczerwienił? Na pewno znow poprawił się w siodle.

– Tamten człowiek był złodziejem – powiedział.

– A ludzie, których ja szukam, to mordercy, Reginaldzie.

– Mimo wszystko – upierał się, z irytacją w głosie – chyba gorliwość ma ci twój osąd.

Znow prychnąłem pogardliwie.

– I kto to mówi. Czy twoja fascynacja Tymi, Którzy Byli Wcześniej jest całkowicie zgodna z doktryną templariuszy?

– Oczywiście.

– Czyżby? Jesteś pewien, że nie zaniedbywałeś dla niej innych obowiązków? Jakie listy pisałeś ostatnio, jakie dzienniki, co czytałeś, Reginaldzie?

– Mnóstwo rzeczy – odparł z wyższością.

– Co nie byłoby związane z Tymi, Którzy Byli Wcześniej – dodałem.

Zapomniał języka w gębie i wydał dźwięk jak rumiany żarłok, któremu podano na kolację niewłaściwe danie.

– Jestem tu z tobą, nieprawdaż?

– W istocie, Reginaldzie – powiedziałem i w tej samej chwili dostrzegłem nikłą strużkę dymu wznoszącą się nad lasem. – Widzę dym wśród drzew, możliwe, że z chaty. Powinniśmy tam się skierować.

Jednocześnie zobaczyłem jakiś ruch niedaleko od nas, w modrzewiowym zagajniku, i jeźdźca, który wjeżdżał na najodleglejsze wzgórze, oddalając się od nas.

– Popatrz, Reginaldzie, tam. Widzisz go?

Wyostrzyłem obraz. Jeździec był oczywiście zwrócony do nas tyłem i dość daleko, ale wydawało mi się, że widzę jego uszy. Byłem pewny, że są szpiczaste.

– Widzę jednego człowieka, Haythamie, ale gdzie jest drugi? – spytał Reginald.

Ściągnąłem wodze wierzchowca.

– Wciąż w chacie, Reginaldzie. Jedźmy.

### *iii*

Przybyliśmy na miejsce po bez mała dwóch kwadransach, przez które gnałem konia do granic jego wytrzymałości, galopując brawurowo między drzewami i przesadzając zwalone pnie.

Reginald został z tyłu, a ja pędziłem tam, gdzie dostrzegłem dym – do chaty, w której byłem pewny znaleźć Digweeda.

Żywego? Martwego? Nie wiedziałem. Sklepikarz powiedział, że pytało o niego dwóch ludzi, a wypatrzyliśmy tylko jednego, bardzo więc byłem ciekaw, co z drugim. Pojechał przodem?

Czy może został w chacie?

Oto i ona, na środku polany. Niski, drewniany budynek, przed nim uwiązany samotny koń, okno od frontu i smużka dymu unosząca się z komina. Drzwi wejściowe były otwarte. Na oścież. W chwili gdy wpadłem na polanę, usłyszałem ze środka krzyk i popędziłem do wejścia, dobywając broni. Z ogromnym łoskotem wpadłem na deski przed domem i pochyliłem się w siodle, by zajrzeć do środka.

Digweed, zgarbiony, z przekrzywioną głową, tkwił przywiązany do krzesła. Twarz miał zalaną krwią, ale widziałem, że porusza ustami. Żył. Nad nim stał drugi mężczyzna z zakrwawionym nożem – o zakrzywionym, zębatym ostrzu – gotów dokończyć dzieła. Gotów poderżnąć Digweedowi gardło.

Nigdy dotąd nie używałem pałasza jak oszczepu i daję słowo, nie jest to najlepsze z jego zastosowań, ale w tamtym momencie liczyło się tylko uratowanie Digweeda. Musiałem go wypytać, a poza tym zabić go mogłem tylko ja. Dlatego rzuciłem. Tylko na to miałem czas.

A choć rzut był równie słaby, jak niecelny, trafiłem Nożownika w ramię, gdy właśnie zadawał cios, i to wystarczyło. Zatoczył się do tyłu, wyjąc z bólu, a ja zeskoczyłem z siodła, wylądowałem na deskach, przetoczyłem się w przód i dobyłem krótkiego miecza.

To wystarczyło, by uratować Digweeda.

Wstałem tuż obok niego. Ręce i nogi miał przywiązane zakrwawionym sznurem do krzesła, ubranie podarte i czarne od krwi, twarz spuchniętą i poranioną. Wciąż poruszał ustami.

Powoli skierował na mnie spojrzenie; zastanawiałem się, co pomyślał, kiedy mnie ujrzał. Czy mnie poznał? Czy poczuł ukłucie wyrzutów sumienia, czy raczej błysk nadziei?

Obejrzałem się na okno w głębi i zobaczyłem w nim znikające nogi Nożownika, który się przez nie przecisnął i z łoskotem spadł na ziemię na zewnątrz. Pościg tą samą drogą był zbyt ryzykowny – nie chciałem utknąć we framudze, podczas gdy przeciwnik miałby dość czasu, by pchnąć mnie nożem. Dlatego pobiegłem do frontowych drzwi, z powrotem na polanę,

żeby go dopaść. Reginald właśnie nadjechał. Widział Nożownika lepiej niż ja i już mierzył do niego z łuku.

– Nie zabijaj go! – ryknąłem w chwili, gdy wypuścił strzałę. Zawył z wściekłości, gdy chybiła.

– Niech cię szlag, człowieku, już go miałem! – krzyknął. – Skrył się w gęstwinie.

Obiegłem front chaty, ryjąc obcasami warstwę suchych sosnowych igieł, w samą porę, by ujrzeć Nożownika znikającego w lesie.

– Potrzebny mi żywy, Reginaldzie! – krzyknąłem. – Digweed jest w środku. Pilnuj go, dopóki nie wrócę.

Z tymi słowami wpadłem między drzewa. Gałęzie chłostały mnie po twarzy, gdy pędziłem przed siebie z krótkim mieczem w dłoni. Przed sobą widziałem w zaroślach ciemny kształt, przebijający się przez nie równie niezgrabnie jak ja.

A może nawet niezgrabniej, bo go doganiałem.

– Byłeś tam?! – krzyknąłem. – Byłeś tam w tę noc, kiedy zabili mi ojca?

– Nie miałem tej przyjemności, chłopcze! – odkrzyknął przez ramię. – Jakże żałuję. Ale swoje zrobiłem. To ja wszystko załatwiłem.

Oczywiście. Miał akcent z West Country. A kogo opisywano jako mówiącego z takim akcentem? Człowieka, który zaszantażował Digweeda. Człowieka, który groził Violet paskudnym nożem.

– Stój i walcz! – krzyknąłem. – Skoro tak ci pilno rozlewać krew Kenwayów, zobaczmy, czy zdołasz utoczyć mojej!

Byłem od niego zwinniejszy i szybszy. Doganiałem go. Słyszałem jego świszczący oddech; jeszcze chwila i bym go dopadł. Zrozumiał to i zamiast tracić daremnie siły, postanowił stawić mi czoła. Przeskoczył jeszcze jeden powalony wicherą pień, wpadł na małą polankę i odwrócił się do mnie z zakrzywionym nożem w ręku. Z zakrzywionym, zębatym, „paskudnym” nożem. Twarz miał pomarszczoną i okropnie dziobatą, jakby po jakiejś dziecięcej chorobie.

Ciężko dysząc, otarł wierzchem dłoni usta. Zgubiony podczas ucieczki kapelusz odsłonił krótko przycięte, siwe włosy; spod rozdartego,

powiewającego płaszcza – ciemnego, tak jak opisał go sklepikarz – wychynęła czerwona, wojskowa kurtka.

– Jesteś brytyjskim żołnierzem – powiedziałem.

– Taki noszę mundur – prychnął. – Służę jednak komu innemu.

– Doprawdy? Komu więc? – spytałem. – Jesteś asasynem?

Pokręcił głową.

– Jestem wolnym człowiekiem, chłopcze. Ty możesz o tym tylko marzyć.

– Bardzo dawno nikt nie nazywał mnie chłopcem – powiedziałem.

– Wydaje ci się, że jesteś kimś, Haythamie Kenwayu. Zabójcą. Nożownikiem templariuszy. Bo zabiłeś kilku tłustych kupców? Dla mnie jesteś chłopcem. Chłopcem, bo prawdziwy mężczyzna staje przed wrogami twarzą w twarz, nie zakrada się do nich pod osłoną nocy jak żmija. – Urwał. – Jak asasyn.

Zaczął przerzucać nóż z ręki do ręki. Efekt był niemal hipnotyzujący – a przynajmniej pozwoliłem mu w to wierzyć.

– Myślisz, że nie umiem walczyć? – spytałem.

– Dotąd tego nie pokazałeś.

– Równie dobrze mogę to zrobić tutaj.

Splunął i zachęcił mnie gestem ręki, bym podszedł bliżej, w drugiej obracał nóż.

– Chodź – zakpił. – Bądź po raz pierwszy wojownikiem. Zobacz, jakie to uczucie. Chodź, chłopcze. Stań się mężczyzną.

Miało mnie to rozdrażnić, ale jeszcze bardziej się skupiłem. Potrzebny mi był żywy.

Musiałem go wybadać.

Długim susem przeskoczyłem nad pniem na polankę, tak by zepchnąć go w tył, i szybko przyjąłem postawę, nim zdążył odpowiedzieć kontratakiem. Przez kilka chwil okrążaliśmy się wzajemnie, czekając, aż ten drugi zaatakuje. Przerwałem tę patową sytuację wypadem do przodu, cięciem i natychmiastowym powrotem do gardy.

Przez krótką chwilę myślał, że chybiłem. Potem poczuł krew spływającą po policzku, przyłożył dłoń do twarzy i zaskoczony, szeroko otworzył oczy. Pierwsza krew dla mnie.

– Nie doceniłeś mnie – powiedziałem.

Jego uśmiech tym razem był wyraźnie wymuszony.

– Drugiego razu nie będzie.

– Owszem, będzie – odparłem i znów uderzyłem, zwodem w lewo, a potem w prawo, kiedy jego ciało było już w ruchu, zasłonił się z niewłaściwej strony.

Rozciąłem mu wolną rękę. Krew splamiła poszarpany rękaw i zaczęła kapać na leśne runo, jaskrawoczerwona na brązowym i zielonym igliwiu.

– Jestem lepszy, niż ci się zdaje – powiedziałem. – Czeka cię tylko śmierć, chyba że będziesz mówił. Że powiesz mi wszystko, co wiesz. Dla kogo pracujesz?

Skoczyłem zwinnie do przodu i ciąłem. Zamachnął się na oślepie nożem, ale tym razem rana otworzyła mu się na drugim policzku. Po brązowej, jakby wygarbowanej skórze twarzy spływały dwie czerwone strużki.

– Dlaczego zginął mój ojciec?

Znów zaatakowałem i rozciąłem mu wierzch dłoni, w której dzierżył nóż. Jeśli miałem nadzieję, że upuści broń, to się zawiodłem. Jeśli zaś miałem nadzieję, że zademonstruję mu swoje umiejętności, to właśnie mi się udało, zobaczyłem to w jego oczach. Na zakrwawionej twarzy.

Przestał się szczerzyć w uśmiechu.

Wciąż miał jednak wolę walki, a kiedy zaatakował, zrobił to szybko i zwinnie, przerzucając nóż z ręki do ręki, by mnie zmylić, i omal nie trafił. Omal. Może nawet by mu się to powiodło, gdyby nie zdradził mi wcześniej tej sztuczki, gdyby nie spowolniły go zadane przeze mnie rany.

Uchyliłem się więc bez trudu pod jego ciosem i uderzyłem w górę, wbijając własne ostrze w jego bok. Natychmiast zakląłem. Trafiłem zbyt mocno, do tego w nerkę. Już był martwy.

Wewnętrzny krwotok zabije go za jakieś pół godziny, ale zemdleć mógł od razu. Nie wiedziałem, czy ma tego świadomość, bo zaatakował ponownie, szczerząc zęby. Zauważyłem, że były pokryte krwią; z łatwością uskoczyłem, chwyciłem go za rękę, wykręciłem ją i złamałem w łokciu.

Odgłos, jaki wydał, nie był nawet wrzaskiem, raczej udręczonym stęknieniem, a gdy zazgrzytałem kośćmi w jego ramieniu raczej dla efektu



niż konkretnego celu, nóż upadł na ściółkę z głośnym odgłosem, a w ślad za nim na kolana osunął się jego właściciel.

Puściłem rękę, która opadła bezwładnie niczym worek pogruchotanych kości i skóry. Widziałem, że krew odpłynęła mu już z twarzy, a na boku rosła czarna plama. Płaszcz rozpostarł się wokół niego na ziemi. Niepewnie pomacał zdrową ręką tę złamaną, a gdy podniósł na mnie wzrok, spojrzenie miał niemal błagalne, żalosne.

– Dlaczego go zabiliście? – spytałem beznamiętnie.

Odpłynął jak woda uchodząca z dziurawego dzbana i legł na boku. Teraz obchodziło go już tylko umieranie.

– Mów! – powiedziałem z naciskiem i pochyliłem się nad nim. Sosnowe szpilki kleiły się do krwi na jego twarzy. Ostatnie tchnienie kierował w zrytą, leśną ziemię.

– Twój ojciec... – zaczął, a potem wykasłał krwawą plwocinę. – Twój ojciec nie był templariuszem.

– Wiem – warknąłem. – Za to zginął? – Poczuję, że marszczę brwi. – Zginął, bo odmówił wstąpienia do zakonu?

– Był... asasynem.

– I templariusze go zabili? Za to go zabili?

– Nie. Zginął z powodu tego, co posiadał.

– Cóż takiego? – Nachyliłem się bliżej, rozpaczliwie pragnąc wychwycić słowa. – Co miał?

Odpowiedzi nie było.

– Kto? – krzyknąłem prawie. – Kto go zabił?

Ale on stracił już przytomność.

Rozchylił usta, powieki mu zadrżały, a potem je zamknął, i nieczuły na to, jak mocno biłem go po twarzy, nie dawał się ocucić.

Asasyn. Ojciec był asasynem. Przewróciłem Nożownika na plecy i zacząłem opróżniać jego kieszenie. Wysypała się z nich garść miedziaków, a także kilka zmiętych strzępów papieru; rozwinąłem jeden z nich i ujrzałem list zaciągowy. Należał do pułku Coldstream Guards, półtorej gwinei za zaciągnięcie, potem szyling dziennie. Na dokumencie widniało nazwisko dowódcy.

Podpułkownik Edward Braddock.

A Braddock był ze swoją armią w Republice Zjednoczonych Prowincji, walczył z Francuzami. Przypomniałem sobie Szpiczastouchego, którego widziałem wcześniej. Nagle zrozumiałem, dokąd jechał.

iv

Zawróciłem i popędziłem przez las do chaty, dotarłem do niej w kilka chwil. Przed chatą uwiązane były trzy konie, pasły się cierpliwie w słońcu; wewnątrz było ciemno i chłodno, a Reginald stał nad Digweedem, który siedział z przechyloną bezwładnie głową, wciąż przywiązany. Kiedy tylko go zobaczyłem, odgadłem, że...

- Nie żyje – stwierdziłem i spojrzałem na Reginalda.
- Próbowałem go ratować, Haythamie, ale biedak nie dał rady.
- Jak to? – spytałem ostro.
- Od ran – warknął Reginald. – Popatrz na niego, człowieku.

Twarz Digweeda była maską zakrzepłej krwi. Jego ubranie było nią przesiąknięte.

Nożownik kazał mu cierpieć, to nie ulegało wątpliwości.

- Kiedy wybiegałem, jeszcze żył.
- I żył, kiedy ja tu przybyłem, do kroćset – zdenerwował się Reginald.
- Powiedz mi chociaż, że coś z niego wydobyłeś.

Spuścił wzrok.

- Zanim umarł, powiedział, że przeprasza.

Sfrustrowany zamachnąłem się pałaszem i roztrzaskałem kubek na kominku.

- To wszystko? Nic o tamtej nocy? Nie podał powodu? Żadnych nazwisk?
- Niech Cię diabli, Haythamie, myślisz, że go zabiłem? Myślisz, że przebyłem tę całą drogę, zaniedbywałem inne obowiązki, tylko po to, by zabić Digweeda? Chciałem go znaleźć tak samo jak ty. Tak samo jak ty potrzebowałem go żywego.

Czułem się tak, jakby moja głowa zmieniała się w kamień.

- Bardzo wątpię – wycedziłem.

– A co się stało z tym drugim? – odparował Reginald.

– Zginął.

Skrzywił się z ironią.

– Och, rozumiem. A czyja to była wina?

Zignorowałem zaczepkę.

– Morderca jest znany Braddockowi.

Reginald się cofnął.

– Doprawdy?

Na polance wepchnąłem papiery za pazuchę. Wydobyłem je teraz, zmięte niczym sparciały kalafior.

– Masz, to papiery zaciągowe. Służył w Coldstream Guards pod komendą Braddocka.

– To nie to samo, Haythamie. Edward ma pod sobą tysiąc pięciuset ludzi, wielu zaciągnęło się jeszcze w kraju. Na pewno każdy z nich ucieka przed jakimiś grzechami z przeszłości i jestem przekonany, że Edward bardzo niewiele o nich wie.

– Nawet jeśli, to zaskakujący zbieg okoliczności, nie sądzisz? Sklepikarz mówił, że obaj nosili brytyjskie mundury, do tego zgaduję, że jeździec, którego widzieliśmy, tam właśnie się kieruje. Ile ma przewagi – godzinę? Nie pozwolę mu jej zwiększyć. Braddock jest w Republice Zjednoczonych Prowincji, prawda? On tam zmierza, z powrotem do swojego dowódcy.

– Nie tak prędko, Haythamie – powiedział Reginald. W jego oczach i głosie pojawiła się stal. – Edward to mój przyjaciel.

– Nigdy go nie lubiłem – odparłem z odrobiną dziecinnego uporu.

– Tfu! – splunął. – Wyrobiłeś sobie tę opinię jako mały chłopiec, bo Edward nie okazał ci szacunku, do jakiego przywykłeś; bo robił, co w jego mocy, by ukarać zabójców twojego ojca.

Coś ci powiem, Haythamie, Edward służy zakonowi, jest i zawsze był dobrym i wiernym sługą.

Odwróciłem się do Reginalda i już miałem na końcu języka: „Ale czy ojciec nie był asasynem?”, lecz się pohamowałem. Jakieś... przeczucie czy instynkt – trudno powiedzieć, co to było – kazało mi zachować tę informację dla siebie.

Reginald to zauważył – zobaczył, że słowa cisną mi się na usta, a może nawet dostrzegł kłamstwo w moich oczach.

– Ten zabójca – zapytał z naciskiem – czy powiedział coś jeszcze? Udało ci się wydobyć z niego jakieś informacje, nim skonał?

– Tyle, ile tobie z Digweeda – odparłem.

Pod ścianą chaty stała mała kuchenka, a obok niej kłoc do siekania, na którym znalazłem nadgryziony bochen chleba. Schowałem go za pazuchę.

– Co robisz? – spytał Reginald.

Znalazłem też misę jabłek. Będą mi potrzebne dla konia.

– Czerstwy chleb i trochę jabłek? To za mało, Haythamie. Przynajmniej wróć do miasteczka po zapasy.

– Nie ma czasu, Reginaldzie – powiedziałem. – Poza tym pościg będzie krótki. Tamten ma niewielką przewagę i nie wie, że jest ścigany. Przy odrobinie szczęścia dopadnę go, nim będą mi potrzebne zapasy.

– Możemy zdobyć żywność po drodze. Pomogę ci.

Wstrzymałem go, mówiąc, że jadę sam, i nie dając mu czasu na spory, wskoczyłem na konia i skierowałem go tam, gdzie zniknął Szpiczastouchy. Miałem wielką nadzieję, że wkrótce uda mi się go schwytać.

Nic z tego. Gnałem jak szalony, ale gdy zapadł zmrok, dalsza jazda zrobiła się zbyt niebezpieczna i ryzykowałem okulawieniem konia. Zresztą klacz była wyczerpana, niechętnie postanowiłem więc urządzić postój i dać jej kilka godzin odpoczynku.

Siedząc tu i pisząc, zastanawiam się, dlaczego po latach traktowania Reginalda jak ojca, nauczyciela i przewodnika postanowiłem jechać sam? I dlaczego zataiłem przed nim to, czego się dowiedziałem o ojcu?

Czyżbym się zmienił? Czy może zmienił się on? A może więź, która niegdyś nas łączyła, okazała się bardzo wątła?

Temperatura spadła. Moja klacz – wypada, abym nadał jej imię, więc na cześć tego, jak trąca mnie pyskiem, prosząc o jabłko, nazywam ją Drapką – odpoczywa nieopodal z zamkniętymi oczami i wydaje się zadowolona, ja zaś piszę dziennik.

Myślę o tym, o czym rozmawiałem z Reginaldem.

Zastanawiam się, czy słusznie kwestionował to, kim się stałem.



15 lipca 1747

Wstałem wcześniej, kiedy tylko zrobiło się jasno, zasypałem resztkę żaru w dogasającym ognisku i dosiadłem Drapkę.

Pościg trwał. Jadąc, łamałem sobie głowę nad pytaniami bez odpowiedzi. Dlaczego Szpiczastouchy i Nożownik się rozdzielili? Czy planowali jechać do Republiki Zjednoczonych Prowincji i wrócić pod skrzydła Braddocka? Czy Szpiczastouchy spodziewał się, że kamrat do niego dołączy?

Nie mogłem tego wiedzieć. Mogłem mieć tylko nadzieję, że niezależnie od ich planów człowiek przede mną nie wie, że go ścigam.

Ale skoro nie wiedział – a skąd miałby wiedzieć? – to dlaczego go nie doganiałem?

Jechałem szybko, nie ustając, świadom, że nagłe spotkanie byłoby tak samo katastrofalne w skutkach jak niezłapanie go w ogóle.

Po jakichś trzech kwadransach dotarłem do miejsca, gdzie obozował. Gdybym się nie zatrzymał, czy dopadłbym go, zaskoczył? Uklęknąłem, by zbadać żar dogasającego ognia. Po lewej Drapka skubała coś na ziemi – wyrzuconą skórkę kiełbasy. Zaburczało mi w brzuchu.

Reginald miał rację. Moja ofiara była o wiele lepiej przygotowana do podróży niż ja ze swoim nadgryzionym bochnem chleba i jabłkami. Przekląłem się w myślach za to, że nie przeszukałem juków konia jego kompana.

– Chodź, Drapka – powiedziałem. – Jedziemy, malutka.

Gnałem przez resztę dnia, zwalniając tylko po to, by wyciągnąć lunetę i zlustrować horyzont w poszukiwaniu mojej ofiary. Wciąż był przede mną, frustrująco daleko przede mną.

Cały dzień. Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, zmartwiłem się, że zgubiłem go na dobre. Mogłem tylko mieć nadzieję, że trafnie odgadłem kierunek.

W końcu nie miałem wyjścia – musiałem znów się zatrzymać, rozbić obóz, rozpalić ognisko, pozwolić Drapce odpocząć i modlić się, bym nie zgubił tropu.

Siedzę tu i zachodzę w głowę: dlaczego nie udało mi się go dogonić?

16 lipca 1747

*i*

Obudziwszy się rano, coś sobie nagle uświadomiłem. Oczywiście. Szpiczastouchy należał do armii Braddocka, która to połączyła się z siłami księcia Orange w Republice Zjednoczonych Prowincji, gdzie mój przeciwnik powinien teraz być. Spieszył się, ponieważ... Ponieważ oddalił się bez pozwolenia i pilno mu było z powrotem, zanim jego oczywista dezercja zostanie odkryta.

Co oznaczało, że jego obecność w Szwarzwaldzie nie była oficjalnie usankcjonowana. Czyli Braddock, jako jego dowódca, nie wiedział o niej. Czy też prawdopodobnie o niej nie wiedział.

Wybacz, Drapko. Znów gnałem ją ile tylko sił, już trzeci dzień z rzędu, i zauważyłem u niej zmęczenie, spowolnienie tempa. Mimo to po upływie pół godziny dotarliśmy do miejsca, gdzie Szpiczastouchy obozował; tym razem, zamiast przystawać i sprawdzać temperaturę węgla, popędziłem Drapkę i dałem jej odpocząć dopiero na następnym wzgórzu, gdzie przystanęliśmy, a ja wyciągnąłem lunetę i zlustrowałem teren przed nami, kwadrat po kwadracie, cal po calu – aż go zobaczyłem. Oto był, małeńki punkt na następnym wzgórzu, na moich oczach połknięty przez skupisko drzew.

Gdzie byliśmy? Nie wiedziałem, czy przekroczyliśmy już granicę Republiki. Od dwóch dni nie widziałem żywej duszy, nie słyszałem niczego prócz tętentu kopyt Drapki i własnego oddechu.

Wkrótce miało się to zmienić. Popędziłem klacz i po niespełna dwóch kwadransach wjechaliśmy w ten sam zagajnik, w którym zniknęła moja



ofiara. Najpierw zobaczyłem porzucony wóz. Obok leżał martwy koń z niewidzącymi oczami oblezionymi przez muchy.

Drapka spłoszyła się na ten widok. Podobnie jak ja nawykła do samotności; tylko ona, ja, drzewa i ptaki. Nagle przypominano nam brutalnie, że w Europie zawsze gdzieś tli się wojna.

Zwolniliśmy tempo, ostrożnie mijając drzewa i wszelkie inne napotkane przeszkody. Coraz więcej roślin było poczerniałych, połamanych i stratowanych. Coś tu się wydarzyło: natknęliśmy się na ludzkie trupy, leżące z rozrzuconymi kończynami i wytrzeszczonymi, niewidzącymi oczami. Ciemna krew i błoto uczyniły je anonimowymi, miejscami przebijały się tylko barwy mundurów: biel francuskiej armii, błękit Holendrów. Widziałem zniszczone muszkiety, połamane bagnety i kordelasy; wszystko, co się nadawało do użytku, zabrano. Kiedy wyjechałem spomiędzy drzew, znaleźliśmy się na polu bitwy, gdzie zabitych było jeszcze więcej.

Według wojennych norm była to zapewne ledwie potyczka, ale i tak miałem wrażenie, że zewsząd otacza mnie śmierć.

Jak dawno temu rozegrała się ta bitwa, tego nie umiałem powiedzieć na pewno: hieny cmentarne zdążyły oczyścić pole z łupów, ale nie uprzątnięto jeszcze ciał poległych.

Powiedziałbym, że najdalej wczoraj, sądząc po stanie zwłok i wstęgach dymu, które wciąż wisiały nad pastwiskiem niczym całun. Wyglądały jak mgła, ale czuć było ciężki i ostry smród prochu.

Błoto było tu gęstsze, zryte kopytami i żołnierskimi butami. Drapka zaczęła grzęznąć. Poprowadziłem ją w bok, chcąc objechać pobojuwisko. Nagle potknęła się i omal nie zrzuciła mnie przez łeb. Wtedy zobaczyłem przed nami Szpiczastouchego. Dzieliła nas długość pola, około pół mili; niewyraźna, rozmazana sylwetka z takim samym trudem przedzierała się przez błotnisty teren. Jego koń musiał być równie zmęczony jak mój, bo Szpiczastouchy zsiadł i próbował go prowadzić za uzdę. Nad pobojuwiskiem z cicha niosły się jego przekleństwa.

Wyciągnąłem lunetę, by lepiej mu się przyjrzeć. Ostatni raz widziałem go z bliska dwanaście lat temu i nosił wtedy maskę; zastanawiałem się...

wręcz miałem nadzieję, że widząc go wyraźnie po raz pierwszy, doznam jakiegoś objawienia. Czy go poznam?

Nie. To był po prostu jakiś człowiek, ogorzały i posiwiały tak samo jak jego towarzysz, brudny i wyczerpany po długiej jeździe.

Na jego widok nie spłynęło jednak na mnie olśnienie. Żaden element układanki nie wskoczył na swoje miejsce. Zwykły mężczyzna, brytyjski żołnierz, taki sam jak ten, którego zabiłem w Szwarzwaldzie.

Zobaczyłem, że wyciąga szyję i patrzy na mnie przez mgłę. Wyjął zza pazuchy własną lunetę i przez chwilę przyglądaliśmy się sobie przez szkła. Potem podbiegł do konia i z nową energią zaczął szarpać go za uzdę, co chwila spoglądając w moją stronę.

Poznał mnie. Dobrze. Drapka stanęła na nogi i pociągnąłem ją na nieco twardszy grunt. W końcu dokonał się jakiś postęp. Szpiczastouchy przede mną nabrał wyraźniejszych konturów. Widziałem na jego twarzy wysiłek, z jakim próbował ruszyć konia; nagle odmalowało się na niej zrozumienie, że utknął, że go doganiam i że niebawem go dopadnę. Wtedy zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Puścił uzdę i pobiegł. W tej samej chwili znów wpadliśmy w błoto i Drapka z trudem utrzymywała się na nogach. Wyszepawszy szybko „dziękuję”, zeskoczyłem z siodła, by rzucić się w pogoń pieszo.

Wysiłek ostatnich kilku dni dał o sobie znać falą, która omal mnie nie przytłoczyła. Błoto wsysało buty, brodziłem w nim, a każdy oddech ranił płuca, jakbym wdychał ostry żwir. Mięśnie protestowały bólem, błagały, bym się zatrzymał. Mogłem tylko mieć nadzieję, że mój przyjaciel przede mną ma tak samo ciężko, może nawet trudniej, bo jedyną rzeczą, która pchała mnie naprzód, która nie pozwalała mi ustać w biegu i zmuszała moje płuca do następnego palącego oddechu, była świadomość, że skracam dystans.

Szpiczastouchy obejrzał się przez ramię. Byłem dość blisko, by zobaczyć, jak jego oczy rozszerzają się ze strachu. Nie miał maski. Nie miał się za czym schować. Mimo bólu i wyczerpania wyszczerzyłem się do niego w uśmiechu, czując, jak suche, spękane wargi odsłaniają zęby.

Pobiegł dalej, stękając z wysiłku. Zaczęła padać mżawka, co jeszcze bardziej popsuło widoczność, jakbyśmy znaleźli się na landszafcie narysowanym węglem.

Szpiczastouchy znów zaryzykował rzut oka za siebie i zobaczył, że jestem coraz bliżej; tym razem zatrzymał się i dobył broni. Trzymał ją oburącz, zgarbiony, zdyszany. Wyglądał jak człowiek, który spędził kilka dni w siodle, niewiele śpiąc. Jak człowiek czekający na porażkę.

Myliłem się jednak; zwabił mnie do siebie, a ja jak głupiec dałem mu się nabrać. Poleciałem do przodu i upadłem, gdy twarda ziemia nagle się skończyła i zabrnąłem w wielką kałużę gęstego, lepkiego błota.

– O Boże! – zawołałem.

Moje stopy zniknęły, potem kostki, i nim się obejrzałem, tkwiłem w błocie po kolana, rozpaczliwie szarpiąc nogi, próbując je wyrwać, jednocześnie jedną ręką podpierając się o twardszy grunt, a drugą, uzbrojoną, usiłując się zasłaniać.

Obejrzałem się na Szpiczastouchego. Tym razem to on szeroko się uśmiechał. Podszedł do mnie i opuścił ostrze w zamaszystym, dwuręcznym cięciu, silnym, ale niezdarnym. Stęknąłem z wysiłku i sparowałem je przy wtórze głośnego szczęku stali, odrzucając przeciwnika kilka kroków w tył. Zanim odzyskał równowagę, wyrwałem jedną stopę z błota – but w nim pozostał.

Biała pończocha, choć brudna, lśniła na tle otaczającej nas zewsząd brei. Widząc, że traci przewagę, Szpiczastouchy znów natarł, tym razem pchnięciem. Zbiłem je, potem następne. Przez chwilę słychać było tylko szczęk oręża, stęknięcia i szum deszczu, coraz intensywniejszego, rozchlapującego błota. W duchu dziękowałem Bogu, że Szpiczastouchemu kończyły się pomysły.

Czyżby? W końcu dotarło do niego, że łatwiej byłoby mu mnie pokonać, zachodząc od tyłu, ale zorientowałem się, co zamierza, zamachnąłem się pałaszem i trafiłem go w kolano, tuż nad cholewą buta. Runął na plecy, wyjąc z bólu. Z okrzykiem cierpienia i oburzenia wstał, gnany wściekłością, że zwycięstwo nie przychodzi mu dość łatwo, a potem zdrową nogą wymierzył mi kopniaka.

Złapałem ją wolną ręką i z całych sił wykręciłem, na tyle mocno, by obrócił się na pięcie i runął twarzą w błoto.

Próbował się odczołgać, ale był zbyt wolny, czy też oszołomiony. Pchnąłem w dół, przebiłem mu pałaszem udo i przygwoździłem go do ziemi. Jednocześnie użyłem rękojeści jako dźwigni i wyrwałem się z błota, zostawiając w nim drugi but.

Szpiczastouchy wrzeszczał i wił się, ale klinga w nodze trzymała go w miejscu. Mój ciężar na broni, na której się wspierałem, musiał sprawiać mu nieznośny ból; wrzasnął, a oczy uciekły mu pod czaszkę. Mimo to machnął na oślep, a ja byłem nieuzbrojony, dlatego padając na niego niczym wyciągnięta na brzeg ryba, zrozumiałem, że trafił mnie w szyję, rozcinając skórę.

Poczułem ciepłą krew.

Chwyciłem go za ręce i zaczęliśmy się mocować. Sapaliśmy i przeklinaliśmy, aż nagle usłyszałem coś z tyłu – bez wątplenia zbliżające się kroki. Potem głosy. Ktoś mówił po holendersku. Zakląłem.

– Nie – odezwał się jakiś głos. Uświadomiłem sobie, że to mój własny.

Szpiczastouchy też musiał to usłyszeć.

– Spóźniłeś się, Kenway – warknął.

Tupot stóp za plecami. Deszcz. Mój głos, krzyczący „Nie, nie, nie!”, a potem ktoś powiedział po angielsku:

– Wy tam. Przestańcie natychmiast.

Stoczyłem się ze Szpiczastouchego, ze złości tłukąc błoto pięściami, i wstałem, nie zwracając uwagi na jego chrapliwy śmiech. Odwróciłem się do żołnierzy nadchodzących w deszczu i mgle, starając się dumnie wyprostować.

– Nazywam się Haytham Kenway, znam podpułkownika Edwarda Braddocka. Żądam, aby wydać tego człowieka w moje ręce.

Znów ktoś się roześmiał – nie byłem pewien, czy to Szpiczastouchy, wciąż przyszpilony do ziemi, czy może ktoś z grupki żołnierzy, która zjawiała się przede mną niczym upiory poległych. U postaci dowódcy widziałem tylko wąsy i brudną, mokrą, dwurzędową kurtkę ozdobioną mokrym sznurem, niegdyś zapewne złotym. Zobaczyłem, że coś podnosi –

coś, co błysnęło na wysokości moich oczu – i na moment przed tym, jak mnie trafił, zrozumiałem, że uderza mnie głowicą swojego pałasza. Straciłem przytomność.

## *ii*

Nie wykonują wyroków na nieprzytomnych. To by było nieszlachetne. Nawet w armii dowodzonej przez podpułkownika Edwarda Braddocka.

Dlatego następną rzeczą, jaką poczułem, była zimna woda rozchlapująca się na mojej twarzy – a może to był policzek otwartą dłonią? Tak czy inaczej, zostałem brutalnie ocucony, a zanim wróciły mi zmysły, przez chwilę zastanawiałem się, kim i gdzie jestem...

I dlaczego mam pętlę na szyi.

I dlaczego mam ręce związane za plecami.

Stałem na końcu platformy. Po lewej miałem czterech mężczyzn, którym tak samo jak mnie założono pętle na szyje. Na moich oczach pierwszy z lewej szarpnął się i wierzgnął nogami w powietrzu.

Przede mną rozległo się chóralne westchnienie i zorientowałem się, że mam publiczność.

Nie byliśmy już na polu bitwy, ale na jakimś mniejszym pastwisku, na którym zebrali się żołnierze. Nosili barwy brytyjskiej armii i niedźwiedzie czapy Coldstream Guards, twarze mieli poszarzałe. Stali tu pod przymusem, to było jasne, zmuszeni do oglądania, jak nieszczęśnik na końcu szubienicy wierzga coraz słabiej, rozwiera usta i wystawia język, krwawiący z przygryzionego koniuszka, porusza szczęką, usiłując pochwycić łyk powietrza.

Szarpał się i kopał. Razem z nim dygotała cała szubienica, biegnąca wzdłuż platformy nad naszymi głowami. Spojrzałem w górę i zobaczyłem przywiązaną do niej własną pętlę, potem opuściłem wzrok i ujrzałem swoje stopy w pończochach na drewnianym stołku.

Było cicho. Słyszeliśmy tylko rżenie umierającego nieszczęśnika, skrzypienie sznura i jęk szubienicy.

– Taka kara spotyka złodziei! – wrzasnął kat, wskazując konającego i podszedł do następnego człowieka w szeregu. – Kończysz na sznurze z rozkazu podpułkownika Edwarda Braddocka.

– Znam Braddocka! – zawołałem nagle. – Gdzie on jest? Przyprawdźcie go.

– Zawrzyj gębę! – krzyknął kat, celując we mnie palcem. Jego pomocnik, ten sam, który oblał mnie wodą, zaszedł mnie z prawej i znów dał mi po twarzy, tym razem nie po to, by mnie ocucić, ale żebym ucichł. Warknąłem i szarpnąłem więzy na rękach, ale nie nazbyt mocno, żeby nie stracić równowagi i nie spaść z chybotliwego stołka.

– Nazywam się Haytham Kenway! – wołałem, czując, jak pętla wrzyna mi się w szyję.

– Kazałem ci się zamknąć! – ryknął po raz drugi kat, a jego pomocnik znów mnie uderzył, tak mocno, że omal nie spadłem. Po raz pierwszy zobaczyłem żołnierza uwięzionego obok mnie i dotarło do mnie, co to za jeden. To był Szpiczastouchy. Udo miał obwiązane czarnym od krwi bandażem. Patrzył na mnie nieprzytomnie spod przymkniętych powiek, uśmiechając się z leniwym zadowoleniem.

Kat podszedł do drugiego mężczyzny w szeregu.

– Ten człowiek jest dezertorem – zawył. – Zostawił swoich towarzyszy na śmierć.

Żołnierzy takich jak wy. Zostawił was na śmierć. Powiedzcie, jak go za to ukarać?

– Powiesić go! – odkrzyknęli bez entuzjazmu zebrani żołnierze.

– Skoro tego chcecie... – Kat uśmiechnął się pod nosem, cofnął się i pchnął skazanego stopą w krzyż, rozkoszując się odrazą widowni.

Otrząsnąłem się z bólu po ciosie zadany przez pomocnika oprawcy i dalej usiłowałem uwolnić ręce. Kat podszedł do następnego mężczyzny, zadał żołnierzom to samo pytanie, dostał taką samą, głuchą, posłuszną odpowiedź, a potem strącił nieszczęśnika w objęcia śmierci.

Platforma zadygotała pod ciężarem trzech szamoczących się wisielców. Szubienica nade mną skrzypiała i jęczała; zobaczyłem, że zaczyna się rozłazić w miejscu łączenia.

Kat stanął przy Szpiczastouchym.

– Ten człowiek... ten człowiek urządził sobie małą wycieczkę do Szwarzwaldu i myślał, że uda mu się niepostrzeżenie wrócić, ale się pomylił. Powiedzcie mi, jak należy go ukarać?

– Powiesić go – bez entuzjazmu wymamrotał tłum żołnierzy.

– Uważacie, że powinien umrzeć?! – krzyknął kat.

– Tak – odparli żołnierze.

Widziałem jednak, że niektórzy ukradkiem kręcili przecząco głowami. Inni, popijający z bukłaków, wyglądali na mniej przejętych całą sprawą, jak ktoś przekupiony piwem. Czy z tego wynikał nienaturalny spokój Szpiczastouchego? Wciąż się uśmiechał, nawet kiedy kat stanął za nim i oparł stopę o jego plecy.

– Pora powiesić dezertera! – krzyknął i pchnął w tym samym momencie, kiedy ja zawołałem „Nie!” i szarpnąłem pęta, rozpaczliwie starając się uwolnić.

– Nie, on musi przeżyć! Gdzie jest Braddock? Gdzie jest podpułkownik Edward Braddock?

Zobaczyłem przed sobą pomocnika kata, szczerzącego przez skołtunioną brodę bezzębne dziąsła.

– Nie słyszałeś? Miałeś się zamknąć.

Zamachnął się, by zadać cios pięścią.

Nie zdążył. Moje nogi wystrzeliły do przodu, odtrąciły stołek i zacisnęły się na jego szyi, skrzyżowane w kostkach. Ścisnąłem.

Pomocnik kata wrzasnął. Ścisnąłem jeszcze mocniej. Jego krzyk zmienił się w zduszony bulgot, twarz nabrzmiała czerwienią, a ręce chwyciły mnie za łydki, usiłując je rozewrzeć.

Zacząłem szarpać nim na boki, niczym pies zdobyczą trzymaną w pysku, niemal go unosząc.

Jednocześnie napinałem mięśnie ud, by odciążyć szyję tkwiącą w pętli. Obok mnie Szpiczastouchy wciąż szamotał się na sznurze. Język wypelzł mu z ust, a zmętne oczy wyszły z orbit, jakby miały wyskoczyć z oczodołów.

Kat był po drugiej stronie platformy, uwieszał się na nogach wisielców, by się upewnić, że nie żyją, ale zamieszanie zwróciło jego uwagę; obejrzał się, zobaczył pomocnika w uścisku moich nóg i pobiegł w naszą stronę, przeklinając i jednocześnie sięgając po broń.

Z krzykiem wysiłku skręciłem całe ciało, pociągając za sobą pomocnika i jakimś cudem udało mi się wymierzyć tak, że zderzył się z nadbiegającym oprawcą. Kat z wrzaskiem bezwładnie spadł z podwyższenia.

Żołnierze przed nami stali, rozdziawiając usta. Żaden nie próbował interweniować.

Ścisnąłem nogi jeszcze mocniej i usłyszałem w końcu chrupnięcie łamiącego się karku pomocnika. Krew połała mu się z nosa, uścisk na moich ramionach osłabł. Znow skręciłem ciało, krzyknąłem, gdy zaprotestowały ponaciągane mięśnie, i pchnąłem pomocnika kata w drugą stronę, w podporę szubienicy.

Skrzypiącej, dygoczącej, rozłazącej się.

Zaskrzypiała jeszcze głośniejsze. Ostatkiem sił – bo istotnie, gdyby to się nie udało, zginąłbym – uderzyłem mężczyznę w słup jeszcze raz, i w końcu konstrukcja nie wytrzymała.

W tej samej chwili, kiedy pociemniało mi w oczach, jakby mój umysł zasnuwał czarny całun, nacisk na szyi nagle zelżał: to podpora runęła na ziemię przed podwyższeniem, pozioma belka opadła, a potem cała platforma załamała się pod ciężarem ludzi i drewna z trzaskiem i hukiem.

Zanim straciłem przytomność, pomyślałem jeszcze „Proszę, niech on żyje”, a gdy ją odzyskałem w namiocie, w którym teraz leżę, moje pierwsze słowa brzmiały:

– Czy on żyje?

*iii*

– Czy kto żyje? – spytał felczer o elegancko przyciętym wąsie i akcencie zdradzającym wyższe niż pozostali urodzenie.

– Szpiczastouchy – powiedziałem i spróbowałem usiąść prosto, lecz położył mi dłoń na piersi i pchnął z powrotem na posłanie.



– Obawiam się, że nie mam nawet bladego pojęcia, o kim mówisz – odparł bez złości.

– Podobno znasz się z podpułkownikiem. Może on zdoła odpowiedzieć na twoje pytania, kiedy rano przyjedzie.

I tak oto siedzę tu, spisuję wydarzenia minionego dnia i czekam na audiencję u Braddocka...

17 lipca 1747

Wyglądał jak potężniejsza, bardziej inteligentna wersja swoich żołnierzy i nosił się z całym dostojeństwem swojej rangi. Miał błyszczące, czarne buty do kolan, frak z białą lamówką na ciemnej, zapinanej bluzie, białą chustę pod szyją, a na grubym, brązowym, skórzanym pendencie zawiesił broń.

Włosy miał ściągnięte w tył i związane czarną tasiemką. Rzucił kapelusz na stolik obok mojego łóżka, wziął się pod boki i obdarzył mnie tym swoim poważnym, bezbarwnym spojrzeniem, które tak dobrze znałem.

– Kenway – powiedział. – Reginald nie uprzedzał, że do mnie przyjedziesz.

– To była decyzja podjęta pod wpływem chwili, Edwardzie – odparłem. W jego obecności poczułem się nagle bardzo młody, niemal się peszyłem.

– Rozumiem. Pomyślałeś sobie, że wpadniesz z wizytą?

– Jak długo tu jestem? – spytałem. – Ile minęło dni?

– Trzy – odparł Braddock. – Doktor Tennant bał się, że dostaniesz gorączki. Według niego człowiek słabszej konstytucji mógłby z tego nie wyjść. Masz szczęście, że żyjesz, Kenway.

Nie każdemu udaje się uciec przed stryczkiem i gorączką. Masz też szczęście, że powiadomiono mnie, iż jeden z wieszanych domaga się osobistego widzenia ze mną, inaczej moi ludzie mogliby dokończyć robotę. Widzisz, jak karzemy za przewinienia.

Dotknąłem szyi zabandażowanej po walce ze Szpiczastouchym i wciąż bolącej w miejscu, gdzie skórę obtarł sznur.

– Tak, Edwardzie, przekonałem się na własnej skórze, jak traktujesz swoich ludzi.

Braddock westchnął, gestem odprawił doktora Tennanta, który wyszedł, zasuwając za sobą płachtę namiotu, a potem usiadł ciężko, opierając but na łóżku, jakby to było jego trofeum.

– Nie moich ludzi, Kenway. Przestępców. Dostarczyli cię nam Holendrzy z dezerterem, człowiekiem, który uciekł wraz z towarzyszem. Naturalnie uznano, że tym towarzyszem jesteś ty.

– I co się z nim stało, Edwardzie? Co się stało z tym człowiekiem?

– To o niego wypytywałeś, prawda? To nim się tak interesowałaś, jak opowiadał mi doktor Tennant, tym, jak go nazwałaś, „Szpiczastouchym”?

Mówiąc to, nie zdołał powstrzymać pogardliwego tonu.

– Ten człowiek, Edwardzie, był w moim domu w noc napaści. To jeden z ludzi, których szukaliśmy przez ostatnie dwanaście lat. – Popatrzyłem na niego wyzywająco. – I okazał się żołnierzem twojej armii.

– Istotnie, służył w mojej armii. I cóż z tego?

– Zastanawiający zbieg okoliczności, nie sądzisz?

Braddock zawsze chodził naburmuszony, teraz jednak jego grymas jeszcze się pogłębił.

– Daj sobie spokój z insynuacjami, chłopcze, i powiedz mi, o co naprawdę ci chodzi.

A przy okazji, gdzie jest Reginald?

– Zostawiłem go w Szwarzwaldzie. Bez wątpienia jest teraz w połowie drogi do domu.

– Żeby kontynuować swoje badania nad legendami i ludowymi przypowieściami? – spytał Braddock z pogardliwym błyskiem w oku. Poczulem nagły, nieoczekiwany przypływ lojalności wobec Reginalda i jego dociekań, mimo własnych wobec nich zastrzeżeń.

– Reginald wierzy, że gdybyśmy zdołali poznać tajemnice skarbnicy, zakon zyskałby największą potęgę od czasów wojen świętych, może nawet największą w historii. Moglibyśmy zdobyć władzę absolutną.

Braddock rzucił mi nieco znużone, pełne niesmaku spojrzenie.

– Jeśli naprawdę w to wierzysz, to jesteś takim samym głupcem i fantastą jak on. Nie potrzeba nam czarów i sztuczek, by przekonać ludzi do naszej sprawy. Potrzeba nam stali.

– Czemu nie użyć jednego i drugiego? – zaproponowałem.

Nachylił się do przodu.

– Bo to pierwsze jest zwyczajną stratą czasu, oto dlaczego.

Nie ugiąłem się pod jego spojrzeniem.

– Może tak, może nie. Nie wydaje mi się jednak, by najlepszym sposobem zjednywania sobie ludzi było ich wieszanie, a tobie?

– Znów to samo. To męty.

– Czy został stracony?

– Twój przyjaciel o, przepraszam, jak to nazywałeś, „szpiczastych uszach”?

– Twoje kpiny nic dla mnie nie znaczą, Edwardzie. Twoje kpiny są dla mnie warte tyle, co twój szacunek, czyli nic. Myślisz może, że tolerujesz mnie tylko przez wzgląd na Reginalda, cóż, zapewniam cię, że to uczucie całkowicie odwzajemnione. A teraz mów, czy człowiek o szpiczastych uszach nie żyje?

– Skonał na stryczku, Kenway. Poniósł śmierć, na jaką zasłużył.

Zamknąłem oczy i leżałem przez chwilę, nie czując nic prócz... czego? Jakiegoś wstrętne, kipiącego smutku, wściekłości i frustracji. Nieufności i wątpliwości. Cały czas czułem stopę Braddocka na łóżku i żałowałem, że nie mogę jednym cięciem miecza pozbyć się go na zawsze.

Tak postąpiłby on sam? Ale nie ja.

– A więc był tam owej nocy, tak? – spytał Braddock. Czyżbym słyszał drwiący ton w jego głosie? – Był jednym z ludzi, którzy zabili twojego ojca, przez cały ten czas skrywał się wśród nas, a my nic o tym nie wiedzieliśmy. Gorzka ironia losu, nie sądzisz, Haythamie?

– Istotnie. Ironia losu lub zbieg okoliczności.

– Pilnuj się, chłopcze, nie ma tu Reginalda, który by cię obronił.

– Jak się nazywał?

– Jak setki ludzi w mojej armii nazywał się Tom Smith – Tom Smith z kraju; niewiele więcej o nich wiemy. Zbieg, prawdopodobnie przed sądem, a może zabił w pojedynku syna swojego dziedzica albo zdeflorował jego córkę, a może wychędożył mu żonę. Kto wie? My nie pytamy. Gdybyś mnie spytał, czy jestem zaskoczony, że jeden z ludzi, na których

polowaliśmy, służył przez cały czas w mojej armii, to powiedziałbym, że nie.

– Miał tu jakichś kamratów? Kogoś, z kim mógłbym porozmawiać?

Braddock powoli zabrał bucior z łóżka.

– Jako rycerz zakonu możesz korzystać z mojej gościny i oczywiście prowadzić własne śledztwo. Mam nadzieję, że w zamian również będę mógł liczyć na twoją pomoc w naszych operacjach.

– A jakież to operacje? – spytałem.

– Francuzi oblegli twierdzę Bergen op Zoom. Wewnątrz są nasi sprzymierzeńcy:

Holendrzy, Austriacy, Hanowerczycy, Hesyjczycy oraz oczywiście Brytyjczycy. Francuzi otoczyli już twierdzę okopami i ryją właśnie drugą ich linię. Niedługo zaczną bombardowanie.

Spróbują zdobyć fortecę, zanim zaczną się deszcze. Sądzą, że w ten sposób otworzą sobie drogę w głąb Niderlandów, a sprzymierzeni uważają, że twierdzę trzeba utrzymać za wszelką cenę.

Potrzebny nam każdy żołnierz. Widzisz już, czemu nie tolerujemy dezercji. Staniesz do bitwy, Kenway, czy jesteś tak zaprzątnięty zemstą, że nie możesz nam pomóc?

## **CZĘŚĆ III**

1753, sześć lat później

7 czerwca 1753

*i*

– Mam dla ciebie zadanie – powiedział Reginald.

Pokiwałem głową; spodziewałem się tego. Minęło dużo czasu, odkąd ostatnio się widzieliśmy, i miałem przeczucie, że jego prośba o spotkanie nie była spowodowana li tylko chęcią nadrobienia zaległości, chociaż umówiliśmy się u White’a. Popijaliśmy piwo, a kelnerka, ochocza i – co nie uszło mojej uwagi – o bujnych kształtach, czekała tylko, by przynieść nam następne.

Na lewo od nas grupa dżentelmenów – osławionych „hazardzistów od White’a” – hałaśliwie grała w kości, poza tym pub był pusty.

Nie widziałem Reginalda od tamtego dnia w Szwarzwaldzie sześć lat temu, a bardzo wiele się przez ten czas wydarzyło. Dołączywszy do Braddocka w Republice Zjednoczonych Prowincji wraz z Coldstream Guards, wziąłem udział w oblężeniu Bergen op Zoom, a potem służyłem pod jego dowództwem aż do rozejmu w Aix-la-Chapelle rok później, wyznaczającego kres wojny. Następnie przez jakiś czas walczyliśmy z maruderami, co nie pozwoliło mi wrócić do Reginalda, którego listy przychodziły albo z Londynu, albo z zameczku w puszczy Landes.

Wiedząc, że moja korespondencja może być czytana przed wysłaniem, pisałem bardzo ogólnikowo, w duchu nie mogąc się doczekać chwili, kiedy będziemy mogli w końcu usiąść i porozmawiać o moich obawach.

Kiedy jednak wróciłem do Londynu i ponownie zamieszkałem przy Queen Anne’s Square, dowiedziałem się, że jest zajęty. Tak mi mówiono: ślęczy nad swoimi książkami wraz z Johnem Harrisonem, innym rycerzem

zakonu, tak samo zafascynowanym świątyniami, starożytnymi skarbnicami i duchami przeszłości.

– Pamiętasz, jak przyszliśmy tu w moje ósme urodziny? – spytałem, chcąc odwlec chwilę, gdy poznam nazwisko osoby, którą będę musiał zabić. – Pamiętasz, co się tu wydarzyło, tego narwanego zalotnika, gotowego wymierzyć karę na ulicy?

Reginald pokiwał głową.

– Ludzie się zmieniają, Haythamie.

– W istocie, zmieniłeś się. Byłeś bardzo zajęty swoimi badaniami nad pierwszą cywilizacją – powiedziałem.

– Jestem już tak blisko, Haythamie – odparł, jakby sama myśl o tym unosiła z jego ramion brzemię znużenia.

– Udało ci się odcyfrować dziennik Vedomira?

Zmarszczył brwi.

– Niestety nie, chociaż nie szczędziłem wysiłków. Czy może powinienem raczej powiedzieć „jeszcze nie”, bo mamy szyfrantkę, Włoszkę, współpracującą z asasynami – kobietę, dałbyś wiarę? Mamy ją w zameczku, głęboko w puszczy, ale twierdzi, że do odcyfrowania dziennika potrzebny jest jej syn, a on zaginął kilka lat temu. Osobiście wątpię, czy mówi prawdę, i uważam, że gdyby chciała, bez trudu poradziłaby sobie sama. Moim zdaniem wykorzystuje nas, by odzyskać syna. Ale zgodziła się pracować nad dziennikiem, jeśli go znajdziemy, i w końcu się nam to udało.

– Gdzie?

– Tam, dokąd wkrótce się po niego udasz... Na Korsyce.

A zatem myliłem się. To nie zlecenie zabójstwa, tylko zadanie dla niańki.

– Co? – spytał, widząc moją minę. – Uważasz, że to niegodne twoich umiejętności?

Wręcz przeciwnie, Haythamie. To najważniejsze zlecenie, jakie kiedykolwiek ci powierzyłem.

– Nie, Reginaldzie – westchnąłem. – Wcale nie. Tak tylko ci się wydaje.

– Czyżby? Co masz na myśli?

– To, że być może twoje zainteresowanie tym zadaniem sprawiło, iż zaniedbałeś inne sprawy. Być może pozwoliłeś, by wymknęły się spod



kontroli...

– Jakie „sprawy”? – spytał zdumiony.

– Edward Braddock.

Reginald zrobił zaskoczoną minę.

– Rozumiem. Cóż, chcesz mi coś o nim powiedzieć? Coś, co przede mną ukrywałeś?

Gestem zamówił następne piwa, a nasza kelnerka je przyniosła, z uśmiechem postawiła na stole, a potem odeszła, kołysząc biodrami.

– Co Braddock mówił ci o swoich poczynaniach przez ostatnie lata? – spytałem Reginalda.

– Odzywał się rzadko, a widywałem go jeszcze rzadziej – odparł. – Przez ostatnie sześć lat spotkaliśmy się tylko raz, o ile dobrze pamiętam, listy zaś słał tylko sporadycznie. Nie pochwala mojego zainteresowania Tymi, Którzy Byli Wcześniej i, inaczej niż ty, nie zatrzymuje swoich obiekcji dla siebie. Mam wrażenie, że wielce się różnimy w poglądzie na to, jak najlepiej głosić przesłanie templariuszy. Wiem o nim bardzo mało; rzeczywiście, gdybym chciał się czegoś dowiedzieć, spytałbym kogoś, kto mu towarzyszył podczas jego kampanii... – Uśmiechnął się sardonicznie. – Jak myślisz, gdzie mógłbym kogoś takiego znaleźć?

– Byłbyś głupcem, pytając mnie – odparłem ze śmiechem. – Wiesz doskonale, że jeśli chodzi o Braddocka, nie jestem nazbyt bezstronny. Nie lubiłem go od początku, a teraz lubię jeszcze mniej. Jednak gdy brak bardziej obiektywnych spostrzeżeń, oto moje: stał się tyranem.

– Jak to?

– Jest okrutnikiem. Wobec ludzi, którzy cierpią pod jego komendą, ale też wobec niewinnych. Na własne oczy zobaczyłem to po raz pierwszy w Republice Zjednoczonych Prowincji.

– To, jak Edward traktuje swoich ludzi, to jego sprawa – rzekł Reginald, wzruszając ramionami. – Żołnierze potrzebują dyscypliny, Haythamie, sam dobrze wiesz.

Pokręciłem głową.

– Ostatniego dnia oblężenia, Reginaldzie, miał miejsce pewien incydent.

Ten usiadł wygodniej.

– Mów – zachęcił.

– Wycofywaliśmy się. Holenderscy żołnierze wygrażali nam pięściami, przeklinali króla Jerzego, że nie przysłał więcej żołnierzy na odsiecz twierdzy. Nie wiem, czemu nie przybyło nas więcej. Czy zrobiłoby to jakąś różnicę? Tego też nie wiem. Chyba żaden z nas w tych pentagonalnych murach nie wiedział, jak zatrzymać francuską nawałę, oddaną i okrutną, bezlitosną i nieprzerwaną.

Braddock miał słuszość: Francuzi wykopali drugą linię okopów i zaczęli ostrzeliwać miasto, nacierając na mury fortecy. Dotarli do nich we wrześniu, kiedy podłożyli miny pod umocnienia i wysadzili je.

Urządzaliśmy wypadki za mury, by przerwać oblężenie, ale bezskutecznie, aż 18 września Francuzi się przebili, o czwartej rano, jeśli pamięć mi służy. Zaskoczyli sprzymierzonych dosłownie we śnie i pobili nas, nim się zorientowaliśmy. Wyrznęli cały garnizon. Wiemy, oczywiście, że w końcu złamali dyscyplinę i jeszcze gorzej potraktowali nieszczęsnych mieszkańców miasta, ale rzeź już trwała. Edward zabezpieczył w porcie mały statek i dawno już postanowił, że kiedy nadejdzie taki dzień, że Francuzi się przedrą, ewakuuje nim swoich ludzi.

Ów dzień właśnie nadszedł.

Nasza grupa przedostała się do portu, gdzie zaczęliśmy nadzorować załadunek ludzi i zapasów na pokład. Zostawiliśmy niewielkie siły na portowych murach dla obrony przed grasującymi oddziałami francuskimi, a Edward, ja i paru innych staliśmy przy trapie. Do twierdzy Bergen op Zoom przyprowadziliśmy około tysiąca czterystu ludzi, ale po miesiącach walk ta liczba skurczyła się o połowę. Na statku było miejsce. Niezbyt dużo, nie mogliśmy zabrać wielu pasażerów, na pewno nie tylu, ilu trzeba było ewakuować z twierdzy, ale było miejsce. – Popatrzyłem wyzywająco na Reginalda. – Mogliśmy ich zabrać, o to mi chodzi.

– Kogo mogliście zabrać, Haythamie?

Wypiłem długi łyk piwa.

– W porcie podeszła do nas rodzina. Wśród nich starzec, który ledwie chodził, a także dzieci. Jeden z nich, młody mężczyzna, zbliżył się do nas i spytał mnie, czy mamy miejsce na statku. Przytaknąłem, nie widziałem

powodu, by odmawiać, i wskazałem Braddocka, ale on, zamiast wpuścić ich na pokład, jak się spodziewałem, podniósł rękę i rozkazał im opuścić port, jednocześnie popędzając swoich ludzi. Młody mężczyzna był równie jak ja zaskoczony.

Chciałem zaprotestować, ale nie zdążyłem; jego twarz pociemniała i powiedział do Braddocka coś, czego nie dosłyszałem, ale z pewnością była to jakaś obelga.

Braddock powiedział mi później, że tamten wyzwiał go od „tchórzy”. Trudno tu mówić o ciężkiej obeldze, z pewnością nie zasługiwał na to, co się wydarzyło potem, mianowicie Braddock dobył pałasza i na miejscu przeszył nim młodego człowieka.

Bez przerwy towarzyszyła mu grupka żołnierzy. Jego stałymi kompanami był kat, Slater, i jego pomocnik, nowy pomocnik, dodam, poprzedniego zabiłem. Można ich nazwać przybocznymi. Na pewno byli mu bliżsi niż ja. Nie umiem powiedzieć, czy słuchał ich rad i opinii, ale byli mu fanatycznie oddani; skoczyli do przodu, zanim ciało młodego mężczyzny upadło na ziemię. Rzucili się na tę rodzinę, Reginaldzie, Braddock i jego dwaj ludzie, i wyrznęli ją do nogi: dwóch mężczyzn, starszą kobietę, młodszą kobietę i oczywiście dzieci, z których jedno było niemowlęciem... – Zgrzytnąłem zębami. – To była jatka, Reginaldzie, najgorsze okrucieństwo, jakie widziałem na wojnie, a obawiam się, że widziałem ich pod dostatkiem.

Reginald z powagą pokiwał głową.

– Rozumiem. Naturalnie nastawiło cię to przeciwko Edwardowi.

– Oczywiście – prychnąłem. – Oczywiście, że tak. Wszyscy jesteśmy żołnierzami, Reginaldzie, ale nie barbarzyńcami.

– Rozumiem, rozumiem.

– Doprawdy? W końcu to widzisz? Że Braddock postradał zmysły?

– Spokojnie, Haythamie. „Postradał zmysły?” Napad szału to jedno, „postradać zmysły” to zupełnie inna rzecz.

– Traktuje swoich ludzi jak niewolników, Reginaldzie.

Reginald wzruszył ramionami.

– I co z tego? To brytyjscy żołnierze, spodziewają się takiego traktowania.

– Uważam, że się od nas oddala. Ludzie, którzy mu służą, nie są templariuszami, to najemnicy.

Pokiwał głową.

– Tamci dwaj w Szwarcwaldzie, czy oni też należeli do wewnętrznego kręgu Braddocka?

Spojrzałem w jego oczy. Przyglądałem mu się bardzo uważnie, kłamiąc:

– Nie wiem.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Nie chcąc mu dłużej patrzeć w oczy, wypilem długi łyk piwa i udałem, że przyglądam się kelnerce. Ucieszyłem się ze zmiany tematu, gdy Reginald w końcu nachylił się bliżej, by przedstawić mi szczegóły mojej zbliżającej się podróży na Korsykę.

## *ii*

Rozstaliśmy się na ulicy przed pubem i poszliśmy do swoich powozów. Kiedy nieco się oddaliłem, zastukałem w dach, dając znak do zatrzymania, a mój woźnica zszedł z kozła, obejrzał się na lewo i prawo, upewniając się, że nikt nie patrzy, i dołączył do mnie w środku. Usiadł naprzeciw mnie, zdjął kapelusz, położył go na siedzeniu obok i spojrzał na mnie jasnym, ciekawym wzrokiem.

– Tak, panie Haythamie? – spytał.

Spojrzałem na niego, wziąłem głęboki oddech i wyjrzałem za okno.

– Wieczorem wyruszam na morze. Wrócimy na Queen Anne's Square, gdzie się spakuję, a potem pojedziemy prosto do doków, jeśli łaska.

Uchylił wyimaginowanej czapki.

– Do usług, panie Kenway. Zaczynam się przyzwyczajać do tego powożenia. Dużo czekania, pewnie, bez tego mógłbym się obyć, ale poza tym, cóż, przynajmniej Francuzi nie strzelają do człowieka, ani też nasi oficerowie. Tak jest, powiedziałbym, że to największa zaleta tej roboty, brak ludzi, którzy do człowieka strzelają.

Czasami bywał męczący.

– Właśnie tak, Holden – powiedziałem z miną, która miała go uciszyć, chociaż szanse na to nie były duże.

– No cóż, proszę pana, a dowiedział się pan czegoś?

– Obawiam się, że niczego konkretnego.

Wyjrzałem za okno, zmagając się z wątpliwościami, poczuciem winy i zdrady. Zastanawiałem się, czy komukolwiek jeszcze tak naprawdę ufam – czy komuś jestem jeszcze lojalny.

Ironią losu człowiekiem, którego darzyłem największym zaufaniem, był Holden. Poznałem go w Republice Zjednoczonych Prowincji. Braddock dotrzymał słowa i pozwolił mi wypytywać swoich ludzi o „Toma Smitha”, który dokonał żywota na szubienicy.

Nie byłem jednak zaskoczony, kiedy moje dochodzenie okazało się bezowocne. Żaden z przepytanych nie przyznał się nawet do znajomości ze Smithem, o ile tak rzeczywiście brzmiało jego nazwisko, aż pewnej nocy usłyszałem jakieś poruszenie przy wejściu do namiotu, usiadłem na łóżku i zobaczyłem wchodzącą postać.

Mężczyzna był młody, dwudziestokilkuletni, miał krótkie, rudawe włosy i swobodny, psotny uśmiech. Jak się później okazało, był to szeregowy Jim Holden, londyńczyk, porządny człowiek, któremu zależało na sprawiedliwości. Jego brat był jednym z żołnierzy, których powieszono tego dnia, kiedy to ja sam omal nie zginąłem. Ukarano go za zbrodnię kradzieży zupy. To było całe jego przewinienie, ukradł miskę zupy, bo głodował. W najgorszym razie zasłużył na chłostę, ale nie na stryczek. Jego największym błędem było to, że ukradł ową zupę jednemu z ludzi Braddocka, członkowi prywatnego oddziału najemników pułkownika.

Tego właśnie dowiedziałem się od Holdena: piętnaście setek Coldstream Guards składało się głównie z żołnierzy brytyjskiej armii, takich jak on sam, ale wśród nich była mała grupa ludzi wybranych osobiście przed Braddocka: najemnicy. Należeli do nich Slater i jego pomocnik – a także, co gorsza, dwaj żołnierze, którzy pojechali do Szwarzwaldu.

Żaden z nich nie nosił pierścienia zakonu. To byli zbóje, obwiesie. Zastanawiałem się, dlaczego Braddock zbudował swój najbliższy krąg z takich ludzi, a nie z rycerzy zakonu? Im więcej czasu z nim spędzałem, tym bardziej byłem przekonany, że znam odpowiedź: zasady templariuszy były mu coraz bardziej obce.

Popatrzyłem na Holdena. Tamtej nocy protestowałem, ale oto był człowiek, który dostrzegł zepsucie Braddocka. Chciał sprawiedliwości dla swojego brata, więc moje protesty nie robiły na nim wrażenia. Zamierzał mi pomóc, czy chciałem tego czy nie.

Zgodziłem się, ale pod warunkiem, że jego pomoc pozostanie tajemnicą. Pragnąc przechytryć tych, którzy cały czas byli o krok przede mną, musiałem udawać, że porzuciłem sprawę odnalezienia morderców ojca – tak aby stracili ową przewagę.

Dlatego też, kiedy opuściliśmy Republikę Zjednoczonych Prowincji, Holden objął posadę mojego kamerdynera oraz woźnicy i w istocie, na ile ktoś z zewnątrz mógłby wywnioskować, tym właśnie był. Nikt nie wiedział, że w rzeczywistości prowadzi śledztwo w moim imieniu.

Nawet Reginald.

Może zwłaszcza on.

Holden zobaczył wypisane na mojej twarzy poczucie winy.

– Sir, to, co pan mówi panu Birchowi, to nie są kłamstwa. Pan tylko robi to samo co on, czyli zataja pewne drobne informacje, dopóki się pan nie upewni, że można mu ufać, a jestem przekonany, sir, że tak właśnie będzie. Jestem tego pewny, w końcu to pana najdawniejszy przyjaciel.

– Chciałbym podzielać twój optymizm w tej materii, Holden, doprawdy. Dalejże, musimy jechać. Moje zadanie czeka.

– Oczywiście, sir, a dokąd to zadanie pana wzywa, jeśli mogę spytać?

– Na Korsykę – odparłem. – Płynę na Korsykę.

– Ach, w sam środek rewolucji, z tego co słyszę...

– Zgadza się, Holden. Arena konfliktu to doskonała kryjówka.

– A co pan tam będzie robił, sir?

– Nie mogę powiedzieć. Dość rzec, że nie ma to nic wspólnego z szukaniem zabójców mojego ojca, a więc interesuje mnie marginalnie. To zlecenie, służba, nic poza tym. Mam nadzieję, że pod moją nieobecność będziesz kontynuował własne śledztwo?

– Och, z całą pewnością, sir.

– Doskonale. Dopilnuj, żeby pozostało tajemnicą.

– Już niech się pan o to nie kłopotczy. Gdyby ktokolwiek pytał, pan Kenway dawno już porzucił swoje szukanie sprawiedliwości. Kimkolwiek oni są, sir, w końcu opuszczą gardę.

25 czerwca 1753

*i*

W dzień na Korsyce panował upał, ale w nocy temperatura spadała. Nieznacznie – nie był to mróz – ale wystarczająco, by leżenie na kamienistym zboczu bez pledu było niemiłym doświadczeniem.

Zimno jednak nie było najważniejsze, a przynajmniej nie tak ważne jak oddział posuwających się w górę stoku genueńskich żołnierzy. Chciałbym móc powiedzieć, że posuwali się bezszelestnie.

Chciałbym tak powiedzieć, ale to nie prawda.

Na płaskim szczycie wzgórza stało gospodarstwo. Obserwowałem je przez ostatnie dwa dni, wpatrując się przez lunetę w drzwi i okna dużego budynku oraz licznych mniejszych przybudówek i stodół, bacząc na wchodzących i wychodzących. Rewolucjoniści przynosili i wynosili zapasy; pierwszego dnia mała ich grupa – naliczyłem ośmiu – opuściła gospodarstwo i wróciła, jak sobie uświadomiłem, po przeprowadzeniu jakiegoś ataku. Korsykańscy buntownicy walczyli ze swoimi genueńskimi panami. Wróciło ich tylko sześciu, zmęczonych i pokrwawionych, ale nawet bez słów czy gestów czuć było bijącą od nich aurę tryumfu.

Niedługo zjawiły się kobiety z zapasami i świętowanie ciągnęło się długo w noc.

Rankiem przybyli następni bojownicy z muszkietami owiniętymi w koce. Byli dobrze wyposażeni i, jak się zdaje, mieli wsparcie; nic dziwnego, że Genueńczycy chcieli zetrzeć to miejsce z powierzchni ziemi.

Dwa dni spędziłem, przemieszczając się wokół wzgórza, by pozostać nieujawnionym.



Teren był skalisty i utrzymywałem bezpieczny dystans od zabudowań. Jednak rankiem drugiego dnia spostrzegłem, że mam towarzystwo. Na wzgórzu był jeszcze jeden człowiek, jeszcze jeden obserwator. Pozostawał w tym samym miejscu, ukryty wśród głązów, między krzewami i nędznymi drzewami, które jakimś cudem przetrwały na spalonym przez słońce stoku.

## ii

Mój cel nazywał się Lucio, znalazł schronienie u rewolucjonistów. Nie miałem pojęcia, czy oni też byli sprzymierzeni z asasynami, zresztą nie miało to znaczenia. Chodziło mi tylko o niego: dwudziestojednoletniego chłopaka, który był kluczem do zagadki dręczącej biednego Reginalda od sześciu lat. Wyglądał zupełnie zwyczajnie, miał włosy do ramion i, jak się zorientowałem, obserwując gospodarstwo, pomagał przy noszeniu wiader z wodą, karmieniu trzody, a wczoraj ukręcił łeb kurczakowi.

A zatem był tutaj: tyle ustaliłem na pewno. Dobrze. Nie unikałem jednak trudności.

Przede wszystkim był pilnowany. Przez cały czas nie odstępował go mężczyzna w szatach i kapturze asasyna. Kiedy Lucio nosił wodę albo sypał ziarno kurom, tamten przeczesywał wzrokiem zbocza wzgórza. U pasa miał broń i stale poruszał palcami prawej ręki. „Czyżby nosił osławione, asasyńskie ukryte ostrze?“, zastanawiałem się. Bez wątplenia. Musiałem na niego uważać, to pewne, nie wspominając już o rewolucjonistach stacjonujących w gospodarstwie. Aż się od nich roiło.

Jeszcze jedno musiałem wziąć pod uwagę: najwyraźniej szykowali się do wymarszu. Może urządzili tu tymczasową bazę wypadową, może wiedzieli, że Genuieńczycy będą szukać zemsty i trafią tu w końcu. Tak czy inaczej, przynosili zapasy do stodół i tam zapewne ładowali je na wozy. Domyślałem się, że wyruszą następnego dnia.

Rozwiązaniem byłaby więc akcja nocą. I musiałem ją przeprowadzić dzisiaj. Rano udało mi się wypatrzeć, gdzie sypia Lucio: dzielił średniej wielkości przybudówkę z asasynem i co najmniej sześcioma

rewolucjonistami. Wchodząc, używali hasła; przez lunetę odczytałem je z ruchu ust: „Działamy w ciemności, by służyć światłu”.

Była to więc operacja wymagająca planowania, ale kiedy zamierzałem już opuścić zbocze, by się przygotować, zobaczyłem drugiego mężczyznę.

I moje plany uległy zmianie. Podkradłem się do niego bliżej i rozpoznałem w nim genueńskiego żołnierza. Najpewniej był zwiadowcą oddziału zamierzającego zdobyć warownię, a pozostali do niego dołączają. Pytanie tylko kiedy...

„Raczej prędzej niż później”, pomyślałem. Będą chcieli się natychmiast zrewanżować za wczorajszą akcję. Więcej nawet, będą chcieli pokazać, że reagują szybko na poczynania rewolucjonistów. A zatem dziś wieczorem.

Zostawiłem go. Pozwoliłem mu obserwować dalej i zamiast się wycofać, zostałem na zboczu, układając nowy plan. Taki, w którym ważną rolę odgrywali genueńscy żołnierze. Zwiadowca był dobrze wyszkolony. Nie dał się zobaczyć, a kiedy zapadł zmrok, bezszelestnie wycofał się w dół zbocza. Zastanawiałem się, gdzie reszta jego oddziału.

Nie byli daleko; nim upłynęła godzina, zacząłem dostrzegać ruch u stóp wzniesienia, a raz usłyszałem nawet stłumione włoskie przekleństwo. Byłem już wtedy w połowie drogi na szczyt; rozumiejąc, że wkrótce rozpocznie się natarcie, podkradłem się jeszcze bliżej wierzchołka i zagrody dla zwierząt. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej zobaczyłem pierwszego wartownika.

Wczoraj wieczorem było ich pięciu, rozstawionych na całym obwodzie gospodarstwa. Dziś bez wątpienia wzmocnili strażę.

Wyjąłem lunetę i wycelowałem ją w najbliższego stojącego wartownika, który – oświetlony przez księżyc za plecami – czujnie lustrował zbocze poniżej. Mnie nie mógł dojrzeć, byłem dla niego zaledwie jeszcze jednym nieregularnym kształtem wśród mnóstwa innych. Nic dziwnego, że postanowili wynieść się stąd tak szybko po swojej akcji. Nie była to najbezpieczniejsza kryjówka. Właściwie byli tu jak na talerzu, gdyby nie to, że zbliżający się Genueńczycy diabelnie hałasowali. Ich zwiadowca był wyjątkiem. Skradanie się było dla nich najwyraźniej koncepcją obcą i nieznaną; z dołu wzgórza dobiegały mnie coraz głośniejsze hałasy.

Rewolucjoniści musieli je zaraz usłyszeć. Gdy je usłyszą, będą mieli aż nadto czasu, by uciec. Jeśli uciekną, zabiorą ze sobą Lucia.

Dlatego postanowiłem pomóc żołnierzom. Każdy wartownik miał przydzielony rejon. Ten najbliżej mnie chodził wolno w tę i z powrotem po około piętnastometrowym odcinku. Był czujny; dbał, by obserwując jeden fragment swojego terenu, nie tracić z oczu reszty. Ale gdy tak przemieszczał się z jednego miejsca w drugie, dawał mi za każdym obchodem kilka sekund, bym mógł zakraść się bliżej.

Tak też zrobiłem. Metr za metrem, aż zbliżyłem się na tyle, by dokładnie go obejrzeć: jego bujną, siwą brodę, kapelusz zacierający oczy i muszkiet wiszący na ramieniu. A choć jeszcze nie widziałem ani nie słyszałem nadchodzących Genueńczyków, wiedziałem o ich obecności; wkrótce i on miał się o niej dowiedzieć.

Mogłem tylko zakładać, że to samo rozgrywa się po drugiej stronie wzgórza, co oznaczało, że muszę działać szybko. Dobyłem krótkiego miecza i przygotowałem się. Żał mi było wartownika, więc w duchu poprosiłem go o wybaczenie. Niczym mi nie zawinił, był po prostu dobrym i czujnym strażnikiem, nie zasługiwał na śmierć.

Wtedy na kamienistym zboczu wzgórza znieruchomiałem. Pierwszy raz w życiu zwątpiłem, czy jestem w stanie to zrobić. Przypomniała mi się rodzina w porcie, wyrżnięta przez Braddocka i jego ludzi. Siedem bezsensownych śmierci. Nagle spadło na mnie przekonanie, że nie potrafię już dłużej pomnażać tego zniwa. Nie mogłem ściąć wartownika, który nie był mi wrogiem. Nie mogłem tego zrobić.

Tego wahania omal nie przypłaciłem życiem, bo w tej właśnie chwili niezdarność genueńskich żołnierzy w końcu dała o sobie znać; z dołu zbocza dobiegł grzechot kamieni i przekleństwo, poniosły się w nocnym powietrzu najpierw do moich, a potem do uszu wartownika.

Poderwał głowę i natychmiast sięgnął po muszkiet, wyciągając szyję i wyęzając wzrok. Zobaczył mnie. Przez mgnienie patrzyliśmy sobie w oczy. Moment zawahania minął i poderwałem się, jednym susem pokonując dzielący nas dystans. Wyciągnąłem przed siebie prawą rękę, pustą, z rozcapierzonymi palcami, miecz trzymałem w lewej. Lądując, chwyciłem

go za tył głowy i wbiłem ostrze w gardło. Chciał ostrzec towarzyszy, ale jego okrzyk przeszedł w charkot; krew trysnęła mi na rękę i jemu na pierś.

Podtrzymując mu głowę, prawą ręką pochwyciłem go, a potem powoli i bezgłośnie położyłem na suchej ziemi. Przykucnąłem. Około pięćdziesięciu metrów dalej był drugi wartownik, zaledwie niewyraźna sylwetka w ciemności, ale wiedziałem, że musi się odwrócić, a wtedy najpewniej mnie dostrzeże. Pobiegłem – tak szybko, że przez chwilę słyszałem świst powietrza w uszach – i dopadłem go w chwili obrotu. Znów chwyt za kark prawą ręką i sztych mieczem. On również był martwy, zanim dotknął ziemi.

Z dołu zbocza dobiegły mnie coraz głośniejsze hałasy Genuieńczyków, pogrążonych w błogiej nieświadomości, że nie dopuściłem do wykrycia ich podejścia. Oczywiście ich towarzysze po drugiej stronie wzgórza byli tak samo nieporadni, a nie mając anioła stróża w osobie Kenwaya, zostali zauważeni przez wartowników. Natychmiast podniósł się krzyk. Po chwili w domu zapłonęło światło i zaczęli się z niego wysypywać rewolucjoniści z łuczywami.

Naciągali buty i kurtki na grzbiety, rozdawali rapiery i muszkiety. Obserwowałem to skulony i zobaczyłem, że otwierają się wrota stodoły, a dwóch mężczyzn wyprowadza ze środka wóz załadowany zapasami. Trzeci biegł w ich stronę, prowadząc konia.

Nie było już sensu, by się skradać, i Genuieńczycy wiedzieli o tym. Teraz już ze wszystkich stron, z krzykiem przypuścili szturm na gospodarstwo.

Miałem przewagę – byłem już w środku, a do tego nie nosiłem genueńskiego munduru, więc w zamieszaniu mogłem poruszać się między biegającymi rewolucjonistami, nie wzbudzając podejrzeń.

Ruszyłem w stronę budynku, w którym mieszkał Lucio, i omal się z nim nie zderzyłem, kiedy wypadł ze środka. Włosy miał w nieładzie, ale był ubrany; wołał innego mężczyznę, kładąc mu biec do stodoły. Niedaleko był asasyn, biegł, ściągając szatę na piersi i jednocześnie dobywając broni. Zza rogu budynku wyłonili się dwaj Genuieńczycy; starł się z nimi bez wahania.

– Lucio, biegnij do stodoły! – krzyknął przez ramię.

Doskonale. O to właśnie mi chodziło – żeby coś zaprzątnęło uwagę asasyna.

Wtem ujrzałem, że na szczyt wzgórza wbiega jeszcze jeden żołnierz, przyklęka, podnosi muszkiet do ramienia i celuje. Mierzył do Lucia, trzymającego pochodnię, ale Genueńczyk nie zdążył wystrzelić. Pognałem ku niemu i dopadłem go, zanim mnie w ogóle zauważył. Wydał krótki, zduszony okrzyk, gdy wraziłem mu miecz po gardę w kark.

– Lucio! – wrzasnąłem. Jednocześnie szarpnąłem za palec zabitego, tak że muszkiet wypalił, nieszkodliwie, w niebo. Lucio przystanął, osłonił oczy dłonią i popatrzył przez podwórze w moim kierunku. Teatralnym ruchem odrzuciłem trupa żołnierza. Towarzysz Lucia pobiegł dalej – właśnie tego oczekiwałem. Nieopodal asasyn wciąż walczył; poczułem podziw dla jego umiejętności, bo skutecznie się bronił przed dwoma napastnikami jednocześnie.

– Dziękuję – zawołał chłopak.

– Zaczekaj! Musimy uciekać, zanim zajmą gospodarstwo!

Lucio potrząsnął głową przecząco.

– Muszę się dostać do wozu – zawołał. – Jeszcze raz dzięki, przyjacielu!

Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i pobiegł.

A niech to. Zakląłem i podążyłem ku stodole, równoległe do Lucia, ale niewidoczny, w cieniu. Po prawej ujrzałem genueńskiego żołnierza, który właśnie wbiegał pod górę; był tak blisko, że zobaczyłem, jak zaskoczony, szeroko otwiera oczy, gdy spotkały się nasze spojrzenia.

Zanim zdążył zareagować, chwyciłem go za rękę, obróciłem szarpnięciem i pchnąłem pod pachę, tuż pod napierśnikiem. Z wrzaskiem runął z powrotem na kamienie, gasząc przy tym swoje łuczywo. Pobiegłem, starając się trzymać blisko Lucia i baczyć, by nic mu nie zagroziło. Do stodoły dotarłem tuż przed nim. Mijając ją, wciąż w ciemności, zajrzałem do środka przez otwarte drzwi. Dwaj rewolucjoniści zaprzęgali konia do wozu, dwaj inni stali zaś na straży. Jeden strzelał właśnie z muszkietu, drugi nabijał, a potem przyklęknął do strzału. Przebiegłem obok i skoczyłem pod ścianę stodoły, gdzie zastałem genueńskiego żołnierza, który właśnie otwierał boczne drzwi. Dźgnąłem go mieczem w krzyż, prowadząc ostrze w górę. Wił się przez chwilę, nabity na klingę. Pchnąłem jego ciało przed sobą

przez drzwi, cisnąłem zapaloną pochodnię na tył wozu i uskokczyłem w cień.

– Brać ich! – zawołałem, starając się naśladować głos i akcent genueńskiego żołnierza. – Bij buntowników!

– Wóz płonie! – wrzasnąłem zaraz potem, tym razem głosem korsykańskiego rewolucjonisty. Jednocześnie wyskoczyłem z ciemności, pchając przed sobą trupa Genueńczyka.

Cisnąłem go na ziemię, jakbym dopiero go zabił.

– Wóz płonie! – powtórzyłem i odwróciłem się do Lucia, który właśnie wbiegł do stodoły. – Musimy uciekać. Lucio, chodź ze mną.

Dwaj rewolucjoniści popatrzyli po sobie; zdezorientowani, zachodzili w głowę, kim jestem i czego chcę od Lucia. Rozległ się huk salwy z muszkietów i z drewnianych ścian posypały się drzazgi. Jeden z wartowników padł trafiony kulą w oko, a ja skoczyłem na drugiego, udając, że osłaniam go przed ogniem. W rzeczywistości pchnąłem go nożem w serce. Kiedy umierał, zobaczyłem, że był to towarzysz Lucia.

– Nie żyje – powiedziałem do chłopaka, wstając.

– Nie! – krzyknął, a w oczach stanęły mu łzy. Nic dziwnego, że karmił kury, skoro wybuchął płaczem na widok pierwszego poległego towarzysza.

Stodoła stała już w ogniu. Pozostali dwaj rewolucjoniści, widząc, że nic nie uratują, rzucili się do ucieczki na łeb na szyję przez podwórze w dół zbocza, znikając w ciemnościach.

Inni też uciekali. Genueńscy żołnierze podpalili dom.

– Muszę poczekać na Miko – zawołał Lucio.

Zgadłem, że mówił o towarzyszącym mu asasynie.

– Jest zajęty gdzie indziej. Prosił mnie, jako członka bractwa, bym się tobą zajął.

– Na pewno?

– Dobry asasyn jest zawsze podejrzliwy – powiedziałem. – Miko dobrze cię wyuczył. Ale to nie pora na wykład podstaw naszego credo. Musimy iść.

Lucio pokręcił głową.

– Podaj hasło – rzekł stanowczo.

– „Wolność wyboru”.

Wreszcie zdobyłem jego zaufanie na tyle, by poszedł za mną. Ruszyliśmy w dół zbocza; ja rozradowany, dziękujący Bogu, że w końcu go mam; on – sam nie wiem. Nagle się zatrzymał.

– Nie – powiedział, kręcąc głową. – Nie mogę. Nie zostawię Miko.

„Świetnie”, pomyślałem.

– Kazał iść – odparłem. – Będzie czekał na dnie rozpadliny, gdzie uwiązaliśmy konie.

Za nami, w gospodarstwie, szalał pożar, słyszałem też, że Genueńczycy dorzynali resztki oddziału rewolucjonistów. Nieopodał rozległ się stukot kamieni i zobaczyłem w ciemności dwie postacie uciekających rewolucjonistów. Lucio też ich dostrzegł i chciał przywołać, ale zakryłem mu usta dłonią.

– Nie, Lucio – szepnąłem. – Gonią ich żołnierze.

Wytrzeszczył oczy.

– To moi towarzysze. Moi przyjaciele. Muszę iść z nimi. Musimy sprawdzić, czy Miko jest cały i zdrowy.

Z góry dobiegły czyjeś błagania i krzyk. Lucio rozejrzał się pospiesznie, jakby bił się z myślami: pomóc kamratom na górze, czy pobiec za uciekającymi? Tak czy inaczej, widać było, że postanowił mnie opuścić.

– Nieznajomy... – zaczął.

„Teraz to »nieznajomy«, co?”, pomyślałem.

– Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie uczyniłeś, i mam nadzieję, że spotkamy się kiedyś w pomyślniejszych okolicznościach, może wtedy będę mógł lepiej wyrazić swoją wdzięczność, ale w tej chwili potrzebują mnie moi towarzysze.

Podniósł się. Ściągnąłem go za ramię na powrót, w dół. Wyrwał mi się, zacinając zęby.

– Poczekaj, Lucio – powiedziałem – posłuchaj. Przysłała mnie twoja matka, żebym cię do niej zabrał.

Słyszając to, aż odskoczył w tył.

– O nie – jęknął. – Nie, nie, nie.

Nie takiej reakcji się spodziewałem.

Musiałem podbiec w górę po kamieniach, by go dogonić, ale on zaczął mi się wyrywać.

– Nie, nie – powiedział. – Nie wiem, kim jesteś, zostaw mnie w spokoju.

– Ech, na miłość boską – warknąłem. Przyznając się w duchu do porażki, chwyciłem go ramieniem za szyję i nie zwracając uwagi na opór, ścisnąłem mu gardło, odcinając krew w arterii szyjnej – nie na tyle mocno, by spowodować trwałą szkodę, wystarczająco jednak, by stracił przytomność.

Zarzuciłem go sobie na ramię – był drobny i chudy – i poniosłem w dół zbocza, starannie unikając niedobitków rewolucjonistów, uciekających przed Genuieńczykami. Zastanawiałem się, czemu właściwie nie ogłuszyłem go od razu.

### *iii*

Zatrzymałem się na skraju rozpadliny i położyłem Lucia na ziemi, potem wydobyłem linę, przywiązałem ją i opuściłem w ciemność. Później związałem chłopakowi ręce jego własnym paskiem, drugi koniec przełożyłem mu pod udami i zapętlilem tak, że wisiał mi bezwładnie na plecach. Następnie rozpocząłem powolną wędrówkę w dół.

Mniej więcej w połowie drogi ciężar stał się nieznośny, ale byłem na to przygotowany i udało mi się utrzymać na linie, by wreszcie dotrzeć do otworu w ścianie urwiska, który prowadził do ciemnej jaskini. Wgramoliłem się do środka i pozbyłem się Lucia z pleców, z ulgą czując, jak mięśnie mi się rozluźniają.

W głębi groty rozległ się jakiś dźwięk. Odgłos ruchu przypominający szurnięcie, a potem cichy trzask.

Zgrzyt, jaki wydaje wysuwane ukryte ostrze asasyna.

– Wiedziałem, że tu przyjdiesz. – Usłyszałem głos. Głos należący do Miko. – Wiedziałem, że tu przyjdiesz, bo i ja sam bym tak zrobił.

Potem uderzył, wystrzelił z ciemności, wykorzystując moje zaskoczenie. Dobywałem już krótkiego miecza i miałem go w dłoni, kiedy się zwarliśmy. Jego ostrze cięło łukiem niczym szpon i zderzyło się z moją klingą z taką



siłą, że broń wypadła mi z ręki, ze szczękiem potoczyła się do wylotu jaskini i spadła w dół, w ciemność.

Mój miecz. Miecz mojego ojca.

Porzuciłem rozpacz nad stratą, bo asasyn ponowił atak, a był dobry, bardzo dobry. W ciasnej przestrzeni, bez broni, nie miałem żadnych szans. Mogłem liczyć wyłącznie na...

Szczęście.

I los się do mnie uśmiechnął, bo kiedy przywarłem do ściany jaskini, Miko źle obliczył ruch i lekko się zachwiał. W innych okolicznościach, walcząc z innym przeciwnikiem, natychmiast by ją odzyskał i dokończył dzieła – ale to nie były inne okoliczności, a ja nie byłem byle przeciwnikiem, i kazałem mu zapłacić za błąd. Chwyciłem go za rękę, wykręciłem ją i pchnąłem tak, że on również wpadł w ciemność. Nie puścił mnie jednak, lecz pociągnął za sobą, powłókł do wylotu jaskini. Z wrzaskiem bólu usiłowałem nie dać się wciągnąć w pustkę. Leżąc płasko na brzuchu, wyjrzałem za krawędź i dostrzegłem go; jedną ręką trzymał moje ramię, drugą sięgał do liny. Czułem ucisk klamer jego ukrytego ostrza. Dosięgnąłem ich drugą dłonią i zacząłem rozpinać paski. Zbyt późno zrozumiał moje zamiary. Przestał macać za liną i próbował mi przeszkodzić. Przez chwilę uderzaliśmy się po rękach, walcząc o ostrze. Kiedy rozpiąłem pierwszą klamerkę, całość przesunęła się raptownie w górę jego nadgarstka. Miko poleciał w bok, zawisł jeszcze bardziej ryzykownie niż dotąd. Wymachiwał rozpaczliwie drugą ręką. Tylko tego było mi trzeba; stękając z wysiłku, rozpiąłem ostatni pasek, zerwałem ostrze z ręki i jednocześnie wbiłem zęby w dłoń ściskającą mój nadgarstek. Ból i utrata przyczepności wystarczyły, asasyn w końcu mnie puścił.

Zniknął w mroku. Modliłem się, by spadając, nie trafił mojego konia. Ale nie usłyszałem niczego – żadnego odgłosu upadku. Zaraz potem spostrzegłem, że lina jest naprężona i drży.

Wyjrzałem dalej za krawędź, wyteżyłem wzrok w ciemności i ujrzałem Miko, całego i zdrowego – zaczynał pięć się w górę, ku mnie. Przyciągnąłem do siebie jego ostrze i przystawiłem je do sznura.

– Jeśli wejdiesz wyżej, upadek cię zabije, kiedy przetnę linę – zawołałem. Był już tak blisko, że kiedy podniósł wzrok, zobaczyłem jego oczy. Dostrzegłem w nich niezdecydowanie. –

Nie taką śmiercią powinieneś zginąć, przyjacielu – dodałem. – Ruszaj w dół i żyj.

Zacząłem powoli ciąć linę. Miko się zatrzymał, spojrzął w dół, w stronę niewidocznego w mroku dna wąwozu.

– Masz moje ostrze – powiedział.

– Łup zwycięzcy. – Wzruszyłem ramionami.

– Może kiedyś się jeszcze spotkamy – rzekł – i będę mógł je odzyskać.

– Przeczuwam, że tylko jeden z nas przeżyje następne spotkanie.

Miko kiwnął głową.

– Być może – rzekł i po chwili zniknął w ciemności nocy.

Nie byłem rad z ponownej wspinaczki na górę ani z tego, że muszę oddać konia. Ale wołałem to niż kolejne spotkanie z asasynem.

Na razie odpoczywamy. Cóż, ja odpoczywam; biedny Lucio pozostaje nieprzytomny.

Później ludzie Reginalda załadują go na osłonięty wóz, przewiozą przez Morze Śródziemne na południe Francji, a potem do zamku, gdzie połączy się znów ze swoją matką, szyfrantką.

Wreszcie zaokrętuje się na statek do Italii, dbając, by ktoś to zauważył, mimochodem wspominając o moim „młodym towarzyszu”. Jeśli asasyni ruszą na poszukiwanie Lucia, tam właśnie skoncentrują swoje wysiłki.

Reginald mówi, że nie będę mu dłużej potrzebny. Mam zniknąć w Italii, nie pozostawiając żadnego śladu, żadnego tropu.

12 sierpnia 1753

*i*

Dzień przywitałem we Francji, powróciwszy tam z Italii. Było to nie lada dokonanie!

Łatwo się o tym pisze, ale nie da się ot tak „wrócić” z Italii do Francji. Celem mojej obecności w Italii było zmylenie asasynów szukających Lucia. Dlatego wracając tam, gdzie w rzeczywistości trzymaliśmy chłopaka i jego matkę, narażałem nie tylko powodzenie niedawno zakończonej misji, ale wszystko, nad czym Reginald pracował przez ostatnie lata. Podjąłem wielkie ryzyko, tak wielkie, że kiedy się nad tym zastanawiałem, zapierało mi w piersi dech.

Pytałem sam siebie, czy jestem przy zdrowych zmysłach? Jaki głupiec podejmuje takie ryzyko?

A odpowiedź brzmiała – głupiec, który ma w sercu wątpliwości.

*ii*

Jakieś sto metrów przed bramą natknąłem się na jednoosobowy patrol – wartownika przebranego za wieśniaka, z muszkietem na ramieniu. Wyglądał na śpiącego, ale był czujny.

Kiedy się z nim zrównałem, nasze spojrzenia przelotnie się spotkały. Zamrugał, poznając mnie, i skinął, dając mi znak, że mogę jechać dalej. Wiedziałem, że po drugiej stronie zamku jest inny strażnik. Wyjechałem z lasu i posuwając się wzdłuż wysokiego muru, dotarłem do wielkiej, sklepionej, drewnianej bramy z mniejszą furtą. Stał tam na warcie mężczyzna, którego znałem z dawnych czasów, gdy tu mieszkałem.

– Proszę, proszę – powiedział. – Toż to wyrośnięty panicz Haytham.

Uśmiechnął się szeroko i wziął wodze mojego konia, a kiedy zsiadłem, otworzył mi furkę. Wszedłem do zamku, oczy, po podróży przez mroczną puszcę, oślepiło mi ostre słońce. Przede mną rozciągał się pałacowy trawnik. Idąc naprzód, czułem w brzuchu dziwny niepokój; wiedziałem, że to tęsknota za spędzoną tu młodością, kiedy Reginald, jak twierdził, kontynuował nauki mojego ojca? Ale oczywiście teraz już wiem, że mnie zwodził. Ech, być może to prawda, jeśli chodzi o naukę szermierki i skrytego poruszania się, ale wychował mnie według reguł zakonu templariuszy i nauczył, że ich droga jest jedyną. Jak i tego, że ci, którzy sądzą inaczej, są w najlepszym razie w błędzie, w najgorszym zaś – źli.

Od tamtej pory dowiedziałem się, że mój ojciec był jednym z tych błędzących, złych ludzi. Kto wie, czego bym się jeszcze od niego nauczył? Kto to może wiedzieć?

Trawa rosła zaniedbanymi kępami, mimo obecności dwóch ogrodników. Obaj mieli u pasów krótkie kordelasy; kiedy zobaczyli, że zmierzam w stronę wejścia do pałacu, ich dłonie spoczęły na rękojeściach. Podeszedłem do jednego z nich; gdy mnie poznał, kiwnął głową.

– To zaszczyt w końcu pana poznać, panie Kenway – powiedział. – Ufam, że misja przebiegła pomyślnie?

– Owszem, dziękuję bardzo – odpowiedziałem wartownikowi (czy ogrodnikowi, kimkolwiek był). Dla niego byłem rycerzem, jednym z najświetniejszych w zakonie. Czy naprawdę mogłem znienawidzić Reginalda, gdy jego opieka dała mi taką sławę? Odpowiedź brzmiała „nie”. Zresztą, czy kiedykolwiek naprawdę wątpiłem w jego nauki? Znow nie. Zawsze mogłem pójść własną drogą, ale zostałem w zakonie, bo wierzyłem w jego kodeks.

Mimo to okłamał mnie.

Nie, nie okłamał.

Jak to ujął Holden? On „zataił prawdę”.

Dlaczego?

A także, co istotniejsze, czemu Lucio tak zareagował, kiedy mu powiedziałem, że pojedzie do matki?

Słyszając moje nazwisko, drugi ogrodnik przyjrzał mi się bacznie, a potem też zgiął się w ukłonie. Minąłem go, pozdrawiając skinieniem głowy; nagle poczułem się lepszy i do tak dobrze znajomych drzwi dotarłem, dumnie wypinając pierś. Zanim zastukałem, odwróciłem się i obejrzałem na trawnik, skąd obserwowało mnie dwóch wartowników. Ćwiczyłem na tym trawniku, godzinami szlifując tu umiejętności szermiercze.

Zapukałem. Drzwi otworzył mi człowiek ubrany podobnie jak wcześniej napotkani, również z kordem u pasa. Kiedy tu mieszkałem, zamek nie był tak licznie obsadzony, ale też nie mieliśmy nigdy gościa tak ważnego jak specjalistka od szyfrów.

Pierwszą znajomą twarzą, na jaką się natknąłem, był John Harrison, który ujrzawszy mnie, stanął jak wryty.

– Haythamie – wybełkotał – co ty tu robisz, do diaska?

– Witaj, Johnie – odparłem spokojnie. – Zastałem Reginalda?

– Owszem, ale Reginald powinien tu być. A co ty tu robisz?

– Przyjechałem zobaczyć, co z Luciem.

– Co takiego? – Harrison poczerwieniał nieco na twarzy. – Przyjechałeś „zobaczyć, co z Luciem?” – Zatkąło go. – Co? Po co? Co ty sobie wyobrażasz, u licha?

– Johnie – rzekłem pojednawczo – uspokój się, proszę. Nikt mnie nie śledził. Nikt nie wie, że tu jestem.

– Niech to diabli, mam wielką nadzieję, że tak jest.

– Gdzie Reginald?

– Na dole, z więźniami.

– Hm... Więżniami?

– Z Monicą i Luciem.

– Rozumiem. Nie miałem pojęcia, że są więźniami.

Wtem otworzyły się drzwi pod schodami i wyłonił się z nich Reginald. Znałem te drzwi, prowadziły do piwnicy, która – kiedy tu mieszkałem – była zatechłą, niską kryptą, z butwiejącymi, pustymi stojakami na wino po jednej stronie i ciemną, wilgotną ścianą po drugiej.

– Witaj, Haythamie – powiedział Reginald bez uśmiechu. – Nie spodziewaliśmy się ciebie.

W pobliżu kręcił się wartownik, teraz dołączył do niego drugi. Popatrzyłem na nich i na Reginalda oraz Johna, którzy stali niczym dwaj zatroskani księża. Nie byli uzbrojeni, ale gdyby byli, poradziłbym sobie nawet z całą czwórką.

– Zaiste – odparłem. – John właśnie mi mówił, jak zaskoczony jest moją wizytą.

– Cóż, istotnie. Jesteś bardzo lekkomyślny, Haythamie...

– Być może, ale chciałem się upewnić, że Lucio jest pod należytą opieką. A teraz słyszę, iż jest tu więźniem, więc może mi to wyjaśnisz.

Reginald parsknął śmiechem.

– Czegóż się spodziewałeś?

– Tego, co mi powiedziano. Że chodzi o oddanie matce syna, że szyfrantka zgodziła się odcyfrować dziennik Vedomira, jeśli uratujemy jej dziecko z rąk korsykańskich rewolucjonistów.

– Nie kłamałem, Haythamie. Monica pracuje nad dziennikiem, odkąd tylko Lucio do niej powrócił.

– Tyle że nie w takich okolicznościach, jakich się spodziewałem.

– Kiedy marchewka nie działa, bierzemy kij – odparł Reginald, spoglądając na mnie chłodno. – Przykro mi, jeśli odniosłeś wrażenie, że marchewki będzie więcej.

– Chodźmy do niej – powiedziałem. Reginald zgodził się krótkim skinieniem głowy.

Odwrócił się na pięcie i poszedł przodem. Za drzwiami biegły w dół kamienne schody. Na ścianach tańczyły odbłaski światła.

– Co do dziennika, Haythamie, jesteśmy już blisko wyjaśnienia – powiedział Reginald, schodząc w dół. – Udało się nam ustalić, że istnieje pewien amulet. W jakiś sposób powiązany ze skarbnicą. Jeśli uda się nam go zdobyć...

Na dole żelazne kaganki na ścianach oświetlały drogę do drzwi, pilnowanych przez wartownika. Odsunął się na bok i otworzył je przed nami. Piwnica za drzwiami wyglądała tak, jak ją zapamiętałem; była oświetlona migotliwym blaskiem pochodni. Na końcu stało biurko.

Było przyśrubowane do podłogi. Do biurka kajdanami przykuto Lucia, obok zaś siedziała jego matka. Wyglądała absurdalnie – spoczywała w fotelu jakby specjalnie dla niej przyniesionym z góry. Monica miała na sobie długą spódnicę oraz zapinaną bluzkę i wyglądała jak kobieta wystrojona do kościoła, gdyby nie rdzewiejące kajdany, łączące jej nadgarstki z poręczami fotela oraz – zwłaszcza – kaganiec sekutnicy na głowie.

Lucio obrócił się na swoim krześle, zobaczył mnie i w jego oczach zapłonęła nienawiść.

Potem pochylił się z powrotem nad swoją pracą.

Zatrzymałem się na środku, w połowie drogi między drzwiami i szyfrantami.

– Reginaldzie, co to ma znaczyć? – spytałem, wskazując matkę Lucia, która patrzyła na mnie wrogo spod kagańca.

– Kaganiec to rzecz chwilowa, Haythamie. Monica dość głośno potępiała dziś rano nasze metody. Dlatego na jakiś czas przenieśliśmy oboje tutaj. – Reginald podniósł głos, zwracając się do szyfrantów. – Na pewno będą mogli wrócić jutro do swojej zwyczajnej kwatery, kiedy tylko przypomną sobie o manierach.

– Tak nie wolno, Reginaldzie.

– Ich codzienny pokój jest o wiele przytulniejszy, Haythamie – zapewnił ostrożnie.

– Nie powinni być tak traktowani.

– Tak samo jak ty nie powinienesz być straszyc na śmierć tego biednego chłopca w Szwarzwaldzie sztychem swojego miecza – warknął Reginald.

Wzdrygnąłem się; nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Tamto to było... tamto to było...

– Co innego? Bo chodziło o znalezienie zabójców twojego ojca? Haythamie... – Ujął mnie za łokieć i wyprowadził z powrotem na korytarz. Ruszyliśmy schodami na górę. – To, co tu robimy, jest dużo ważniejsze. Może ci się tak nie wydawać, ale tak jest. Tu chodzi o przyszłość całego zakonu.

Nie wiedziałem już, co myśleć. Nie miałem pewności, co jest ważniejsze, ale nic nie powiedziałem.

– A co się stanie, kiedy odczytywanie dobiegnie końca? – spytałem, kiedy znów znaleźliśmy się w sieni.

Reginald popatrzył na mnie.

– O nie – zaprotestowałem, rozumiejąc. – Żadnemu z nich nie stanie się krzywda.

– Haythamie, niezbyt mi się podoba, kiedy wydajesz mi polecenia...

– A zatem to nie polecenie – syknąłem. – Potraktuj to jako groźbę. Jeśli musisz, zatrzymaj ich tu, kiedy skończą pracę, ale jeśli spadnie im włos z głowy, będziesz miał ze mną do czynienia.

Reginald patrzył mi w oczy długo i gniewnie. Usłyszałem łomot własnego serca i modliłem się gorąco, by nie dać nic po sobie poznać. Czy kiedykolwiek tak mu się sprzeciwiłem? Z taką siłą? Chyba nie.

– Bardzo dobrze – rzekł po chwili. – Nic im się nie stanie.

Kolację zjedliśmy niemal w milczeniu, a propozycję noclegu złożył mi niechętnie. Rankiem wyjeżdżam. Reginald obiecuje informować mnie na bieżąco w sprawach dziennika. Jednak wszelka łącząca nas serdeczność zniknęła. On widzi we mnie niesubordynację. Ja w nim – kłamstwa.



18 kwietnia 1754

*i*

Tego wieczora znalazłem się w gmachu Royal Opera House, na miejscu obok Reginalda, który wyraźnie cieszył się, że obejrzy *Operę żebraczą*. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, groziłem mu; nie zapomniałem o tym, ale on najwyraźniej tak. Puścił w niepamięć albo wybaczył – jedno z dwojga. Tak czy inaczej, zachowywał się, jakby tamta konfrontacja nigdy nie miała miejsca, jakby nie pamiętał o urazie, albo z powodu ekscytacji atrakcją wieczoru, albo będąc przekonany, że amulet jest w zasięgu jego rąk.

Istotnie, amulet był w gmachu opery, na szyi asasyna, o którym była wzmianka w dzienniku Vedomira, wytropionego potem przez agentów templariuszy.

Asasyn. To on był moim następnym celem. Moim pierwszym zadaniem od chwili wydostania Lucia z Korsyki, pierwszą okazją do wypróbowania, jak kasa moja nowa broń: ukryte ostrze. Spojrzałem przez lornetkę teatralną na mężczyznę po drugiej stronie sali – mój cel – i nagle uświadomiłem sobie ironię losu.

Moim celem był Miko.

Zostawiłem Reginalda i ruszyłem za rzędami foteli, mijając widzów, aż znalazłem się przy łóżach. Dotarłszy do tej zajętej przez Miko, wszedłem bezszelestnie do środka, a potem postukałem go lekko w ramię.

Byłem gotów, gdyby próbował jakichś sztuczek. Choć cały zeszywniał i gwałtownie wciągnął powietrze, nie usiłował się bronić. Zupełnie jakby się tego spodziewał; gdy sięgnąłem i zdjąłem mu z szyi amulet – czyżbym

wyczuł... ulgę? Jakby był wdzięczny, że ktoś zdejmuje z niego odpowiedzialność, cieszył się, że nie jest już dłużej jego stróżem?

– Powinieneś być do mnie przyjść – westchnął. – Wymyślilibyśmy inny sposób...

– Tak. Ale wtedy byście się dowiedzieli – odparłem.

Rozległ się szcęk, kiedy wysunąłem ukryte ostrze. Zobaczyłem, że Miko się uśmiecha, wiedząc, że to broń, którą zabrałem mu na Korsyce.

– O ile to coś znaczy, przykro mi – powiedziałem.

– Mnie również – odparł.

Zabiłem go.

## ii

Kilka godzin później byłem na spotkaniu w domu na rogu ulic Fleet i Bride. Stałem przy stole wraz z innymi. Słuchaliśmy Reginalda i oglądaliśmy leżącą przed nami księgę. Była otwarta; widziałem na jej stronie symbol asasynów.

– Panowie – rzekł Reginald. Oczy mu lśniły, jakby od łez. – Oto trzymam w dłoni klucz.

A jeśli wierzyć tej księdze, otworzy on wrota skarbnicy zbudowanej przez Tych, Którzy Byli Wcześniej.

Powstrzymałem się od złościwości.

– Ha! Naszych drogich przyjaciół, którzy władali światem, zrujnowali go i zniknęli – rzekłem. – Wiesz, co takiego znajdziemy w środku?

Jeśli Reginald wyczuł mój sarkazm, nie dał tego po sobie poznać. Sięgnął tylko po amulet, podniósł go do góry i rozkoszował się nabożną ciszą, jaka zapadła, kiedy wisior zaczął jaśnieć wewnętrznym blaskiem. Nawet ja musiałem przyznać, że wyglądało to imponująco.

Reginald popatrzył na mnie.

– Może skrywać wiedzę – odparł. – Może broń lub coś zupełnie innego, o niezrozumiałej konstrukcji i nieznanym przeznaczeniu. To może być każda z tych rzeczy. Albo żadna z nich.

Nasi poprzednicy wciąż są dla nas zagadką. Jednego jestem pewny: cokolwiek tam czeka, przyniesie nam wielki pożytek.

– Albo naszym wrogom – rzekłem – jeśli znajdą to pierwsi.

Reginald się uśmiechnął. Czyżbym w końcu zaczynał wierzyć?

– Nie znajdą. Dopilnowałeś tego.

Miko, umierając, pragnął znaleźć inny sposób. Co miał na myśli? Pojednanie asasynów i templariuszy? Pomyślałem o ojcu.

– Zakładam, że wiesz, gdzie jest skarbnica? – spytałem po chwili.

– Panie Harrison? – rzekł Reginald.

John wystąpił do przodu i rozwinął mapę.

– Jak idą twoje obliczenia? – spytał Reginald. Harrison zakreślił na mapie obszar, który, kiedy przyjrzałem się bliżej, obejmował Nowy Jork i Massachusetts.

– Uważam, że owo miejsce znajduje się gdzieś w tym rejonie – rzekł.

– To duży obszar. – Zmarszczyłem brwi.

– Proszę o wybaczenie. Żałuję, że nie mogę podać bliższych szczegółów...

– Nic to – powiedział Reginald. – Na początek musi wystarczyć. Dlatego też wezwaliśmy tu ciebie, panie Kenway. Chcemy, byś udał się do Ameryki, odszukał skarbnicę i przywiózł nam jej zawartość.

– Jestem na wasze rozkazy – rzekłem. W duchu przekląłem Reginalda i jego fantazje; żałowałem, że nie zostawił mnie w spokoju, bym mógł kontynuować własne śledztwo. – Do wykonania zadania tej miary będzie potrzebny ktoś jeszcze prócz mnie.

– Oczywiście – odparł Reginald i podał mi jakiś papier. – Oto nazwiska pięciu ludzi oddanych naszej sprawie. Każdy z nich posiada wyjątkowe umiejętności, które pomogą ci w przedsięwzięciu. Z nimi u boku niczego ci nie braknie.

– Cóż, w takim razie najlepiej będzie, jeśli wyruszę natychmiast – powiedziałem.

– Słusznie w ciebie wierzyliśmy. Opłaciliśmy ci rejs do Bostonu. Twój statek wypływa o świcie. Ruszaj, Haythamie, i przyspórz zaszczytu nam wszystkim.



## 8 lipca 1754

*i*

Boston migotał w słońcu. Pokrzykujące mewy krążyły w górze, woda głośno chlupotała o nabrzeże portu, a trap łomotał niczym werbel, kiedy schodziliśmy z pokładu HMS Providence, znużeni i zdeorientowani po blisko miesiącu spędzonym na morzu, ale i szczęśliwi, że w końcu dotarliśmy do lądu.

Zatrzymałem się, gdy marynarze z cumującej obok fregaty przetoczyli przede mną beczki z hukiem przypominającym pomruk burzy; obejrzałem się na migotliwy, szmaragdowy ocean, na którym kołysały się łagodnie maszty okrętów Royal Navy. Na szerokie, kamienne stopnie prowadzące do portu pełnego czerwonych kurtek, kupców i żeglarzy. Na miasto Boston – kościelne wieże i charakterystyczne budynki z czerwonej cegły, które zdawały się opierać wszelkim próbom zaprowadzenia wśród nich lądu, jakby jakaś boska ręka rozsypała je po zboczu wzgórza. Wszędzie na wietrze powiewały flagi Union Jack, przypominając gościom – gdyby mieli jakieś wątpliwości – że panują tu Brytyjczycy.

Rejs z Anglii do Ameryki obfitował w przygody. Zawałem przyjaźnie i odkryłem wrogów, przeżyłem próbę zamachu, bez wątpienia zorganizowaną przez asasynów, którzy chcieli pomścić śmierć Mika i odzyskać amulet.

Dla innych pasażerów i załogi statku byłem tajemnicą. Niektórzy brali mnie za uczonego. Swojemu nowemu znajomemu, Jamesowi Fairweatherowi powiedziałem, że zajmuję się „rozwiązywaniem problemów” i że udaję się do Ameryki zobaczyć, jak się tam żyje, jakie

porządku imperium zachowano, a jakie odrzucono, jakie zmiany wprowadziły brytyjskie rządy.

Wszystko to oczywiście zmyśliłem, nie były to jednak kompletne kłamstwa. Choć bowiem przybyłem tu z konkretnym zadaniem, ciekawił mnie ten kraj, o którym tyle słyszałem, rozległy i budzący w zamieszkujących go ludziach pionierskiego, niezłomnego ducha.

Niektórzy twierdzili, że duch ów może któregoś dnia zostać wykorzystany przeciwko nam, że nasi poddani, gdy się zjednoczą, będą groźnym przeciwnikiem. Inni twierdzili, że Ameryka jest po prostu zbyt wielka, by ją kontrolować; że to beczka prochu, która w każdej chwili może wybuchnąć; że jej mieszkańcy zbuntują się w końcu przeciw nakładanym na nich podatkom, potrzebnym, by metropolia, leżąca tysiące mil od nich, miała fundusze na wojny z innym krajem, równie dalekim; i że kiedy wybuchną, możemy nie mieć dość sił, by obronić nasze interesy. Wszystko to miałem nadzieję ocenić samemu.

Był to jednak poboczny cel mojej podróży... cóż, mogę chyba uczciwie powiedzieć, że moje główne zadanie w drodze się zmieniło. Zaokrętowałem się na „Providence”, mając ukształtowane przekonania. Gdy wysiadałem u kresu podróży, przekonania, uprzednio podważone, ostatecznie uległy zmianie – wszystko to przez pewną księgę.

Księgę, którą dał mi Reginald. Ślęczałem nad nią przez większość rejsu; przeczytałem ją wielokrotnie i wciąż nie mam pewności, czy dobrze ją zrozumiałem.

Jedno wiem na pewno: o ile przedtem myślałem o Tych, Którzy Byli Wcześniej z rezerwą jak każdy sceptyk i obsesja Reginalda na ich punkcie w najlepszym razie wydawała mi się irytująca, w najgorszym zaś zagrażająca istotnym działaniom naszego zakonu, o tyle teraz wszystko się zmieniło. Teraz uwierzyłem.

Księga została napisana – czy może raczej napisana, narysowana i nagryzmołona – przez jakiegoś człowieka, czy raczej kilku ludzi: kilku szaleńców, którzy zapełnili jej karty czymś, co początkowo zdawało mi się fantastycznymi wymysłami, godnymi jedynie wykpienia i zlekceważenia.

Im dłużej czytałem, tym bardziej docierała do mnie prawda. Przez lata Reginald opowiadał (mawiałem, że mnie „zanudzał”) o swoich teoriach na temat istot żyjących przed nami. Zawsze zapewniał, że oni nas stworzyli i dlatego byliśmy im winni posłuszeństwo; że nasi przodkowie stoczyli długą i krwawą wojnę o swoją wolność.

Podczas podróży dowiedziałem się, że cała ta wiedza pochodziła z tej książki; jej lektura wywarła na mnie ogromny wpływ. Nagle zrozumiałem, czemu Reginald miał obsesję na punkcie tej rasy. Szydziłem z niego, pamiętacie? Ale podczas lektury nie miałem ochoty na kpiny, czułem tylko zdumienie, porywy uniesienia, które czasem przyprawiały mnie o zawroty głowy; poczucie – tylko tak to mogę nazwać – „nieistotności”, zrozumienia własnego miejsca w świecie. Zupełnie jakby zajrzeć przez dziurkę od klucza, spodziewając się ujrzeć drugi pokój, a zamiast tego zobaczyć zupełnie inny świat.

Co się stało z Tymi, Którzy Byli Wcześniej? Co po sobie zostawili i jak moglibyśmy to wykorzystać? Tego nie wiedziałem. To była tajemnica, która nie dawała spokoju mojemu zakonowi od wieków; tajemnica, którą kazano mi rozwikłać; tajemnica, która sprowadziła mnie tu, do Bostonu.

– Panie Kenway! Panie Kenway!

Wołał mnie młody dżentelmen, który wyłonił się z tłumu. Podeszedłem do niego.

– Tak? – spytałem czujnie. – Czym mogę służyć?

Wyciągnął do mnie rękę.

– Charles Lee, proszę pana. Niezwykle miło mi pana poznać. Proszono mnie, abym oprowadził pana po mieście. Pomógł się panu zadomowić.

Opowiadano mi o Charlesie Lee. Nie był członkiem zakonu, ale bardzo chciał do niego wstąpić; według Reginalda będzie mi nadskakiwał w nadziei, że zostanę jego wprowadzającym. Jego widok przypomniiał mi, że jestem teraz Wielkim Mistrzem Rytu Kolonialnego.

Charles miał długie, ciemne włosy, gęste bokobrody i wydatny, orli nos; chociaż od razu go polubiłem, zauważyłem, że choć do mnie się uśmiechał, na wszystkich innych patrzył z pogardą.

Zostawiliśmy bagaże i ruszyliśmy przez tłum długim nabrzeżem, mijając zagubionych pasażerów i marynarzy wciąż niemogących odnaleźć się na suchym lądzie; dokerów, handlarzy i żołnierzy, rozbrykane dzieci i pałętające się pod nogami psy.

Uchyliłem kapelusza dwóm rozchichotanym damom.

– Jak ci się tu podoba, Charles? – spytałem.

– Boston ma pewien urok – zawołał przez ramię. – Jak wszystkie kolonie. Owszem, tutejsze miasta nie mają londyńskiego splendoru ani skali, ale ludzie są uczciwi i ciężko pracują.

Odczuwa się tu pionierskiego ducha, który mnie pociąga.

Rozejrzałem się.

– To rzeczywiście niebywałe, oglądać miasto, które w końcu stanęło na nogi.

– Po kostki w cudzej krwi.

– Ech, to historia stara jak sam czas; do tego niezmienna. Jesteśmy istotami okrutnymi i zdesperowanymi, zatwardziałymi w swoich podbojach. Sasi i Frankowie. Turcy i Safawidzi.

Mógłbym tak wymieniać godzinami. Dzieje rodzaju ludzkiego to jeden ciąg zniewoleń.

– Modlę się, byśmy pewnego dnia zdołali się wznieść ponad to – powiedział Charles z przekonaniem.

– Ty się módl, ja będę działał. Zobaczymy, komu pierwszemu się powiedzie.

– To było tylko takie powiedzenie – odparł z pewną urazą w głosie.

– Owszem. Groźne powiedzenie. Słowa mają siłę. Posługuj się nimi rozważnie.

Zamilkliśmy.

– Słyszysz pod rozkazami Edwarda Braddocka? – spytałem, gdy mijaliśmy wóz wyładowany owocami.

– Tak, ale nie dotarł jeszcze do Ameryki i pomyślałem, że mógłbym... cóż... przynajmniej, dopóki nie przyjedzie... pomyślałem...

Usunąłem się zwinnie na bok, schodząc z drogi małej dziewczynce z warkoczykami.



– Wykrztuśże.

– Pan raczy wybaczyć. Miałem... miałem nadzieję, że mógłbym kontynuować nauki u pana. Skoro mam służyć zakonowi, nie wyobrażam sobie lepszego mentora niż pan.

Poczułem niejaką satysfakcję.

– Bardzo to uprzejme z twojej strony, sądzę jednak, że mnie przeceniasz.

– W żadnym razie, proszę pana.

Nieopodał zarumieniony od wysiłku chłopiec sprzedający gazety wykrzykiwał wieści o bitwie o Fort Necessity.

– Francuskie siły ogłaszają zwycięstwo po odwróceniu Waszyngtona! – ryczał. – Księżę Newcastle wysyła nowe wojska przeciwko cudzoziemskiej pladze!

„Cudzoziemska plaga”, pomyślałem. Innymi słowy, Francuzi. Jeśli wierzyć plotkom, konflikt, nazywany wojną z Francuzami i Indianami, musiał nabierać tempa.

Nie było na świecie Anglika, który nie gardziłby Francuzami, ale znałem jednego, który nienawidził ich szczególnie zajadle – był nim Edward Braddock. Kiedy przybędzie do Ameryki, tam właśnie się uda, zostawiając mi wolną rękę w działaniach – a przynajmniej taką miałem nadzieję.

Odpędziłem gazeciarza, który próbował wyłudzić ode mnie sześć pensów za gazetę. Nie miałem ochoty czytać o francuskich zwycięstwach.

Tymczasem dotarliśmy do naszych koni. Charles powiedział, że jedziemy do gospody Zielony Smok; byłem ciekaw pozostałych towarzyszy.

– Czy wyjaśniono ci, po co przyjechałem do Bostonu? – spytałem.

– Nie. Pan Birch powiedział, że powinienem wiedzieć tylko tyle, ile pan sam uzna za stosowne mi zdradzić. Wysłał mi listę nazwisk i przykazał zadbać, by spotkał pan tych ludzi.

– Powiodło ci się?

– Tak. William Johnson czeka na nas w „Zielonym Smoku”.

– Jak dobrze go nasz?

– Niezbyt. Kiedy zobaczył znak zakonu, nie zwlekał z przybyciem.

– Okaż się lojalny naszej sprawie, a może równie dobrze poznasz nasze plany – powiedziałem.

Charles się rozpromienił.

– Niczego więcej nie pragnę, proszę pana.

*ii*

Zielony Smok był dużym, ceglanym budynkiem o spadzistym, smołowanym dachu. Szyld nad wejściem przedstawiał smoka, od którego gospoda brała swoją nazwę. Według Charlesa była to najlepsza karczma w mieście; wszyscy, od zwykłych mieszkańców po czerwone kurtki i gubernatorów, spotykali się tam, by rozmawiać, spiskować, plotkować i robić interesy.

Cokolwiek działo się w Bostonie, brało najpewniej początek tu, na Union Street. Sama ulica nie robiła bynajmniej dużego wrażenia. Przypominała raczej rzekę błota; podjeżdżając do wyszynku, zwolniliśmy kroku, pilnując się, by nie ochlapać nikogo z dżentelmenów, stojących grupami przed wejściem, wspartych na laskach i rozprawiających z ożywieniem. Ustępując wozom i pozdrawiając krótkimi ukłonami konnych żołnierzy, dotarliśmy do niskiej, drewnianej stajni, w której zostawiliśmy konie, a potem wróciliśmy ostrożnie przez potoki błota do gospody. W środku natychmiast poznaliśmy właścicieli: Catherine Kerr, nieco obszerną (ujmując to, jak dżentelmenowi przystało), i Corneliusa Douglasa, którego pierwsze słowa, jakie usłyszeliśmy po wejściu, brzmiały: „Pocałuj mnie w zadek, babo!”.

Na szczęście nie mówił do mnie ani do Charlesa, lecz do Catherine. Kiedy nas spostrzegli, natychmiast porzucili swoje swary, przybrali usługne pozy i zadbali, by moje bagaże zostały zabrane na górę, do pokoju.

Charles miał rację: William Johnson już czekał.

Zostaliśmy sobie przedstawieni w pokoju na piętrze. Był to starszy mężczyzna, ubrany podobnie jak Charles, ale znużenie i doświadczenie wyryte były w bruzdach jego twarzy. Wstał znad map, które studiował, i uścisnął moją dłoń.

– Jestem zaszczycony – rzekł.

Kiedy Charles wyszedł stanąć na straży, nachylił się do mnie i dodał:

– Porządny z niego chłopak, choć trochę zbyt szczery.

Zachowałem dla siebie opinię o Charlesie i spojrzeniem nakazałem mu kontynuować.

– Powiedziano mi, że organizuje pan ekspedycję – powiedział.

– Uważamy, że w tym rejonie znajdują się pozostałości po naszych poprzednikach – odparłem, starannie dobierając słowa. – Żeby je znaleźć, potrzebuję pańskiej znajomości tego kraju i jego mieszkańców.

Mina mu zrzędła.

– Niestety, skradziono skrzynię z wynikami moich badań. Bez niej na nic się panu nie przydam.

Z doświadczenia wiedziałem, że nic nigdy nie idzie łatwo.

– W takim razie ją odszukamy – westchnąłem. – Ma pan jakieś tropy?

– Mój współnik, Thomas Hickey, rozpytywał wśród ludzi. Umie sprawnie ciągnąć za języki.

– Niech mi pan powie, gdzie go mogę znaleźć, to postaram się przyspieszyć bieg spraw.

– Słyszeliśmy pogłoski o bandytach obozujących na południowy zachód stąd – powiedział William. – Najpewniej znajdzie go pan właśnie tam.

### *iii*

Za miastem zagony kukurydzy falowały w lekkiej, wieczornej bryzie. Nieopodal ciągnął się wysoki płot wokół meliny bandytów. Ze środka dobiegały odgłosy wesołej zabawy. „Czemu nie?”, pomyślałem. Każdy dzień wyrwany śmierci na katowskim stryczku czy na bagnecie czerwonego kubraka jest powodem do świętowania, kiedy prowadzi się bandycki żywot.

Przy bramie kręcili się strażnicy i jacyś przypadkowi ludzie, niektórzy pili, inni udawali, że stoją na warcie, wszyscy zaś bezustannie się kłócili. Na lewo od obozowiska pole kukurydzy pięło się ku wierzchołkowi małego pagórka, na nim zaś siedział wartownik przy niewielkim ognisku. Siedzenie przy ognisku to zły pomysł dla czujki, ale poza tym wyglądał na jednego z nielicznych po tej stronie obozu, którzy wydawali się traktować swoje zadanie poważnie. Z całą pewnością nie było żadnych patroli, a jeśli były, to najpewniej wylegiwały się gdzieś pod drzewem, spite do

nieprzytomności, bo nikt nie zauważył mnie i Charlesa, kiedy podkradaliśmy się do mężczyzny kucającego za kruszejącym kamiennym murem i obserwującego obozowisko.

To był on: Thomas Hickey. Puciołowaty, nieco zaniedbany, prawdopodobnie sam miał słabość do grogu, jeśli trafnie odgadłem. Oto człowiek, który według Williama umiał rozwiązywać ludziom języki? Wyglądał, jakby z trudem przychodziło mu rozwiązanie własnych troków od kalesonów.

Być może mój niesmak wziął się stąd, że Hickeyowi – pierwszemu w Bostonie – nic nie mówiło moje nazwisko. Moja zrodzona z pychy irytacja była jednak niczym w porównaniu z efektem, jaki wywarł on na Charlesie, który dobył miecza.

– Trochę szacunku, chłopcze – warknął.

Powstrzymałem go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, Charlesie – powiedziałem i zwróciłem się do Thomasa. – William Johnson przysłał nas w nadziei, że uda się nam... przyspieszyć pańskie poszukiwania.

– Nie trzeba nic przyspieszać – odparł Thomas z mocnym akcentem. – Nic mi też po waszych londyńskich uprzejmościach. Znalazłem złodzieja.

Charles się zjeżył.

– To czemu nic nie robisz?

– Obmyślam, jak sobie poradzić z tymi tu hultajami – odparł Thomas, wskazał obozowisko, a potem popatrzył na nas wyczekująco, z bezczelnym uśmiechem.

Westchnąłem. Pora brać się do roboty.

– Dobrze, zabiję czujkę i ustawię się za wartownikami. Wy dwaj podejdziecie od przodu.

Kiedy otworzę ogień, zaatakujecie. Będziemy mieli przewagę zaskoczenia. Połowa z nich padnie, zanim w ogóle się zorientują, co się dzieje.

Wziąłem muszkiet, zostawiłem dwóch towarzyszy i podpełzłem na skraj pola kukurydzy, gdzie przyklęknąłem i wycelowałem w czujkę. Mężczyzna ogrzewał dłonie, trzymając muszkiet między kolanami, i prawdopodobnie

nie zauważyłby mnie, gdybym podjechał do niego na wielbłądzie. Na myśl o pociągnięciu za spust poczułem się niemal jak tchórz, ale mimo to pociągnąłem za niego.

Zakląłem, kiedy wartownik runął w przód, wzbijając snop iskier z ogniska. Wkrótce zajmie się ogniem, a sam swąd wystarczy, by zaalarmować jego towarzyszy. Pospiesznie wróciłem do Charlesa i Thomasa, którzy podkradli się bliżej obozowiska. Zająwszy pozycję niedaleko od nich, przycisnąłem kolbę muszkietu do ramienia i spojrzałem wzdłuż lufy na jednego z bandytów, który stał – choć może należałoby raczej powiedzieć, że się chwia – tuż pod bramą. Ruszył nagle w stronę pola, być może chcąc zmienić wartownika, którego właśnie zastrzeliłem, piekącego się teraz na ogniu. Zaczekałem, aż znalazł się na skraju kukurydzy; zabawa w obozie na chwilę ucichła, a kiedy znów gruchnęły ucieszne ryki, nacisnąłem spust.

Bandyta osunął się na kolana, a potem padł na bok z odstrzeloną połową czaszki. Natychmiast spojrzałem na bramę, chcąc sprawdzić, czy usłyszano huk wystrzału. Odpowiedź brzmiała „nie”. Gromada kręcąca się przy wejściu obejrzała się jak jeden mąż na Charlesa i Thomasa, którzy wrzaskiem odwracali ich uwagę. Obaj zwlekali, tak jak im kazałem. Widziałem, że świerzbią ich ręce, by dobyć własnej broni, ale czekali na mój strzał. Dobrze. Przyszła pora. Wycelowałem w jednego z bandytów, wyglądającego na przywódcę. Nacisnąłem spust i zobaczyłem, że krew bryzga mu z potylicy. Poleciał w tył.

Tym razem mój strzał usłyszano, ale nie miało to znaczenia, bo w tej samej chwili Charles i Thomas dobyli pałaszy i zaatakowali. Dwaj kolejni wartownicy padli na ziemię, krew tryskała im z ran na szyjach. Pod bramą zapanował rozgardiasz i bitwa rozpoczęła się na dobre.

Udało mi się ustrzelić jeszcze dwóch bandytów, nim porzuciwszy muszkiet, dobyłem pałasza i skoczyłem w wir walki u boku Charlesa i Thomasa. Dobrze było walczyć ramię w ramię z towarzyszami. Powaliłem trzech opryszków, którzy wrzeszcząc, dokonali żywota, ich kompani zaś umknęli za bramę i zabarykadowali się od środka.

Ja, Charles i Thomas zostaliśmy jedynymi ludźmi stojącymi teraz o własnych siłach. Zdyszani strząsnęliśmy krew z kling. Na Thomasa popatrzyłem z szacunkiem; dobrze się sprawił, a jego szybkość i sprawność zaprzeczały wyglądowi. Charles również mu się przyglądał, choć z większym jeszcze niesmakiem, jakby bojowa wprawa Thomasa go irytowała.

Mieliśmy nowy kłopot: zdobyliśmy plac, ale wrota zamknęli uciekający. To Thomas zaproponował, byśmy odpalili wystrzałem beczkę prochu – jeszcze jeden dobry pomysł człowieka, którego niedawno uważałem za opoja – i tak też uczyniłem. Wyszadziliśmy dziurę w ścianie i wbiegliśmy przez nią do środka, przeskakując nad porozrywanymi trupami zaściełającymi korytarz po drugiej stronie.

Biegliśmy dalej. Na podłogach leżały grube dywany i kobierce, okna przysłonięto świetnymi gobelinami. Cała fortalicja pogrążona była w półmroku. Dobiegały nas wrzaski mężczyzn i kobiet oraz tupot stóp. Sunęliśmy wartko naprzód, ja z pałaszem w jednej ręce i pistoletem w drugiej, kładąc trupem każdego, kto mi stanął na drodze.

Thomas porwał skądś świecznik; rozłupał nim czaszkę jakiegoś bandycie. Ocierał właśnie mózg i krew z twarzy, kiedy Charles przypomniał nam, po co tu jesteśmy: szukamy skrzyni Williama. Opisał nam ją, gdy biegliśmy ciemnymi korytarzami, napotykając coraz słabszy opór. Albo bandyci przed nami uciekli, albo zbierali siły. Nie miało zresztą znaczenia, co robili: musieliśmy znaleźć skrzynię.

I ujrzeliśmy ją wreszcie, ustawioną w głębi śmierdzącej piwem i chucią nory, pełnej ludzi: skąpo odzianych kobiet, które chwytając ubrania, pouciekały z piskiem, i kilku rzeźmieszków ładujących broń. Kula wbiła się w drewno framugi drzwi obok mnie.

Uskoczyliśmy za osłonę, bo pistolet do strzału uniósł następny mężczyzna, zupełnie nagi.

Charles odpowiedział ogniem zza framugi i golas runął na dywan z poszarpaną, czerwoną dziurą w piersi, pociągając za sobą kłęb pościeli. Z ościeżnicy znów posypały się drzazgi i musieliśmy się cofnąć. Thomas dobył pałasza, korytarzem bowiem nadbiegło dwóch zbirów.

Charles stanął obok niego.

– Złóżcie broń – zawołał jeden z ocalałych opryszków – a może daruję wam życie.

– Proponuję to samo tobie – odparłem zza drzwi. – Nie ma między nami zwady. Chcę tylko zwrócić tę skrzynię jej prawowitemu właścicielowi.

– O panu Johnsonie nie można powiedzieć, że jest prawowitym kimkolwiek – odparł tamten z kpina w głosie.

– Drugi raz nie poproszę.

– Zgoda.

Usłyszałem blisko siebie szuranie i wyjrzałem szybko zza drzwi. Tamten próbował się do nas podkraść, ale wpakowałem mu kulę między oczy i padł na podłogę, wypuszczając z ręki pistolet. Ostatni bandyta wystrzelił i skoczył po broń towarzysza, ale zdążyłem przeładować i przewidziałem jego ruch – postrzeliłem go w bok, kiedy po nią sięgał. Niczym zranione zwierzę złożył się wpół i runął na łóżko. Leżał tam w zakrwawionej pościeli, kiedy wszedłem ostrożnie do środka z wyciągniętym przed siebie pistoletem.

Spojrzał na mnie spode łba. Nie tak zapewne planował zakończyć wieczór.

– Takim jak wy nic po księgach i mapach – powiedziałem, wskazując skrzynię Williama.

– Kto was do tego najął?

– Nigdy nikogo nie widziałem – wycharczał bandyta, kręcąc głową. – Słali tylko listy i zostawiali fanty w umówionych miejscach. Ale zawsze płacili, więc robiliśmy swoje.

Gdziekolwiek się udałem, zawsze spotykałem ludzi takich jak on, gotowych na wszystko – byle dostać za to jakiś grosz. To tacy jak on napadli mój dom i zabili mi ojca. Tacy jak on pchnęli mnie na ścieżkę, którą dziś podążam.

Zawsze płacili. My robiliśmy swoje.

Choć wzrok zmąciła mi odraza, powściągnąłem chęć zabicia go.

– Cóż, te czasy się skończyły. Przekaż swoim panom, że tak powiedziałem.

Podźwignął się nieco, być może rozumiejąc, że zamierzam go oszczędzić.

– A od kogo mam to przekazać?

– Od nikogo. Będą wiedzieli – odparłem.

Thomas zaczął pospiesznie zbierać łupy, a Charles i ja zabraliśmy skrzynię i opuściliśmy obozowisko.

Odwrót był łatwy, większość bandytów uznała, że rozwaga jest tu bardziej wskazana niż ślepa brawura, i nie wchodzili nam w drogę. Dotarliśmy do koni i pogalopowaliśmy z powrotem.

#### iv

W Zielonym Smoku William Johnson znów ślęczał nad swoimi mapami. Gdy tylko zwróciliśmy mu skrzynię, od razu zabrał się za jej przetrząsanie, sprawdzając, czy nie brakuje żadnej mapy i zwoju.

– Pięknie dziękuję, panie Kenway – powiedział, kiedy upewnił się, że wszystko jest na miejscu, i usiadł przy stole. – Niech mi pan powie, czego panu trzeba.

Na mojej szyi wisiał amulet. Często mimowolnie zdejmowałem go i podziwiałem. Wyobrażałem to sobie, czy istotnie jarzył się wewnętrznym blaskiem? Nie błyszczał tak, kiedy odbierałem go Miko w operze. Pierwszy raz zajaśniał, kiedy Reginald pokazał go nam przy skrzyżowaniu Fleet i Bride. Teraz jednak, w mojej dłoni zdawał się zachowywać tak jak wtedy, jakby czerpał moc – jakkolwiek niedorzecznie to brzmi – z wiary.

Popatrzyłem na Williama, a potem sięgnąłem do szyi, zdjąłem amulet przez głowę i podałem mu go nad stołem. Biorąc go, patrzył mi w oczy, wyczuwając wagę skarbu, a potem przyjrzał mu się uważnie, mrużąc oczy.

– Czy symbole na amulecie są panu znajome? – spytałem. – Może któreś z plemion pokazywało panu coś podobnego?

– Wygląda na dzieło Kanien'kehá:ka – odparł William.

Mohawkowie. Serce zabiło mi szybciej.

– Może to pan powiązać z konkretnym miejscem? Muszę wiedzieć, skąd pochodzi.



– Skoro odzyskałem swoje materiały, być może. Zobaczą, co się da zrobić.

Podziękowałem skinieniem głowy.

– Najpierw jednak chciałbym się dowiedzieć o panu czegoś więcej, Williamie. Niech mi pan o sobie opowie.

– Co tu opowiadać? Urodziłem się w Irlandii, w rodzinie katolików, co, jak bardzo wcześnie się przekonałem, wydatnie ograniczało moje możliwości. Dlatego przeszedłem na protestantyzm i na prośbę wuja Petera przyjechałem tutaj. Obawiam się jednak, że wuj nie był najmądrzejszy. Chciał handlować z Mohawkami, ale postanowił wybudować swoją faktorię z dala od szlaków handlowych, zamiast na jednym z nich. Próbowałem go przekonywać, ale...

– William westchnął. – Jak już mówiłem, nie jest najmądrzejszy. Dlatego zebrałem to, co udało mi się zarobić, i kupiłem własną działkę. Wybudowałem na niej farmę, magazyn i młyn. Skromnie, ale w dobrym miejscu, co okazało się mieć wielkie znaczenie.

– Tak oto poznał pan Mohawków?

– W istocie. Okazała się to bardzo cenna znajomość.

– Ale nie słyszał pan nic o żadnym miejscu pozostawionym przez pradawnych? O żadnej ukrytej świątyni czy starożytnych budowlach?

– Tak i nie. Chcę przez to powiedzieć, że Mohawkowie mają dużo własnych świętych miejsc, ale żadne z nich nie pasuje do tego, które pan opisuje. Ziemne kopce, leśne polany, ukryte jaskinie... Wszystko to jednak dzieła natury. Żadnych dziwnych metali. Żadnego... niewyjaśnionego blasku.

– Hm. Musi być dobrze ukryte – powiedziałem.

– Nawet przed nimi, jak się zdaje – zauważył William z uśmiechem. – Ale niech się pan nie smuci, przyjacielu. Zdobędzie pan swój skarb pradawnych, przysięgam.

Uniosłem szklanę.

– Wypijmy zatem za nasze powodzenie.

– I to rychle!

Uśmiechnąłem się.

Było nas już czterech. Byliśmy drużyną.

10 lipca 1754

*i*

Mamy własną izbę w pubie Zielony Smok – bazę wypadową, jeśli wolicie – i do niej właśnie wszedłem, by spotkać Thomasa, Charlesa i Williama. Thomas pił, Charles wyglądał na zatroskanego, a William studiował plany i mapy. Pozdrowiłem ich, w odpowiedzi usłyszawszy jedynie beknięcie Thomasa.

– Co za kultura – wycedził Charles.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Rozchmurz się, Charlesie. Jeszcze się polubicie – powiedziałem i usiadłem obok Thomasa, który popatrzył na mnie z wdzięcznością.

– Jakież wieści? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Tylko pogłoski. Na razie nic konkretnego. Wiem, że szukasz pan wiadomości o niezwykłych sprawach... Świątyniach, duchach, dawnych czasach i innych takich. Ale... jak dotąd moi chłopcy za wiele się nie dowiedzieli.

– Żadne drobiazgi czy artefakty nie pojawiły się na waszym... czarnym rynku?

– Nic nowego. Trochę nielegalnie zdobytej broni, zrabowana biżuteria. Ale kazałeś pan nasłuchiwać gadania o błyskach, szumach i dziwnych widokach, zgadza się? O takich rzeczach nic mi nie wiadomo.

– Nie ustawaj – powiedziałem.

– Ha, bez obaw. Wyświadczyłeś mi pan wielką przysługę i zamierzam spłacić dług w trójnasób, jeśli wolno.

– Dziękuję ci, Thomasie.

– Dach nad głową i ciepła strawa wystarczą za podziękowania. Spokojna głowa, wkrótce coś znajdziemy.

Podniósł kufel, zobaczył, że jest pusty, a ja się roześmiałem i klepnąłem go w plecy. Wstał i poszedł szukać piwa. Podeszedłem więc do Williama; przysunąłem sobie krzesło do jego pulpitu i usiadłem.

– Jak idą poszukiwania?

Popatrzył na mnie, ściągając brwi.

– Mapy i obliczenia nie wystarczą.

„Nic nigdy nie idzie łatwo”, pomyślałem ze smutkiem.

– A twoje miejscowe kontakty? – spytałem.

Wrócił Thomas. W ręku miał pełny kufel spienionego piwa, a na policzku bardzo świeży, czerwony ślad pięciu palców. Zjawił się akurat w porę, by usłyszeć, jak William mówi:

– Będziemy musieli zaskarbić sobie ich zaufanie, zanim podzielą się z nami swoją wiedzą.

– Mam pomysł, jak się za to zabrać – wybełkotał Thomas, a my obejrzelśmy się na niego, z różnym nastawieniem: Charles w zwykły dla siebie sposób, jak na psie łajno, w które właśnie wdepnął, William ze zdumieniem, a ja z autentycznym zainteresowaniem. Thomas, pijany czy trzeźwy, był bystrzejszy, niż pozostali dwaj mogli przypuszczać.

– Znam człowieka, który zajął się łapaniem w niewolę tubylców. Uratujemy ich, a będą mieli u nas dług.

„Tubylcy”, pomyślałem. Mohawkowie. To był pomysł.

– Wiesz, gdzie są przetrzymywani?

Thomas pokręcił głową, lecz Charles pochylił się do przodu.

– Benjamin Church będzie wiedział. Umie wszystko znaleźć i załatwić dużo spraw. Poza tym też jest na pańskiej liście.

Uśmiechnąłem się do niego. „Dobra robota”, pomyślałem.

– A ja się już zastanawiałem, kogo następnego zwerbujemy.

Benjamin Church był lekarzem i znaleźliśmy jego dom bez trudu. Kiedy nikt nie odpowiedział na pukanie, Charles, wiele się nie namyślając, wyważył drzwi. Wpadliśmy do środka i zobaczyliśmy, że dom został splądrowany: ktoś powywracał meble i porozrzucał po podłodze papiery w czasie pospiesznego przeszukania, znaleźliśmy też ślady krwi.

Spojrzeliliśmy po sobie.

– Widać nie tylko my szukamy pana Churcha – powiedziałem, nie chowając broni.

– Do diaska! – wybuchł Charles. – Może być wszędzie. Co zrobimy?

Wskazałem portret dobrego doktora, wiszący nad kominkiem. Ukazywał mężczyznę pod trzydziestkę, mimo to prezentującego się bardzo dostojnie.

– Znajdziemy go. Chodźcie, pokażę wam jak.

Zacząłem opowiadać Charlesowi o sztuce obserwacji, wtapianiu się w otoczenie, znikaniu, zapamiętywaniu cudzych nawyków i zwyczajów.

Uświadomiłem sobie, jak dużo przyjemności daje mi nowa rola nauczyciela. Najpierw, jako chłopiec, pobierałem nauki od ojca, potem od Reginalda; i zawsze z niecierpliwością wyczekiwałem tych lekcji – zawsze radowałem się przekazywaniem i dzieleniem nową wiedzą – zakazaną wiedzą, taką, jakiej nie znajdzie się w książkach.

Przekazując ją Charlesowi, zastanawiałem się, czy ojciec i Reginald czuli się jak ja teraz: mądrzy i doświadczeni. Pouczyłem go, jak zadawać pytania, jak podsłuchiwać, jak poruszać się po mieście niczym duch, zbierając i analizując informacje. Potem się rozdzieliliśmy, by zająć się poszukiwaniami. Spotkaliśmy się znów po godzinie, obaj nachmurzeni.

Dowiedzieliśmy się, że Benjamin Church był widziany w towarzystwie innych ludzi – trzech czy czterech mężczyzn – którzy wynosili go z domu. Niektórzy świadkowie twierdzili, że był pijany, inni zauważyli sińce i krew. Pewien człowiek, który pospieszył mu z pomocą, oberwał nożem w brzuch. Dokądkolwiek się wybierali, było jasne, że Benjamin ma kłopoty. Ale gdzie był? Odpowiedzi udzielił nam goniec wykrzykujący najświeższe wiadomości.

– Widziałeś tego człowieka? – spytałem.

– Trudno powiedzieć... – Pokręcił głową. – Tylu ludzi przewija się przez plac, trudno...

Wcisnąłem mu w rękę parę monet i natychmiast zmienił śpiewkę. Nachylił się do mnie i wyszeptał konspiracyjnym tonem:

– Zabrano go do magazynów na nabrzeżu, na wschód od tego miejsca.

– Uprzejmie dziękuję za pomoc – powiedziałem.

– Ale pospieszcie się – dodał. – Byli z nim ludzie Silasa. Takie spotkania często marnie się kończą.

„Silas”, pomyślałem, kiedy szliśmy ulicami do dzielnicy portowej. „Kim, do czarta, jest ten Silas?”

Kiedy dotarliśmy do celu, tłum na ulicach znacznie się przerzedził. Byliśmy daleko od głównej alei, w powietrzu unosił się lekki rybi odór. Magazyn był jednym z wielu podobnych budynków stojących w szeregu, olbrzymich i zaniedbanych; pewnie bym go minął, gdyby nie strażnik wylegujący się przed głównym wejściem. Siedział na beczce, nogi oparł na drugiej i coś jadł. Nie był wystarczająco czujny, więc w porę zatrzymałem Charlesa i pociągnąłem go za róg, zanim zostaliśmy zauważeni.

Obok zobaczyliśmy drzwi. Upewniłem się, że są niestrzeżone, i nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Ze środka dobiegły nas odgłosy szamotaniny, a potem pełen cierpienia krzyk. Nie jestem hazardzistą, ale postawiłbym sporą sumę, że krzyk ów wydał Benjamin Church. Charles i ja spojrzeliśmy po sobie. Musieliśmy dostać się do środka, i to szybko. Wyjrzałem za róg, przyjrzałem się jeszcze raz strażnikowi, pęk kluczy błysnął u jego pasa i od razu wiedziałem, co zrobić.

Zaczekałem, aż obok przejedzie człowiek z taczkami, i przykładając palec do ust, kazałem Charlesowi poczekać. Wyszedłem z ukrycia i zataczając się lekko, ruszyłem przed siebie; wyglądałem jak ktoś mocno podchmielony.

Wartownik na beczce spojrział na mnie z ukosa i wykrzywił usta. Wysunął kordelas z pochwy, ukazując lśniące ostrze. Wyprostowałem się chwiejnie i podniosłem rękę na znak, że zrozumiałem ostrzeżenie, potem zrobiłem krok wstecz, potknąłem się i wpadłem na strażnika.

– Hej! – zaprotestował i odepchnął mnie tak mocno, że straciłem równowagę i upadłem.

Podniosłem się i machnąwszy jeszcze raz ręką na przeprosiny, poszedłem swoją drogą. Nie wiedział, że miałem ze sobą pęk kluczy, który odpiąłem mu od pasa. Wróciwszy za magazyn, wypróbowałem je, aż ku wielkiej uldze nas obu znalazłem pasujący do drzwi. Krzywiąc się przy każdym, najśłabszym skrzypnięciu, uchylił je i wśliznęliśmy się do wnętrza ciemnego i cuchnącego wilgocią magazynu.

Przykucnęliśmy tuż za drzwiami, powoli przystosowując wzrok do nowego otoczenia: znajdowaliśmy się w wielkim pomieszczeniu, pogrążonym niemal w całkowitym mroku. Czarna, dźwięcząca echem pustka zdawała się ciągnąć w nieskończoność; jedynym źródłem światła były trzy koksowniki ustawione na środku. W końcu dojrzelismy człowieka, którego szukaliśmy, mężczyznę z portretu: doktora Benjamina Churcha. Siedział przywiązany do krzesła, pilnowany przez dwóch zbirów. Jedno oko miał sine i opuchnięte, głowę spuszczoną, a krew z rozciętej wargi kapiała mu na brudną, białą chustę.

Przed nim stał elegancko ubrany mężczyzna – bez wątpienia Silas – wraz z towarzyszem ostrzącym nóż. Cichy zgrzyt osekli był niemal hipnotyzujący i przez chwilę nic innego nie mąciło ciszy.

– Dlaczego zawsze musisz wszystko komplikować, Benjaminie? – spytał Silas z udawanym smutkiem. Uświadomiłem sobie, że ma angielski akcent i mówi jak ktoś wysoko urodzony. – Gdy tylko otrzymam zapłatę za poniesione trudy, wszystko pójdzie w zapomnienie.

Benjamin rzucił mu pełne bólu, ale i dumy spojrzenie.

– Nie zapłacę za ochronę, której nie potrzebuję – warknął bez lęku.

Silas uśmiechnął się i swobodnym gestem wskazał wilgotny, cuchnący magazyn.

– Ależ potrzebujesz, inaczej by cię tu nie było.

Benjamin odwrócił głowę i splunął krwią, która rozbryznęła się na kamiennej podłodze, a potem spojrzał znów na Silasa – ten miał minę, jakby ktoś puścił wiatry przy obiedzie.

– Co za grubiaństwo – rzekł. – Co mamy uczynić z naszym gościem?

Mężczyzna ostrząc nóż podniósł wzrok. To był znak dla niego.

– Może utnę mu dłonie – wycharczał. – Nie będzie mógł więcej operować. A może jęzor.

Nie będzie mógł nim chlapać. Albo kutasa. Nie będzie mógł nas więcej ruchać.

Pilnujący go, wzdrygnęli się, jakby przeszedł ich dreszcz odrazy, strachu i podniecenia.

– Tyle możliwości – powiedział Silas – sam nie wiem, co wybrać.

Popatrzył na Nożownika i udał, że się zastanawia.

– Utnij mu to wszystko.

– Zaczekajcie chwilę – powiedział szybko Benjamin – może odmówiłem zbyt pochopnie.

– Bardzo mi przykro, Benjaminie, ale te drzwi są już dla ciebie zamknięte – odparł Silas ze smutkiem.

– Bądź rozsądny... – zaczął Church błagalnym tonem.

Silas przekrzywił głowę i ściągnął brwi w udawanym zatroskaniu.

– Byłem rozsądny, jak sądzę. Ale ty wykorzystałeś moją wspaniałomyślność. Drugi raz nie zrobisz ze mnie głupca.

Oprawca podszedł bliżej. Przystawił sobie czubek noża do wytrzeszczonego oka i wyszczerzył się jak obłąkany.

– Obawiam się, iż mam zbyt słabą konstytucję, by oglądać takie barbarzyństwa – rzekł Silas tonem przewrażliwionej staruszki. – Przyjdź do mnie, jak skończysz, Cutter.

Ruszył do wyjścia.

– Pożalujesz tego, Silas! – wrzasnął Benjamin Church. – Słyszysz? Zapłacisz mi głową!

Silas przystanął przy drzwiach i obejrzał się na niego.

– Nie – odparł ze śmiechem. – Nie, raczej wątpię.

A potem, przy wtórze krzyków Churcha, Cutter zabrał się do roboty, uśmiechnięty jak malarz kładący pierwsze pociągnięcia pędzla na płótnie, które zaplanował z wielkim rozmachem.

Biedny doktor Church był jego płótnem, a Cutter malował swoje arcydzieło. Szeptem powiedziałem Charlesowi, co trzeba zrobić; skulony, zniknął w ciemności w głębi magazynu. Zobaczyłem, że przykłada dłoń do



ust, woła: „Tutaj, bękarty!”, a potem natychmiast odbiega, szybko i bezszelestnie.

Cutter poderwał głowę i machnął ręką do dwóch bandziorów. Rozejrzał się czujnie po magazynie, kiedy dobyli broni i ruszyli ostrożnie w mrok ku miejscu, z którego dobiegł głos.

Nagle jednak znów rozległo się wołanie, tym razem z innego ciemnego zakątka: niemal wyszeptane „Tutaj”. Mężczyźni przełknęli ślinę i popatrzyli po sobie nerwowo. Cutter penetrował wzrokiem cienie budynku; zaciskał zęby ze strachu i z frustracji. Wiedziałem, co się dzieje w jego głowie: czy to jego ludzie płatają mu figła? Jacyś ulicznicy?

Nie. To było działanie wroga.

– Co tu się dzieje? – prychnął jeden z silnorękich. Obaj wyciągali szyje i zaglądali w ciemne kąty magazynu.

– Idź po pochodnię – warknął pierwszy. Drugi pobiegł z powrotem na środek pomieszczenia, ostrożnie podniósł jeden z koksowników i przygięty pod jego ciężarem, próbował go przesunąć.

Nagle z ciemności dobiegł krótki krzyk.

– Co to?! – wrzasnął Cutter. – Co tu się dzieje u diabła?

Mężczyzna z koksownikiem odstawił go, a potem wyteżył wzrok.

– To Greg – zawołał przez ramię. – Nie ma go tam, szefie.

Cutter cały się zjeżył.

– Co to znaczy, że go nie ma? Przed chwilą był.

– Greg! – zawołał drugi opryszek. – Greg?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Mówię ci, szefie, nie ma go tam.

Wtem, jakby na podkreślenie jego słów, z ciemności nadleciał pałasz, zazgrzytał na kamiennej podłodze i zatrzymał się u stóp Cuttera.

Jego klinga była zboczona krwią.

– To broń Grega – powiedział pierwszy mężczyzna nerwowo. – Dopadli Grega.

– Kto dopadł Grega? – warknął Cutter.

– Nie wiem, ale go dopadli.

– Kimkolwiek jesteś, lepiej się pokaż! – zawołał Cutter. Zerknął na Benjamina i domyśliłem się, jakie myśli krążą w jego głowie: że zostali zaatakowani przez przyjaciół doktora, że to próba odbicia. Pierwszy opryszek stał w miejscu, w bezpiecznym kręgu światła rzucanego przez koksownik. Dygotał, ostrze jego broni połyskiwało w blasku. Charles skrywał się w ciemności. Wiedziałem, że to tylko on, ale dla Cuttera i jego kompana był demonem zemsty, cichym i nieubłagany jak sama śmierć.

– Lepiej wyłaź, zanim wykończę twojego kamrata – wycharczał oprawca. Przysunął się do Benjamina, chcąc przystawić mu nóż do gardła. Odwrócił się przy tym plecami do mnie i dostrzegłem swoją szansę. Wychylnąłem z ukrycia, bezszelestnie sunąc w jego stronę. Wtedy drugi opryszek się odwrócił, zobaczył mnie i wrzasnął: „Szefie, z tyłu!”.

Cutter gwałtownie obrócił się na pięcie.

Skoczyłem, wysuwając ukryte ostrze. Zbir spanikował, zobaczyłem, że jego ręka się napina – chciał dobić Benjamina. Zdołałem go odepchnąć, ale sam straciłem równowagę. Cutter zdążył dobyć broni i zwarł się ze mną w pojedynku jeden na jednego.

Przez jego ramię zobaczyłem, że Charles nie przegapił okazji i skoczył na swojego przeciwnika. Ich klingi spotkały się z głośnym szczękiem stali. Cutter i ja też wymieniliśmy pierwsze ciosy, ale szybko stało się jasne, że nie może się ze mną równać. Może radził sobie z nożem, ale nie był przyzwyczajony do walki z wytrawnym szermierzem. Był mistrzem tortur, nie wojownikiem. Choć miał szybkie ręce, a jego broń śmigła mi przed oczami, wszystko to były zaledwie kuglarskie sztuczki, mogące przerazić człowieka przywiązanego do krzesła, ale nie mnie. Miałem przed sobą sadystę – przerażonego sadystę. A jeśli istnieje coś bardziej odrażającego i żalosnego niż sadysta, to jest to sadysta przerażony.

Nie potrafił przewidywać. Źle pracował nogami i nie umiał się bronić. Walka za jego plecami dobiegła końca: drugi oprych z jękiem osunął się na kolana, a Charles oparł stopę na jego piersi i wyciągnął z niej klingę, pozwalając mu upaść na kamienie.

Cutter to zobaczył, a ja cofnąłem się jeszcze, by przyjrzał się, jak jego kompan, jego ostatnia deska ratunku, umiera. Ktoś załomotał do drzwi –

pilnujący na zewnątrz w końcu odkrył kradzież kluczy i bezskutecznie próbował dostać się do środka. Cutter obejrzał się w tamtym kierunku, wypatrując ocalenia. Nie znalazł go. Owo przerażone spojrzenie wróciło do mnie, a ja uśmiechnąłem się szeroko, ruszyłem do przodu i sam zacząłem ciąć. Nie znajdowałem w tym przyjemności. Potraktowałem go tylko tak, jak na to zasługiwał, a kiedy w końcu osunął się na podłogę z rozchlastanym gardłem, zalany krwią, nie poczułem niczego prócz ulotnej satysfakcji z wymierzenia sprawiedliwości. Nikt więcej nie ucierpi od jego noża.

Zapomniałem o łomotaniu do drzwi, aż ustało. W nagłej ciszy obejrzałem się na Charlesa, który doszedł do tego samego wniosku co ja: strażnik pobiegł po pomoc. Benjamin jęknął; podszedłem do niego, dwoma cięciami uwolniłem go z więzów, a potem złapałem, kiedy runął z krzesła twarzą naprzód.

Ręce natychmiast zrobiły mi się śliskie od krwi, ale doktor oddychał miarowo, a oczy miał otwarte, choć co chwila zaciskał powieki, wijąc się z bólu. Będzie żył. Jego rany były bolesne, ale niezbyt głębokie.

Popatrzył na mnie.

– Kim... kim jesteście? – wykrztusił.

Uchyliłem kapelusza.

– Haytham Kenway, do usług.

Jego twarz wykrzywiła się w słabym uśmiechu.

– Dziękuję. Dziękuję. Ale... nie rozumiem... co tu robicie?

– Jest pan rycerzem templariuszy, czyż nie? – spytałem.

Przytaknął.

– Ja także, a nie mamy w zwyczaju pozostawiać towarzyszy na pastwę obłąkanych nożowników. Poza tym potrzebuję pańskiej pomocy.

– Ma ją pan – rzekł Benjamin. – Proszę mówić, czego panu trzeba...

Pomogłem mu wstać i przywołałem Charlesa. Razem poprowadziliśmy Churcha do bocznych drzwi i wyszliśmy na zewnątrz, rozkoszując się rześkim, czystym powietrzem po smrodzie krwi i śmierci.

Kiedy ruszyliśmy z powrotem na Union Street, do bezpiecznego schronienia w Zielonym Smoku, opowiedziałem doktorowi Benjaminowi

Churchowi o mojej liście kontaktów po tej stronie oceanu.

13 lipca 1754

*i*

Zebraliśmy się w Zielonym Smoku, pod niskimi, ciemnymi belkami stropu mniejszej sali w głębi pubu, którą nazywaliśmy już swoją własną i w której było nam coraz ciasniej; kolejni członkowie kompanii wciskali się w zakurzone ławy. Thomas, który lubił się wylegiwać, kiedy nie trzymał kufła piwa ani nie dopraszał się u gospodarzy o kolejny. William, którego zmarszczki pogłębiały się coraz bardziej, w miarę jak ślęczał nad planami i mapami rozłożonymi na stole; krążył między nim a swoim pulpitem, co jakiś czas wzdychał z frustracją i odpędzał rozchlapującego piwo Thomasa, kiedy ten podchodził z kuflem za blisko. Charles, moja prawa ręka, który zawsze siadał obok mnie, kiedy tylko byłem w pokoju, i którego oddanie czasami mi ciążyło, innym razem znów wielce dodawało siły. Teraz zaś jeszcze doktor Church, który spędził ostatnie kilka dni, lecząc odniesione rany w łóżku niechętnie udostępnionym mu przez gospodarza Corneliusa. Zostawiliśmy go samego: opatrzył sobie rany, a kiedy w końcu wstał, zapewnił nas, że żadna z nich nie pozostawi raczej trwałych śladów.

Rozmawiałem z nim dwa dni temu, kiedy opatrywał najgorszą, a z pewnością najbardziej bolesną ranę: wycięty przez Cuttera płat skóry.

– Mam pytanie – rzekłem, wciąż nie wiedząc, co o nim myśleć. – Dlaczego medycyna?

Uśmiechnął się ponuro.

– Mam powiedzieć, że z wrodzonej troski o bliźnich? Że wybrałem tę profesję, bo pozwala mi czynić dobro?

– A to nieprawda?

– Być może prawda. Ale nie tym się kierowałem. Nie... Kierował mną mniej szlachetny motyw: pieniądze.

– Są inne drogi do majątku.

– Tak. Ale jakim towarem lepiej handlować niż życiem? Nie ma niczego równie cennego ani pożądanego. Żadna cena nie jest zbyt wielka dla mężczyzny czy kobiety, którzy obawiają się nagłego i nieuniknionego końca.

Skrzywiłem się.

– Twoje słowa są okrutne, Benjaminie.

– Ale prawdziwe.

– Przecież przysiągłeś, że będziesz pomagał ludziom – powiedziałem zdezorientowany.

– I trzymam się przysięgi, ale ona nie wspomina nic o cenie. Wymagam jedynie zadośćuczynienia, sprawiedliwego wynagrodzenia za moje usługi.

– A jeśli ktoś nie ma takich funduszy?

– Są inni, którzy mu pomogą. Czy piekarz daje za darmo chleb żebrakowi? Czy krawiec oferuje za darmo suknię kobiecie, której na nią nie stać? Nie. To czemu ja miałbym?

– Sam powiedziałeś – rzekłem. – Nie ma nic cenniejszego nad życie.

– Istotnie. Tym bardziej należy zadbać, by mieć środki na jego zachowanie.

Popatrzyłem na niego z ukosa. Był młodym mężczyzną, młodszym ode mnie. Czy kiedyś byłem taki sam?

## *ii*

Wróciłem myślami do bardziej palących spraw. Silas będzie chciał się zemścić za to, co wydarzyło się w magazynie, wszyscy o tym wiedzieliśmy; jego atak był tylko kwestią czasu.

Byliśmy w Zielonym Smoku, chyba najbardziej odsłoniętym miejscu w mieście, toteż wiedział, gdzie nas szukać. Ja tymczasem miałem po swojej stronie wystarczająco dużo doświadczonych szermierzy, by musiał się

dobrze zastanowić, nim się na nas porwie; nie zamierzałem uciekać ani też szukać kryjówki.

William powiedział Benjaminowi, co planujemy – zaskarbić sobie wdzięczność Mohawków rozprawą z handlarzem niewolników. Benjamin nachylił się do mnie.

– Johnson wyjawiał mi, co zamierzacie – rzekł. – Tak się składa, że człowiek, który mnie więził, to ten właśnie, którego szukacie. Nazywa się Silas Thatcher.

Zganiłem się w duchu, że sam na to nie wpadłem. Oczywiście. Siedzący obok Charles też powiązał fakty.

– Ten elegant to handlarz niewolników? – spytał z niedowierzaniem.

– Nie dajcie się zwieść jego aksamitnej wymowie – uprzedził Benjamin. – Nie znałem nigdy człowieka okrutniejszego i groźniejszego.

– Co możesz mi o nim powiedzieć? – spytałem.

– Kieruje co najmniej setką ludzi, z których ponad połowa to czerwone kurtki.

– I wszystko to, żeby złapać paru niewolników?

Benjamin się roześmiał.

– Skądże. Ten człowiek jest oficerem Królewskiej Artylerii Konnej, dowodzi fortem Southgate.

– Ale jeśli Wielka Brytania chce mieć jakąkolwiek szansę odparcia Francuzów – zaoponowałem zdumiony – musi się sprzymierzyć z tubylcami, a nie ich niewolić.

– Silas służy tylko własnej sakiewce – wtrącił William znad swojego pulpitu. – To, że jego działania szkodzą Koronie, nie ma dla niego znaczenia. Jak długo ma kupców na swój towar, będzie go dalej sprzedawał.

– Tym bardziej więc trzeba go powstrzymać – oznajmiłem ponuro.

– Spędzam całe dni na rozmowach z tubylcami, próbuję ich przekonać, że to nam powinni zaufać – dodał William – że Francuzi jedynie ich wykorzystują i porzucają, kiedy tylko wygrają.

– Twoje słowa z pewnością tracą na sile, kiedy zestawić je z czynami Silasa – westchnąłem.

– Próbowałem im tłumaczyć, że nie wszyscy jesteśmy tacy jak on – odparł smutno. – Ale nosi czerwoną kurtkę. Jest dowódcą fortu. Muszę wychodzić w ich oczach na głupca albo kłamcę... najpewniej na jednego i drugiego.

– Nie smuć się, bracie – zapewniłem go. – Kiedy dostarczymy im jego głowę, przekonają się, że mówiłeś prawdę. Najpierw musimy znaleźć sposób, by się dostać do fortu. Obmyślę go.

Tymczasem zajmijmy się ostatnim rekrutem.

Słyszając to, Charles się ożywił.

– Nazywa się John Pitcairn. Zaprowadzę pana do niego.

### *iii*

Znajdowaliśmy się w wojskowym obozie pod miastem. Żołnierze skrupulatnie przeszukiwali każdego, kto wchodził czy wychodził. Byli to ludzie Braddocka. Zastanawiałem się, czy rozpoznam kogoś z czasów wojaczki sprzed lat.

Wątpiłem; jego rządy były zbyt okrutne, werbował najemników, byłych skazańców, uciekinierów, którzy nigdy nie zostawali długo w tym samym miejscu. Jeden z nich wystąpił do przodu, nieogolony i zapuszczony mimo czerwonego munduru.

– W jakiej sprawie? – zapytał. Zmierzył nas wzrokiem i wyraźnie nie spodobało mu się to, co zobaczył.

Już miałem odpowiedzieć, kiedy Charles wysunął się o krok, wskazał na mnie i rzekł:

– Nowy rekrut.

Wartownik odsunął się na bok.

– Jeszcze jedna szczapa do ogniska? – Uśmiechnął się pod nosem. – Wchodźcie.

Weszliśmy przez bramę do obozu.

– Jak ci się to udało? – spytałem Charlesa.

– Zapomniał pan? Podlegam generałowi Braddockowi, oczywiście kiedy nie służę panu.



Minął nas wóz wyjeżdżający z obozu, prowadzony przez mężczyznę w szerokoskrzydłym kapeluszu. Ustąpiliśmy drogi grupie praczek. Wszędzie stały namioty zasnuwane dymem z obozowych ognisk, podtrzymywanych przez mężczyzn i dzieci – ciury obozowe, których zadaniem było parzyć kawę i przygotowywać jedzenie swoim panom. Przed namiotami na sznurkach wisiało pranie; cywile ładowali skrzynie z zapasami na wozy, pilnowani przez konnych oficerów. Zobaczyliśmy grupę żołnierzy mozolących się z armatą, która ugrzęzła w błocie, i innych, ustawiających skrzynki w stosy. Tymczasem na głównym placu dwudziestu czy trzydziestu szeregowców ćwiczyło musztrę pod kierunkiem oficera, który niezrozumiale na nich wrzeszczał.

Kiedy tak się rozglądałem, uderzyło mnie, że obóz jest dziełem Braddocka, którego znałem: gwarny i uporządkowany. Każdy gość uznałby, że to chluba brytyjskiej armii i jej dowódcy, gdyby jednak przyjrzał się uważniej albo znał Braddocka z dawnych czasów tak jak ja, wyczułby przenikający to miejsce terror: wszyscy pracowali z niechęcią. Krzątali się tak pilnie nie dlatego, że byli z siebie dumni, lecz dlatego, że pozostawali pod jarzmem okrucieństwa.

O wilku mowa... Zbliżaliśmy się do jednego z namiotów i poznałem – czując bardzo nieprzyjemne mrowienie w żołądku – że krzyki, które nas dobiegają, należą do Braddocka.

Kiedy widziałem go po raz ostatni? Kilka lat temu, kiedy odszedłem z pułku Coldstream Guards; nigdy nie byłem tak szczęśliwy, że kogoś porzucam, jak tamtego dnia. Odszedłem z wojska, przysięgając sobie, że zrobię, co w mojej mocy, by Braddock odpowiedział za czyny, których byłem świadkiem – okrutne, nieludzkie zbrodnie. Nie wziąłem jednak pod uwagę więzów, które spajają zakon; nie wziąłem pod uwagę lojalności Reginalda wobec Braddocka i w końcu musiałem się pogodzić z faktem, że nie ustanie w tym, co robi. Nie podobało mi się to, ale nie miałem wyjścia. Pozostawało mi tylko unikać go.

Ale teraz tego jednego uczynić nie mogłem.

Kiedy weszliśmy do namiotu, pouczał mężczyznę w moim wieku, który mimo cywilnego stroju na pewno był żołnierzem. To właśnie był John

Pitcairn. Stał i znosił atak szału Braddocka, wściekłość, którą sam tak dobrze znałem.

– ...zamierzałeś się zgłosić?! – wrzeszczał generał. – Czy może miałeś nadzieję, że moi ludzie cię nie zauważą?

Od razu polubiłem Pitcairna. Podobało mi się, jak odpowiedział bez mrugnięcia okiem, spokojnym głosem ze szkockim akcentem.

– Sir, jeśli pozwoli mi pan wyjaśnić...

Dla Braddocka czas nie okazał się łaskawy. Twarz miał jeszcze bardziej czerwoną niż zwykle, włosy mu się przerzedziły.

– Ha, z całą pewnością – rzekł. – Bardzo chciałbym to usłyszeć.

– Nie jestem dezertorem, sir – zaprotestował Pitcairn. – Jestem tu z rozkazu komandora Amhersta.

Braddock jednak nie był w odpowiednim nastroju, by zrobić na nim wrażenie nazwisko komandora Jeffreya Amhersta; spochmurniał za to jeszcze bardziej.

– Pokaż mi list z jego pieczęcią, to może unikniesz stryczka – sarknął.

– Nie mam listu – odparł Pitcairn, przełykając ślinę. Była to jedyna oznaka jego zdenerwowania, być może na myśl o sznurze zaciskającym się na jego szyi. – Moje zadanie, sir...

Braddock odchylił się na oparcie krzesła, jakby znudziła go ta rozmowa, i może rozkazałby go natychmiast stracić, gdyby nie to, że wykorzystałem okazję, by się wtrącić.

– Takich rzeczy lepiej nie powierzać dokumentom – powiedziałem.

Braddock odwrócił się gwałtownie. Wreszcie zauważył mnie i Charlesa i zmierzył nas wzrokiem, okazując rosnącą irytację. Charles zbytnio mu nie przeszkadzał, ale ja? Ujmijmy to tak: moja antypatia do niego była odwzajemniona.

– Haytham – powiedział tylko. Moje imię zabrzmiało w jego ustach niczym obelga.

– Generale Braddock – odparłem, nie starając się ukrywać zniesmaczenia jego nowym stopniem.

Powiodł spojrzeniem po mnie i po Pitcairnie i w końcu chyba się domyślił.

– Nie powinienem być zaskoczony. Wilki często grasują w stadach.

– Pan Pitcairn opuści cię na kilka tygodni – powiedziałem – a kiedy nasze zadanie dobiegnie końca, wróci w twoje szeregi.

Braddock pokręcił głową. Z całych sił starałem się ukryć uśmiech i udało mi się zachować wesołość w duchu. Był wściekły, nie tylko dlatego, że jego autorytet został podkopany, ale – co gorsza – że został podkopany przeze mnie.

– Dzieło szatana, bez wątpienia – rzekł. – Moi przełożeni kazali mi użyć ci Charlesa, ale nie mówili nic o tym zdrajcy. Nie dostaniesz go.

Westchnąłem.

– Edwardzie... – zacząłem.

Ale Braddock dał znak swoim ludziom.

– Skończyliśmy. Wyprowadzić tych dżentelmenów – powiedział.

#### iv

– Cóż, nie poszło tak, jak się spodziewałem – westchnął Charles.

Znów byliśmy za palisadą, zostawiliśmy obóz za sobą, a przed nami rozciągał się Boston, aż po rozmigotane morze na horyzoncie, najeżone masztami i żaglami statków w porcie.

Zatrzymaliśmy się przy studni w cieniu drzewa wiśniowego i oparliśmy o palisadę. Mogliśmy stąd obserwować, kto wjeżdża i wyjeżdża z obozu bez zwracania na siebie uwagi.

– I pomyśleć, że kiedyś nazywałem Edwarda bratem... – powiedziałem ze smutkiem.

W istocie, choć było to tak dawno, że trudno mi w to uwierzyć. Kiedyś Braddock był dla mnie wzorem, kiedyś jego i Reginalda uważałem za swoich przyjaciół i towarzyszy. Teraz Braddocka nienawidziłem. A Reginalda?

Co do niego wciąż nie miałem pewności.

– Co teraz? – spytał Charles. – Odpędzą nas, jeśli spróbujemy wrócić.

Popatrzyłem na obóz. Zobaczyłem, że Braddock wychodzi z namiotu, jak zwykle z krzykiem, przywołując gestami oficera – bez wątpienia jednego z

doborowych najemników – który pospiesznie do niego podbiegł. Za Braddockiem wyszedł John. Przynajmniej wciąż żył; gniew Edwarda albo osłabł, albo skierował się w inną stronę. Pewnie na mnie.

Oficer zwołał żołnierzy, którzy ćwiczyli musztrę na placu, i ustawił ich w szyku marszowym. Z Braddockiem na czele wyszli z obozu. Inni żołnierze i ciury obozowe uciekali im z drogi, a brama, jeszcze przed chwilą pełna ludzi, nagle opustoszała, by ich przepuścić. Minęli nas w odległości jakichś stu metrów. Obserwowaliśmy ich spod nisko zwisających gałęzi wiśni, jak schodzili ze wzgórza ku obrzeżom miasta, dumnie powiewając flagą Unii.

Po ich przejściu zapanował dziwny spokój. Odepchnąłem się od palisady.

– Chodź – powiedziałem do Charlesa.

Trzymaliśmy się ponad sto metrów za nimi, a mimo to słyszeliśmy głos Braddocka, który w mieście zdawał się jeszcze przybierać na mocy. Nawet w marszu Edward sprawiał wrażenie napuszonego, szybko jednak stało się jasne, że przybył tu werbować. Na początku podszedł do kowala, rozkazując swoim żołnierzom patrzeć i się uczyć. Zniknęła jego uprzednia wściekłość; z serdecznym uśmiechem zagadnął mężczyznę, tonem raczej zatroskanego wuja niż bezdusznego tyrana, którym w rzeczywistości był.

– Zdajesz się smutny, przyjacielu – powiedział ciepło. – Co się stało?

Charles i ja trzymaliśmy się w pewnym oddaleniu. Zwłaszcza on pochylał głowę i nie rzucał się w oczy, z obawy, że zostanie rozpoznany. Wytężyłem słuch, chcąc usłyszeć odpowiedź kowala.

– Interes kiepsko idzie – odparł. – Straciłem i kram, i towary.

Braddock machnął ręką, jakby to był kłopot zupełnie błahy...

– A gdybym ci powiedział, że mogę zaradzić twoim smutkom? – spytał.

– Przede wszystkim bym uważał...

– Słusznie! Ale wysłuchaj mnie. Francuzi i sprzymierzeni z nimi dzicy plądrują kraj. Król rozkazał ludziom takim jak my zebrać armię, zdolną ich odeprzeć. Zaciągnij się, a otrzymasz hojne wynagrodzenie. Za kilka tygodni wrócisz z pieniędzmi i będziesz mógł otworzyć nowy warsztat, większy i lepszy!

Kiedy tak rozmawiali, zobaczyłem, że oficerowie rozkazują żołnierzom zaczepiać innych przechodniów i tak samo ich namawiać.

– Naprawdę? – spytał kowal.

Braddock wciskał mu już papiery zaciągowe, które wyjął z kieszeni.

– Sam się przekonaj – rzekł z dumą, jakby wręczał mu złoto, a nie dokumenty zaciągu do najbardziej okrutnej i nieludzkiej armii, jaką znałem.

– Zgadzam się – powiedział nieszczęsny, łatwowierny kowal. – Niech mi pan tylko pokaże, gdzie podpisać!

Braddock poszedł dalej, prowadząc nas na miejski plac, gdzie wygłosił krótką mowę.

Jego ludzie znów się rozeszli.

– Wysłuchajcie mnie, dobrzy bostończycy! – zawołał tonem dobrotliwego jegomościa, który ma do przekazania ważkie wieści. – Królewska armia potrzebuje silnych i lojalnych mężczyzn. Ciemne siły zbierają się na północy, pożądamy naszych ziem i ich bogactw. Staję tu dziś przed wami z prośbą: jeśli cenicie swój majątek, swoje rodziny, swoje życie, dołączcie do nas. Chwyćcie za broń w służbie Boga i ojczyzny, abyśmy mogli obronić to wszystko, co tu zbudowaliśmy!

Niektórzy mieszkańcy wzruszyli tylko ramionami i poszli dalej, inni zaczęli rozmawiać ze znajomymi. Jeszcze inni podchodzili do żołnierzy, prawdopodobnie chętni podjąć służbę i zarobić trochę pieniędzy. Nie dało się nie zauważyć widocznego związku między tym, jak biednie wyglądali, a tym, jak łatwo poruszyła ich mowa Braddocka.

Usłyszałem go, jak rozmawia ze swoim oficerem.

– Dokąd mamy iść teraz?

– Może do Marlborough? – zaproponował zaufany porucznik; choć stał za daleko, bym go rozpoznał, miał znajomy głos.

– Nie – odparł Braddock – tamtejsi mieszkańcy mają się za dobrze. Mieszkają w ładnych domach i żyją dostatnio.

– A Lyn albo Ship Street?

– Tak. Nowo przybyli często szybko popadają w tarapaty. Oni prędzej chwycą się każdej sposobności, by napełnić trzos i wykarmić dzieci.

Niedaleko stał John Pitcairn. Chciałem się do niego zbliżyć. Patrząc na otaczających go żołnierzy, zrozumiałem, że potrzebny mi mundur.

Biada nieszczęśnikowi, który oddzielił się od grupy, by sobie ulżyć. Okazał się nim porucznik Braddocka. Oddalił się od swoich, przepchnął nieuprzejmie obok dwóch elegancko ubranych kobiet w czepkach i ofuknął je, kiedy się obruszyły – wprost doskonale sobie radził ze zdobywaniem serc mieszkańców dla Jego Wysokości.

Poszedłem za nim w pewnej odległości, aż dotarł do końca ulicy, gdzie stał niski, drewniany budynek – jakiś skład – i obejrzawszy się, czy nikt nie patrzy, oparł muszkiet o ścianę i rozpiął guziki spodni.

Oczywiście był obserwowany. Przeze mnie. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma innych czerwonych kurtek, podszedłem bliżej, marszcząc nos od smrodu; najwyraźniej nie on jeden lubił sobie ulżyć w tym miejscu. Z cichym szcękaniem wysunąłem ostrze. Usłyszał mnie i zeszywniał nieco, ale nie odwrócił się.

– Kimkolwiek jesteś, lepiej, żebyś miał dobry powód stawać za mną, kiedy sikam – powiedział. Otrząsnął kutasa i schował go w spodnie. A ja rozpoznałem jego głos. To był kat. To był...

– Slater – powiedziałem.

– Takie mam nazwisko, nie wzywaj go nadaremno. Kim ty jesteś?

Udawał, że nie radzi sobie z guzikami, ale widziałem, że jego prawa ręka chyłkiem zmierza do pałasza.

– Może mnie pamiętasz. Nazywam się Haytham Kenway.

Znów zeszywniał i uniósł głowę.

– Haytham Kenway – wycharczał. – Zaiste, to imię jest mi znane. Miałem nadzieję, że więcej cię nie zobaczę.

– A ja, że ciebie. Odwróć się, jeśli łaska.

Minął nas powoli grzęznący w błocie wóz. Slater powoli odwrócił się i spojrzał na ostrze na moim nadgarstku.

– Zostałeś asasynem, co? – prychnął.

– Jestem templariuszem, Slater, jak twój szef.

Roześmiał się.

– Dla generała Braddocka przestaliście się już liczyć.

Tak jak podejrzewałem. Dlatego właśnie Edward usiłował sabotować moje wysiłki zwerbowania ludzi do wykonania zadania Reginalda. Zwrócił

się przeciwko nam.

– Sięgnij po broń – rozkazałem.

Zamrugnął oczami.

– Przebijesz mnie, jeśli to zrobię.

Kiwnąłem głową.

– Nie potrafię cię zabić z zimną krwią. Nie jestem twoim generałem.

– Nie – powiedział. – Jesteś namiastką człowieka, którym jest on.

I sięgnął po oręż...

Chwilę później człowiek, który próbował mnie kiedyś powiesić, który na moich oczach wyrzwał całą rodzinę podczas oblężenia Bergen op Zoom, leżał martwy u moich stóp. Patrzyłem na podrygującego trupa i myślałem tylko o tym, że muszę ściągnąć z niego mundur, zanim go całkiem zapaskudzi krwią.

Potem wróciłem do Charlesa, który popatrzył na mnie, unosząc brwi.

– Cóż, z pewnością wygląda pan jak należy – rzekł.

Uśmiechnąłem się kpiąco.

– Teraz trzeba wtajemniczyć Pitclairna w nasze plany. Kiedy dam ci sygnał, masz narobić hałasu. Wykorzystamy zamieszanie, by umknąć.

Braddock tymczasem wydawał rozkazy.

– Dobrze, żołnierze, ruszamy – powiedział, a ja skorzystałem ze sposobności, by wśliznąć się w szeregi oddziału, spuszczać głowę. Wiedziałem, że Edward skupi się na werbunku, a nie na swoich ludziach; ufałem też, że żołnierze będą się lękać wzbudzenia jego gniewu i zajmą się ochotnikami, zamiast nieznanym w swoich szeregach. Zrównałem się z Pitclairnem i cichym głosem powiedziałem:

– Witaj ponownie, Jonathanie.

Drgnął lekko i obejrzał się.

– Pan Kenway? – zawołał.

Uciszyłem go gestem ręki i zerknąłem na czoło oddziału, czy nie ściągnęliśmy na siebie niepożądaną uwagę.

– Nie było łatwo się tu dostać – ciągnąłem – ale udało się, przyszedłem cię uratować.

Tym razem zapanował nad głosem.

– Nie sądzi pan chyba, że uda się nam stąd uciec?

Uśmiechnąłem się.

– Nie wierzysz we mnie?

– Prawie pana nie znam...

– Wiesz dość.

– Proszę posłuchać – szepnął. – Bardzo chciałbym panu pomóc, ale słyszał pan Braddocka. Jeśli się o tym dowie, obaj jesteśmy skończeni.

– Ja się zajmę Braddockiem – zapewniłem go.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Jak?

Rzuciłem mu spojrzenie mówiące, że dobrze wiem, co robię, wetknąłem dwa palce w usta i głośno gwizdnałem.

Na ten sygnał czekał Charles. Wybiegł pomiędzy dwóch budynków na ulicę. Ściągnął koszulę i zawiązał ją sobie na twarzy, resztę stroju także miał w nieładzie. Wymazał się błotem, toteż nie wyglądał ani trochę na oficera, którym był. Wyglądał jak szaleniec i tak też się zachowywał: stanął przed żołnierzami, którzy zbili się w masę, zbyt zaskoczeni i zdumieni, by choćby podnieść broń.

– Hej! – krzyknął Charles. – Jesteście złodzieje i łotry, co do jednego! Przysięgacie, że imperium nas... wynagrodzi i uczci! Ale koniec końców czeka nas tylko śmierć! I to za co? Za skały i lód, drzewa i strumienie? Za paru martwych Francuzów? Nie chcemy tego! Nie potrzeba nam tego! Zabierzcie swoje fałszywe obietnice, swoje sakiewki, swoje mundury i muszkiety, weźcie sobie to wszystko, co wam tak drogie, i wsadźcie sobie w dupę!

Żołnierze popatrzyli po sobie, rozdziawiając usta w niedowierzaniu, tak wstrząśnięci, że przez chwilę martwiłem się, czy w ogóle zareagują. Nawet Braddock, w pewnym oddaleniu, po prostu stał z szeroko otwartą gębą, nie wiedząc, czy powinien być wściekły, czy rozbawiony tym niespodziewanym wybuchem obłędu.

Czyżby zamierzali po prostu zawrócić i pójść swoją drogą? Zapewne Charles pomyślał to samo, bo efektownie zwięczył swoje dzieło.



– Precz z wami i waszą oszukańczą wojną! – zwołał, nabrał z ziemi garść końskiego łajna i cisnął nim w żołnierzy. Większość z nich pospiesznie odskoczyła. Generał Braddock nie zdążył.

Stał tak, powalany końskim gównem, i nie cierpiał już na niezdecydowanie, czy się śmiać, czy wściekać. Teraz oszalał z gniewu, a jego ryk zdawał się wstrząsać listowiem na drzewach:

– Brać go!

Część żołnierzy pobiegła za Charlesem, który zawrócił na pięcie i uciekł, minął sklep i skręcił w lewo w zaułek między składem a tawerną.

Oto była nasza szansa. Zamiast jednak ją wykorzystać, John powiedział tylko:

– A niech to diabli.

– Co się stało? – spytałem. – Mamy szansę ucieczki.

– Obawiam się, że nie. Pański człowiek właśnie wpadł w ślepy zaułek. Musimy go ratować.

Jęknąłem w duchu. To była misja ratunkowa – tyle że musiałem ratować kogo innego, niż zamierzałem. Pobiegłem w stronę zaułka, nie po to jednak, by pomścić honor generała – chciałem jedynie uchronić Charlesa od krzywdy.

Za późno. Kiedy dobiegłem na miejsce, był już pojmany. Cofnąłem się, przeklinając pod nosem, gdy powleczono go z powrotem na ulicę i postawiono przed kipiącym gniewem Braddockiem. Generał sięgnął po szpadę i uznałem, że sprawy zaszły za daleko.

– Puść go, Edwardzie.

Odwrócił się do mnie. Jego twarz pociemniała jeszcze bardziej, choć zdawało się to niemożliwe. Otaczający nas zdyszani żołnierze popatrzyli po sobie zdumieni, a Charles, trzymany przez dwa czerwone kubraki i wciąż pozbawiony koszuli, rzucił mi pełne wdzięczności spojrzenie.

– To znów ty! – wycedził Braddock z wściekłością.

– Myślałeś, że nie wrócę? – spytałem spokojnie.

– Bardziej mnie dziwi to, jak łatwo dałeś się zdemaskować – odparł z przekąsem. – Zdaje się, że zmiękłeś.

Nie miałem ochoty na szermierkę słowną.

- Puść nas i Johna Pitcairna – zażądałem.
- Nie pozwolę, by ktoś podważał mój autorytet.
- Ani ja.

Jego oczy zapłonęły. Czy naprawdę był dla nas stracony? Przez chwilę wyobraziłem sobie, że siadamy razem do stołu, pokazuję mu księgę i patrzę, jak zachodzi w nim przemiana, taka jak we mnie. Czy poczułby to samo nagłe oświecenie? Czy mógłby wrócić między nas?

- Zakuć ich w łańcuchy – warknął.

Nie! Uznałem, że nie mógłby.

I znów zatęskniłem za obecnością Reginalda, bo on by umiał zdusić tę awanturę w zarodku, zapobiegłby temu, co nastąpiło.

Uznałem mianowicie, że sobie z nimi poradzę, i zaatakowałem. W mgnieniu oka wysunąłem ostrze i najbliższy stojący żołnierz wyzionął ducha z grymasem zaskoczenia na twarzy.

Kątem oka zobaczyłem, że Braddock uskakuje w bok, dobywa broni i krzyczy na innego żołnierza, który sięgnął po nabity pistolet. John dopadł go przede mną, jego oręż błysnął, opadając, i przerąbał mężczyźnie nadgarstek; ostrze przecięło samą kość, więc dłoń zwisała na płacie skóry, a nieszkodliwy pistolet upadł na ziemię.

Z lewej natarł na mnie inny żołnierz i wymieniliśmy ciosy – jeden, dwa, trzy. Napierałem na niego, aż napotkał plecami ścianę, a moje ostatnie pchnięcie trafiło go między białe pasy skrzyżowane na kurtce, prosto w serce. Obróciłem się na spotkanie trzeciego, sparowałem jego cięcie i przeciągnąłem mu ostrzem po brzuchu, posyłając go w błoto. Wierzchem dłoni starłem krew z twarzy i ujrzałem, jak John przebija następnego, a Charles, wyrwawszy broń jednemu z pilnujących go żołdaków, wykańcza kolejnego kilkoma pewnymi pchnięciami.

Nagle starcie się skończyło i stanąłem przed ostatnim ocalałym przeciwnikiem – a był nim sam generał Edward Braddock.

Byłoby tak łatwo – skończyć wszystko tu i teraz.

Jego oczy mówiły mi, że wiedział – wiedział, że pragnę i mogę go zabić. Być może po raz pierwszy dotarło do niego, że wszelkie więzy, które kiedyś

nas łączyły, więzy zakonu czy wspólnego szacunku dla Reginalda, przestały istnieć.

Odczekałem chwilę, a potem opuściłem broń.

– Powściągnę dziś swoją rękę, bo kiedyś byłeś mi bratem – oznajmiłem – i lepszym człowiekiem. Ale jeśli nasze drogi znów się kiedyś skrzyżują, wszystkie sentymenty pójdą w niepamięć.

Odwróciłem się do Johna.

– Jesteś wolny, John.

Cała nasza trójka – ja, John i Charles – ruszyliśmy swoją drogą.

– Zdrajco! – zawołał Braddock. – Idź więc. Idź razem z nimi ścigać duchy. A kiedy będziesz konał, połamany na dnie jakiejś ciemnej jamy, modłę się, by moje słowa były ostatnimi, jakie sobie przypomnisz.

I z tymi słowy odmaszerował, przestępując trupy swoich ludzi i roztrącając przechodniów. Na ulicach Bostonu zawsze gdzieś blisko był wojskowy patrol; świadomi, że Braddock może wezwać posiłki, postanowiliśmy zniknąć. Kiedy się oddalił, obejrzałem się na leżące w błocie trupy żołnierzy i pomyślałem, że nie było to najbardziej udane popołudnie dla werbowników.

Nic dziwnego, że bostończycy omijali nas szerokim łukiem, gdy spieszyliśmy z powrotem do Zielonego Smoka. Byliśmy uwalani błotem i krwią, a Charles usiłował odziać się w marszu. Johna tymczasem ciekawiła przyczyna mojej niechęci wobec Braddocka.

Opowiedziałem mu o rzezi na nabrzeżu.

– Potem nic już nie było takie samo – zakończyłem. – Kilka razy jeszcze walczyliśmy razem, ale każda kampania była gorsza od poprzedniej. Zabijał bez umiaru: wrogów i sprzymierzeńców, cywilów i żołnierzy, winnych i niewinnych, bez znaczenia. Jeśli widział w kimś przeszkodę, ten umierał. Utrzymywał, że przemoc to najskuteczniejsze rozwiązanie. Stała się jego religią. A mnie krwawiło serce.

– Powinniśmy go powstrzymać – powiedział John, oglądając się za siebie, jakbyśmy mogli spróbować bezzwłocznie.

– Może i masz rację... Ale żywię naiwną nadzieję, że da się go jeszcze ocalić i przemówić mu do rozsądku. Wiem, wiem... to głupota wierzyć, że

ktoś tak przesiąknięty śmiercią nagle się zmieni.

„A może i nie?”, pomyślałem. W końcu ja się zmieniłem, nieprawdaż?

14 lipca 1754

*i*

Mieszkając w Zielonym Smoku, byliśmy w odpowiednim miejscu, by natychmiast dowiadywać się o wszelkich knowaniach przeciw nam; mój wierny Thomas trzymał rękę na pulsie. Nie był to dla niego duży wysiłek, rzecz jasna; nasłuchiwanie, czy ktoś przeciw nam nie spiskuje, oznaczało popijanie piwa, podsłuchiwanie cudzych rozmów i wyciąganie plotek od ludzi. Thomas był w tym bardzo dobry. Musiał być. Narobiliśmy sobie wrogów: Silasa, oczywiście, ale co gorsza, także generała Edwarda Braddocka.

Zeszłej nocy siedziałem przy stole w swoim pokoju i pisałem dziennik. Asasyńskie ostrze położyłem obok, resztę oręża umieściłem w zasięgu ręki na wypadek, gdyby Braddock bez zwłoki pragnął wziąć odwet. Wiedziałem, że od tej pory tak już będzie stale: sen z jednym okiem otwartym, broń zawsze pod ręką, bezustanne oglądanie się za siebie, każdy nieznajomy traktowany jak potencjalny wróg. Samo myślenie o tym było wyczerpujące, ale co nam pozostawało? Według Slatera Braddock wyrzekł się zakonu templariuszy. Został renegatem, a jedyną rzeczą gorszą od renegata jest renegat, który do dyspozycji ma własną armię.

Mogłem się przynajmniej pocieszać świadomością, że miałem swój doborowy zespół i że zebraliśmy się w komplecie w naszej sali narad, wzmocnieni przez Johna Pitcairna, coraz groźniejsi dla wrogów.

Kiedy wszedłem, wszyscy wstali, by mnie powitać – nawet Thomas, który wydawał się trzeźwiejszy niż zwykle. Potoczyłem po nich spojrzeniem: rany Benjamina ładnie się wygoiły, John zrzucił pęta służby u Braddocka, dotąd zatroskany, teraz wyraźnie poweselał. Charles pozostawał

oficerem brytyjskiej armii, bał się, że Braddock go wezwie, toteż kiedy nie patrzył z góry na Thomasa, bezustannie się zamartwiał. William natomiast stał przy swoim pulpicie z piórem w ręku, cały czas skupiony na porównywaniu symboli z amuletu z księgą, rycinami i własnymi mapami. Wciąż był daleki od rozwiązania zagadki, nie mógł połączyć w całość najważniejszych detali. Miałem już pewien plan działania.

Gestem poprosiłem, by usiedli, i sam zająłem miejsce między nimi.

– Panowie, tuszę, że znalazłem rozwiązanie naszego problemu. A raczej dokonał tego Odyseusz.

Imię greckiego herosa wywarło na moich towarzyszach rozmaite wrażenie. William, Charles i Benjamin z powagą pokiwali głowami, ale John i Thomas miny mieli nietęgę. Z nich dwóch Thomas krępował się mniej.

– Odys...seusz? To jakiś nowy rekrut? – spytał i głośno beknął.

– To grecki heros, bałwanie – rzekł Charles z niesmakiem.

– Pozwólcie, że wyjaśnię – powiedziałem. – Wejdziemy do fortu Silasa, udając pokojowe zamiary. Gdy będziemy wewnątrz, uruchomimy pułapkę. Uwolnimy więźniów i zabijemy handlarza niewolników.

Patrzyłem, jak powoli dociera do nich sens mojego planu. Thomas odezwał się pierwszy.

– Bardzo przebiegłe. – Uśmiechnął się szeroko. – Podoba mi się.

– Zaczynamy tedy – ciągnąłem. – Po pierwsze, musimy zapewnić sobie transport...

## *ii*

Charles i ja staliśmy na dachu budynku przy jednym z bostońskich placów, obaj przebrani za żołnierzy.

Popatrzyłem na swój mundur. Na skórzanym pendencie pozostały resztki krwi Slatera, na białych pończochach miałem plamę, mimo to nie wyglądałem autentycznie w tym stroju. Charles także, do tego narzekał.

– Zapomniałem już, jakie te mundury niewygodne.

– Obawiam się, że to konieczne – powiedziałem – aby nasz podstęp się udał.

Spojrzałem na Charlesa. Przynajmniej nie musiał długo znosić niewygód.

– Transport niedługo przybędzie – pocieszyłem go. – Zaatakujemy na mój sygnał.

– Rozumiem, proszę pana.

Na placu w dole przejazd był zablokowany przewróconym wozem. Dwaj mężczyźni, sapiąc i dysząc, próbowali postawić go na koła.

Czy też raczej udawali... Mężczyznami tymi byli bowiem Thomas i Benjamin, a wóz został przewrócony rozmyślnie przez całą naszą czwórkę kilka chwil wcześniej, żeby zablokować wyjazd. William i John czekali nieopodal w cieniu przed warsztatem kowalskim; siedzieli na odwróconych wiadrach z kapeluszami spuszczone nisko na oczy, udając dwóch odpoczywających spokojnie po pracy pomocników kowala.

Pułapka była gotowa. Przyłożyłem do oka lunetę. Tym razem ich zobaczyłem – konwój, oddział dziewięciu żołnierzy jadący w naszą stronę. Jeden z nich powoził wozem z sianem, a obok niego na koźle...

Ustawiłem ostrość. To była kobieta z plemienia Mohawków – piękna kobieta. Mimo że przykuta łańcuchem, miała dumną, wyzywającą minę i siedziała prosto, w odróżnieniu od żołnierza obok, zgarbionego i trzymającego w zębach długą fajkę. Dostrzegłem na jej twarzy rozległy siniec i, o dziwo, poczułem falę gniewu. Zastanawiałem się, kiedy ją pojмали i jak im się to udało. Widać było, że stawiała opór.

– Proszę pana – odezwał się Charles obok mnie – czy nie powinien pan dać znaku?

Odchrząknąłem.

– Oczywiście, Charlesie – powiedziałem, wsunąłem palce w usta i cicho zagwizdałem.

Moi kompani w dole wymienili sygnały gotowości, a Thomas i Benjamin znów zaczęli udawać, że stawiają wóz na koła.

Czekaliśmy – czekaliśmy, aż żołnierze wmaszerowali na plac i zobaczyli blokujący im drogę wóz.

– Co to ma znaczyć, do czarta? – spytał jeden z idących na przedzie.

– Stokrotnie przepraszamy, panowie, spotkał nas niefortunny mały wypadek – powiedział Thomas z usłużnym uśmiechem, rozkładając ręce.

Idący na czele żołnierz zauważył jego akcent i od razu nadał się z wyższością. Poczzerwieniał ze złości, nie aż tak, jak jego kurtka, ale prawie.

– Zabierzcie to, i to szybko! – warknął. Thomas usłużnie mu się uklonił i odwrócił, by pomóc Benjaminowi przy wozie.

– Oczywiście, milordzie, natychmiast – powiedział.

Charles i ja obserwowaliśmy ich, leżąc już na brzuchach. John i William siedzieli z osłoniętymi twarzami, ale oni także patrzyli na żołnierzy, którzy zamiast po prostu obejść wóz, albo – broń Boże – pomóc Thomasowi i Benjaminowi ustawić go na kołach, stali i patrzyli. Ich dowódca wściekał się coraz bardziej, aż w końcu eksplodował krzykiem.

– Albo zabierzecie stąd ten wóz, albo go rozjedziemy.

– Proszę, nie róbcie tego.

Zobaczyłem, że Thomas zerka na dach, na którym leżeliśmy, a potem na siedzących w pogotowiu Williama i Johna, z dłońmi na rękojeściach broni. Wypowiedział hasło do ataku, które brzmiało:

– Już prawie skończyliśmy.

Jednym ruchem Benjamin dobył pałasza i przebił nim najbliższego stojącego żołnierza. Zanim dowódca zdążył zareagować, Thomas wyciągnął sztylet z rękawa i równie szybko wraził mu go w oko.

William i John wypadli z ukrycia i trzech żołnierzy padło pod ich ciosami. Charles i ja zeskoczyliśmy z dachu, atakując stojące najbliższe czerwone kurtki: zabiliśmy czterech. Nie pozwoliliśmy im nawet wyzionąć ducha w spokoju. W obawie, że mundury zbyt splotą się krwią, obdarliśmy z nich konających. Zawlekliśmy nagie trupy do stajni, zamknęliśmy i zabiliśmy deskami wrota, a potem zebraliśmy się na placu, sześciu żołnierzy w miejsce dziewięciu. Nowy konwój.

Rozejrzałem się. Plac nie był wcześniej zbyt gwarny, a teraz zupełnie opustoszał. Nie mieliśmy pojęcia, kto mógł być świadkiem zasadzki – koloniści, którzy nienawidzili Brytyjczyków i cieszyli się z ich klęski? Ich poplecznicy, którzy właśnie zdążali do fortu Southgate uprzedzić Silasa o tym, co się stało? Nie mieliśmy czasu do stracenia.



Wskoczyłem na kozioł, a Indianka lekko się odsunęła – na ile pozwalały jej kajdany – rzuciła mi czujne, lecz wyzywające spojrzenie.

– Chcemy ci pomóc – zapewniłem ją. – Tobie i tym, których trzymają w forcie Southgate.

– To mnie uwolnij – rzekła.

– Dopiero kiedy będziemy w środku – odparłem z żalem. – Nie mogę ryzykować, że warta przy bramie nas zatrzyma.

Obdarzyła mnie spojrzeniem pełnym odrazy, jakbym powiedział właśnie to, czego się spodziewała.

– Będziesz bezpieczna – powtórzyłem z naciskiem. – Masz moje słowo.

Strzeliłem lejcami i wóz ruszył, z obu stron eskortowany przez moich ludzi.

– Czy wiesz coś o tym, jak działa Silas? – spytałem Indiankę. – Ilu ludzi mamy się spodziewać? Jak są uzbrojeni?

Ona jednak milczała.

– Musisz być dla niego bardzo ważna, skoro dał ci osobną eskortę. – Nie ustawałem, ale wciąż mnie ignorowała. – Chciałbym, abyś nam zaufała... choć twoja rezerwa jest całkiem naturalna.

Dalej milczała. Zrozumiałem, że tracę czas, i postanowiłem dać spokój. Kiedy dotarliśmy w końcu do bramy, zatrzymał nas strażnik.

– Stać – powiedział.

Ściągnąłem lejce i zatrzymaliśmy się, ja i moja obstawa. Uchyliłem kapelusza.

– Dobry wieczór, panowie.

Widać było, że żołnierz nie był w nastroju do wymiany uprzejmości.

– W jakiej sprawie – spytał krótko, patrząc na Indiankę zainteresowanym, poządlwym wzrokiem. Odwzajemniła jego spojrzenie własnym, pełnym jadu.

Przeszło mi przez głowę, że kiedy przybyłem do Bostonu, chciałem zobaczyć, jakie zmiany wywołały w tym kraju brytyjskie rządy, jaki wpływ miała nasza władza na tutejszych ludzi. Dla Mohawków nie było to oczywiście nic dobrego.

Rozprawialiśmy nabożnie o ucywilizowaniu tej krainy, ale w rzeczywistości ją zatruwaliśmy.

Wskazałem kobietę.

– Dostawa dla Silasa – powiedziałem. Wartownik kiwnął głową, oblizał lubieżnie usta i zastukał w bramę, po czym ją otwarto. Wjechaliśmy powoli do środka. W forcie panowała cisza. Znajdowaliśmy się blisko umocnień – niskich murów z ciemnego kamienia, na zwieńczeniu stały armaty wymierzone ponad dachami Bostonu w stronę morza. Po murze chodzili w tę i z powrotem żołnierze z muszkietami na ramionach. Pilnowali głównie tego, co się działo za murami; bali się ataku Francuzów i tylko przelotnie spoglądali na nasz turkoczący furgon. Staraliśmy się wyglądać jak najbardziej naturalnie. Zatrzymaliśmy się w odludnym kącie dziedzińca, gdzie pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było uwolnienie kobiety z łańcucha.

– Widzisz? Uwalniam cię, tak jak mówiłem. Jeśli pozwolisz mi wytłumaczyć...

Ale jej odpowiedź brzmiała „nie”. Spojrzała na mnie wilkiem jeszcze raz, zeskoczyła z wozu i zniknęła w ciemności. Patrzyłem za nią i czułem, że nie skończyło się to tak, jakbym chciał. Pragnąłem wszystko jej wyjaśnić, spędzić z nią więcej czasu.

Thomas chciał ją gonić, ale go powstrzymałem.

– Zostaw ją – powiedziałem.

– Ale ona nas zdradzi – zaprotestował.

Spojrzałem tam, gdzie Indianka zniknęła – była już ledwie wspomnieniem, duchem.

– Nie, nie zdradzi – rzekłem i zsiadłem z wozu.

Upewniłem się, że jesteśmy sami na majdanie, a potem zebrałem wszystkich wokół siebie, by wydać im rozkazy: uwolnić więźniów i nie dać się wykryć. Potwierdzili rozkazy z powagą, skupieni na swoim zadaniu.

– Co z Silasem? – spytał Benjamin.

Pomyślałem o roześmianym mężczyźnie, którego widziałem w magazynie, który zostawił Benjaminą na pastwę Cuttera. Przypomniałem sobie, jak Church przysięgał, że utnie mu za to głowę. Popatrzyłem na przyjaciela.

– Silas ma umrzeć – powiedziałem.

Patrząc, jak rozplývają się w ciemności, postanowiłem mieć na oku Charlesa, swojego ucznia. Zobaczyłem, jak podchodzi do grupy żołnierzy i im się przedstawia. Obejrzałem się przez plac; Thomas wmieszał się w inną grupę. William i John tymczasem szli swobodnym krokiem w stronę budynku, który był prawdopodobnie więzieniem. Drogę zastąpił im wartownik.

Sprawdziłem, że pozostali żołnierze są zajęci przez Charlesa i Thomasa, a potem dałem Johnowi niepostrzeżenie znak. Zobaczyłem, że porozumiewa się szybko z Williamem.

– W czym mogę pomóc? – zapytał strażnik. John kopnął go w krocze. Z cichym jękiem pochwyconego w paści zwierzęcia żołnierz puścił pikę i padł na kolana. John natychmiast sięgnął mu do pasa i zabrał pęk kluczy, a potem, odwrócony plecami do nas, otworzył drzwi, chwycił pochodnię z uchwytu na ścianie i zniknął w środku.

Rozejrzałem się. Żaden z żołnierzy nie zauważył, co się stało pod więzieniem. Ci na murach pilnie wpatrywali się w morze, ci wewnątrz byli zajęci Charlesem i Thomasem.

Spojrzałem znów na drzwi więzienia i zobaczyłem, że John pojawia się z powrotem i zaczyna wypuszczać pierwszych więźniów. Nagle jeden ze strażników na blankach zobaczył, co się dzieje.

– Ej, ty tam, co ty wyprawiasz?! – krzyknął, mierząc do Johna z muszkietu. Podniósł się krzyk. Natychmiast pobiegłem w stronę murów, gdzie pierwszy żołnierz już miał nacisnąć spust, wbiegłem po schodach i spadłem na niego, jednym szybkim ruchem wbijając mu ostrze pod szczękę. Przypadłem nisko, pozwoliłem, by jego ciało oparło się na mnie, a potem wyskoczyłem spod niego, dźgając następnego żołnierza w serce. Trzeci stał plecami do mnie i mierzył do Williama, ale przeciągnąłem ostrzem po jego nogach, a gdy padał, zadałem mu cios łaski w kark.

William podziękował mi gestem ręki i odwrócił się na spotkanie kolejnego żołnierza. Ciął pałaszem, powalając napastnika, a gdy stawiał czoła następnemu, twarz miał zakrwawioną. W kilka chwil położyliśmy

trupem wszystkich żołnierzy. Nagle drzwi jednego z budynków otworzyły się i stanął w nich rozwścieczony Silas.

– Prosiłem tylko o godzinę spokoju! – ryknął. – A mija ledwie dziesięć minut i budzicie mnie tym szaleńczym jazgotem! Oczekuję wyjaśnień i lepiej dla was, by były przekonujące.

Stanął jak wryty, krzyk zgasł mu na ustach, a krew odpłynęła z twarzy. Na całym dziedzińcu wałały się trupy jego ludzi. Obejrzał się na więzienie, gdzie z otwartych szeroko drzwi wybiegali tubylcy, popędzani przez Johna.

Silas dobył broni, a za nim pojawiło się więcej jego ludzi.

– Jak to? – zaskrzeczał. – Jak to możliwe? Mój cenny towar na wolności? To niedopuszczalne. Bądźcie spokojni, winni zapłacą głową. Ale najpierw... najpierw posprzątajmy ten bałagan.

Jego ludzie naciągali kurtki, zapinali pasy, ładowali muszkiety. Dziedziniec, jeszcze przed chwilą zasłany wyłącznie ciałami poległych, nagle zaroił się łaknącymi zemsty żołnierzami. Silas wychodził z siebie, wrzeszczał na nich, gorączkowo wymachiwał rękami, żeby chwytali za broń. Potem się uspokoił.

– Zamknąć fort! Zabić każdego, kto spróbuje uciec. Nie obchodzi mnie, czy to będzie ktoś spośród nas, czy ktoś spośród... nich. Zbliżyć się do bramy to paść trupem! Czy wyrażam się jasno?

Walka rozpoczęła się na nowo. Charles, Thomas, William, John i Benjamin biegali między żołnierzami, wykorzystując jak najlepiej swoje przebrania. Zaatakowani przez nich ludzie zaczęli walczyć między sobą, nie wiedząc już, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem.

Niezatrzymywani przez nikogo, Indianie schowali się, żeby przeczekać bitwę. Grupa czerwonych kurtek Silasa ustawiła się w szereg przed bramą. Dostrzegłem szansę – Silas stanął obok nich i zachęcał ich do bezwzględności. Widać było, że nie obchodzi go, kto polegnie, byle tylko jego cenny „towar” nie zdołał zbiec i honor pozostał niesplamiony.

Machnąłem na Benjamina i ruszyliśmy w jego stronę. Dostrzegł nas kątem oka. Przez chwilę widać było na jego twarzy zmieszanie, potem zrozumiał, że po pierwsze, jesteśmy napastnikami, a po drugie, nie ma

dokąd uciekać, bo odcinaliśmy go od reszty jego ludzi. Dla innych wyglądaliśmy jak dwaj osłaniający go żołnierze.

– Nie znasz mnie – powiedziałem – ale wy dwaj chyba znacie się dość dobrze...

Benjamin Church wystąpił do przodu.

– Złożyłem ci obietnicę, Silas – rzekł – i zamierzam jej dotrzymać...

W kilka chwil było po wszystkim. Benjamin był dla Silasa o wiele bardziej litościwy niż Cutter dla niego. Kiedy dowódca poległ, obrońcy stracili wolę walki, bramę otwarto i pozwoliliśmy reszcie czerwonych kurtek ujść z życiem. Za nimi biegli Mohawkowie; dostrzegłem kobietę, którą tu przywieźliśmy. Zamiast uciekać, została, by pomóc swoim: była nie tylko piękna i dumna, ale dzielna. Kiedy popędzała swoich pobratymców do szybszego opuszczenia przeklętego dla nich fortu, nasze spojrzenia przelotnie się spotkały. Stałem jak zahipnotyzowany. A potem zniknęła.

15 listopada 1754

*i*

Był mróz, wszędzie dookoła leżał śnieg. Ruszyliśmy wczesnym rankiem w stronę Lexington, gnani... „Obsesja” to raczej za mocne słowo. Niech więc będzie „zaintrygowanie”: moim „zaintrygowaniem” Indianką z wozu. Musiałem ją odnaleźć.

Dlaczego?

Gdyby Charles mnie o to zapytał, odparłbym, że chciałem ją znaleźć, dlatego że dobrze mówi po angielsku i może się nam przydać jako kontakt z Mohawkami w poszukiwaniach świątyni „prekursorów”.

To właśnie powiedziałbym Charlesowi, gdyby mnie spytał o powody, i byłaby to po części prawda. Po części.

Tak czy inaczej, Charles i ja wyruszyliśmy na kolejną wyprawę, tym razem do Lexington.

– Obawiam się, że mam złe wieści, proszę pana – powiedział.

– O co chodzi, Charlesie?

– Braddock nalega, bym wrócił do służby. Próbowałem go uprosić, ale bezskutecznie – rzekł ze smutkiem.

– Z pewnością wciąż jest zły, że stracił Johna, nie wspominając już o tym, jak go upokorzyliśmy – odparłem z namysłem, zastanawiając się, czy mogłem położyć temu kres, kiedy miałem szansę. – Zrób, jak każe. Ja zaś postaram się uwolnić cię od niego.

Jak? Nie wiedziałem. Był czas, kiedy wystarczyłby utrzymany w surowym tonie list od Reginalda, stało się jednak jasne, że Braddock nie czuł się już związany z naszym dziełem.

– Przepraszam za kłopot – powiedział Charles.

– To nie twoja wina.

Będzie mi go brakowało. Ostatecznie bardzo mi pomógł odszukać ślad tajemniczej kobiety, która według niego znajdowała się w Lexington, przygotowując kłopoty oddziałom Braddocka. Któżby mógł ją za to winić, po tym, jak jej pobratymcy zostali uwięzieni przez

Silasa? Dlatego właśnie byliśmy teraz w Lexington, w opuszczonym niedawno myśliwskim obozie.

– Już niedaleko – powiedział Charles. Tylko mi się wydawało, czy w istocie serce zabiło mi szybciej? Bardzo dawno już żadna kobieta tak na mnie nie działała. Całe życie spędziłem albo na naukach, albo w podróży, a co do niewiast w moim łóżu, nie było nikogo poważnego: czasem jakaś praczka, kiedy służyłem w Coldstream Guards, kelnerka, córki karczmarzy – kobiety, które dostarczały chwili wytchnienia, cielesnego czy innego, ale żadnej z nich nie nazwałbym wyjątkową.

Ta jednak... Dostrzegłem coś w jej oczach, jakieś pokrewieństwo dusz, drugiego samotnego wojownika, który wiele wycierpiał i patrzy na świat ze znużeniem. Rozejrzałem się po obozowisku.

– Ogień niedawno wygaszono, śnieg jest świeżo wzruszony. – Podniosłem wzrok. – Jest blisko.

Zsiadłem z konia, ale widząc, że Charles zamierza zrobić to samo, powstrzymałem go.

– Ruszaj lepiej do Braddocka, Charlesie, nim nabierze podejrzeń. Dam sobie radę.

Kiwnął głową i zawrócił konia. Odprowadziłem go wzrokiem, a potem rozejrzałem się znów po zaśnieżonej ziemi, zastanawiając się, czemu naprawdę go odesłałem. Dobrze wiedziałem dlaczego.

## ii

Skradałem się między drzewami. Znów zaczął padać śnieg i w lesie zapadła upiorna cisza, zakłócana tylko moim oddechem, parą z moich ust. Poruszałem się szybko, ale bezgłośnie, i wtem ją zobaczyłem, a przynajmniej jej plecy. Klęczała w śniegu ze strzelbą opartą o drzewo i

sprawdzała sidła. Podszedłem bliżej, najciszej jak mogłem, ale i tak zobaczyłem, że zeszywniała.

Usłyszała mnie. Boże, ależ była czujna.

W jednej chwili przetoczyła się w bok, chwyciła broń, rzuciła spojrzenie za siebie i pobiegła w las.

Popędziłem za nią.

– Proszę, zatrzymaj się! – wołałem. – Chcę tylko porozmawiać. Nie jestem twoim wrogiem.

Ona jednak mknęła przez zaśnieżoną puszcę. Biegłem zwinnie za nią, z łatwością wymijając przeszkody, była jednak szybsza; skoczyła w górę, między gałęzie, unikając spowalniającego ją śniegu i przeskakując z konara na konar, gdzie tylko mogła.

Prowadziła mnie coraz dalej w las i uciekłaby, gdyby nie pech. Potknęła się o korzeń i upadła. Dopadłem ją natychmiast, nie po to, by zaatakować, lecz by pomóc jej wstać.

Wyciągnąłem rękę, zdyszany.

– Ja. Haytham – zdołałem wykrztusić. – Przychodzę. W. Pokoju.

Popatrzyła na mnie, jakby nie rozumiała ani słowa. Poczułem, że zaczynam panikować. Może pomyliłem się co do niej. Może wcale nie mówiła po angielsku.

Nagle się odezwała:

– Upadłeś na głowę?

Idealną angielszczyznę.

– Eee... przepraszam...

Z niesmakiem pokręciła głową.

– Czego chcesz?

– Cóż, na początek poznać twoje imię.

Dyszałem ze zmęczenia. Stopniowo zaczynałem panować nad oddechem, parującym na mrozie.

Po chwili niezdecydowania – widziałem je na jej twarzy – odparła:

– Jestem Kaniehtí:io. Mów mi po prostu Ziio – dodała, kiedy bezskutecznie spróbowałem powtórzyć jej imię. – A teraz mów, po co tu przyszedłeś.



Zdjąłem z szyi amulet i pokazałem go jej.

– Wiesz, co to jest?

Bez ostrzeżenia chwyciła mnie za rękę.

– Masz je? – spytała.

Przez chwilę nie wiedziałem, o co jej chodzi, aż zobaczyłem, że nie patrzy na amulet, lecz na moje asasyńskie ostrze. Przyglądałem się jej przez chwilę, doświadczając jakiegoś dziwnego pomieszania uczuć: dumy, podziwu, potem obawy, kiedy przypadkowo wysunęła ostrze. Trzeba jej jednak przyznać, że się nie przelękła, popatrzyła tylko na mnie szeroko otwartymi, piwnymi oczami. Poczułem, że zapadam się w nich coraz głębiej.

– Odkryłam twoją tajemnicę – powiedziała.

Uśmiechnąłem się, starając się zachować zimną krew, i pokazałem jej jeszcze raz amulet.

– Popatrz. – Zakołysałem nim w powietrzu. – Wiesz, co to jest?

Ujęła amulet w dłoń i przyjrzała się mu.

– Skąd to masz?

– Od starego przyjaciela – odparłem, myśląc o Miko i zmawiając za niego w duchu krótką modlitwę.

Może to on powinien był przeżyć, a nie ja, zastanawiałem się, asasyn, a nie templariusz?

– Widziałam takie znaki tylko w jednym miejscu – powiedziała, a mnie przeszedł nagły dreszcz.

– Gdzie?

– Nie wolno mi o tym mówić.

Nachyliłem się ku niej.

Spojrzałem jej w oczy, mając nadzieję, że udzieli się jej moja wiara.

– Uratowałem twoich współplemieńców. Czy to nic dla ciebie nie znaczy? Milczała.

– Posłuchaj – nie ustępowałem. – Nie jestem twoim wrogiem.

Wtedy być może pomyślała o tym, jak ryzykowaliśmy w forcie, jak uratowaliśmy tyłu jej pobratymców z rąk Silasa. I być może dostrzegła we mnie coś, co się jej spodobało.

Tak czy inaczej, pokiwała głową.

– Niedaleko stąd jest wzgórze. Na jego szczycie rośnie wielkie drzewo. Chodź, przekonamy się, czy mówisz prawdę.

*iii*

Zaprowadziła mnie tam i wskazała dolinę, w której rozciągało się miasteczko o nazwie Concord.

– Stacjonują tam wojska, które chcą wygnać mój lud z ziem zajmowanych od pokoleń.

Dowodzi nimi człowiek zwany Buldogiem – powiedziała.

Zaświtało mi w głowie.

– Edward Braddock...

Obejrzała się na mnie gwałtownie.

– Znasz go?

– Nie jest mi przyjacielem – zapewniłem, i nigdy w życiu nie byłem bardziej szczery.

– Każdego dnia przez takich jak on ginie nas coraz więcej – powiedziała stanowczo.

– Położmy więc temu kres. Razem.

Popatrzyła na mnie surowo. W jej oczach widziałem powątpiewanie, ale też nadzieję.

– Co proponujesz?

Nagle zrozumiałem, co trzeba zrobić.

– Musimy zabić Edwarda Braddocka.

Pozwoliłem, by waga tych słów do niej dotarła. Potem dodałem:

– Ale najpierw musimy go znaleźć.

Ruszyliśmy w dół zbocza, w stronę osady Concord.

– Nie ufam ci – powiedziała krótko.

– Wiem.

– A mimo to jesteś tu.

– Żeby ci pokazać, że się mylisz.

– Tak się nigdy nie stanie.

Twarz miała zaciętą. Nieprędko zdobędę zaufanie tej tajemniczej, urzekającej kobiety. W mieście odnaleźliśmy zajazd. Powstrzymałem Ziio.

– Zaczekaj tu – powiedziałem. – Kobieta z plemienia Mohawków wzbudzi podejrzenia, a nawet wrogość.

Pokręciła głową i naciągnęła kaptur.

– Nie pierwszy raz jestem wśród was – rzekła. – Dam sobie radę.

Miałem nadzieję, że tak będzie.

W środku zastaliśmy żołdaków Braddocka, siedzących przy stolikach i pijących z zawziętością, która zaimponowałaby nawet Thomasowi Hickeyowi. Weszliśmy między nich, podsłuchując rozmowy. Dowiedzieliśmy się, że Braddock jest w podróży. Brytyjczycy chcieli namówić Mohawków, by ruszyli na północ i podjęli walkę z Francuzami. Potwierdziło się, że żołnierze boją się Braddocka. Opowiadali wciąż, jaki potrafi być bezlitosny i że budzi lęk nawet u swoich oficerów. Jedno z podsłuchanych nazwisk brzmiało Jerzy Waszyngton. Według dwóch popijających tylko on miał dość odwagi, by kwestionować rozkazy generała. Ruszyłem w głąb gospody i znalazłem owego Waszyngtona, siedzącego wraz z innym oficerem przy osobnym stoliku. Podeszedłem niby od niechcienia bliżej, by usłyszeć, o czym rozmawiają.

– Powiedz, że masz dobre wieści – rzekł jeden.

– Generał Braddock odmówił. Rozejmu nie będzie – odparł drugi.

– A niech to.

– Dlaczego, Jerzy? Jaki podał powód?

– Powiedział, że dyplomatyczne rozwiązanie to żadne rozwiązanie – opowiadał ten, którego uznałem za Jerzego Waszyngtona. – Że pozwolić Francuzom, by się wycofali, to opóźnić nieuniknioną wojnę, a teraz oni mają przewagę.

– Choć niechętnie to przyznaję, jest słuszność w tych słowach. Mimo to... widzisz przecież, że to nierozsądne?

– Ja również nie jestem tym zachwycony. Jesteśmy daleko od domu, nasze siły są rozproszone. Co gorsza, obawiam się, że żądza krwi czyni Braddocka porywczym. Naraża ludzi.

Wolałbym nie przekazywać złych wieści matkom i wdowom tylko dlatego, że Buldog chce coś komuś udowodnić.

– Gdzie teraz jest generał?

– Zbiera wojska.

– A potem rusza do Fort Duquesne, jak mniemam?

– W końcu tak. Marsz na północ na pewno trochę potrwa.

– Przynajmniej wkrótce to wszystko się skończy...

– Próbowałem, John.

– Wiem, przyjacielu. Wiem...

Na zewnątrz poinformowałem Ziio, że Braddock pojechał zbierać wojska.

– Maszerują do Fort Duquesne. Przygotowania zajmą im trochę czasu, możemy więc opracować plan.

– Nie ma potrzeby – odparła. – Urządzimy na niego zasadzkę nad rzeką. Jedź po swoich towarzyszy, ja zrobię to samo. Przyślę ci wiadomość, gdy przyjdzie pora uderzyć.

8 lipca 1755

Minęło osiem miesięcy, odkąd Ziio kazała mi czekać na wiadomość, w końcu jednak ją dostałem i wyruszyliśmy do kraju Ohio, w którym Brytyjczycy zamierzali rozpocząć kampanię przeciwko francuskim fortom. Ekspedycja Braddocka maszerowała na Fort Duquesne.

Wszyscy byliśmy przez ten czas bardzo zajęci, a nikt bardziej niż Ziio. Dowiedziałem się o tym, kiedy w końcu się spotkaliśmy, i zobaczyłem, że przyprowadziła ze sobą liczne siły złożone z Indian.

– Wszyscy ci wojownicy pochodzą z różnych plemion, zjednoczyło ich pragnienie, by pozbyć się Braddocka – powiedziała. – Abenakowie, Delawarowie, Szaunisi.

– A ty? – spytałem, kiedy zakończyła się prezentacja. – Za kogo walczysz?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Za siebie.

– Co mam robić? – zapytałem w końcu.

– Pomożesz wraz z towarzyszami w przygotowaniach...

Nie żartowała. Posłałem swoich ludzi do pracy i wraz z nimi zabrałem się za usypywanie niewidocznych nawet z bliska umocnień, ładowaniem prochu na wóz pułapkę, aż wszystko było gotowe.

– Nie mogę się doczekać miny Braddocka, kiedy wpadnie w te sidła – powiedziałem do Ziio, szeroko się uśmiechając.

Popatrzyła na mnie nieufnie.

– Sprawia ci to przyjemność?

– To ty poprosiłaś, bym ci go pomógł zabić.

– Ale nie czerpię z tego przyjemności. Zostanie złożony w ofierze, by ocalić tę ziemię i ludzi, którzy na niej żyją. A co kieruje tobą? Jakieś zadawnione krzywdy? Zdrada? Czy po prostu gorączka łowów?

– Nie jestem taki, jak sądzisz – odparłem.

Ziio wskazała między drzewa, w stronę rzeki Monongahela.

– Ludzie Braddocka wkrótce przybędą – powiedziała. – Przygotujmy się na ich przybycie.

9 lipca 1755

*i*

Konny zwiadowca Mohawków pospiesznie powiedział coś, czego nie zrozumiałem, ale gdy wskazał w głąb doliny, w kierunku Monongaheli, domyśliłem się, co przekazał: ludzie Braddocka przeprawili się przez rzekę i wkrótce nadejdą. Ruszył powiadomić pozostałych, a Ziio, leżąca obok mnie, potwierdziła to, co sam już wiedziałem.

– Idą – powiedziała po prostu.

Podobało mi się, że leżę obok niej w kryjówce, cieszyła mnie jej bliskość. Dlatego z pewnym żalem wyjrzałem przez zarośla i ujrzałem Anglików wyłaniających się spomiędzy drzew u stóp wzgórza. W tej samej chwili to usłyszałem: coraz głośniejszy rumor w oddali, zwiastujący przybycie nie podjazdu, nie oddziału konnych zwiadowców, lecz całego regimentu ludzi Braddocka. Najpierw pojawił się poczet dowódcy, potem dobosze i trębacze, później maszerujący żołnierze, na koniec zaś tabory, ciury obozowe i markietanki zamykające pochód.

Kolumna ciągnęła się jak okiem sięgnąć.

Na czele pułku jechał sam generał, kołysząc się w rytm końskiego stępa. Jego oddech parował w rześkim powietrzu. Towarzyszył mu Jerzy Waszyngton.

Dobosze wybijali miarowy krok, za hałas, który czynili byliśmy im nieskończenie wdzięczni, między drzewami bowiem kryli się francuscy i indiańscy strzelcy wyborowi. Na zboczach czekały na sygnał dziesiątki leżących na brzuchach wojowników, ukrytych w poszyciu: ponad stu zacząonych ludzi wstrzymywało oddech, gotowi zatrasnąć pułapkę. Nagle Braddock podniósł rękę, oficer u jego boku wykrzyczał rozkaz, werble

umilkły i cały pułk stanął. Konie rżały i parskały, grzebiąc kopytami ziemię. Kolumna stopniowo ucichła.

Żołnierzy spowiała niesamowita cisza. Wstrzymaliśmy oddech i jestem pewien, że wszyscy tak samo jak ja pomyśleli, że zostaliśmy wykryci.

Jerzy Waszyngton obejrzał się na Braddocka, potem za siebie, gdzie reszta kolumny, oficerowie, żołnierze i tabory, stali w wyczekiwaniu, potem znów na generała.

Odchrząknął.

– Czy wszystko w porządku, sir? – spytał.

Braddock głęboko odetchnął.

– Rozkoszuję się po prostu chwilą – odparł, wziął jeszcze jeden głęboki oddech i dodał: – Bez wątpienia wielu z was zachodzi w głowę, czemu maszerujemy tak daleko na zachód. To dziki kraj, nieujarzmiony i niezasiedlony. Ale nie zawsze tak będzie. Przyjdzie czas, że to, co mamy, przestanie nam wystarczać, a dzień ten jest bliższy, niż myślicie. Musimy zadbać, by nasz naród miał pod dostatkiem miejsca, by się rozwijać i bogacić. Potrzebujemy więcej ziemi.

Francuzi to rozumieją i robią, co mogą, by nam na to nie pozwolić. Otaczają nasze terytorium, wznoszą forty i zawierają układy z Indianami, w oczekiwaniu na dzień, kiedy zadusimy się w ich pętli. Nie możemy się na to zgadzać. Musimy przeciąć stryczek i pokonać ich. Dlatego właśnie maszerujemy. Damy im ostatnią szansę: Francuzi odejdą stąd albo zginą.

Leżąca obok Ziio spojrzała na mnie i zrozumiałem, że niczego nie pragnie bardziej jak w tej chwili przekłuć balon głupoty i pychy tego człowieka.

Nie pomyliłem się.

– Pora uderzać – syknęła.

– Zaczekaj – powiedziałem. Odwróciłem się i ujrzałem, że patrzy na mnie, a nasze twarze prawie się stykały. – Nie wystarczy rozbić regiment. Trzeba dopilnować, by Braddock poniósł całkowitą klęskę. Inaczej na pewno spróbuje ponownie.

Miałem na myśli „zabić go” i lepszej okazji do ataku być nie mogło. Pomyślałem chwilę i wskazałem małą grupę zwiadowców, która oddzieliła się od kolumny.



– Wmieszam się między nich i zbliżę do niego – powiedziałem. – W zamieszaniu bitewnym, niezauważony, będę mógł zadać morderczy cios.

Zsunąłem się po zboczu i podkradłem do patrolu. Bezszelestnie wysunąłem ostrze, wbiłem je w szyję najbliższego żołnierza i rozpiąłem jego kurtkę, zanim jeszcze osunął się na ziemię.

Kolumna, oddalona o jakieś trzysta jardów, ruszyła z grzmotem nadchodzącej burzy. Dobosze znów zaczęli wybijać rytm, a Indianie wykorzystali ten hałas, by niezauważenie przemieścić się między drzewami na lepsze pozycje. Wsiadłem na konia zwiadowcy. Uspokoilem zwierzę, pozwoliłem mu się do mnie przyzwyczaić, a potem zjechałem po niewielkiej pochyłości w stronę kolumny wojska. Jakiś konny oficer zauważył mnie i rozkazał mi wracać na miejsce w szyku, więc pomachałem przepraszająco ręką i ruszyłem w stronę jej czoła, obok taboru i markietanek, mijając żołnierzy, którzy rzucali mi pełne niechęci spojrzenia i obgadywali mnie za plecami, minąłem doboszy, aż prawie zrównałem się z dowództwem. Byłem blisko, ale też łatwiej było mnie rozpoznać.

Usłyszałem, jak Braddock mówi do jednego ze swoich ludzi, najemnika z najbliższego kręgu zaufanych.

– Francuzi wiedzą, że są słabi – tłumaczył – dlatego sprzymierzyli się z dzikusami, którzy zamieszkują tutejsze puszcze. To nieledwie zwierzęta, śpią na drzewach, zbierają skalpy, a nawet zjadają własnych zmarłych. Szkoda dla nich litości. Nie szczędzić nikogo.

Nie wiedziałem, czy mam się śmiać. „Zjadają własnych umarłych”. Myślałem, że już nikt w to nie wierzy.

Oficer pomyślał chyba to samo.

– Ależ sir – zaprotestował. – To tylko bajania. Tubylcy, których znam, niczego takiego nie robią.

Braddock obrócił się ku niemu w siodle.

– Nazywasz mnie kłamcą? – ryknął.

– Źle się wyraziłem, sir – odparł najemnik drżącym głosem. – Przepraszam. Jestem bardzo wdzięczny, że mogę pod panem służyć.

– Chcesz powiedzieć „mogłem służyć” – warknął generał.

– Sir? – tamten nie zrozumiał.

– Jesteś wdzięczny, że mogłeś służyć – powtórzył Braddock, wyciągnął pistolet i zastrzelił mężczyznę. Oficer spadł z konia, z krwawą dziurą w miejscu twarzy. Huk wystrzału spłoszył ptaki z drzew, a kolumna nagle się zatrzymała. Żołnierze zaczęli ściągać muszkiety z ramion i dobywać pałaszy w przekonaniu, że zostali zaatakowani.

Przez kilka chwil rozglądali się czujnie, aż przyszedł rozkaz „spocznij”. Wieść rozeszła się szeptem po szeregach: generał właśnie zastrzelił oficera.

Byłem dość blisko czoła kolumny, by zobaczyć szok na twarzy Jerzego Waszyngtona. On jeden miał dość odwagi, by zaprotestować.

– Panie generale!

Braddock odwrócił się do niego gwałtownie i być może Waszyngton przez krótką chwilę zastanawiał się, czy i jego nie spotka taki sam los.

– Nie będę tolerował wątpliwości wśród moich żołnierzy – zagrzmiał generał. – Ani współczucia dla wroga. Nie zamierzam tolerować niesubordynacji.

– Nikt nie przeczy, że on zbłądził, sir, ale... – ciągnął dzielnie Waszyngton.

– Zapłacił za swoją zdradę tak, jak zapłaci każdy zdrajca. Jeśli mamy wygrać wojnę z Francuzami... To tylko dlatego, że ludzie tacy jak wy będą słuchać takich jak ja, i to bez wahania. W wojsku musi być porządek, jasna hierarchia. Dowódcy i podwładni. Bez tej hierarchii nie może być mowy o zwycięstwie. Czy to jasne?

Waszyngton przytaknął, ale pospiesznie odwrócił wzrok, zachowując dla siebie, co naprawdę myślał. Kiedy kolumna ruszyła, odjechał pod pretekstem jakiejś sprawy nie cierpiącej zwłoki. Dostrzegłem swoją szansę i podjechałem do Braddocka, ustawiając się obok niego i nieco z tyłu, żeby mnie nie zobaczył. Jeszcze nie.

Czekałem, aż nagle za nami wybuchło jakieś zamieszanie i oficer jadący po drugiej stronie odjechał sprawdzić, co się dzieje, zostawiając tylko nas dwóch. Mnie i generała Braddocka.

Wyciągnąłem pistolet.

– Edwardzie – powiedziałem.

Rozkoszowałem się tą chwilą – odwrócił się w siodle, spojrzał na mnie, na lufę pistoletu i znów na mnie. Otworzył usta, chcąc – nie wiem, pewnie zawołać pomocy – ale nie zamierzałem mu na to pozwolić. Nie było już dla niego ucieczki.

– Na drugim końcu lufy już nie jest tak przyjemnie, prawda? – powiedziałem i nacisnąłem spust...

Dokładnie w tym samym momencie, kiedy pułk został zaatakowany – niech to szlag, pułapka zamknęła się zbyt wcześnie. Mój koń spłoszył się i strzał chybił. W oczach Braddocka rozbłysła nadzieja i tryumf. Nagle dookoła nas zaroilo się od Francuzów, a z drzew posypały się strzały. Generał z krzykiem spiął swego konia i w następnej chwili pędził po zboczu w stronę lasu, a ja stałem jak wryty, z pistoletem w ręku, oszołomiony nagłym rozwojem wypadków.

To wahanie omal nie kosztowało mnie życia. Znalazłem się na drodze Francuza – niebieska kurtka, czerwone spodnie – który zamachnął się na mnie kordelasem. Nie zdążyłbym wysunąć ostrza. Nie zdążyłbym dobyć broni.

Nagle Francuz runął z siodła, jakby szarpnięty niewidzialną liną, a jego głowa eksplodowała krwawym rozbryzgiem. Wtem dotarł do mnie huk wystrzału i ujrzałem mojego przyjaciela, Charlesa Lee.

Podziękowałem mu skinieniem głowy, zamierzając uczynić to bardziej wylewnie później. Braddock zniknął wśród drzew, spinając boki wierzchowca. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że ruszam za nim w pościg.

## ii

Zachęcając konia krzykiem, popędziłem za generałem w puszcę, mijając zbiegających po zboczu w stronę brytyjskiej kolumny Indian i Francuzów. Na Braddocka posypały się strzały z łuków, ale żadna nie trafiła. Zaczęły działać zastawione przez nas pułapki. Zobaczyłem wóz wyładowany prochem, który wytoczył się spomiędzy drzew i roztrącił grupę piechurów, a potem eksplodował. Rozbiegły się konie bez jeźdźców, a indiańscy

strzelcy z góry kładli jednego po drugim przerażonych i zdezorientowanych żołnierzy.

Braddock cały czas był daleko, aż w końcu teren zrobił się zbyt trudny dla jego konia.

Wierzchowiec generała stanął dęba i go zrzucił.

Wyjść z bólu, Braddock potoczył się po ziemi. Sięgnął po pistolet, ale zaraz się rozmyślił, poderwał na nogi i pobiegł. Musiałem go dopaść; popędziłem konia.

– Nigdy nie sądziłem, że jesteś tchórzem, Edwardzie – wycedziłem przez zęby, kiedy go dopadłem i wymierzyłem w niego pistolet.

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał mi w oczy. Zobaczyłem w nich pychę i pogardę, które tak dobrze znałem.

– Dalej więc – prychnął.

Podjechałem bliżej, nie opuszczając broni, kiedy nagle huknął strzał, mój koń padł martwy, a ja sam runąłem na leśne poszycie.

– Co za arogancja! – krzyknął Braddock. – Zawsze wiedziałem, że to ona cię zgubi.

U jego boku stanął Jerzy Waszyngton, który wycelował we mnie muszkiet. Poczułem gorzką satysfakcję, że przynajmniej to będzie on, człowiek, który ma sumienie i w niczym nie przypomina generała.

Zamknąłem oczy, gotów na śmierć. Żałowałem, że nie wymierzyłem sprawiedliwości zabójcom mojego ojca. Że byłem tak blisko odkrycia sekretów Tych, Którzy Byli Wcześniej, ale nie zdążyłem wejść do skarbnicy i nie zobaczę, jak ideały mojego zakonu rozchodzą się na cały świat. Nie zdołałem go zmienić, ale przynajmniej zmieniłem się sam. Nie zawsze byłem dobrym człowiekiem, ale starałem się być lepszym.

Strzał jednak nie padł. A kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem Waszyngtona strąconego z konia. Braddock odwrócił się i patrzył, jak jego oficer szamocze się z kimś, kogo natychmiast rozpoznałem – z Ziio. Nie dość, że zaskoczyła Waszyngtona, to rozbroiła go i trzymała mu nóż na gardle. Braddock wykorzystał sposobność, by uciec, a ja podźwignąłem się na nogi i pobiegłem przez polanę do Indianki duszącej oficera.

– Szybko – warknęła do mnie – zanim ucieknie.

Zawahałem się, nie chcąc zostawić jej sam na sam z Waszyngtonem i zmierzającymi tu żołnierzami, ale walnęła go rękojeścią noża; ogłuszony wywrócił oczy i zrozumiałem, że Ziio da sobie radę. Rzuciłem się w pościg za Braddockiem, tym razem pieszo. Generał wciąż miał nabity pistolet; uskoczył za gruby pień drzewa, unosząc broń. Zaryłem gwałtownie obcasami i potoczyłem się za osłonę. Usłyszałem wystrzał. Kula uderzyła w drzewo na lewo ode mnie; nie zwlekając, wskoczyłem z ukrycia, kontynuując pościg. Braddock uciekał, ale byłem od niego trzydzieści lat młodszy, przez ostatnie dwadzieścia nie obrastałem w tłuszcz przy kolejnych awansach w wojsku, i nawet się nie spociłem, kiedy on zaczął ustawać w biegu. Obejrzał się za siebie; kapelusz spadł mu z głowy, kiedy potknął się o korzeń drzewa i omal nie upadł.

Zwolniłem, by mógł odzyskać równowagę, i pobiegłem dalej, niemal truchtem. W tyle słabły odgłosy wystrzałów i okrzyków bólu ludzi i zwierząt. Las wygłuszał dźwięki bitwy, słycharc było tylko urywane sapanie Braddocka i tupot jego wysokich butów na miękkiej, leśnej ściółce. Generał ponownie obejrzał się za siebie i zobaczył mnie – zobaczył, że prawie już nie biegnę, aż w końcu wyczerpany padł na kolana.

Ruchem palca wysunąłem ukryte ostrze i podszedłem do niego.

– Dlaczego, Haythamie? – spytał, ciężko dysząc.

– Twoja śmierć otwiera mi pewne drzwi, to nic osobistego – rzekłem i zadałem cios ostrzem; patrzyłem, jak krew wzbiera w ranie, a ciało szamocze się w przeszywającym bólu.

– Cóż, może to jednak rzecz trochę osobista – powiedziałem, kładąc go na ziemi. – Ostatecznie zatrueś mi życie.

– Ale jesteśmy braćmi broni – zaprotestował. Wzywała go śmierć; zatrzepotał powiekami.

– Kiedyś być może tak. Teraz już nie. Myślisz, że zapomniałem, co zrobiłeś? Ci wszyscy niewinni ludzie, wyrznięci bez wahania. I w imię czego? Nie da się wyrąbać drogi do celu mieczem, jeśli tym celem jest pokój.

Jego spojrzenie się wyostrzyło i popatrzył na mnie.

– Mylisz się – powiedział z niespodziewaną siłą głosu. – Gdybyśmy mogli używać miecza częściej i swobodniej, świat trafiłoby o wiele mniej kłopotów niż dziś.

Zastanowiłem się nad tym.

– W tym wypadku się zgadzam.

Chwyciłem jego dłoń i ściągnąłem z niej pierścień z godłem templariuszy.

– Żegnaj, Edwardzie – powiedziałem i wstałem, czekając, aż skona.

W tej chwili usłyszałem zbliżających się żołnierzy. Nie zdążyłbym już uciec. Padłem na brzuch i wczołgałem się pod zwałony pień drzewa, nagle znalazłem się na poziomie oczu Braddocka. Odwrócił do mnie głowę, oczy mu zaśniły i wiedziałem, że wydałby mnie, gdyby mógł. Powoli wyciągnął rękę, usiłując wskazać moją kryjówkę zakrzywionym palcem.

Do diabła. Powinienem był go dobić.

Zobaczyłem buty żołnierzy, którzy weszli na polanę, ciekawych, jak skończyła się bitwa. Jerzy Waszyngton przepchnął się do przodu i uklęknął obok swojego konającego generała.

Braddock wciąż trzepotał powiekami. Poruszał ustami, próbując układać słowa – słowa, które mnie zdradzą. Zesztywniałem z emocji, licząc nogi: żołnierzy było przynajmniej sześciu albo siedmiu. Czy poradziłbym sobie z nimi?

Zrozumiałem jednak, że nikt nie zwraca uwagi na wysiłki Braddocka. Jerzy Waszyngton przyłożył mu tylko ucho do piersi, posłuchał i krzyknął:

– On żyje!

Ukryty pod pnem, zamknąłem oczy i zakląłem w duchu. Żołnierze dźwignęli generała i zabrali go.

Później odszukałem Ziio.

– Stało się – powiedziałem. Pokiwała głową.

– Dotrzymałem swojej części umowy – dodałem. – Czy ty dotrzymasz swojej?

Znów przytaknęła i kazała mi iść za sobą. Ruszyliśmy w drogę.

10 lipca 1755

Jechaliśmy całą noc, aż w końcu zatrzymaliśmy się i Ziio wskazała wznoszący się przed nami kopiec. Wyglądał, jakby wyrastał z puszczy. Ciekawe, czy w ogóle zauważyłbym go, gdybym przyjechał tu sam. Serce zabiło mi szybciej, przełknąłem ślinę. Wyobrażałem sobie tylko, czy amulet na mojej szyi rzeczywiście się obudził i zrobił cięższy, cieplejszy?

Popatrzyłem na Ziio, podszedłem do otworu i wśliznąłem się do środka. Znalazłem się w niewielkim pomieszczeniu o ścianach wyłożonych prostymi, ceramicznymi płytkami. Wokół ciągnęły się rzędy piktogramów, prowadzące do zagłębienia w ścianie. Zagłębienia wielkości amuletu.

Podszedłem do niego, zdjąłem amulet z szyi i z satysfakcją stwierdziłem, że zaczął delikatnie lśnić w mojej dłoni. Odwróciłem się, spojrzałem w oczy Ziio; choć z przestachem, zbliżyłem się do wnęki, a gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, dojrzałem wymalowane na ścianie obok dwie postacie, klęczące i wyciągające ręce w geście ofiary.

Amulet zaczął się jarzyć jeszcze jaśniej, jakby nie mógł się doczekać ponownego zespolenia z materiałem komnaty. Ciekaw byłem, jak bardzo jest stary. Ile lat temu wycięto go z tej skały?

Uświadomiłem sobie, że wstrzymuję oddech... Wcisnąłem amulet w zagłębienie.

Nic się nie stało.

Popatrzyłem na Ziio. Potem na amulet, którego blask zaczął słabnąć, zupełnie jakby był odbiciem moich gasnących nadziei. Poruszyłem ustami, szukając odpowiednich słów.

– Nie...

Wyjąłem amulet z zagłębienia i spróbowałem jeszcze raz, ale wciąż nic się nie działo.

– Wyglądasz na zawiedzionego – powiedziała Ziio.

– Myślałem, że mam klucz – odparłem. Zirytował mnie ton własnego głosu, brzmiące w nim rozczarowanie i świadomość klęski. – Że coś tu otworzy...

Wzruszyła ramionami.

– A jest tylko ta komnata?

– Spodziewałem się...

Czego się spodziewałem?

– ...czegoś więcej.

– Co oznaczają te rysunki? – spytałem, biorąc się w garść.

Ziio podeszła do ściany, żeby się im przyjrzeć. Zwłaszcza jeden przykuł jej uwagę. Był to bóg albo bogini w starożytnym, misternym nakryciu głowy.

– Opowiadają historię Iottsitison – powiedziała z przejęciem – która przybyła do naszego świata i uformowała go, by był gotów na przyjęcie życia. Odbyła trudną podróż, dużo straciła i pokonała wiele straszliwych niebezpieczeństw. Uwierzyła jednak w moc swoich dzieci i w to, co mogą osiągnąć. Choć dawno odeszła z realnego świata, jej oczy wciąż nas obserwują. Jej uszy wciąż słyszą nasze słowa. Jej dłonie wciąż nas prowadzą. Jej miłość cały czas dodaje nam sił.

– Okazałaś mi wiele dobra, Ziio. Dziękuję ci.

Obróciła się i popatrzyła na mnie łagodnie.

– Przykro mi, że nie znalazłeś tego, czego szukałeś.

Wziąłem ją za rękę.

– Chodźmy stąd – powiedziałem, wcale nie chcąc wychodzić. Ostatecznie to ona mnie zatrzymała: nachyliła się i mnie pocałowała.



13 lipca 1755

– Panie Kenway, znalazł pan?

To były pierwsze słowa Charlesa Lee, kiedy wszedłem do naszej izby w „Zielonym Smoku”. Moi ludzie się zebrali i patrzyli na mnie z wyczekiwaniem. Kiedy zaprzeczyłem ruchem głowy, miny im zrzedły.

– To nie było właściwe miejsce – powiedziałem. – Obawiam się, że świątynia była jedynie malowaną jaskinią. Były tam jednak obrazy i pismo prekursorów, co oznacza, że jesteśmy blisko. Musimy zdwoić wysiłki, rozbudować nasz zakon i założyć tu stałą bazę – ciągnąłem. – Chociaż nie znaleźliśmy jeszcze tego, czego szukamy, nie wątpię, że w końcu nam się uda.

– To prawda! – rzekł John Pitcairn.

– Właśnie! – dodał Benjamin Church.

– Co więcej, uważam, że powinniśmy wreszcie oficjalnie przyjąć do naszego grona Charlesa. Udowodnił, że jest lojalnym uczniem i służył wiernie od dnia, kiedy do nas dołączył.

Powinien móc czerpać z naszej wiedzy i wszystkich korzyści, które z tego wynikają. Czy ktoś jest przeciw?

Nikt się nie odezwał, wszyscy zerkali na Charlesa z aprobatą.

– Bardzo dobrze. Charlesie, wstań i podejdź.

Kiedy zbliżył się do mnie, powiedziałem:

– Czy przysięgasz przestrzegać zasad naszego zakonu i bronić wszystkiego, co nam drogie?

– Przysięgam.

– Nie zdradzać tajemnic ani nie wyjawiać prawdziwej natury naszych działań?

– Przysięgam.

– I postępować tak aż do śmierci, niezależnie od ceny, jaką przyjdzie ci zapłacić?

– Przysięgam.

Wszyscy wstali.

– W takim razie witamy wśród nas, bracie. Razem obudzimy nowy świat nad światem, zaprowadzimy ład i porządek. Daj rękę.

Wyjąłem pierścień, który zabrałem Braddockowi, i wsunąłem Charlesowi na palec.

– Jesteś teraz templariuszem.

Charles uśmiechnął się szeroko.

– Niech prowadzi nas ojciec zrozumienia – powiedziałem, a pozostali powtórzyli to za mną chórem. Nasza drużyna była w komplecie.

1 sierpnia 1755

Czy ją kocham?

Trudno mi znaleźć odpowiedź na to pytanie. Wiem tylko, że lubiłem jej towarzystwo i drogi jest mi czas, który razem spędziłem.

Była... inna. Było w niej coś, czego nie spotkałem u żadnej innej kobiety. Ten „duch”, o którym mówiłem wcześniej, przebijał z każdego jej słowa i gestu. Patrzę na nią, zafascynowany światłem, którym emanują jej oczy, i zastanawiam się za każdym razem, co się dzieje w jej wnętrzu? O czym myśli?

Myślałem, że mnie kochała. Powinienem raczej powiedzieć „wydawało mi się, że mnie kocha”, ale ona jest taka jak ja. Bardzo wiele ukrywa. I tak samo jak ja wie, że miłość nie ma przyszłości, że nie możemy spędzić razem życia, ani w tej puszczy, ani w Anglii. Zbyt wiele barier nas dzieli – na przykład jej plemię. Ziio nie chce go porzucać. Ma swoje miejsce wśród pobratymców, broniących swojej ziemi – ziemi, która według nich jest zagrożona przez ludzi mi podobnych.

Ja też mam obowiązki wobec moich ludzi. Czy zasady zakonu są zgodne z ideałami jej plemienia? Nie mam tej pewności. Gdyby ktoś kazał mi wybierać między Ziio a ideałami, w które nauczono mnie wierzyć, co bym wybrał?

Takie myśli prześladowały mnie przez kilka ostatnich tygodni, nawet kiedy rozkoszowałem się cudownymi, skradzionymi chwilami z Ziio. Zastanawiałem się, co robić.

## 4 sierpnia 1755

Decyzję podjęto bez mojego udziału, dziś rano bowiem mieliśmy gościa. Byliśmy w obozowisku, jakieś osiem kilometrów od Lexington. Nie widzieliśmy nikogo – ani żywej duszy – od kilku tygodni. Usłyszałem go wpierw, nim zobaczyłem. Czy raczej usłyszałem hałas, który robił: odległy trzepot skrzydeł spłoszonych ptaków. Żaden Mohawk nie skłoniłby ich do tak panicznej ucieczki. To musiał być ktoś inny: kolonista, brytyjski żołnierz, może nawet francuski zwiadowca, który zapuścił się daleko poza swoje terytorium.

Ziio prawie godzinę temu poszła na polowanie. Znałem ją dość dobrze, by wiedzieć, że zauważyła spłoszone ptaki. Ona też na pewno miała muszkiet w pogotowiu.

Wspiąłem się szybko na drzewo i rozejrzałem po okolicy. Tam, w oddali, wolno przemierzał las samotny jeździec. Muszkiet miał zawieszony na ramieniu. Był ubrany w trójgraniasty kapelusz i ciemną, zapinaną kurtkę; nie był wojskowym. Ściągnął wodze, wstrzymał konia i zobaczyłem, że sięga do torby, wyciąga lunetę i przykłada ją do oka.

Skierował ją w górę, nad korony drzew.

Czemu w górę?

Spryciarz. Wypatrywał charakterystycznych smużek dymu, szarych na tle jasnoblękitnego, porannego nieba. Zerknąłem na nasze ognisko, zobaczyłem, że dym z niego wije się w górę, a potem popatrzyłem znów na jeźdźca. Przesuwał lunetą po horyzoncie, zupełnie jakby...

Tak. Zupełnie jakby dzielił obszar poszukiwań na kwadraty i lustrował je metodycznie jeden po drugim, dokładnie tak samo, jak...

Jak ja. Albo jeden z moich uczniów.

Trochę się uspokoiłem. To był jeden z moich ludzi, prawdopodobnie Charles, sądząc po posturze i ubraniu. Zobaczył smużkę dymu z ogniska, schował lunetę do torby i popędził konia w stronę obozu. Kiedy się zbliżył, zobaczyłem, że to istotnie on. Zlazłem z drzewa, zastanawiając się, co z Ziio.

Na ziemi zobaczyłem obóz oczami Charlesa: ognisko, dwa cynowe talerze, płótno rozpięte między drzewami, a pod nimi skóry, w które Ziio i ja zawijaliśmy się nocą w poszukiwaniu ciepła. Opuściłem płachtę, zasłaniając legowisko, uklęknąłem przy ognisku i pozbierałem talerze. Chwilę później koń wjechał na polanę.

– Witaj, Charlesie – powiedziałem, nie oglądając się na niego.

– Wiedziałeś, że to ja?

– Widziałem, jak stosujesz to, czego cię uczyłem. Bardzo mi zaimponowałeś.

– Uczyłem się od najlepszych – odparł.

Usłyszałem uśmiech w jego głosie, obejrzałem się w końcu i zobaczyłem, że na mnie patrzy.

– Stęskniliśmy się za tobą, mistrzu Kenway – powiedział.

Pokiwałem głową.

– A ja za wami.

Uniósł brwi.

– Doprawdy? Wiesz, gdzie nas znaleźć.

Wetknąłem patyk w ogień i patrzyłem, jak rozżarza się jego koniec.

– Chciałem się przekonać, czy potraficie działać pod moją nieobecność.

Charles wydał usta i przytaknął.

– Chyba wiesz, że potrafimy. Jaki jest prawdziwy powód twojej nieobecności,

Haythamie?

Obejrzałem się ostro znad ognia.

– A jaki może to być powód?

– Może cieszysz się życiem ze swoją Indianką, zawieszony między dwoma światami, nienależący do żadnego. Taki odpoczynek to na pewno przyjemna rzecz...

– Nie posuwaj się za daleko, Charlesie – ostrzegłem. Nagle uświadomiłem sobie, że patrzy na mnie z góry; wstałem, byśmy rozmawiali jak równy z równym. – Może zamiast kłopotać się moimi zajęciami, powinniście się skupić na własnych. Mów, jak sprawy w Bostonie?

– Zajmowaliśmy się sprawami, które nam zleciłeś. Dotyczącymi ziemi.

Kiwnąłem głową, myśląc o Ziio i zastanawiając się, czy nie ma innego sposobu.

– Coś jeszcze? – spytałem.

– Dalej szukamy wskazówek co do położenia świątyni prekursorów... – powiedział i zadarł brodę.

– Rozumiem...

– William planuje poprowadzić wyprawę do jaskini.

Drgnąłem.

– Nikt mnie nie pytał o zgodę.

– Nie było cię – powiedział Charles. – William pomyślał... Cóż, jeśli chcemy znaleźć świątynię, tam najlepiej zacząć.

– Rozwścieczymy tubylców, jeśli zaczniemy panoszyć się na ich ziemi.

Charles popatrzył na mnie, jakbym postradał zmysły. Oczywiście. Co nas, templariuszy, obchodziło wzburzenie jakichś dzikich Indian?

– Myślałem o tej świątyni – powiedziałem szybko. – Wydaje się teraz jakby mniej istotna...

Zapatrzyłem się w dal.

– To też zamierzasz zaniedbać? – spytał bezczelnie Charles.

– Ostrzegam cię... – Rozprostowałem palce.

Charles rozejrzał się po obozie.

– A właściwie gdzie ona jest? Twoja indiańska... kochanka?

– Nie interesuj się tym, Charlesie. Byłbym wdzięczny, gdybyś mówiąc o niej, zmienił ton, w przeciwnym razie mogę się poczuć zmuszony zmienić ci go siłą.

Spojrzał na mnie zimno.

– Przyszedł list – powiedział, sięgnął do torby i rzucił kopertę tak, że upadła u moich stóp.

Zerknąłem w dół, odczytałem na niej swoje nazwisko i natychmiast rozpoznałem pismo. List przysłał Holden; serce zabiło mi szybciej na sam widok. Przypomniałem sobie o moim dawnym życiu, o Anglii i tamtejszych sprawach: szukaniu zabójców ojca.

Nie powiedziałem ani nie zrobiłem nic, co zdradziłoby moje emocje.

– Coś jeszcze? – spytałem.

– Tak – odparł Charles. – Dobre wieści. Generał Braddock zmarł wskutek odniesionych ran. W końcu nie żyje.

– Kiedy to się stało?

– Umarł wkrótce po tym, jak został zraniony, ale wiadomość dopiero co do nas dotarła.

Kiwnąłem głową.

– Przynajmniej z tym jednym koniec.

– Doskonale – rzekł Charles. – Wobec tego wracam. Powiem ludziom, że korzystasz z uroków życia na łonie natury. Możemy tylko mieć nadzieję, że zaszczyisz nas w końcu swoją obecnością.

Pomyślałem o liście od Holdena.

– Być może szybciej, niż ci się zdaje, Charlesie. Mam przecucie, że wkrótce ważne sprawy wezwą mnie do powrotu. Udowodniłeś, że doskonale radzisz sobie z kierowaniem naszymi poczynaniami tutaj. – Uśmiechnąłem się do niego zdawkowo, bez serdeczności. – Być może będziesz się tym nadal zajmował.

Charles ściągnął wodze.

– Jak sobie życzysz, mistrzu Kenway. Powiem ludziom, by się ciebie spodziewali.

Tymczasem przekaz pozdrowienia od nas swojej przyjaciółce. Z tymi słowy odjechał. Siedziałem jeszcze przez jakiś czas przy ognisku, wsłuchując się w milczenie otaczającej puszczy.

– Możesz już wyjść, Ziio, on odjechał – rzekłem.

Ziio zeskoczyła z drzewa i weszła szybkim krokiem na polanę z wściekle wykrzywioną twarzą.

Wstałem. Naszyjnik, który zawsze nosiła, lśnił w porannym słońcu, jej oczy rzucały gniewne błyski.

– On żył – powiedziała. – Okłamałeś mnie.  
Przełknąłem ślinę.  
– Ależ Ziio...  
– Mówiłeś mi, że on nie żyje – powtórzyła, podnosząc głos. –  
Powiedziałeś, że on nie żyje, bym ci pokazała świątynię.  
– Tak – przyznałem. – Tak zrobiłem i przepraszam cię za to.  
– A ziemia? – przerwała mi. – Co ten człowiek mówił o tej ziemi?  
Chcecie ją zagarnąć, tak?  
– Nie.  
– Kłamca! – krzyknęła.  
– Zaczekaj. Wszystko wyjaśnię...  
Ale ona już dobytek myśliwskiego noża.  
– Powinnaś cię zabić za to, co zrobiłeś.  
– Masz prawo do gniewu, możesz przeklinać moje imię i pragnąć, bym  
zginął. Ale prawda jest inna, niż sądzisz – zacząłem.  
– Precz! – powiedziała. – Odejdź stąd i nigdy nie wracaj. Bo jeśli wrócisz,  
wydrę ci serce gołymi rękami i rzucę je wilkom na pożarcie.  
– Posłuchaj mnie tylko...  
– Przysięgnij! – krzyknęła.  
Zwiesiłem głowę.  
– Jak chcesz.  
– W takim razie z nami koniec – powiedziała, odwróciła się i odeszła, a ja  
mogłem tylko spakować manatki i wrócić do Bostonu.



17 września 1757

(dwa lata później)

*i*

Słońce zachodziło, barwiąc Damazek na złotobrazowo. Szedłem z przyjacielem i towarzyszem, Jimem Holdenem, w cieniu murów Qasr al-Azm. Myślałem o dwóch słowach, które mnie tu sprowadziły.

„Znalazłem ją”.

W liście nie było nic więcej, ale to wystarczyło, bym wyruszył z Ameryki do Anglii. Tam spotkałem się czym prędzej z Reginaldem u White’a, żeby opowiedzieć mu o wydarzeniach w Bostonie. Dużo już wiedział, oczywiście, z listów, ale mimo to spodziewałem się, że zainteresują go działania zakonu, zwłaszcza te, które dotyczyły jego starego przyjaciela Edwarda Braddocka.

Myliłem się. Interesowała go tylko świątynia prekursorów, a kiedy mu powiedziałem, że wiem o nowych szczegółach dotyczących jej położenia i że znajdują się one na terenie imperium osmańskiego, westchnął i uśmiechnął się błogo niczym uzależniony od laudanum, który rozkoszuje się smakiem swojego nektaru.

– Gdzie jest księga? – spytał chwilę później nerwowym tonem.

– William Johnson sporządził jej kopię – powiedziałem i sięgnąłem do torby, by oddać mu oryginał. Przesunąłem go po stole w jego stronę. Księga była owinięta w płótno i zawiązana sznurkiem. Reginald popatrzył na mnie z wdzięcznością, a potem odwinął pakunek, żeby popatrzeć na swój ukochany tom: starą, skórzaną oprawę z pieczęcią asasynów na okładce.

– Czy przeszukują dokładnie tamtą komorę? – spytał, zawijając księgę z powrotem i chowając ją pospiesznie. – Bardzo chciałbym zobaczyć ją na własne oczy.

– Tak – skłamałem. – Chcą rozbić w pobliżu obóz, ale codziennie są atakowani przez tubylców. Byłoby to dla ciebie bardzo niebezpieczne, Reginaldzie. Jesteś Wielkim Mistrzem Rytu Brytyjskiego. Najlepiej wykorzystasz swój czas tu, na miejscu.

– Tak – pokiwał głową. – Rozumiem.

Przyglądałem się mu uważnie. Upieranie się, by odwiedzić jaskinię, oznaczałoby przyznanie się do zaniedbania obowiązków Wielkiego Mistrza, a choć Reginald miał obsesję na tym punkcie, nie był jeszcze gotów tego uczynić.

– A amulet? – spytał.

– Mam go – odparłem.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę, ale nie było między nami dawnej serdeczności. Kiedy się rozstaliśmy, zachodziłem w głowę, co się kryje w jego sercu... a co w moim. Zacząłem myśleć o sobie nie jak o templariuszu, lecz jak o człowieku, który ma asasyńskie korzenie i przekonania templariuszy, który przelotnie stracił głowę dla Indianki. Innymi słowy – jak o człowieku o bardzo specyficznym rozumieniu świata.

Mniej interesowało mnie odnalezienie świątyni i wykorzystanie jej skarbów do umocnienia władzy templariuszy, bardziej zaś połączenie obu dyscyplin: zakonu i asasynów. Rozważałem, jak często nauki mojego ojca zgadzały się z tym, co głosił Reginald, i miast różnic zacząłem dostrzegać podobieństwa między obiema grupami. Najpierw jednak musiałem się zająć nierozwiązaną sprawą, która gryzła mnie od tylu lat.

Co było teraz ważniejsze – odszukanie morderców ojca, czy odnalezienie Jenny? Tak czy inaczej, chciałem uwolnić się wreszcie od tego długiego,

duszącego cienia, który wisiał nade mną od tak dawna.

*ii*

I tak owymi dwoma słowami – „Znalazłem ją” – Holden rozpoczął następną odyseję, tym razem wiodącą w głąb imperium osmańskiego, gdzie przez ostatnie dwa lata obaj tropiliśmy Jenny.

Żyła – tego się dowiedział. Żyła i znajdowała się wówczas w rękach handlarzy niewolników. Świat toczył wojnę siedmioletnią, a my byliśmy blisko ustalenia dokładnego miejsca jej przetrzymywania handlarze wędrowali, a my szliśmy ich śladem. Szukaliśmy jej przez następne kilka miesięcy, aż dowiedzieliśmy się, że została przekazana na dwór Osmanów do pałacu Topkapi w Stambule, jako konkubina, i tam też się udaliśmy. Znów za późno; wysłano ją do Damaszku, do wielkiego pałacu wzniesionego przez osmańskiego namiestnika, Asada Paszę al-Azma.

Tak oto trafiliśmy do Damaszku. Nosilem strój bogatego kupca, kaftan, turban i obszerne szarawary. Prawdę mówiąc, czułem się w nich nieswojo. Towarzyszący mi Holden był ubrany w proste szaty. Wchodząc przez bramę w zakurzone, upalne uliczki miasta, zauważyliśmy sporo uzbrojonych strażników. Holden, jak zwykle przygotowany, wprowadził mnie w sytuację.

– Namiestnik się denerwuje, sir – wyjaśnił. – Sądzi, że wielki wezyr Raghیب Pasza w Stambule uwziął się na niego.

– Rozumiem. A czy ma rację? Wielki wezyr naprawdę się na niego uwziął?

– Wielki wezyr nazwał go „wieśniakiem, synem wieśniaka”.

– Istotnie brzmi to, jakby się na niego uwziął.

Holden wybuchnął śmiechem.

– Otóż to. Namiestnik boi się, że zostanie odwołany, i dlatego wzmocnił strażę w całym mieście, zwłaszcza w pałacu. Widzi pan tych ludzi?

Tu Holden wskazał dużą, hałaśliwą grupę mieszczan, pospiesznie przecinającą nam drogę.

– Tak.

– Idą na egzekucję. Ma zostać stracony wykryty w pałacu szpieg. Asad Pasza al-Azm wszędzie widzi szpiegów.

Na niewielkim placu pełnym ludzi oglądaliśmy ścięcie. Skazany umarł z godnością, a tłum zaryczał z aprobatą, kiedy odrąbana głowa potoczyła się po czarnych od krwi deskach.

Balkon namiestnika nad placem był pusty; jak głosiła plotka, Asad Pasza nie opuszczał pałacu, bał się pokazywać publicznie.

Kiedy było po wszystkim, Holden i ja zawróciliśmy i ruszyliśmy w stronę pałacu. Przespacerowaliśmy się wzdłuż murów, zauważając strażników przy bramie i innych, ustawionych przy sklepionych bocznych wejściach.

– Jak to wygląda w środku? – spytałem.

– Dwa główne skrzydła: *haramlik* i *salamlık*. W *salamlıku* są komnaty, sale przyjęć i dziedzińce rozrywek, ale pannę Jenny znajdziemy w *haramliku*.

– O ile tam jest.

– Och, jest, sir.

– Jesteś pewny?

– Bóg mi świadkiem.

– Dlaczego przeniesiono ją z pałacu Topkapi? Wiesz?

Holden popatrzył na mnie z zakłopotaną miną.

– Cóż, sir, chodzi o jej wiek. Kiedy była młodsza, musiała być bardzo cenna. Widzi pan, islamskie prawo zabrania więzić innych muzułmanów, dlatego większość nałożnic to chrześcijanki, głównie porywane na Bałkanach, a jeśli panna Jenny była tak piękna, jak pan mówi, to na pewno była dla nich łakomym kąskiem. Kłopot w tym, że mają takich kobiet pod dostatkiem, a panna Kenway... cóż, ma czterdzieści kilka lat, sir. Dawno już nie pełniła obowiązków nałożnicy; teraz jest najwyżej służącą. Można by powiedzieć, że została zdegradowana, sir.

Trudno mi było uwierzyć, że Jenny, którą kiedyś znałem – piękna, władcza Jenny – upadła tak nisko. Wyobrażałem ją sobie doskonale zachowaną, piastującą jakieś wysokie stanowisko na osmańskim dworze, może nawet królowej matki. Zamiast tego była tu, w Damaszku, w domu niepopularnego namiestnika, którego czekało odwołanie i niełaska. „Co się

działo ze służącymi i nałożnicami odwołanego namiestnika?”, zastanawiałem się. Może czekał je ten sam los co nieszczęśnika, którego ścięcie oglądaliśmy niedawno...

– Kto pilnuje w środku? – spytałem. – Wydawało mi się, że mężczyznom nie wolno wchodzić do haremu.

Holden pokręcił głową.

– Wszyscy strażnicy w haremie są eunuchami, sir. A jak z nich robią eunuchów... Do stu diabłów, sir, pan nawet nie chce wiedzieć.

– Ale i tak mi powiesz?

– No, tak, nie rozumiem, czemu mam dźwigać to brzemie sam. Odcinają biedakowi genitalia, a potem zakopują go w piasku po szyję na dziesięć dni. Tylko jeden na dziesięciu biedaków to przeżywa, zostają tylko najtwardsi z twardych.

– Rozumiem.

– Jeszcze jedno: w *haramliku*, tam, gdzie mieszkają nałożnice, są łaźnie.

– Łaźnie?

– Tak.

– I czemu mi to mówisz?

Holden przystanął. Rozejrzał się dookoła, mrużąc oczy w słońcu. Upewniwszy się, że ulica jest pusta, pochylił się, chwycił za żelazny pierścień, którego nawet nie widziałem – tak dobrze był ukryty w piasku pod naszymi stopami – i pociągnął go, otwierając klapę i ukazując prowadzące w ciemność kamienne stopnie.

– Szybko, sir. – Wyszczrzył się szeroko. – Zanim wróci strażnik.

### iii

Na dole schodów przeprowadziliśmy szybkie rozpoznanie. Było tu ciemno, prawie nic nie było widać, ale z lewej dobiegał szmer wody, przed nami zaś ciągnął się korytarz, używany albo jako droga zaopatrzenia, albo jako droga do cysterny; prawdopodobnie jedno i drugie.

Milczeliśmy. Holden wyjął ze skórzanej torby ogarek i krzesiwo. Zapalił ogarek i przytrzymując go ustami, wyciągnął z torby krótką pochodnię,

którą odpalił i uniósł nad głowę.

Otoczył nas ciepły, pomarańczowy blask. Istotnie, po lewej ciągnął się akwedukt, a nierówna ścieżka ginęła w ciemności.

– Prowadzi pod pałacem, pod same łaźnie – szepnął Holden. – Jeśli się nie mylę, wyjdziemy w sali z basenem, tuż pod łaźniami.

– Nic nie mówiłeś – powiedziałem. Zaimponował mi.

– Lubię czasem mieć coś w zanadrzu, sir. – Rozpromienił się. – Pójdę przodem, jeśli pan pozwoli.

W milczeniu szliśmy ścieżką. Kiedy pochodnie gasły, wyrzucaliśmy je i zapalaliśmy po dwie nowe od ogarka, który Holden trzymał w ustach. W końcu przed nami otworzyła się rozmigotana sala. Zobaczyłem wprawdzie basen o ścianach wyłożonych marmurowymi płytkami.

Woda w nim była tak czysta, że wydawała się jarzyć w słabym świetle padającym z otwartej klapy na szczycie pobliskich schodów.

Potem ujrzelśmy eunucha – klęczał plecami do nas i napełniał gliniany dzban wodą. Miał na głowie wysoki, biały kołpak, do tego powłóczył szaty. Holden obejrzał się na mnie, przyłożył palec do ust, a potem zaczął się skradać ze sztyletem w garści. Powstrzymałem go jednak, kładąc mu dłoń na ramieniu. Potrzebowaliśmy ubrań eunucha, więc musieliśmy unikać plam krwi. To był człowiek usługujący nałożnicom w osmańskim pałacu, a nie pospolity żołdak w Bostonie; nie dałoby się łatwo wytłumaczyć krwi na jego szatach. Dlatego minąłem Holdena, podświadomie rozprostowując palce i wyobrażając sobie, gdzie na szyi eunucha biegnie arteria.

Mężczyzna skończył nabierać wody i wstał.

Wtedy mój sandał zaszurał na ścieżce. Odgłos był bardzo cichy, ale w zamkniętej przestrzeni zabrzmiał niczym erupcja wulkanu i eunuch się zaniepokoił.

Znieruchomiałem i w duchu przekląłem sandały. Strażnik przekrzywił głowę, spoglądając na klapę i usiłując zlokalizować źródło dźwięku. Kiedy niczego nie dojrzał, zamarł, jakby sobie uświadomił, że skoro odgłos nie dobiegł z góry, to musiał pochodzić z...

Obrócił się.

W jego szatach, posturze, w tym, jak klęczał, nabierając wody, było coś, co zupełnie nie przygotowało mnie na szybkość jego reakcji i zwinność. Kiedy się bowiem obracał, jednocześnie przypadł niżej, i kątem oka ujrzałem, że dzban w jego dłoni mknie w moją stronę tak szybko, że obaliłby mnie, gdybym natychmiast się nie uchylił.

Udało mi się, ale ledwo, ledwo. Kiedy uskoczyłem w tył, by uniknąć następnego ciosu dzbanem, eunuch zerknął nad moim ramieniem i zobaczył Holdena. Potem łypnął na kamienne schody, swoją jedyną drogę ucieczki. Rozważał możliwości: uciekać czy walczyć. I zdecydował się zostać.

To znaczyło, że był – dokładnie tak, jak mówił Holden – bardzo twardym eunuchem.

Cofnął się kilka kroków, sięgnął pod szaty i wyciągnął szablę, jednocześnie rozbijając dzban o ścianę, by mieć drugą broń. A potem, z klingą w jednej ręce i ułamkiem dzbana w drugiej, zaatakował.

Korytarz był zbyt wąski. Tylko jeden z nas mógł mu stawić czoła, a ja byłem bliżej. Już nie martwiłem się o krew na szatach; wysunąłem ostrze, sam się cofnąłem i przygotowałem do obrony. Eunuch nacierał bez wahania, cały czas patrząc mi w oczy. Było w nim coś, co budziło grozę, coś, czego z początku nie umiałem nazwać. Po chwili jednak zrozumiałem, co to takiego.

Robił coś, czego nie zrobił żaden inny mój przeciwnik; jak powiedziałaaby Edith, moja dawna niańka, przyprawiał mnie o ciarki. Wiedziałem, co przeżył, byłem świadom, w jaki sposób zostaje się eunuchem. Skoro to wytrzymał, nie bał się już niczego, a zwłaszcza mnie, niezdarnego osła, który nie potrafił się nawet bezgłośnie zakraść.

On też o tym wiedział. Wiedział, że przyprawia mnie o ciarki, i wykorzystał to. Dojrzałem to w jego pozbawionych uczuć oczach, kiedy dzierzoną w prawej ręce szablą ciął w moją stronę. Musiałem zablokować cios ostrzem i ledwie wykręciłem się spod jego lewej ręki, którą o mały włos nie wpakował mi w twarz potrzaskanego dzbana.

Nie dał mi chwili wytchnienia, być może zdając sobie sprawę z tego, że jedynym sposobem, by pokonać nas obu, jest zepchnięcie nas w głąb wąskiego korytarza. Znow błysnął oręż, tym razem od dołu, a ja znow

zastawiłem się ostrzem. Skrzywiłem się z bólu, blokując przedramieniem cios dzbana, a potem sam uderzyłem, uskakując nieco w prawo i pchając ostrzem w mostek przeciwnika. Zasłonił się ułamkiem jak tarczą; glina pękła, okruchy posypały się na kamienną podłogę i zachlupały w basenie. Będę musiał potem naostrzyć klingę.

Jeśli przeżyję.

Niech go diabli – spotkaliśmy ledwie pierwszego eunucha i już mieliśmy kłopoty. Gestem nakazałem Holdenowi usunąć się i nie wchodzić mi w paradę. Cofałem się, usiłując zdobyć nieco przestrzeni i jednocześnie zebrać się w sobie.

Eunuch wygrywał – nie tylko dzięki swoim umiejętnościom, ale też dlatego, że się go bałem. A każdy wojownik najbardziej boi się strachu.

Przypadłem niżej, uniosłem broń i spojrzałem mu w oczy. Przez czas jakiś staliśmy bez ruchu, zmagając się w milczącym, ale zaciekłym pojedynku woli. Pojedynku, który wygrałem.

Złamałem jego przewagę; wystarczyło jedno jego mrugnięcie, bym zrozumiał, że on też już o tym wie. Stracił psychologiczną przewagę.

Natarłem na niego, błyskając ostrzem, i tym razem to on zaczął się cofać. Bronił się wprawnie i z opanowaniem, ale to ja narzucałem rytm. W pewnej chwili stęknął nawet, wyszczerzył zęby i zobaczyłem, że jego czoło zrosił pot. Moje ostrze uwijało się w tę i z powrotem. A skoro zepchnąłem go do defensywy, znów zacząłem myśleć o tym, by nie uwaląć krwi jego szat. Miałem przewagę; eunuch wywijał szaleńczo szablą, jego ataki były coraz chaotyczniejsze, aż dostrzegłem szansę – padłem prawie na kolana i pchnąłem ostrzem w górę, pod szczękę.

Zadygotał i rozrzucił ramiona na boki jak ukrzyżowany. Upuścił broń, a kiedy rozwarł usta w bezgłośnym krzyku, ujrzałem w nich srebrny błysk ostrza. Potem upadł.

Zepchnąłem go pod schody, wejście było wolne. W każdej chwili mógł się zjawić następny eunuch, zdziwiony, co się dzieje z potrzebnym dzbanem wody. Istotnie, usłyszałem z góry odgłos kroków i nad klapą przesunął się cień. Odskokczyłem w tył, chwyciłem trupa za nogi i powlokłem go w



ciemność, ściągnając mu jednocześnie kołpak i zakładając go sobie na głowę.

Potem dostrzegłem bose stopy eunucha, który schodził po schodach, zaglądając do komory z basenem. Mój widok w białej czapie zbił go na chwilę z tropu; skoczyłem na niego, chwyciłem w garść przednią część jego odzienia i pociągnąłem po schodach do siebie.

Uderzyłem go czołem w nasadę nosa, nim zdołał zawłać. Chrupnęły pękające kości. Podtrzymałem mu głowę w górze, by krew nie pociekła na szatę. Przewrócił oczami i osunął się, ogłuszony, po ścianie. Wiedziałem, że niebawem odzyska zmysły i zawoła pomoc, a na to nie mogłem pozwolić; rąbnąłem go nasadą dłoni w zgruchotany nos, wbijając odłamki kości w mózg i zabijając go na miejscu.

Wreszcie wbiegłem na schody i bardzo ostrożnie, bardzo cicho zamknąłem klapę, co dało nam najmniej kilka chwil spokoju, nim przybędą posiłki. Gdzieś na górze jakaś nałożnica czekała najpewniej na swój dzban z wodą.

Nic nie mówiąc, przebraliśmy się w szaty eunuchów i nałożyliśmy kołpaki. Jakże się cieszyłem, że mogę zrzucić te przeklęte sandały. Potem popatrzyliśmy po sobie. Holden miał plamy krwi na odzieniu zdartym z poprzedniego właściciela, któremu połamałem nos.

Próbowałem je usunąć, ale były jeszcze mokre i tylko się rozmazały. Ostatecznie, porozumiewszy się serią zboliałych min i wściekłych potakiwań, zgodnie postanowiliśmy zostawić plamy i zaryzykować. Potem ostrożnie otworzyłem klapę i wyszedłem do pomieszczenia na górze. Pustego. Był to ciemny, chłodny pokój wyłożony marmurem, który zdawał się lśnić w refleksach słabego światła odbitego w sadzawce zajmującej niemal całą podłogę. Powierzchnia wody była gładka, cicha, a mimo to zdawała się żyć.

Upewniwszy się, że nikogo tu nie ma, odwróciłem się i przywołałem gestem Holdena.

Staliśmy tak przez chwilę, badając pomieszczenie wkoło i rzucając ostrożne, ale już tryumfujące spojrzenia, a potem otworzyliśmy drzwi i wyszliśmy na dziedziniec.

Nie wiedząc, co kryje się po drugiej stronie, zaciskałem i rozprostowywałem pięści, gotów natychmiast wysunąć ostrze. Holden bez wątpienia szykował się, by dobyć pałasza. Obaj byliśmy zdecydowani podjąć walkę, gdyby powitał nas oddział wrzeszczących eunuchów i grupka piszczących nałożnic.

Zamiast tego zobaczyliśmy scenę wprost niebiańską, raj pełen spokoju, błogości i pięknych kobiet. Duży dziedziniec wyłożony był płytami czarnego i białego kamienia. Na środku cicho szemrała fontanna, a wokół ciągnęły się zdobione portyki, ocienione pnączami i gałęziami drzew. Było to miejsce odpoczynku, oaza piękna, spokoju i zamyślenia. Jedyнным słyszalnym dźwiękiem był szmer i plusk fontanny, mimo że dziedziniec nie był pusty.

Nałożnice w powłóczystych, białych jedwabiach siedziały na kamiennych ławach, medytując lub wyszywając, albo spacerowały, stąpając bezgłośnie bosymi stopami, dumne i wyniosłe; mijając, pozdrawiały się skinieniami głowy. Wśród nich krążyły dziewczki służebne, ubrane podobnie, ale łatwe do rozpoznania, bo choć i młodsze, i starsze nie były jednak tak piękne jak kobiety, którym usługiwały.

Na dziedzińcu było także tyle samo mężczyzn, większość z nich stała na jego obrzeżach, czujnie, czekając na wezwanie: eunuchowie. Z ulgą zobaczyłem, że żaden na nas nie spojrział; zasady nawiązywania kontaktu wzrokowego były tu równie zawile jak mozaika na posadzce.

Jako dwóm obco wyglądającym eunuchom, próbującym odnaleźć się w nieznanym miejscu, bardzo nam to odpowiadało.

Stanęliśmy przy drzwiach do łaźni, częściowo zasłoniętych pnączami i kolumnami portyku. Podświadomie przybrałem taką samą pozycję jak inni strażnicy – proste plecy, ręce splecione z przodu – i zacząłem wypatrywać Jenny.

I znalazłem. Z początku jej nie poznałem; o mało nie minąłem jej spojrzeniem. Kiedy jednak przyjrzałem się uważniej nałożnicy, która

siedziała rozluźniona, opierając się o fontannę, i kobiecie, która masowała jej stopy, zrozumiałem, że ta druga to moja siostra.

Czas odcisnął swoje piętno na jej urodzie, a choć wciąż przebijało z niej dawne piękno, ciemne włosy przetykane były siwizną, twarz ściągnięta i pomarszczona, a obwisła skóra ukazywała ciemne kręgi pod oczami: zmęczonymi oczami. Cóż to za ironia losu, tak dobrze znałem minę dziewczyny, którą Jenny obsługiwała: próżne i pełne pogardy, wyniosłe spojrzenie.

Jako dziecko widywałem ten wyraz twarzy siostry. Nie sprawiło mi to przyjemności, ale nie mogłem tego nie zauważyć.

Jenny obejrzała się na mnie przez dziedziniec. Zmarszczyła przelotnie brwi. Czy po tylu latach mnie poznała? Nie. Stałem za daleko. Byłem przebrany za eunucha. Dzban był przeznaczony dla niej. Może dziwiła się, czemu z łaźni wyszli inni eunuchowie, niż tam weszli.

Wciąż nie rozumiejąc, wstała, pokłoniła się nisko nałożnicy, a potem ruszyła w naszą stronę, mijając inne kobiety w jedwabiach. Skryłem się za Holdenem, kiedy pochyliła głowę, przechodząc pod nawisem pnączy i stanęła krok przed nami.

Oczywiście nic nie powiedziała – rozmowy były tu zakazane – ale też nie musiała.

Zaryzykowałem rzut oka nad ramieniem Holdena i zobaczyłem, że spojrzała na niego i na drzwi łaźni w oczywistym pytaniu: „gdzie moja woda?”. Przywołała całą swoją skromną władzę i zobaczyłem w niej dawną Jenny, z jej wyniosłością tak niegdyś dobrze mi znaną.

Holden tymczasem, pod jej wściekłym spojrzeniem, skłonił głowę i zaczął się odwracać w stronę łaźni. Modliłem się, by pomyślał o tym samym co ja: że jeśli uda się nam zwabić Jenny do środka, będziemy mogli uciec bez żadnego hałasu. I rzeczywiście, rozłożył ręce, wskazując, że wystąpił jakiś kłopot, a potem wskazał drzwi łaźni, jakby chcąc powiedzieć, że potrzebuje pomocy. Ale Jenny, wcale nieskłonna jej udzielić, zauważyła coś w jego stroju i zamiast pójść za nim do łaźni, zatrzymała go, unosząc palec, a potem wskazała coś na jego piersi. Plamę krwi.

Otworzyła szeroko oczy, a ja znów wyjrzałem. Tym razem przeniosła wzrok z plamy na twarz Holdena i ujrzała twarz intruza.

Rozchyliła usta. Cofnęła się o krok, potem jeszcze jeden, aż wpadła plecami na kolumnę. Wstrząs wyrwał ją z oszołomienia, a kiedy już chciała złamać zasady i wezwać pomoc, wysunąłem się z za pleców Holdena.

– Jenny, to ja – syknąłem. – Haytham.

Mówiąc to, zerknąłem nerwowo na dziedziniec, gdzie wszyscy nadal byli pogrążeni w swoich zajęciach, nieświadomi wydarzeń pod kolumnadą. Potem spojrzałem z powrotem na Jenny i zobaczyłem, że wpatruje się we mnie coraz większymi oczami, szklistymi od łez, i wreszcie, kiedy opadła zasłona minionych lat, poznała mnie.

– Haytham – szepnęła. – Przyszedłeś po mnie.

– Tak, Jenny, tak – odparłem cicho, pełen dziwnych uczuć, z których przynajmniej jedno było poczuciem winy.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – powiedziała. – Wiedziałam, że przyjdiesz.

Mówiła coraz głośniej. Zacząłem się martwić i znów z przestachem spojrzałem na dziedziniec. Jenny nagle chwyciła moje dłonie w obie ręce i precyzyjnie się obok Holdena, by zajrzeć mi błagalnie w oczy.

– Powiedz, że on nie żyje. Powiedz, że go zabiłeś.

Rozdarty między pragnieniem, by ją uciszyć, a chęcią zrozumienia, o co jej chodzi, syknąłem:

– Kto? Kogo miałem zabić?

– Bircha – wycedziła, tym razem za głośno. Za nią zobaczyłem nałożnicę. Sunąca ku nam pod portykiem, być może do łaźni, wydawała się zatopiona w myślach, ale na dźwięk głosu podniosła wzrok, a błogi spokój na jej twarzy zastąpiła panika. Wychyliła się na dziedziniec i wykrzyknęła to jedno słowo, którego wszyscy się obawialiśmy.

– Straże!

Pierwszy strażnik, który nadbiegł, nie wiedział, że jestem uzbrojony; wysunąłem ostrze i wbiłem mu je w brzuch, nim cokolwiek zrozumiał. Wytrzeszczył oczy i kaszlnął mi w twarz kroplami krwi. Krzycząc z wysiłku, wykręciłem rękę, pociągnąłem go za sobą i pchnąłem jego wciąż wijące się ciało w drugiego napastnika. Obaj polecili w tył, na czarno-białe płyty dziedzińca. Pojawili się jednak następni, i rozgorzała walka. Kątem oka zobaczyłem błysk stali i odwróciłem się – w samą porę! – unikając pchnięcia w kark. Wykręciłem ciało, przytrzymałem przeciwnika za rękę, złamałem ją i wbiłem mu ostrze w czaszkę. Przypadłem nisko, obrotem podciąłem nogi czwartemu eunuchowi, a potem skoczyłem mu na twarz. Chrupnęła kość.

Nieopodal Holden położył już trzech, ale strażnicy zorientowali się, z kim mają do czynienia, i byli ostrożniejsi; zbierali się do ataku kupą. Schowani za kolumnami, zerkaliśmy na siebie zmartwieni; obaj zastanawialiśmy się, czy damy radę dotrzeć do klapy, nim nas stratuja.

Spryciarze – dwóch ruszyło naprzód razem. Stałem ramię w ramię z Holdenem i zatrzymaliśmy ich, a tymczasem następna para uderzyła z prawej. Przez chwilę nasze życie wisiało na włosku. Stojąc plecami do siebie, odpieraliśmy ciosy, aż eunuchowie się wycofali.

Szykowali jednak ponowny atak. Zbliżali się coraz bardziej, zaciskając pierścień okrążenia.

Jenny stała za nami, przy drzwiach do łaźni.

– Haythamie! – zawołała z paniką w głosie. – Musimy uciekać!

Co by z nią zrobili, gdyby ją teraz pojмали? Jaka czekałaby ją kara? Bałem się nawet pomyśleć.

– Idźcie, sir! – zawołał Holden przez ramię.

– Nie ma mowy! – odkrzyknąłem.

Znów zaatakowali i znów musieliśmy się bronić. Jakiś eunuch padł z jękiem. Nawet umierając, nawet ze stalowym ostrzem w bebechach, nie krzyczeli. Za plecami naszych przeciwników zobaczyłem następnych, wbiegających na dziedzińiec. Byli jak karaluchy – miejsce każdego zabitego zajmowało dwóch następnych.

– Niech pan ucieka! – powtórzył Holden. – Zatrzymam ich, a potem was dogonię.

– Nie bądź głupcem, Holden – warknąłem, nie potrafiąc ukryć pogardy w głosie. – Nie zatrzymasz ich. Zarąbią cię.

– Bywałem już w gorszych opałach – stęknął, wymieniając ciosy z przeciwnikiem.

Wiedziałem jednak, że to pusta brawura.

– W takim razie nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zostanę – powiedziałem, jednocześnie zbijając cios eunucha i odpowiadając ciosem w twarz, który powalił go na plecy.

– Uciekajcie! – wrzasnął Holden.

– Zginiemy. Obaj zginiemy – odparłem.

Ale Holden uznał, że nie ma już czasu na uprzejmości.

– Posłuchaj, przyjacielu, albo wy dwoje stąd uciekniecie, albo nie uda się to nikomu. To jak będzie?

Jenny złapała mnie za rękę i pociągnęła w stronę otwartych drzwi łaźni. Z lewej nadbiegało coraz więcej strażników. Ale ja wciąż się wahałem. Aż w końcu Holden pokręcił głową, obrócił się do mnie, wrzasnął: „Pan wybaczy, sir!”, i zanim zdążyłem zareagować, wepchnął mnie tyłem przez drzwi, a potem je zatrzaskał.

W ciszy, która panowała w łaźni, leżałem na plecach na podłodze i próbowałem zrozumieć, co się stało. Zza drzwi dobiegały odgłosy walki – dziwne, stłumione – a potem łomot.

Wtem rozległ się krzyk – krzyk Holdena. Zerwałem się na nogi, chciałem otworzyć drzwi i wybiec na zewnątrz, ale Jenny złapała mnie za ramię.

– Już mu nie pomożesz, Haythamie – powiedziała cicho. Z dziedzińca znów dobiegł wrzask.

– Dranie! – krzyczał Holden. – Przeklęte dranie bez fiutów!

Obejrzałem się jeszcze raz na drzwi, a potem zablokowałem je zasuwą, a Jenny pociągnęła mnie do klapy w podłodze.

– Tylko na tyle was stać, bękarty? – usłyszałem z góry głos Holdena, już cichszy.

– Chodźcie tu, dziwadła bez jaj, zobaczymy, jak sobie poradzicie z żołnierzem Jego Królewskiej Mości...

Biegając już tunelem, usłyszeliśmy wrzask.

21 września 1757

*i*

Miałem nadzieję, że zabijanie nigdy już nie sprawi mi przyjemności, ale dla koptyjskiego kapłana, który stał na straży pod klasztorem Abou Gerbe na górze Ghebel Eter, zrobiłem wyjątek.

Muszę przyznać, że pozbawiłem go życia z radością.

Osunął się w piach pod płotem otaczającym niewielką zagrodę; jego pierś unosiła się i opadała gwałtownie w rwanym, ostatnim oddechu. W górze zaskrzeczał myszołów. Obejrzałem się na mury i wieże klasztoru z piaskowca, wznoszącego się na horyzoncie. Ujrzałem w oknie ciepły blask życia.

Konający strażnik rzeził u moich stóp. Przeszło mi przez myśl, by go dobić, ale czemu miałbym okazywać mu litość? Jak wolno by nie umierał i jak by nie cierpiał, czymże to było w porównaniu z mękami zadawanymi nieszczęśnikom cierpiącym w zagrodzie.

Zwłaszcza temu, który cierpiał tam katusze właśnie teraz. Dowiedziałem się na targu w Damaszku, że Holdena nie zabito, jak sądziłem, lecz pojmano i przewieziono do Egiptu, do koptyjskiego klasztoru Abou Gerbe, gdzie mężczyzn zmieniano w eunuchów. Tam właśnie się udałem, modląc się, bym nie przybył za późno. W głębi serca jednak wiedziałem, że nie będę na czas. I tak się stało.

Patrząc na ogrodzenie, wiedziałem, że zostało wpuszczone głęboko w ziemię, by uniemożliwić wtargnięcie nocnym drapieżnikom. Za nim zakopywali po szyję w piasku eunuchów, na dziesięć dni. Nie chcieli, by w



tym czasie hieny ogryzły im twarze. Jeśli ci mężczyźni mieli umrzeć, to powoli, od słońca albo ran zadanych podczas kastracji.

Zostawiając za sobą martwego wartownika, zakradłem się do środka. Było ciemno, przyświecał mi tylko księżyc, ale i tak zobaczyłem, że piasek dookoła jest poplamiony krwią. Ilu mężczyzn, myślałem, cierpiało tu, okaleczonych i zakopanych po szyję? Gdzieś blisko rozległ się cichy jęk. Zmrużyłem oczy i dostrzegłem nieregularny kształt na środku zagrody. Od razu poznałem, że to szeregowy James Holden.

– Holden – szepnąłem i chwilę później klęczałem już obok jego głowy wystającej z piachu. Głośno wstrzymałem oddech, kiedy go zobaczyłem. Noc była chłodna, ale w dzień panował nieznośny upał i słońce okrutnie spaliło mu twarz. Usta i powieki miał pokryte strupami i krwawiące, skórę czerwoną i obłazącą. Miałem w pogotowiu bukłak z wodą, odkorkowałem go i przystawiłem Holdenowi do ust.

– Holden? – powtórzyłem.

Poruszył się. Zamrugął, otworzył oczy i skupił na mnie spojrzenie, zamglone i pełne cierpienia, ale rozpoznał mnie. Na jego spękanych wargach pojawił się cień uśmiechu.

A potem, tak samo nagle, ów uśmiech zniknął i Holden zaczął się miotać. Nie wiem, czy próbował wydostać się z piasku, czy też dostał spazmów, ale szarpał głową na boki z rozdziawionymi ustami. Pochyliłem się i ująłem jego twarz w dłonie, by nie zrobił sobie krzywdy.

– Holden – powiedziałem cicho. – Holden, przestań. Proszę...

– Niech mnie pan stąd wyciągnie – wycharczał, a jego mokre od łez oczy załśniły w blasku księżyca. – Niech mnie pan wyciągnie.

– Holden...

– Niech mnie pan wyciągnie – błagał. – Niech mnie pan stąd wyciągnie, sir, szybko, sir...

Znów zaczął miotać boleśnie głową na boki. Znów próbowałem go przytrzymać; musiałem go uspokoić, zanim wpadnie w histerię. Ile czasu mi zostało, zanim przyślą nowego wartownika? Podsunąłem mu bukłak do ust i pozwoliłem napić się wody, a potem zdjąłem z pleców szpadel i

zacząłem odgarniać nasiąknięty krwią piach wokół jego głowy. Odsłoniłem jego ramiona i gołą pierś, cały czas do niego mówiąc.

– Tak mi przykro, Holden, tak mi przykro. Nie powinienem był cię zostawiać.

– Kazałem panu – wymamrotał. – Wypchnąłem pana, pamięta pan...

Im głębiej kopałem, tym bardziej piach był czarny od krwi.

– O Boże, co oni ci zrobili?

Ale już to wiedziałem, a chwilę później przekonałem się na własne oczy: dokopałem się do poziomu jego pasa i zobaczyłem, że biodra ma owinięte bandażami – grubymi, czarnymi i zakrwawionymi.

– Niech pan uważa tam na dole, bardzo proszę – powiedział Holden bardzo, bardzo cicho.

Widziałem, że się krzywił, przygryzał z bólu wargi. W końcu nie wytrzymał i zemdłał, co dla mnie okazało się błogosławieństwem – odkopałem go szybko i wyniosłem z tego przekłętego miejsca do czekających koni, uwiązanych do drzew u stóp wzgórza.

## ii

Ułożyłem Holdena wygodnie, a potem wstałem i obejrzałem się na klasztor. Sprawdziłem, jak działa mechanizm ostrza, przypiąłem pałasz, za pas zatknąłem dwa pistolety, i jeszcze nabiłem dwa muszkiety. Zapaliłem ogarek i pochodnię, zabrałem broń i wspiąłem się z powrotem na wzgórze, gdzie odpaliłem drugie i trzecie łuczywo. Wypędziłem konie, a następnie cisnąłem pierwszą pochodnię do stajni; z satysfakcją usłyszałem głuchy huk zajmującego się ogniem siana. Drugą cisnąłem do kościelnej sieni, a kiedy jedno i drugie ładnie już płonęło, pognałem do dormitorium, zapalając po drodze jeszcze dwie pochodnie, które wrzuciłem do środka, wybijając szyby w oknach. Wreszcie wróciłem do frontowych drzwi, oparłem muszkiety o drzewo i czekałem.

Nie trwało to długo. Już po chwili pojawił się pierwszy mnich. Zastrzeliłem go, odrzuciłem muszkiet, chwyciłem drugi i zabiłem następnego. Ze środka wysypywali się kolejni.

Opróżniłem pistolety, a potem pobiegłem do drzwi i zacząłem rąbać pałaszem i ukrytym ostrzem. Dookoła płonącego klasztoru padały trupy – dziesięć, jedenaście albo więcej – aż byłem cały śliski od krwi mnichów, uwalany nią po łokcie, spływała mi po twarzy. Pozwoliłem rannym wyć z bólu; ocalali mnisi kryli się w środku, nie chcieli spłonąć żywcem, ale bali się wybiec i stawić czoła śmierci. Niektórzy zaryzykowali i wybiegali z orężem, ale szybko padali, ścięci. Inni, słyszałem, piekli się w środku. Może komuś udało się uciec, ale nie miałem ochoty tego sprawdzać. Większość zginęła; słyszałem krzyki i czułem smród palonego ciała tych, którzy zostali w środku. A potem odszedłem, przestępując nad trupami i konającymi, zostawiając za sobą płonący klasztor.

25 września 1757

Byliśmy w wiosce, siedzieliśmy w nędznej chacie przy stole, na którym stały resztki posiłku i samotna świeca. Nieopodal spał Holden, trawiony gorączką; co jakiś czas wstawałem do niego, by zmienić na chłodniejszą mokrą szmatę studzącą jego rozpalone czoło. Musieliśmy odczekać, aż gorączka opadnie; dopiero wtedy, jeśli poczuje się lepiej, będziemy mogli ruszyć w drogę.

– Ojciec był asasynem – powiedziała Jenny, kiedy usiadłem. Rozmawialiśmy o tych sprawach pierwszy raz, od jej uwolnienia. Byliśmy dotąd zbyt zajęci opieką nad Holdenem, szukaniem co wieczór schronienia i próbami wydostania się z Egiptu.

– Wiem.

– Wiesz?

– Tak. Dowiedziałem się. Zrozumiałem, że o to ci chodziło wtedy, przed laty. Pamiętasz?

Nazywałaś mnie „konusem”...

Wydęła usta i poruszyła się, zawstydzona.

– ...mówiłaś, że jestem męskim potomkiem. Że raczej prędzej niż później dowiem się, co mnie czeka.

– Pamiętam...

– Cóż, okazało się, że dowiedziałem się tego później.

– Ale skoro wiesz, to czemu Birch żyje?

– A czemu miałby nie żyć?

– Bo jest templariuszem.

– Tak jak ja.

Odsunęła się w tył z twarzą wykrzywioną wściekłością.

– Ty... ty jesteś templariuszem?! Ależ to wbrew wszystkiemu, co ojciec...

– Owszem – przerwałem jej spokojnie. – Tak, jestem templariuszem i nie, to nie jest wbrew przekonaniom ojca. Odkąd dowiedziałem się, kim był, dostrzegłem bardzo wiele podobieństw między tymi stronnictwami. Zacząłem się zastanawiać, czy zważywszy na moje pochodzenie i obecną pozycję w zakonie, nie powinienem spróbować zjednoczyć jakoś asasynów i templariuszy...

Urwałem. Uświadomiłem sobie, że Jenny była lekko pijana; nagle dostrzegłem w jej twarzy jakieś zwiotczenie. Prychnęła z odrazą.

– A co z nim? Z moim byłym narzeczonym, zdobywcą mojego serca, uroczym i szarmanckim Reginaldem Birchem? Co z nim, mówże?

– Reginald jest moim nauczycielem, moim Wielkim Mistrzem. To on opiekował się mną przez te wszystkie lata po napaści.

Jenny wykrzywiła się w najwstrętniejszym, najbardziej gorzkim grymasie, jaki kiedykolwiek widziałem.

– Ależ miałaś szczęście, co? Kiedy ty pobierałaś nauki, ja też miałam opiekę... tureckich handlarzy niewolników.

Czułem się, jakby przeszywała mnie wzrokiem na wylot, jakby widziała wyraźnie, co przez te wszystkie lata było dla mnie ważne. Spuściłem wzrok, a potem obejrzałem się na Holdena. Gdzie nie spojrzeć, dowody mojej nieudolności.

– Przepraszam – powiedziałem. Do nich obojga. – Naprawdę mi przykro.

– Niepotrzebnie. Miałam szczęście. Zachowali moją cześć dla osmańskiego dworu, a potem opiekowano się mną w pałacu Topkapi. – Jenny odwróciła wzrok. – Mogło być gorzej.

W końcu byłam już na to przygotowywana.

– Co?

– Spodziewam się, że ojciec był dla ciebie wzorem, prawda, Haythamie? Pewnie dalej jest. Twoim słońcem i księżycem? „Mój ojczy, mój królu?” Dla mnie nie: nienawidziłam go.

Wszystkie te gadki o wolności – duchowej i umysłowej – nie dotyczyły mnie, jego własnej córki.

Ja nie ćwiczyłam szermierki, pamiętasz? Jenny nie słyszała „Myśl inaczej”. Jenny słyszała „Bądź grzeczna i wyjdź za Reginalda Bircha”. Cóż za doskonała byłaby z nas para. Śmiem twierdzić, że lepiej traktował mnie sułtan, niż traktowałby on. Powiedziałam ci kiedyś, że nasze życie jest zawczasu zaplanowane, pamiętasz? Cóż, w pewnym sensie co do tego się pomyliłam, oczywiście, bo nikt z nas nie mógł przewidzieć, jak się to wszystko potoczy. Ale w innym – w innym miałam całkowitą rację, Haythamie, bo ty urodziłeś się, by zabijać, i zabijałeś, a ja się urodziłam, by służyć mężczyznom, i to właśnie robiłam. Ale moje dni służby mężczyznom dobiegły kresu. A ty?

Skończywszy, uniosła do ust kubek z winem i napiła się, głośno przełykając. Ciekawe, jakie okropne wspomnienia zapijała.

– To twoi przyjaciele templariusze zaatakowali nasz dom – powiedziała, kiedy kubek był pusty. – Jestem tego pewna.

– Ale nie widziałaś pierścieni.

– Nie, i co z tego? Co to znaczy? Zdjęli je, oczywiście.

– Nie. To nie byli templariusze, Jenny. Spotkałem ich później. To byli ludzie do wynajęcia. Najemnicy.

„Tak, najemnicy”, pomyślałem. „Najemnicy, którzy pracowali dla Edwarda Braddocka, który był blisko z Reginaldem...”

Nachyliłem się do Jenny.

– Powiedziano mi, że ojciec miał coś... coś, czego chcieli. Wiesz, co to było?

– O, tak. Mieli to tamtej nocy w powozie.

– No i?

– To była księga.

Znów ogarnął mnie chłód.

– Jaka księga?

– Brązowa, oprawna w skórę, ze znakiem asasynów.

Pokiwałem głową.

– Myślisz, że byś ją rozpoznała, gdybyś znów ją zobaczyła?

Wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie – odparła.

Obejrzałem się na Holdena, nieprzytomnego i spoconego.

– Kiedy gorączka spadnie, wyruszamy.

– Dokąd?

– Do Francji.

## 8 października 1757

*i*

Choć było zimno, poranne słońce jasno świeciło, dzień był pogodny; promienie przebijały korony drzew i malowały leśną ściółkę w złotą mozaikę.

Jechaliśmy gęsiego: ja na przedzie, za mną Jenny, która dawno już porzuciła szaty służki i miała na sobie suknię, zwisającą po bokach wierzchowca. Na głowę naciągnęła obszerny, ciemny kaptur, spod którego wyzierała niby z jaskini poważna, skupiona twarz, okolona przyprószonymi siwizną, opadającymi na ramiona włosami.

Za nią jechał Holden, podobnie jak ja we fraku, halsztuku i trójgraniastym kapeluszu. Garbił się nieco w siodle, twarz miał bladą, wychudłą i... zaszczutą. Niewiele mówił, odkąd ustąpiła mu gorączka. Chwilami przypominał dawnego Holdena – z przelotnym uśmiechem, błyskiem swojej londyńskiej chytryści – ale tylko chwilami, zaraz potem znów się zamykał w sobie. Podczas przeprawy przez Morze Śródziemne trzymał się na uboczu, zadumany, samotny. We Francji zdobyliśmy przebrania, kupiliśmy konie i ruszyliśmy w podróż do zamku; Holden jechał w milczeniu. Był blady i widząc, jak chodzi, myślałem, że wciąż cierpi. Nawet w siodle się krzywił, zwłaszcza na nierównym terenie. Nie umiałem sobie wyobrazić, jakie przeżywa męki – cielesne i umysłowe.

Godzinę drogi od zamku zatrzymaliśmy się. Przypiąłem pałasz, nabiłem i zatknąłem za pas pistolet. Holden zrobił to samo.

– Jesteś pewny, że dasz radę walczyć, Holden? – spytałem.

Spojrzał na mnie z wyrzutem; zobaczyłem, że ma sine worki pod oczami.



– Pan wybaczy, sir, obcieli mi fiuta i jaja, ale nie rozum.

– Przepraszam, Holden, nie chciałem nic sugerować. Odpowiedziałeś mi i to wystarczy.

– Myśli pan, że będziemy się bić, sir? – spytał. Znow się skrzywił, poprawiając broń u pasa.

– Nie wiem, Holden, naprawdę nie wiem.

Kiedy zbliżyliśmy się do zamku, zobaczyłem pierwsze strażę. Wartownik stanął na środku drogi przed moim wierzchowcem i popatrzył na mnie spod szerokoskrzydłego kapelusza; to był ten sam człowiek, który powitał mnie, kiedy byłem tu po raz ostatni, prawie cztery lata temu.

– To pan, panie Kenway? – spytał.

– We własnej osobie, mam dwoje towarzyszy – odparłem.

Przyglądałem mu się bardzo uważnie, kiedy powędrował wzrokiem ode mnie do Jenny i Holdena, a choć starał się to ukryć, jego oczy zdradziły mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

Wetknąłem palce do ust, ale zeskoczyłem z konia, złapałem go za głowę, wbiliśmy ostrze przez oko do mózgu i podciąłem gardło, zanim wydał jakikolwiek dźwięk.

## *ii*

Uklęknałem, trzymając dłoń na piersi wartownika. Gęsta i wartka krew płynęła z szerokiej rany na jego gardle, wyglądającej jak drugie usta. Obejrzałem się przez ramię na Jenny, która patrzyła na mnie spod ściągniętych brwi, i Holdena, wyprostowanego w siodle, z pałaszem w dłoni.

– Raczysz nam powiedzieć, co to miało znaczyć? – spytała Jenny.

– Chciał zagwizdać – odparłem, rozglądając się uważnie po otaczającym nas lesie.

– Ostatnim razem nie gwizdał.

– Cóż. Może zmienili procedurę.

Pokręciłem głową.

– Nie. Wiedzą, że jedziemy. Spodziewają się nas. Jego gwizd ostrzegłby innych. Ścieliby nas, zanim przejechalibyśmy przez trawnik.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem – warknąłem. Pierś strażnika pod moją ręką uniosła się i opadła po raz ostatni. Spojrzałem na niego. Przewrócił oczami, zadygotał jeszcze i skonał. – Podejrzewam – ciągnąłem, wycierając zakrwawioną rękę o ziemię i wstając. – Całymi latami podejrzewałem, ignorowałem to, co oczywiste. Księga, którą widziałas w powozie tamtej nocy... Reginald ją ma.

Jeśli się nie pomyliłem, będzie ją miał w zamku. To on zorganizował napad na nasz dom. To on jest odpowiedzialny za śmierć ojca.

– Och, teraz już to wiesz, tak? – parsknęła Jenny.

– Wcześniej nie chciałem w to uwierzyć. Ale teraz, tak, wiem. Wszystko nabrało sensu.

Pewnego popołudnia, kiedy byłem mały, spotkałem Reginalda przy skarbczyku. Idę o zakład, że szukał wtedy księgi. Zaprzyjaźnił się z naszą rodziną, Jenny, poprosił o twoją rękę, bo chciał zdobyć tę księgę.

– Nie musisz mi mówić. Próbowalam cię tamtej nocy ostrzec, że to zdrajca.

– Wiem – powiedziałem i zastanowiłem się. – Czy ojciec wiedział, że Reginald jest templariuszem?

– Z początku nie, ale dowiedziałam się o tym i mu powiedziałam.

– To wtedy się pokłócili – rzekłem, wszystko już rozumiejąc.

– Pokłócili się?

– Podśluchałem ich któregoś dnia. Potem ojciec zatrudnił strażników, bez wątplenia asasynów. Reginald powiedział, że go ostrzegł...

– Znów kłamstwa, Haythamie...

Popatrzyłem na Jenny, czując drżenie. Tak. Kolejne kłamstwo. Wszystko, co znałem – całe moje dzieciństwo, było zbudowane na ich fundamencie.

– Posłużył się Digweedem – rzekłem. – To Digweed powiedział mi, gdzie jest księga...

Skrzywiłem się na nagłe wspomnienie.

– Co się stało? – spytała Jenny.

– Tamtego dnia pod skarbczykiem Reginald spytał, gdzie jest mój miecz. Powiedziałem mu o skrytce.

– W sali bilardowej?

Kiwnąłem głową.

– Poszli prosto tam, prawda? – powiedziała Jenny.

Znów potaknąłem.

– Wiedzieli, że nie ma jej w skarbczyku, bo Digweed powiedział im, że została przeniesiona, dlatego poszli prosto do sali bilardowej.

– Ale to nie byli templariusze? – spytała.

– Słucham?

– W Syrii mówiłeś mi, że ludzie, którzy na nas napadli, nie byli templariuszami – wyjaśniła kpiącym tonem. – To nie mogli być twoi ukochani templariusze.

Pokręciłem głową.

– Nie, nie byli. Mówiłem ci, spotkałem ich później, i to byli ludzie Braddocka. Reginald musiał planować, że wciągnie mnie do zakonu... – Znów się zamyśliłem i coś przyszło mi do głowy. – ...prawdopodobnie ze względu na rodzinny spadek. Wykorzystanie templariuszy byłoby zbyt ryzykowne. Mogłem się dowiedzieć. Mogłem przyjechać wcześniej. Prawie dotarłem do Digweeda. Prawie dopadłem ich w Szwarzwaldzie, ale wtedy... – Przypomniałem sobie chatę w puszczy. – Reginald zabił Digweeda. Dlatego byli cały czas o krok przed nami... i wciąż są.

Wskazałem w kierunku zamku.

– W takim razie co zrobimy, sir? – spytał Holden.

– Zrobimy to samo, co zrobili oni tamtej nocy, kiedy napadli na nas przy Queen Anne's Square. Zaczekamy do zmroku, a potem wejdziemy tam i zaczniemy zabijać.

9 października 1757

*i*

Data powyżej to 9 października; wpisałem ją, dość optymistycznie, zakończywszy poprzedni wpis, zamierzając uczynić obecny bezpośrednią relacją z naszej próby wdarcia się do zamku. Tymczasem piszę to kilka miesięcy później i chcąc szczegółowo opisać, co się wydarzyło tamtej nocy, muszę wrócić myślą...

*ii*

Ilu mogło ich tam być? Ostatnio było sześciu. Czy Reginald wzmocnił siły, wiedząc, że mogę się zjawić? Tak jak myślałem – podwoił.

Czyli dwunastu. Do tego John Harrison, jeśli wciąż tu mieszkał. I oczywiście sam Reginald. Miał pięćdziesiąt dwa lata i z pewnością stracił nieco wprawy, ale nie wolno go było lekceważyć.

Dlatego czekaliśmy i mieliśmy nadzieję, że wyślą ludzi na poszukiwanie zaginionego wartownika. Pojawiło się trzech. Przyszli z pochodniami i pałaszami w rękach, maszerując po ciemnym trawniku z zaciętymi twarzami.

Patrzyliśmy, jak wyłaniają się z mroku i znikają między drzewami. Przy bramie zaczęli wołać wartownika, a potem pospiesznie wyszli za niski mur, tam, gdzie powinien stać.

Zostawiłem trupa w miejscu, w którym padł. Wraz z Holdenem i Jenny zaczailiśmy się wśród drzew. Jenny trzymała się z tyłu, miała nóż, ale nie brała udziału w zasadzce. Holden i ja wspieiliśmy się na drzewa – on z

pewnym trudem – i czekaliśmy, aż grupa poszukiwawcza natknie się na zwłoki.

– On nie żyje, proszę pana.

Dowódca pochylił się nad ciałem.

– Od kilku godzin.

Naśladowując głos ptaka, dałem znak Jenny, która zrobiła to, na co się umówiliśmy. Noc przeszło wołanie o pomoc z głębi lasu.

Skinąwszy nerwowo głową, dowódca poprowadził dwóch strażników między drzewa; pobiegli w naszą stronę. Spojrzałem między gałęzie i zobaczyłem Holdena kilka metrów dalej; zastanawiałem się, czy czuje się na siłach. Miałem wielką nadzieję, że tak, bo w następnej chwili patrol znalazł się pod nami i zeskoczyłem ze swojej gałęzi.

Najpierw powaliłem dowódcę; wbiłem mu ostrze przez oko do mózgu, zabijając go na miejscu. Wciąż na nisko ugiętych nogach ciąłem w górę i w tył, rozpruwając brzuch następnemu, który upadł na kolana. Jelita załśniły w ziejącej ranie, a potem mężczyzna runął twarzą w miękką leśną ściółkę. Obejrzałem się i zobaczyłem, że trzeci zsuwa się ze sztychu pałasza Holdena.

Holden spojrzał na mnie i nawet w ciemności zobaczyłem wyraźnie tryumf na jego twarzy.

– Piękny wrzask – pogratulowałem Jenny chwilę później.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. – Ściągnęła brwi. – Ale posłuchaj, Haythamie, nie będę siedzieć w ciemności, kiedy się tam dostaniemy. – Podniosła nóż. – Chcę się rozprawić z Birchem sama. Zniszczył mi życie. Jeśli okazał mi łaskę, nie zabijając mnie, odpłacę mu, zostawiając mu fiuta i...

Przerwała i obejrzała się na Holdena, który odwrócił wzrok.

– Ja... – zaczęła.

– To nic, proszę pani – powiedział. Podniósł głowę; nigdy nie widziałem u niego takiego wyrazu twarzy. – Ale niech pani pamięta, żeby oberznąć mu fiuta i jaja, zanim go pani zabije.

Niech ten bękart cierpi.

Wróciliśmy wzdłuż muru do bramy, gdzie stał samotny, podenerwowany wartownik. Może zastanawiał się, gdzie się podział wysłany na pomoc oddział, a może wyczuwał swoim żołnierskim instynktem, że coś się stało.

Instynkt jednak go zawiódł. Chwilę później przeszliśmy przez furtkę i pochyleni ruszyliśmy trawnikiem. Przyklękliśmy za fontanną, wstrzymując oddech, kiedy z frontowych drzwi pałacu wybiegło trzech mężczyzn, tupiąc głośno i wykrzykując imiona kompanów. Za pierwszą grupą wysłano drugą. W zamku wszyscy byli w najwyższym pogotowiu. Nici z wejścia po cichu. Przynajmniej zmniejszyliśmy ich liczbę do... Ośmiu. Na mój sygnał wyskoczyliśmy z Holdenem zza fontanny i spadliśmy na tamtych, zabijając wszystkich, zanim zdążyli dobyć pałaszy. Dostrzeżono nas. Od strony pałacu dobiegł krzyk, a potem głośny huk wystrzałów z muszkietów i kul trafiających w fontannę za nami.

Pobiegliśmy w stronę drzwi; tu następny wartownik zobaczył nas, a gdy pędziłem ku niemu po krótkich schodach, próbował ukryć się w środku.

Był zbyt powolny. Przebiłem ostrzem zamykające się drzwi i trafiłem go w policzek, z impetem wpadając do środka. Przetoczyłem się po podłodze, a on padł, zalewając się krwią ze strzaskanej szczęki. Z galerii powyżej dobiegł huk wystrzału z muszkietu, ale strzelec celował za wysoko i kula wbiła się w drewno, nie czyniąc nikomu krzywdy. W jednej chwili zerwałem się na nogi i popędziłem do schodów. Wbiegłem po nich na galerię. Strzelec ze strachu krzyknął i porzucił muszkiet, dobył pałasza i desperacko skoczył mi na spotkanie.

Miał w oczach przerażenie; krew mi zawrzała. Czułem się jak bestia, nie jak człowiek, działałem kierowany czystym instynktem, jakbym opuścił własne ciało i z zewnątrz patrzył, jak walczę. W kilka chwil rozprułem brzuch strzelcowi i przewaliłem go przez barierkę na podłogę holu w dole. Tam pojawił się kolejny zbrojny w samą porę na spotkanie Holdena, który wpadł właśnie przez frontowe drzwi wraz z Jenny. Z krzykiem skoczyłem z galerii, lądując miękko na trupie człowieka, którego przed chwilą

zrzuciłem, i zmuszając nowo przybyłego do odwrócenia się. Holden, niewiele myśląc, przebił go.

Skinąwszy głową, zawróciłem i pobiegłem schodami na górę. Ujrzałem czyjaś sylwetkę na galerii i uchyliłem się, słysząc wystrzał. Kula uderzyła w kamienną ścianę za mną. Był to John Harrison. Dopadłem go, zanim zdążył dobyć sztyletu. Złapałem go za nocną koszulę i pchnąłem na kolana, cofając rękę z ostrzem do ciosu.

– Wiedziałaś? – ryknąłem. – Pomagałaś zabić mojego ojca i niszczyć moje życie?

Spuścił głowę na potwierdzenie, a ja wbiłem mu ostrze w kark, między kręgi. Umarł natychmiast.

Dobyłem pałasza. Przy drzwiach Reginalda przystanąłem, rozejrzałem się po galerii, a potem wzięłem zamach, by wyważyć je kopnięciem – zauważyłem, że już są uchylone. Na ugiętych nogach pchnąłem je. Otworzyły się ze skrzypieniem.

Reginald stał, ubrany, na środku komnaty. W każdej sytuacji dbał o etykietę – ubrał się na spotkanie swoich zabójców. Nagle na ścianie ujrzałem cień, rzucany przez kogoś ukrytego za drzwiami. Nie czekając, pchnąłem pałaszem przez drewno, usłyszałem krzyk bólu z drugiej strony, a potem wszedłem do środka i zamknąłem drzwi. Wisiał na nich przybity ostatni obrońca, gapiący się na sterzące z piersi ostrze wytrzeszczonymi, niedowierzającymi oczami.

Rozpaczliwie szurał stopami o podłogę.

– Haythamie – powiedział chłodno Reginald.

*iv*

– Czy to był ostatni z twoich ludzi? – spytałem zasapany, łapiąc oddech. Stopy konającego za mną wciąż skrobały o podłogę. Słyszałem Jenny i Holdena usiłujących otworzyć drzwi, blokowane przez wijące się ciało. W końcu, z ostatnim kaszlnięciem, mężczyzna wyzionął ducha, trup zsunął się z ostrza i Holden z Jenny wpadli do środka.

– Tak – kiwnął głową Reginald. – Zostałem już tylko ja.

– Czy Monica i Lucio są bezpieczni?

– Tak, są w swoim pokoju, na końcu korytarza.

– Holden, zrobisz coś dla mnie? – rzuciłem przez ramię. – Bądź łaskaw sprawdzić, czy Monice i Luciowi nic się nie stało. Ich kondycja pomoże nam zdecydować, ile bólu zadamy panu Birchowi.

Holden odciągnął trupa od drzwi, powiedział: „Tak jest, sir” i wyszedł. Zatrzaskał drzwi za sobą gestem, którego ostateczność nie mogła ujść uwadze Reginalda.

Reginald się uśmiechnął. Przeciągłym, powolnym, smutnym uśmiechem.

– Wszystko, co zrobiłem, uczyniłem dla dobra zakonu, Haythamie. Dla dobra całej ludzkości.

– Kosztem życia mojego ojca. Zniszczyłeś naszą rodzinę. Myślałeś, że nigdy się nie dowiem?

Ze smutkiem pokręcił głową.

– Mój drogi chłopcze, Wielki Mistrz musi dokonywać trudnych wyborów. Czyż cię tego nie uczyłem? Uczyniłem cię Wielkim Mistrzem Rytu Kolonialnego, wiedząc, że ty też będziesz musiał takie decyzje podejmować, i ufając, że temu podołasz, Haythamie. Decyzje służące większemu dobru. Służące ideałom, które są także twoimi ideałami, pamiętasz? Pytasz, czy myślałem, że się dowiesz? Oczywiście odpowiedź brzmi „tak”. Jesteś bystry i nieustępliwy. Tego cię uczyłem. Musiałem się liczyć z tym, że któregoś dnia poznasz prawdę, ale miałem nadzieję,

że kiedy ten dzień nadejdzie, podejdziesz do tego bardziej filozoficznie. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Zważywszy na liczbę trupów, mogę chyba zakładać, że się pomyliłem?

Roześmiałem się sucho.

– Istotnie, Reginaldzie. Pomyliłeś się. Twój postępek to wypaczenie wszystkiego, w co wierzę, a wiesz dlaczego? Bo nie stosowałeś się do naszych ideałów, lecz działałeś podstępnie.

Jak możemy budzić w ludziach wiarę, skoro w sercach nosimy kłamstwo?

Pokręcił głową z niesmakiem.

– Przestań, to naiwne bzdury. Spodziewałbym się ich po tobie, kiedy byłeś młodym adeptem, ale teraz? Na wojnie trzeba robić wszystkiego, co



się da, by zwyciężyć. Liczy się dopiero to, do czego się owo zwycięstwo wykorzysta.

– Nie. Musimy postępować zgodnie z tym, co głosimy. Inaczej nasze słowa są puste.

– Przemawia przez ciebie asasyn – rzekł Reginald, unosząc brwi.  
Wzruszyłem ramionami.

– Nie wstydę się swoich korzeni. Miałem wiele lat, by pogodzić moją asasyńską krew z przekonaniem templariuszy, i to mi się udało.

Słyszałem obok siebie oddech Jenny, mokry, urywany, coraz szybszy.

– Ha, więc to tak – prychnął Reginald. – Uważasz się za człowieka środka, tak?

Nie odpowiedziałem.

– I wydaje ci się, że możesz coś zmienić? – spytał, krzywiąc usta.

Tu przysła kolej na Jenny.

– Nie, Reginaldzie – rzekła. – Zabijemy cię, by pomścić to, co nam uczyniłeś.

Popatrzył na nią, jakby dopiero ją zobaczył.

– Jak się miewasz, Jenny? – spytał, unosząc lekko brodę, i dodał nieszczerze: – Widzę, że czas obszedł się z tobą łaskawie.

Jenny cicho warknęła. Kątem oka dojrzałem, że wysunęła przed siebie w geście groźby rękę z nożem. Reginald też to zauważył.

– A żywot nałożnicy – ciągnął – czy okazał się dla ciebie owocny? Domyślałem się, że zobaczyłaś kawał świata, tyle różnych ludów i kultur...

Chciał ją sprowokować, i to mu się udało. Z wrzaskiem wściekłości, zrodzonej przez lata upokorzeń, rzuciła się na niego, biorąc zamach nożem.

– Nie, Jenny! – krzyknąłem. Było jednak za późno, a Reginald był na to przygotowany.

Jenny zrobiła dokładnie to, na co liczył; kiedy znalazła się w zasięgu ciosu, wyszarpnął własny sztylet, musiał go mieć zatknięty z tyłu za pasem, i bez trudu uchylił się przed jej nożem. Zaraz potem zawyła z bólu i oburzenia, kiedy wykręcił jej nadgarstek, tak że upuściła broń, a drugą ręką chwycił za szyję, przystawiając ostrze do jej gardła.

Popatrzył na mnie nad jej ramieniem i oczy mu zalśniły. Stałem na palcach, gotów skoczyć do przodu, ale przycisnął sztylet do szyi Jenny, a ona załkała, obiema rękami próbując odciągnąć jego przedramię.

– A-a – ostrzegł. Zaczął mnie wymijać, ciągnął moją siostrę ku drzwiom. Tryumf na jego twarzy przeszedł w irytację, kiedy zaczęła się szarpać.

– Nie ruszaj się – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Rób, co on mówi, Jenny – powiedziałem szybko, ale ona miotła się w jego uścisku z mokrymi od potu włosami lepiącymi się do twarzy, jakby jego uścisk był tak odrażający, że wolą dać się pociąć, niż choć chwilę dłużej być tak blisko niego. I istotnie, krew pociekła jej po szyi.

– Przestań, kobieto! – warknął Reginald, zaczynając tracić panowanie nad sobą. – Na miłość boską! Chcesz tu umrzeć?

– Wolę umrzeć, by mój brat cię zabił, niż pozwolić ci uciec – syknęła, nie przerywając walki. Zobaczyłem, że zerknęła na podłogę. Niedaleko leżał trup i uświadomiłem sobie, co zamierzała, na sekundę przed tym, jak to się stało: Reginald potknął się o wyciągniętą nogę zabitego i stracił równowagę. Tylko odrobinę, ale to wystarczyło – Jenny bowiem, krzycząc z wysiłku, pchnęła go w tył, a on ciężko upadł na drzwi – z których wciąż sterczała moja broń.

Rozdziawił usta w niemym krzyku, z bólu i zadziwienia. Wciąż trzymał Jenny, ale jego uchwyt osłabł i wyrwała mu się. Reginald zawisł, przybity do drzwi; jego spojrzenie powędrowało ode mnie do ostrza sterczącego z jego piersi. Kiedy skrzywił się boleśnie, zobaczyłem na jego zębach krew. A potem powoli osunął się z ostrza i dołączył do trupa na podłodze. Rękami ścisnął dziurę w piersi, krew przesiąkała przez jego ubranie i już zaczynała rozlewać się szeroką kałużą.

Obrócił lekko głowę i zdołał na mnie spojrzeć.

– Próbowałem robić to, co było słuszne, Haythamie – powiedział. Ściągnął brwi.

– Rozumiesz to chyba?

Patrzyłem na niego i w duchu płakałem – ale nie nad nim, lecz nad dzieciństwem, które mi odebrał.

– Nie – odrzekłem, a kiedy światło w jego oczach zgasło, miałem nadzieję, że zabrał moją obojętność ze sobą na drugą stronę.

– Draniu! – wrzasnęła Jenny. Podniosła się z ziemi na kolana i wyła jak zwierzę. – Masz szczęście, że nie urznęłam ci jaj!

Reginald raczej jej już nie słyszał. Jej słowa musiały pozostać po stronie żywych. On już nie żył.

v

Na zewnątrz rozległ się hałas. Przystąpiłem ciało i otworzyłem drzwi, gotów na spotkanie z wrogiem. Zamiast tego powitał mnie widok Moniki i Lucia przechodzących galerią, niosących tobołki i prowadzonych do schodów przez Holdena. Mieli blade, wychudzone twarze jak ludzie, którzy długo przebywali w zamkniętych pomieszczeniach; kiedy wyjrzeli przez balustradę i zobaczyli trupy na dole, Monica jęknęła i wstrząśnięta, zakryła dłonią usta.

– Przepraszam – powiedziałem, sam nie wiedząc, za co przepraszam. Za to, że ich zaskoczyłem? Za trupy? Za to, że cztery lata byli więzieni?

Lucio rzucił mi spojrzenie pełne czystej nienawiści, a potem odwrócił wzrok.

– Nie potrzeba nam pańskich przeprosin, dziękujemy bardzo – powiedziała Monica łamaną angielszczyzną. – Dziękujemy, że w końcu nas uwolniliście.

– Jeśli zaczekacie, wyruszamy rankiem – powiedziałem. – Nie masz nic przeciwko, Holden?

– Nie, sir.

– Ruszymy, jak tylko zbierzemy zapasy niezbędne na powrót do domu – odparła Monica.

– Zaczekajcie, proszę – rzekłem, słysząc znużenie we własnym głosie. – Moniko. Lucio.

Zaczekajcie, proszę, wyruszmy rano wszyscy razem, zapewnimy wam bezpieczną podróż.

– Nie, dziękuję, proszę pana. – Dotarli na dół schodów. Monica obejrzała się na mnie.

– Zrobił pan już chyba dość. Wiemy, gdzie są stajnie. Jeśli możemy zaopatrzyć się w prowiant, a potem w konie...

– Oczywiście. Oczywiście. Czy macie... czy macie coś do obrony, gdyby napadli was bandyci?

Szybko zbiegłem po schodach, podniosłem broń jednego z zabitych strażników i podałem ją Luciowi, rękojeścią naprzód.

– Lucio, weź to – powiedziałem. – Będziesz tego potrzebował, by bronić matki w drodze do domu.

Lucio chwycił pałasz, popatrzył na mnie i zdało mi się, że jego spojrzenie łagodnieje.

A potem pchnął mnie w pierś.

27 stycznia 1758

Śmierć. Tyle już jej było i tyle jeszcze miało być.

Wiele lat temu, kiedy zabiłem najemnika w Szwarzwaldzie, popełniłem błąd, dźgając go w nerkę i przyspieszając jego zgon. Kiedy Lucio pchnął mnie pałaszem w zamkowym holu, zupełnym przypadkiem nie trafił w żaden żywotny narząd. Uderzył w szale. Jego wściekłość, tak jak u Jenny, zrodziła się z lat tłumionego gniewu i marzeń o zemście. A ponieważ ja sam przez całe życie szukałem zemsty, nie mogłem mieć do niego pretensji. Nie zabił mnie jednak, bo przecież piszę te słowa.

Zadał mi dotkliwą ranę i pozostałą część roku spędziłem w łóżku. Stałem nad otchłanią śmierci, na zmianę odzyskując i tracąc przytomność, ranny, gorączkujący, ale resztką sił walczyłem, jakiś słaby i migotliwy płomyk ducha nie chciał dać się we mnie zdmuchnąć.

Role się odwróciły i teraz to Holden się mną opiekował. Zawsze, kiedy się budziłem w przepoconej, zmiętej pościeli, był obok mnie, wygładzał prześcieradła, zmieniał zimne okłady na rozpalonym czole, uspokajał mnie.

– Wszystko dobrze, sir, wszystko dobrze. Niech pan leży. Najgorsze już za panem.

Czyżby? Czy najgorsze istotnie było już za mną?

Któregoś dnia – nie mam pojęcia, jak długo już wtedy gorączkowałem – ocknąłem się i chwyciwszy Holdena za ramię, usiadłem, wpatrując mu się z mocą w oczy.

– Lucio, Monica... – spytałem. – Gdzie oni są?

Miałem przed oczami obraz rozwścieczonego, mściwego Holdena zabijającego ich oboje.

– Zanim pan zemdłał, powiedział pan jeszcze, by ich oszczędzić – odparł Holden z miną świadcząca, że bynajmniej mu się to nie podobało – oszczędziłem ich więc. Wyprawiliśmy ich w drogę z końmi i zapasami.

– Dobrze, dobrze... – wychrypiałem, czując, że znów ogarnia mnie ciemność. – Nie możesz winić...

– To było tchórzostwo – rzekł Holden z wyrzutem, kiedy traciłem przytomność. – Nie można tego inaczej nazwać, sir. Tchórzostwo. A teraz niech pan już zamknie oczy, niech pan odpoczywa...

Widywałem też Jenny i nawet mimo gorączki i bólu dostrzegłem zmianę, jaka w niej zaszła. Zdawało się, że odzyskała wewnętrzny spokój. Raz czy dwa czułem jej obecność przy łóżku i słyszałem, jak opowiadała o życiu na Queen Anne's Square, o tym, że planowała tam wrócić i, jak to ujęła, „zając się wszystkimi sprawami”.

Bałem się o tym myśleć. Nawet półprzytomny współczułem nieszczęśnikom dbającym o sprawy Kenwayów, kiedy moja siostra Jenny obejmie majątność w posiadanie.

Na stoliku przy łóżku leżał zakonny pierścień Reginalda, ale nie założyłem go, nie brałem do ręki, nawet nie dotykałem. Na razie przynajmniej nie czułem się ani templariuszem, ani asasynem, i nie chciałem mieć nic wspólnego z żadnym z tych zakonów.

A później, jakieś trzy miesiące po tym, jak Lucio mnie zranił, wstałem z łóżka. Wziąwszy głęboki oddech, chwyciłem oburącz ramię Holdena, wysunąłem stopy spod kołdry, postawiłem je na zimnej, drewnianej podłodze i wstałem, czując, jak koszula nocna zsuwa mi się na kolana. Miałem wrażenie, że stoję pierwszy raz w życiu. Zakłuła mnie rana i złapałem się za bok.

– Wdało się paskudne zakażenie, sir – wyjaśnił Holden. – Musieliśmy wyciąć kawałek gnijącego ciała.

Skrzywiłem się.

– Dokąd chce pan iść, sir? – spytał Holden, kiedy powoli podeszliśmy od łóżka do drzwi.

Czułem się jak inwalida, ale nie przeszkadzało mi, że tak też jestem traktowany. Siły wkrótce mi wrócą. A potem znów...

„Będę tym samym człowiekiem?”, zastanawiałem się.

– Chcę chyba wyjrzeć za okno, Holden, proszę – powiedziałem. Zgodził się i podprowadził mnie do okna, skąd wyjrzałem na okolicę, gdzie spędziłem sporą część dzieciństwa. Stojąc tam, uświadomiłem sobie, że przez większą część dorosłego życia, myśląc o „domu”, wyobrażałem sobie siebie wyglądającego przez okno albo na ogrody Queen Anne’s Square, albo na trawniki zamku. Oba te miejsca nazywałem domem i wciąż tym dla mnie są, a teraz – kiedy znałem już całą prawdę o ojcu i Reginaldzie – nabrały jeszcze głębszego znaczenia. Stały się jakby dwiema połowami: chłopca i mężczyzny, którym się stałem.

– Wystarczy, Holden, dziękuję – powiedziałem i pozwoliłem się odprowadzić do łóżka.

Położyłem się w nim, czując niespodziewaną... niechętnie to przyznaję, ale „słabość” po długiej podróży aż do okna i z powrotem.

Moja rekonwalescencja dobiegała już niemal końca i świadomość tego wystarczyła, bym uśmiechnął się, patrząc, jak Holden zabiera kubek z wodą i brudną ścierkę z dziwnym, zaciętym, nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Dobrze pana widzieć znów na nogach – powiedział, kiedy zorientował się, że na niego patrzę.

– Jestem ci winny podziękowanie, Holden.

– Pannie Jenny też, sir – przypomniał mi.

– Istotnie.

– Bywało, że się o pana baliśmy, sir. Niewiele brakowało.

– To by dopiero było, gdybym przeżył wojny, asasynów i eunuchów zabójców, by w końcu zginąć z niewprawnej ręki chłopca – zaśmiałem się.

Holden pokiwał głową i zawtórował mi sucho.

– To prawda, sir – zgodził się. – Byłaby to zaiste gorzka ironia losu.

– Cóż, przeżyłem i mogę walczyć dalej – powiedziałem. – Wkrótce, może za tydzień czy dwa, wyjedziemy stąd, wrócimy do Ameryki i tam będę kontynuował swoje dzieło.

Holden popatrzył na mnie i przytaknął.

– Jak pan sobie życzy. Czy na teraz to już wszystko, sir?

– Tak... tak, oczywiście. Przepraszam, Holden, że przez te kilka miesięcy byłem wam takim ciężarem.

– Pragnę tylko tego, by wrócił pan do zdrowia – powiedział Holden i wyszedł.



28 stycznia 1758

Pierwszą rzeczą, jaką usłyszałem dziś rano, był krzyk. Krzyk Jenny. Weszła do kuchni i znalazła Holdena wiszącego na sznurze do suszenia bielizny.

Wiedziałem, co się stało, zanim jeszcze wbiegła do mojego pokoju, wiedziałem. Holden zostawił list, choć nie musiał. Zabił się z powodu tego, co uczynili mu koptyjscy mnisi. Szczerze mówiąc, nie było to dla mnie zaskoczeniem.

Pamiętałem moje uczucia po śmierci ojca i wiedziałem, że otępienie jest towarzyszem rozpacz, jaka przychodzi potem. Im bardziej na początku człowiek jest sparaliżowany, odrętwiały i oszołomiony, tym dłużej i mocniej będzie rozpaczał później.

## **CZĘŚĆ IV**

1774, szesnaście lat później

12 stycznia 1774

*i*

Piszę to na zakończenie obfitującego w wydarzenia wieczoru i myślę tylko o jednym. Czy to możliwe, że...

Że mam syna?

Odpowiedź brzmi „nie wiem na pewno”, ale mam pewne przesłanki, a do tego, co chyba najważniejsze, przeczucie – przeczucie, które mnie nie opuszcza, ciągnie niczym natrętny żebrak za skraj płaszcza.

Nie jest to oczywiście jedyne brzemię, które dźwigam. Są dni, kiedy czuję się przygnieciony wspomnieniami, wątpliwościami, żalem i smutkiem. Dni, kiedy mam wrażenie, że upiory nigdy nie dadzą mi spokoju.

Po pochówku Holdena wyjechałem do Ameryki, a Jenny wróciła do Anglii, na Queen Anne’s Square, gdzie zamieszkała w wyniosłym staropanieństwie. Bez wątpienia jest obiektem nieustających plotek i spekulacji na temat lat nieobecności i z pewnością jej to odpowiada.

Piszemy do siebie, ale choć chciałbym powiedzieć, że wspólne przeżycia nas zbliżyły, bolesna prawda jest taka, że tak się nie stało. Korespondujemy, bo nosimy wspólne nazwisko i uważamy, że powinniśmy pozostawać w kontakcie. Jenny przestała mi ubliżać, więc w tym sensie stosunki między nami się poprawiły, ale nasze listy są sztuczne, pisane na siłę. Jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy doświadczyli cierpień i strat wystarczających na resztę życia. O czym moglibyśmy rozprawać w listach? O niczym. Toteż o niczym nie rozprawialiśmy.

Tymczasem – miałem rację – opłakałem Holdena. Nie znałem nigdy lepszego człowieka niż on i nigdy równego mu nie spotkam. Jemu jednak nie starczyło siły i charakteru, choć wydawał się niezniszczalny. Odebrano

mu męskość, a on nie mógł z tym żyć, nie był na to gotowy, dlatego poczekał, aż wróćę do zdrowia, i wtedy dopiero odebrał sobie życie.

Opłakałem go i pewnie będę opłakiwał do śmierci, tak jak rozpamiętuję bolesną zdradę Reginalda – za to, co nas kiedyś łączyło i za kłamstwa, na których opierało się moje życie.

Opłakiwałem też człowieka, którym niegdyś byłem. Ból w boku nigdy do końca nie przeszedł – co jakiś czas odzywał się paroksyzmem – i chociaż nie udzieliłem swojemu ciału pozwolenia, ono i tak się zestarzało. Z uszu i nosa wyrosły mi krótkie, sztywne włoski. Ni z tego, ni z owego straciłem dawną gibkość. Choć moja pozycja w zakonie była mocniejsza niż kiedykolwiek, fizycznie nie byłem już dawnym sobą.

Po powrocie do Ameryki kupiłem w Wirginii gospodarstwo, gdzie uprawiałem tytoń i pszenicę. Objechałem swoją ziemię, świadom, że moje siły z biegiem lat słabną. Wsiadanie i zsiadanie z konia było coraz trudniejsze. Nie trudne – po prostu trudniejsze, choć wciąż byłem silniejszy, szybszy i zwinniejszy niż wielu mężczyzn o połowę młodszych ode mnie, żaden z moich podwładnych nie mógł mnie w niczym prześcignąć. Ale mimo to... Nie byłem tak szybki, silny ani zręczny jak kiedyś. Wiek nie omieszkał się upomnieć o swoje prawa.

W 1773 roku Charles też wrócił do Ameryki i zamieszkał po sąsiedzku, ledwie pół dnia drogi ode mnie. Pisaliśmy do siebie i zgodziliśmy się, że musimy się spotkać, omówić sprawy templariuszy i zaplanować działania w interesie Rytu Kolonialnego. Dyskutowaliśmy przede wszystkim o narastających nastrojach rewolucyjnych, o nasionach buntu niesionych wiatrem i o tym, jak najlepiej to wykorzystać, bo koloniści mieli dość nowych praw narzucanych im przez brytyjski parlament: ustawy o pieczęciach skarbowych, ustawy podatkowej, ustawy amnestyjnej, ustawy o komisarzach celnych. Ciśnięci podatkami, nie mogli znieść, że nikt ich nie reprezentuje, nikt nie słucha ich głosów niezadowolenia.

Wśród protestujących był niejaki Jerzy Waszyngton. Młody oficer, który służył niegdyś pod komendą Braddocka, potem zrzekł się patentu oficerskiego i przyjął majątek ziemski w nagrodę za zasługi w wojnie z Francuzami i Indianami. Z czasem jego poglądy się zmieniły.

Bystrooki oficer, którego podziwiałem za współczującą postawę – a z pewnością bardziej niż jego dowódcę – był teraz jednym z najdonośniejszych głosów ruchu antybrytyjskiego. Bez wątpienia wynikało to z faktu, że interesy rządu Jego Królewskiej Mości były sprzeczne z jego własnymi ambicjami; występował przed Zgromadzeniem Wirginii, próbując przeforsować zakaz importu towarów z Wielkiej Brytanii. To, że ustawa taka była skazana na odrzucenie, zwiększało tylko panujące w kraju niezadowolenie.

Bostońska „herbatka”, którą „wypito” w grudniu 1773 – w zeszłym miesiącu, ściślej rzecz ujmując – była kulminacją lat – nie, dziesięcioleci rozgoryczenia. Zmieniając port w największą na świecie filiżankę herbaty, koloniści zasygnalizowali Wielkiej Brytanii i światu, że nie zamierzają dłużej znosić niesprawiedliwych rządów. Ogólnokrajowe powstanie było kwestią ledwie miesięcy. Dlatego z takim samym entuzjazmem, z jakim doglądałem moich plonów, pisałem do Jenny czy wstawałem rano z łóżka – innymi słowy, bardzo niewielkim – uznałem, że pora, by zakon zaczął się przygotowywać do nadchodzącej rewolucji, i zwołałem rycerzy na spotkanie.

## *ii*

Zebrali się wszyscy, po raz pierwszy od ponad piętnastu lat, członkowie Rytu Kolonialnego, z którymi dwie dekady temu przeżyłem tyle przygód.

Narada odbyła się pod niskim, belkowanym sklepieniem pustej gospody o nazwie „Niespokojny Duch” na obrzeżach Bostonu. Nie była pusta, kiedy przybyliśmy, ale Thomas zadbał, żebyśmy ją mieli wyłącznie dla siebie, wyganiając nielicznych pijaków, którzy siedzieli przy drewnianych stołach. Ci z nas, którzy zazwyczaj chodzili w mundurach, przebrali się w cywilne ubrania – zapinane kurty i kapelusze naciągnięte nisko na czoła. Siedliśmy wokół stołu z kufkami piwa: ja, Charles Lee, Benjamin Church, Thomas Hickey, William Johnson i John Pitcairn.

Wtedy dowiedziałem się o chłopcu.

Benjamin pierwszy poruszył ten temat. Był naszą wtyczką w organizacji Synów Wolności, antybrytyjskim ugrupowaniu patriotów, którzy współorganizowali bostońską „herbatkę”. Dwa lata temu spotkał pewnego człowieka w winiarni U Marty.

– To był młody tubylec – powiedział. – Nigdy wcześniej go nie widziałem...

– Nie pamiętasz, żebyś go kiedykolwiek wcześniej widział, Benjaminie – poprawiłem.

Skrzywił się.

– Dobrze, nie pamiętam, żebym go wcześniej widział – powtórzył Benjamin. – Chłopak podszedł do mnie i bezczelnie kazał mi powiedzieć, gdzie może znaleźć Charlesa.

Odwrociłem się w jego stronę.

– A więc pytał o ciebie. Wiesz, kto to jest?

– Nie – odparł. Ale zabrzmiało to nieszczerze.

– Spytam jeszcze raz... Czy masz jakieś podejrzenia, kim ten chłopak może być?

Charles odchylił się do tyłu i odwrócił wzrok.

– Raczej nie.

– Ale pewny nie jesteś?

– Był jeden wyrostek w...

Wokół stołu zapadła niezręczna cisza. Wszyscy albo sięgnęli po kufle, albo zgarbili się i wypatrzyli coś ciekawego w ogniu pobliskiego kominka.

Nikt nie chciał spojrzeć mi w oczy.

– Może ktoś mi powie, o co tu chodzi? – spytałem.

Żaden z nich nie był nawet w jednej dziesiątej takim człowiekiem, jakim był Holden. Uświadomiłem sobie, że mam ich serdecznie dość, że przyprawiają mnie o mdłości. A uczucie to miało się jeszcze wzmóc.

To Charles pierwszy popatrzył mi w oczy nad stołem.

– Twoja Indianka.

– Co z nią?

– Przykro mi, Haythamie – powiedział. – Naprawdę mi przykro.

– Nie żyje?

– Tak.

Oczywiście, pomyślałem. Tyle śmierci.

– Kiedy? Jak?

– Podczas wojny. W 1760. To już będzie czternaście lat. Jej wioska została zaatakowana i spalona.

Poczułem, że zaciskam usta.

– To był Waszyngton – powiedział szybko Charles, patrząc na mnie. – Jerzy Waszyngton i jego ludzie. Spalili wioskę i twoją... Zginęła razem z nią.

– Byłeś tam?

Zaczerwienił się.

– Tak, mieliśmy nadzieję porozmawiać ze starszymi wioski o świątyni prekursorów. Ale nie mogłem nic zrobić, Haythamie, zapewniam cię. Waszyngton i jego ludzie przetoczyli się przez wioskę jak wezbrana fala. Łaknęli krwi.

– I był tam chłopiec? – spytałem.

Charles odwrócił wzrok.

– Tak, był tam chłopiec, mały, może pięcioletni.

Pięcioletni, pomyślałem. Przed oczami stanęła mi Ziio, twarz, którą kiedyś kochałem, kiedy byłem jeszcze do tego zdolny, i poczułem obezwładniający przypływ smutku. Smutku i nienawiści do Waszyngtona, który najwyraźniej nauczył się czegoś od generała Braddocka – okrucieństwa i bezwzględności. Przypomnił mi się ostatni raz, kiedy ją widziałem, kiedy byliśmy razem. Przypomniałem sobie ją, w naszym małym obozie, omiatającą drzewa nieobecny wzrokiem i jej dłoń, mimowolnie dotykające brzucha.

Nie. Odrzuciłem tę myśl. Była zbyt fantastyczna. Zbyt mało prawdopodobna.

– Chłopiec mi groził – mówił Charles.

W innych okolicznościach mógłbym się uśmiechnąć na myśl o Charlesie, mierzącym ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, któremu grozi pięcioletni mały Indianin – gdybym nie próbował jednocześnie pogodzić się ze śmiercią Ziio, oczywiście – wziąłem więc głęboki, ale prawie

niedostrzegalny oddech, napełniłem pierś powietrzem i odpędziłem jej obraz.

– Nie ja jeden z nas tam byłem – powiedział Charles obronnym tonem i rozejrzał się pytająco wokół stołu.

– Mów więc. Kto jeszcze?

William, Thomas i Benjamin pokiwali głowami, ze wzrokiem wbitym w ciemne, pełne sęków deski stołu.

– To nie mógł być on – rzekł Benjamin z irytacją. – To przecież nie mógł być ten sam dzieciak.

– Dajże spokój, Haythamie, to mało prawdopodobne – zawtórował Hickey.

– I nie poznałeś go później U Marty? – spytałem Benjamina.

Pokręcił głową, wzruszył ramionami.

– To był zwykły, indiański dzieciak. Wszystkie wyglądają tak samo, prawda?

– A co robiłeś w tej winiarni?

– Odpoczywałem – odparł nieufnie.

„Albo planowałeś, jak napchać sobie kieszenie”, pomyślałem.

– Doprawdy? – spytałem.

Benjamin wyduł usta.

– Jeśli wszystko pójdzie tak, jak myślimy, i rebelianci stworzą armię, to dostanę w niej posadę naczelnego lekarza, mistrzu Kenway – powiedział. – To jedno z najwyższych stanowisk w armii. Wydaje mi się, że zamiast dopytywać, co robiłem tamtego dnia U Marty, mógłbyś mi pogratulować.

Rozejrzał się wokół stołu, szukając poparcia. Thomas i William z wahaniem pokiwali głowami, jednocześnie zerkając z ukosa na mnie.

Ustałem.

– Zupełnie zapomniałem o manierach, Benjaminie. Istotnie, jeśli osiągniesz tę rangę, będzie to z wielkim pożytkiem dla zakonu.

Thomas głośno odchrząknął.

– Mamy również nadzieję, że jeśli taka armia powstanie, nasz Charles zostanie mianowany jej wodzem naczelnym.



Nie widziałem dobrze w półmroku gospody, ale wyczułem, że Charles się rumieni.

– To coś więcej niż tylko nadzieja – zaprotestował. – Jestem oczywistym kandydatem.

Doświadczeniem wojskowym biję Jerzego Waszyngtona na głowę.

– Tak, Charlesie, ale jesteś Anglikiem – westchnąłem.

– Urodziłem się w Anglii – prychnął – ale w sercu jestem kolonistą.

– To, co masz w sercu, może nie wystarczyć.

– Zobaczymy – odparł z wyższością.

„Istotnie, zobaczymy”, pomyślałem ze znużeniem, a potem odwróciłem się do Williama, który dotąd milczał, choć było oczywiste, dlaczego – bostońska „herbatka” miała największy wpływ właśnie na niego.

– A co z twoim zadaniem, Williamie? Jak idą plany wykupu ziemi od tubylców?

Wszyscy wiedzieliśmy, ale trzeba to było powiedzieć, i musiał to powiedzieć właśnie on, podobało mu się to czy nie.

– Konfederacja dała swoje błogosławieństwo tej transakcji... – zaczął.

– Ale...?

Wziął głęboki oddech.

– Wiesz, naturalnie, mistrzu Kenway, o naszych planach zebrania funduszy...

– Liście herbaty?

– I wiesz też o bostońskiej „herbatce”?

Podniosłem rękę.

– Jej konsekwencje odczuł cały świat. Najpierw ustawa o pieczęciach, teraz to. Nasi koloniści się burzą, prawda?

William rzucił mi urażone spojrzenie.

– Cieszę się, że znajdujesz tę sytuację zabawną, mistrzu Kenway.

Wzruszyłem ramionami.

– Piękno naszego planu polega na tym, że jesteśmy gotowi na wszystkie ewentualności.

Przy tym stole siedzą przedstawiciele kolonistów... – Wskazałem Benjamina. – Brytyjskiej armii... – Wskazałem Johna. – Oraz, oczywiście,

nasz własny człowiek do wynajęcia, Thomas Hickey. Na pierwszy rzut oka widać, jak bardzo się różnicie. Jedyne, co was łączy, to ideały zakonu, które macie w sercu. Dlatego wybacz mi, Williamie, jeśli pozostaję w dobrym humorze mimo chwilowych trudności, jakie cię spotkały. To tylko dlatego, że wierzę, iż to właśnie chwilowa trudność, do tego niezbyt wielka.

– Cóż, mam nadzieję, że masz rację, mistrzu Kenway, bo kłopot polega na tym, że to źródło finansowania jest dla nas zamknięte.

– Z powodu działań buntowników...

– Otóż to. I jeszcze jedno...

– Co? – spytałem, czując, że wszyscy na mnie patrzą.

– Ten chłopak tam był. Był jednym z przywódców, ciskał do wody skrzynie z herbatą.

Wszyscy go widzieliśmy. Ja, John, Charles...

– Tego samego chłopaka?

– Niemal na pewno – powiedział William. – Miał naszyjnik dokładnie taki, jak opisywał Benjamin.

– Naszyjnik? – spytałem. – Jaki naszyjnik?

Z nieruchomą twarzą, starając się nawet nie przetykać śliny, wysłuchałem, jak Benjamin opisuje naszyjnik Ziio.

„To nic nie znaczy”, powiedziałem sobie, kiedy skończyli. Ziio nie żyła, więc na pewno naszyjnik wziął ktoś inny, jeśli to w ogóle był ten sam.

– To nie wszystko, prawda? – westchnąłem, patrząc na ich twarze.

Jak jeden pokiwali głowami, ale to Charles przemówił.

– Kiedy Benjamin go spotkał U Marty, to był zwyczajny chłopak. Ale podczas bostońskiej „herbatki” nie wyglądał już normalnie. Nosił, Haythamie, szaty.

– Szaty?

– Szaty asasyna.

27 czerwca 1776

(dwa lata później)

*i*

Rok temu udowodniłem, że to ja mam rację, a Charles się myli – Jerzy Waszyngton został mianowany wodzem naczelnym nowo utworzonej Armii Kontynentalnej, a Charles otrzymał stopień generała majora.

Nie byłem bynajmniej zadowolony, kiedy się o tym dowiedziałem, ale Charles wprost oszalał z wściekłości i do tej pory mu nie przeszło. Wciąż powtarzał, że Waszyngton nie nadaje się nawet na sierżanta straży miejskiej. Co, oczywiście, jak to często bywa, nie było ani prawdą, ani pełnym łgarstwem. Z jednej strony Waszyngton przejawiał pewną naiwność jako dowódca, z drugiej – odniósł kilka znaczących zwycięstw, z których najważniejszym było przełamanie blokady Bostonu w marcu. Cieszył się też zaufaniem swoich ludzi. Bezsprzecznie miał pewne zalety.

Nie był jednak templariuszem, a nam zależało, by rewolucją kierował nasz człowiek. Nie chodziło tylko o to, by kierować zwycięską stroną; wierzyliśmy, że Charles jako dowódca dałby nam większe szanse powodzenia. Dlatego też uknuliśmy zabójstwo Waszyngtona. Po prostu.

Nasz spisek by się powiódł, gdyby nie jedno: ów młody asasyn. Asasyn – może mój syn, a może nie – który wciąż był nam cierniem.

Pierwszy był William. Nie żyje. Zabity w zeszłym roku, niedługo przed wybuchem wojny o niepodległość. Po bostońskiej „herbatce” William zaczął negocjacje w sprawie zakupu indiańskiej ziemi. Napotkał jednak duży opór, zwłaszcza ze strony Konfederacji Irokezów, której przedstawiciele przyjechali do niego do domu. Rozmowy z początku toczyły się dobrze, według wszelkich relacji, ale jak to bywa, ktoś coś powiedział i sprawy potoczyły się w złym kierunku.

– Bracia, proszę – błagał William. – Jestem pewien, że znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Ale Irokezi go nie słuchali. Ziemia należała do nich, przekonywali. Nie przemawiały do nich logiczne argumenty Williama – że jeśli ziemia przejdzie w ręce templariuszy, to ochronimy ją przed zakusami sił, które wyjdą zwycięsko z nadciągającego starcia.

Wśród przedstawicieli konfederacji zawrzały konflikty. Zagościły wątpliwości. Niektórzy twierdzili, że sami nigdy nie poradzą sobie z potęgą Brytyjczyków albo armii kolonialnej; inni uważali, że układ z Williamem wcale nie jest lepszym rozwiązaniem. Zapomnieli, jak templariusze uwolnili ich pobratymców z niewoli Silasa dwadzieścia lat wcześniej; pamiętali za to wyprawy Williama do puszczy, gdzie szukał świątyni prekursorów, jego wykopaliska w znalezionej przez nas podziemnej komnacie. Mieli te zniewagi świeżo w pamięci i nie mogli ich darować.

– Spokojnie, spokojnie – prosił William. – Czy nie stałem zawsze po waszej stronie? Czy nie starałem się zawsze was bronić?

– Jeśli chcecie nas chronić, dajcie nam broń. Muszkiety i konie, byśmy mogli bronić się sami – odparował przedstawiciel konfederacji.

– Wojna niczego nie rozwiąże – upierał się William.

– Pamiętamy, jak przesunęliście granice. Nawet dziś wasi ludzie rozkopują ziemię, nie oglądając się na jej mieszkańców. Twoje słowa są słodkie jak miód, ale fałszywe. Nie przyjechaliśmy tu negocjować. Nie przyjechaliśmy sprzedawać. Jesteśmy tu, by nakazać tobie i tobie podobnym opuścić ten kraj.

William niestety uciekł się do przemocy; jeden z Indian został zastrzelony, a pozostali mieli podpisać kontrakt pod groźbą następnych ofiar.

Wysłannicy się nie zgodzili; nie ugięli się przed pokazem siły Williama. Jakże mocno musieli się utwierdzić w swoich podejrzeniach, kiedy zaczęli padać z kulami muszkietowymi w głowach.

Wtedy zjawił się chłopak. Jeden z ludzi Williama opisał mi go szczegółowo. Jego relacja zgadzała się co do joty z tym, co opowiadał Benjamin o spotkaniu w winiarni „U Marty”, i z tym, co Charles, William i John widzieli w bostońskim porcie. Miał ten sam naszyjnik, te same szaty asasyna. To był ten chłopak.

– Co powiedział Williamowi? – spytałem stojącego przede mną żołnierza.

– Powiedział, że zamierza położyć kres knowaniom pana Johnsona i nie pozwolić mu zająć tych ziem dla templariuszy.

– Czy William coś odpowiedział?

– W istocie, sir. Powiedział swojemu zabójcy, że templariusze usiłowali zająć ten kraj, by chronić Indian. Powiedział też, że ani króla Jerzego, ani kolonistów nie obchodzą losy Irokezów.

Przewróciłem oczami.

– Niezbyt przekonujący argument, zważywszy, że kiedy chłopak się zjawił, on właśnie mordował tubylców.

Żołnierz skłonił głowę.

– Raczej nie, sir.

### *iii*

Śmierć Williama przyjąłem może zbyt obojętnie, cóż, mogę się powoływać na okoliczności łagodzące. William, choć oddany swojej pracy i pilny, nigdy nie był najweselszym z ludzi, a stosując przemoc zamiast dyplomacji, sknocił misterne rokowania. Niechętnie to mówię, jednak sam na siebie ściągnął taki los, a ja, obawiam się, nigdy nie byłem skłonny tolerować niekompetencji. Ani jako młody człowiek, kiedy przejąłem to, jak się zdaje, od Reginalda, ani też teraz, po pięćdziesiątych urodzinach. William był

cholernym głupcem i zapłacił za to życiem. Zresztą zakup indiańskiej ziemi, aczkolwiek ważny, nie był już naszym priorytetem; nie był nim od chwili wybuchu wojny. Głównym naszym zadaniem było przejęcie dowodzenia nad armią i, nie działawszy nic sposobami uczciwymi, uciekliśmy się do nieczystych – planując zamach na Waszyngtona.

Plan ten jednak ucierpiał, kiedy asasyn obrał za następny cel Johna, oficera brytyjskiej armii – templariusza; zabił go, gdyż John zajmował się polowaniem na przywódców rebelii.

Choć strata tak cennego człowieka była irytująca, nie wpłynęła znacząco na nasze zamiary, gdyby nie to, że John miał w kieszeni niefortunny list, zawierający szczegóły planu zamachu na Waszyngtona, wymieniający Thomasa Hickeya jako wybranego zabójcę. Młody asasyn niezwłocznie ruszył do Nowego Jorku – Thomas był następny na jego liście.

Thomas akurat fałszował tam pieniądze, jednocześnie zbierając fundusze i przygotowując się do zabójstwa Waszyngtona. Charles był na miejscu z Armią Kontynentalną, więc cichaczem zjechałem do miasta i zająłem kwaterę. Zaraz też przekazano mi wiadomość: chłopak dopadł Thomasa, obaj zostali aresztowani i wtrąceni do więzienia Bridewell.

– Nie życzę sobie więcej żadnych błędów, Thomasie, czy to jasne? – powiedziałem mu, kiedy go odwiedziłem, drżąc z chłodu i obrzydzenia spowodowanego więziennym smrodem i zgiełkiem. Nagle, w sąsiedniej celi, zobaczyłem jego: asasyna.

I od razu wiedziałem. Miał oczy matki, te same kruczoczarne włosy, ten sam dumny podbródek. Wyglądał jak ona. Bez wątpienia był moim synem.

#### iv

– To on – powiedział Charles, kiedy wychodziliśmy z więzienia. Wzdrygnąłem się, ale on tego nie zauważył: w Nowym Jorku panował mróz, nasze oddechy zawisały obłoczkami pary przed nami i Charles był zajęty otulaniem się przed zimnem.

– Kto taki?

– Ten chłopak.

Oczywiście wiedziałem dobrze, o kim mówi.

– O czym ty u diabła mówisz, Charlesie? – spytałem ze złością i chuchnąłem w dłonie.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o chłopcu, którego spotkałem w 1760 roku, kiedy ludzie Waszyngtona zaatakowali indiańską wioskę?

– Tak, pamiętam. I to jest nasz asasyn, tak? Ten sam, co w bostońskim porcie? Ten sam, który zabił Williama i Johna? To ten chłopak, który tam siedzi?

– Na to wygląda, Haythamie...

Odwrociłem się do niego.

– Czy wiesz, co to znaczy, Charlesie? Stworzyliśmy tego asasyna. Płonie w nim nienawiść do wszystkich templariuszy. Widział cię w dniu, kiedy spłonęła jego wioska, tak?

– Tak... tak, już ci mówiłem...

– Pewnie widział też twój pierścień. Pewnie nosił odcisk twojego pierścienia na własnej skórze jeszcze przez kilka tygodni po tym spotkaniu. Mam rację, Charlesie?

– Twoja troska o to dziecko jest wzruszająca, Haythamie. Zawsze byłeś wielkim obrońcą tubylców...

Słowa zamarły na jego usta, bo w następnej chwili chwyciłem go za pelerynę i pchnąłem na kamienny mur więzienia. Górowałem nad nim, a moje palące spojrzenie wwiercało mu się w oczy.

– Troszczę się o zakon – powiedziałem. – Troszczę się wyłącznie o zakon. Popraw mnie, jeśli się mylę, Charlesie, ale nasz zakon nie uczy bezsensownego wyrzynania tubylców ani palenia ich wiosek. Dobrze pamiętam, że niczego takiego nie było w moich naukach. Wiesz dlaczego? Bo takie zachowanie wyzwala... jak by to nazwać?... „złą wolę” wśród tych, których mamy nadzieję przeciągnąć na naszą stronę. Spycha niezdecydowanych w szeregi naszych wrogów. Tak jak tutaj. Nasi ludzie giną, plany są zagrożone przez twoje czyny sprzed szesnastu lat.

– Nie moje... Waszyngton jest...

Puściłem go, cofnąłem się o krok i splotłem ręce za plecami.

– Waszyngton zapłaci za to, co zrobił. Dopilnujemy tego. Jest okrutny, to jasne, i nie nadaje się na wodza.

– Zgadza się, Haythamie, podjąłem już kroki, by nie było więcej komplikacji.

Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Popatrzyłem na niego uważnie.

– Mów dalej.

– Chłopak ma zostać powieszony za knucie zamachu na Jerzego Waszyngtona i zamordowanie naczelnika więzienia. Waszyngton oczywiście będzie na egzekucji, zamierzam tego dopilnować, a my wykorzystamy tę sposobność, by go zabić. Thomas, oczywiście, bardzo chętnie podejmie się tego zadania. Trzeba tylko, abyś jako Wielki Mistrz Rytu Kolonialnego wyraził zgodę.

– Nie zostało wiele czasu – powiedziałem i usłyszałem niepewność we własnym głosie.

Ale skąd? Dlaczego miałoby mnie jeszcze obchodzić, kto przeżyje, a kto zginie?

Charles rozłożył ręce.

– Nie zostało wiele czasu, ale tak bywa z najlepszymi planami.

– Istotnie – westchnąłem. – Istotnie.

– A zatem?

Zamyśliłem się. Miałem zatwierdzić egzekucję własnego dziecka. Jaki potwór uczyniłby coś takiego?

– Zrób to – powiedziałem.

– Bardzo dobrze – odparł Charles, z satysfakcją wypinając pierś. – Nie traćmy więc ani chwili więcej. Rozpuścimy po Nowym Jorku pogłoskę, że jutro zdrajca rewolucji spotka swój koniec.

Za późno już na ojcowskie uczucia. Jeśli była we mnie kiedyś gotowość do przygarnięcia własnego dziecka, wypaczyły ją i wypaliły lata zrad i mordów.





28 czerwca 1776

*i*

Rano obudziłem się nagle w swoim pokoju, usiadłem prosto na łóżku i rozejrzałem się dookoła. Zza okna dobiegał gwar nowojorskiej ulicy. Wyobraziłem to sobie tylko, czy w powietrzu wisiała zmiana, czy w szumie rozmów słyhać było jakieś ożywienie? A jeśli tak, czy miało to coś wspólnego z dzisiejszą egzekucją? Dzisiaj będą wieszać...

Connor, tak ma na imię. Tak nazwała go Ziio. Zastanawiałem się, jak inaczej mogłoby wszystko wyglądać, gdybyśmy wychowywali go razem.

Czy miałby na imię Connor?

Czy szedłby drogą asasyina?

A jeśli odpowiedź na to pytanie brzmiała „nie, nie wybrałby ścieżki asasyina, bo jego ojciec był templariuszem”, to kim wobec tego byłem, jeśli nie wyrodkiem, kundlem?

Człowiekiem o rozchwianej lojalności.

Ale też człowiekiem, który postanowił, że nie pozwoli swojemu synowi umrzeć. Nie dziś.

Zamiast codziennego stroju ubrałem ciemną szatę z kapturem, który naciągnąłem na głowę, a potem pospieszyłem do stajni, osiodłałem swoją klacz i popędziłem na miejsce egzekucji przez zatłoczone, błotniste ulice. Wystraszeni mieszkańcy uciekali mi z drogi i wygrażali pięściami, albo wytrzeszczali na mnie oczy spod szerokoskrzydłych kapeluszy.

Gnałem przed siebie, tam, gdzie gęstniał tłum gapiów, chętnych obejrzeć spektakl wieszania.

Jadąc tak, zastanawiałem się, co robię, i zrozumiałem, że nie mam pojęcia. Wiedziałem tylko, jak się czuję – jakbym nagle obudził się ze snu.

Szubienica na podwyższeniu czekała na swoją kolejną ofiarę, a spora grupa gapiów spodziewała się emocjonującej rozrywki. Wokół placu stały konie i wozy, na które dla lepszego widoku wspinały się całe rodziny: nikczemnie wyglądający mężczyźni, niskie kobiety o ściągniętych, brzydkich twarzach i brudne dzieci. Jedni siedzieli na ziemi, inni kręcili się dookoła. Kobiety plotkowały w grupkach, mężczyźni popijali piwo albo wino ze skórzanych bukłaków. Wszyscy przyszli tu gapić się na śmierć mojego syna.

Na plac wjechał wóz eskortowany przez żołnierzy. Przelotnie zobaczyłem Connora, zaraz potem ze środka wyskoczył wyszczerzony szeroko Thomas Hickey, który wyciągnął go za sobą, kpiąc:

– Nie sądziłeś chyba, że przegapię twoje pożegnalne przyjęcie, co? Podobno ma przyjść sam Waszyngton. Mam nadzieję, że nie spotka go nic złego... Connor, z rękami związanymi przed sobą, jedynie rzucił Thomasowi nienawistne spojrzenie i znów olśniło mnie, jak wiele miał z rysów twarzy swojej matki. Ale oprócz dumy i odwagi był w nich dziś też... strach.

– Mówiłeś, że będzie proces – warknął, wleczony przez Thomasa.

– Obawiam się, że zdrajcom nie przysługuje proces. Lee i Haytham wszystko załatwili.

Idziesz prosto na szubienicę.

Zmartwiałem. Connor miał umrzeć, myśląc, że ja podpisałem jego wyrok śmierci.

– Nie umrę dzisiaj – powiedział z dumą. – Ale nie można tego samego powiedzieć o tobie.

Mówił to jednak przez ramię, popychany na szubienicę pikami eskorty. Harmider na placu wzmógł się, tłum próbował dosięgnąć Connora, bić go, przewrócić na ziemię. Jakiś człowiek z nienawiścią w oczach zamachnął się na niego pięścią; byłem dość blisko, by złapać go za rękę, wykręcić mu ją boleśnie za plecy i powalić go. Obejrzał się na mnie rozbieganym wzrokiem, ale moje spojrzenie spod kaptura powstrzymało go; podniósł się i zniknął zaraz w tłumie.

Connor tymczasem był pchany dalej pod gradem wyzwisk i ciosów; byłem za daleko, by powstrzymać następnego człowieka, który nagle rzucił się w przód i złapał go – ale dość blisko, by zobaczyć jego twarz pod kapturem, odczytać słowa z ruchu warg.

– Nie jesteś sam. Krzyknij tylko, kiedy będziesz potrzebował pomocy...

To był Achilles.

Dotarły do mnie pogłoski, że szkoleniem Connora zajmował się tajemniczy Achilles – podobno leciwy asasyn przybyły ze starego kontynentu, ale nie dawałem im wiary, do dzisiaj.

Był tu – przybył uratować Connora, który odparł:

– Mniejsza ze mną, musisz powstrzymać Hickeya. On...

Ale w tym momencie odciągnęli go strażnicy, a ja dokończyłem zdanie w głowie:

„...planuje zabić Jerzego Waszyngtona”.

O wilku mowa. Wódz naczelny właśnie przybył w niewielkiej obstawie. Kiedy Connora wciągnięto na platformę, a kat zaciągnął mu stryczek na szyi, uwaga tłumu skupiła się na przeciwległym krańcu placu, gdzie Waszyngtona prowadzono na trybunę, opróżnianą pospiesznie z gapiów przez strażników. Charles, jako generał major, też tam był, co dało mi okazję porównać ich obu: Charles był sporo wyższy od Waszyngtona, emanowała z niego wyniosłość, podczas gdy tamten ujmował szarmancką manierą. Patrząc na nich dwóch, natychmiast zrozumiałem, dlaczego Kongres Kontynentalny wybrał Waszyngtona. Brytyjskość Charlesa wprost kłuła w oczy.

Nagle Charles opuścił Waszyngtona i z dwoma żołnierzami ruszył przez plac, roztrzając tłum przed sobą. Wspiął się na platformę szubienicy i odwrócił do ludzi, którzy stłoczyli się, by lepiej słyszeć. Otoczyły mnie ciała śmierzące potem i piwem; łokciami próbowałem zrobić sobie trochę miejsca.

– Bracia, siostry, krajanie – zaczął Charles, a nad tłumem zapadło wyczekujące milczenie.

– Kilka dni temu dowiedzieliśmy się o knowaniach tak podłych, tak nikczemnych, że nawet opowiadanie o nich wzburza mnie do głębi.

Człowiek, który przed wami stoi, zamierzał zamordować naszego umiłowanego generała.

Ludzie gromadnie wstrzymali oddech.

– Tak właśnie! – ryknął Charles, rozgrzewając się do dłuższej przemowy. – Nikt nie wie, jakie szaleństwo czy jaka mroczna siła nim powodowały. A on nie broni się. Nie wykazuje skruchy. Choć błagaliśmy go i prosiliśmy, by zdradził nam, co wie, trwa w śmiertelnym milczeniu.

Na te słowa kat wystąpił do przodu i zarzucił Connorowi na głowę jutowy worek.

– Jeśli ktoś nie chce się wytłumaczyć, nie chce wyznać winy i odpokutować za nią, co innego pozostaje? Chciał nas pchnąć w szpony wroga. Sprawiedliwość wymaga tedy, byśmy posłali go na tamten świat. Niech Bóg ulituje się nad jego duszą.

Charles skończył, a ja się rozglądałem, wypatrując ludzi Achillesa. Jeśli to była misja ratunkowa, to przecież właśnie przyszła pora uderzyć. Ale gdzie oni byli? Co u diabła zamierzali?

Łucznik. Musieli użyć łuczника. Nie było to idealne rozwiązanie: strzała nie przecięłaby liny całkowicie, mogli tylko mieć nadzieję, że nadwątli splot na tyle, że sznur pęknie pod ciężarem Connora. Ale łuk był najcelniejszy. Mogli strzelić z...

Z daleka. Obróciłem się i popatrzyłem na budynki za sobą. I rzeczywiście, w miejscu, które sam bym wybrał – w wysokim oknie – stał łucznik. Naciągnął cięciwę i popatrzył wzdłuż strzały. A potem, dokładnie w chwili, kiedy zapadnia się otworzyła i Connor runął w dół, wystrzelił.

Strzała pomknęła nad nami, choć tylko ja jeden o niej wiedziałem; obejrzałem się z powrotem na platformę i zobaczyłem, że grot tnie linę i osłabia ją – oczywiście – lecz nie przecina.

Ryzykowałem, że ktoś mnie zobaczy, ale i tak zareagowałem odruchowo, impulsywnie. Spod szat wyrwałem sztylet i rzuciłem nim. Poszybował w powietrzu i podziękowałem Bogu, kiedy przeciął linę do końca. Gdy szamoczący się i – dzięki Bogu – wciąż żywy Connor spadł przez kłapę zapadni, tłum wstrzymał oddech. Nagle zrobiło się dookoła mnie luźno na

wyciągnięcie ręki – wszyscy odsunęli się wstrząśnięci. Zobaczyłem jeszcze, że Achilles skacze w otwór zapadni za Connorem.

A potem zaczęła się kotłowanina – zszokowani ludzie zaryczeli wściekle, zasypali mnie gradem ciosów i kopnięć, a strażnicy zaczęli się przepychać w moją stronę. Wysunąłem ostrze i zraniłem jednego czy dwóch – dość mocno, by połała się krew, by dać do myślenia pozostałym.

Przestraszeni odsunęli się. Wybiegłem z placu straceń i wskoczyłem na konia, a w uszach brzmiały mi wyzwiska i gwizdy tłumu.

### *iii*

– Dopadł Thomasa, zanim ten zdążył się zbliżyć do Waszyngtona – powiedział zawiedziony Charles, kiedy siedzieliśmy w półmroku gospody Niespokojny Duch i omawialiśmy wydarzenia tego dnia. Był poruszony i co chwila oglądał się za siebie. Wyglądał tak, jak ja się czułem; prawie mu zazdrościłem swobody wyrażania myśli. Swoje wzburzenie musiałem ukrywać. A było niemałe: uratowałem życie synowi, ale czyniąc to, pokrzyżowałem plany własnego zakonu, zniweczyłem operację, którą sam zaplanowałem. Byłem zdrajcą. Zdradziłem swoich.

– Co się stało? – spytałem.

Connor dopadł Thomasa i zanim go zabił, zażądał odpowiedzi. Dlaczego William próbował kupować ziemię jego ludu? Dlaczego chcieliśmy zamordować Waszyngtona?

Kiwnąłem głową. Wypiłem łyk piwa.

– Co Thomas odpowiedział?

– Powiedział, że Connor nigdy nie znajdzie tego, czego szuka.

Charles popatrzył mi w oczy z przestachem i rezygnacją.

– Co teraz, Haythamie? Co teraz?

7 stycznia 1778

(prawie dwa lata później)

*i*

Charles od początku nie lubił Waszyngtona, a nieudany zamach tylko wzmógł jego niechęć. To, że Waszyngton ocalał, było dla niego osobistą zniewagą – jakże on śmiał? – której nigdy nie wybaczył. Niedługo później Nowy Jork wpadł w ręce Brytyjczyków, a Waszyngton, który o mały włos nie dostał się do niewoli, został oskarżony o nieudolne dowodzenie. Także przez Charlesa, oczywiście, na którym nie zrobiła wrażenia wyprawa generała za rzekę Delaware, i mimo że zwycięstwo pod Trenton odnowiło wiarę w sukces rewolucji. Dla Charlesa ważniejsze było to, że Waszyngton przegrał nad rzeką Brandywine i stracił Filadelfię. Atak na Brytyjczyków w Germantown skończył się katastrofą. A teraz doszło do tego Valley Forge.

Po zwycięstwie pod White Marsh Waszyngton poprowadził swoje wojska w jego zdaniem sposobniejsze do przezimowania miejsce. Wybrał wzgórza pod Valley Forge w Pensylwanii. Dwanaście tysięcy żołnierzy Armii Kontynentalnej, tak źle wyposażonych i wyczerpanych, że pozbawieni butów ludzie zostawiali w marszu krwawe ślady, rozbiło obóz i przygotowało się do nadchodzącej zimy.

Wojsko było w katastrofalnym stanie. Brakowało jedzenia i ubrań, konie padały z głodu i od forsownego marszu. Szalały tyfus, żółtaczkę, dyzenteria i zapalenie płuc, zabijając wielu ludzi. Morale i dyscyplina prawie nie istniały.

Jednak mimo utraty Nowego Jorku i Filadelfii, mimo powolnego konania swojej armii na mrozie w Valley Forge. Waszyngton wciąż miał swojego anioła stróża, Connora. A Connor, z niezachwianą pewnością, właściwą młodzikom, wierzył w niego. Żadne moje słowa nie mogły mu tego wyperswadować, to było pewne; nic, co bym powiedział, nie przekonałoby go, że Waszyngton jest winny śmierci jego matki. Dla Connora odpowiedzialni byli templariusze – kto mógł go winić za ten wniosek? W końcu widział tam wtedy Charlesa. Zresztą nie tylko jego, bo także Williama, Thomasa i Benjamin.

Ha, Benjamin. Mój kolejny problem. Przez ostatnie lata nie przynosił zakonowi chluby, mówiąc oględnie. Po próbie sprzedania informacji Brytyjczykom stanął w 1775 roku przed sądem, któremu przewodził sam Jerzy Waszyngton. Był wtedy, jak przepowiedział przed wielu laty, głównym lekarzem i dyrektorem naczelnym służb medycznych Armii Kontynentalnej. Został skazany za „konszachty z wrogiem”. Pozostawał w więzieniu, a kiedy go wypuszczono, natychmiast zniknął.

Nie wiedziałem, czy odrzucił ideały zakonu, tak jak Braddock wiele lat temu. Wiedziałem za to, że to najpewniej on stał za kradzieżą zapasów jadących do Valley Forge, co oczywiście odbiło się fatalnie na stacjonujących tam nieszczęśnikach; że zarzucił dążenia zakonu na rzecz osobistego zysku i że trzeba było go powstrzymać. Zadaniem tym zająłem się osobiście. Spod Valley Forge pojechałem do skutych mrozem i śniegiem filadelfijskich lasów, aż odszukałem kościół, w którym prawdopodobnie schronił się Benjamin.

Kościół był opuszczony. Nie tylko przez parafian, ale przez ludzi Benjamina. Byli tu jeszcze kilka dni temu, teraz jednak – nikogo. Nie było



zapasów, nie było ludzi, tylko zimne pozostałości ognisk i regularne plamy nieprzysypanego śniegiem błota w miejscach, gdzie stały namioty. Przywiązałem konia za kościołem i wszedłem do środka. Panował tam taki sam przejmujący do szpiku kości mróz, jak na zewnątrz. W nawie znalazłem następne wygaszone ogniska, a przy drzwiach stertę drewna; przyjrząwszy się bliżej, poznałem, że to porąbane ławki.

Szacunek dla świętości pierwszy pada ofiarą mrozu. Ocalałe ławki stały w dwóch rzędach po bokach nawy, przed wyniosłą, ale dawno nieużywaną amboną. Drobiniki kurzu unosiły się i tańczyły w promieniach światła, wpadających przez brudne okna, osadzone wysoko w kamiennych murach. Na posadzce z grubo ciosanych kamieni walały się poprzewracane skrzynie i resztki pakunków; chodziłem między nimi przez chwilę, odwracając ten czy ów w nadziei, że znajdę jakąś wskazówkę, dokąd udał się Benjamin.

Nagle od strony drzwi dobiegł mnie jakiś dźwięk – odgłos kroków. Zamarłem, a potem uskokczyłem za amboną. Wielkie, dębowe wrota otworzyły się z powolnym, złowrogim skrzypieniem i do środka wszedł człowiek. Zupełnie jakby szedł po moich śladach, zaczął krążyć po kościele, odwracał skrzynie i przeklinał pod nosem tak samo jak ja.

Był to Connor.

Wyjrzałem z cienia za amboną. Miał na sobie szaty asasyna. Był skupiony; przyglądałem się mu przez chwilę. Czułem się, jakbym oglądał samego siebie – swoją młodszą wersję, asasyna – ścieżkę, którą powinienem był podążać, do której mnie przygotowywano i którą bym wybrał, gdyby nie zdrada Reginalda Bircha. Patrząc na Connora, doświadczałem przejmującego pomieszania skrajnych emocji: żalu, goryczy, nawet zazdrości.

Przysunąłem się bliżej. Zobaczymy, jak dobrym jest asasynem. Albo, ujmując to inaczej, zobaczymy, czy wciąż coś umiem.

– Ojciec – powiedział, kiedy powaliłem go i przystawiłem mu nóż do gardła.

– Connorze – odparłem zgryźliwie. – Ostatnie słowo?

– Zaczekaj.

– Kiepski wybór.

Szarpnął się, oczy rozblęły mu ogniem.

– Przyjechałeś w poszukiwaniu Churcha, prawda? Sprawdzić, czy ukradł już wystarczająco dużo dla twoich braci Brytyjczyków?

– Benjamin Church nie jest mi bratem. – Wydałem usta. – Tak samo jak nie są nimi czerwone kurtki i ich król idiota. Spodziewałem się naiwności, ale to... Templariusze nie walczą dla Korony. Chodzi nam o to samo co wam, chłopcze. Wolność. Sprawiedliwość. Niezależność.

– Ale...

– Ale co? – spytałem.

– Johnson. Pitcairn. Hickey. Próbowali kraść ziemię. Łupić miasta. Zamordować Jerzego Waszyngtona.

Westchnąłem.

– Johnson chciał wykupić ziemię, by ją chronić. Pitcairn dążył do rozstrzygnięć dyplomatycznych, co wy spapraliście tak dokumentnie, że wywołaliście wojnę. A Hickey? Jerzy Waszyngton jest fatalnym generałem. Przegrał niemal wszystkie bitwy, w których dowodził.

Nęka go brak pewności. Popatrz tylko na Valley Forge, a zrozumiesz, że mówię prawdę.

Wszystkim nam byłoby lepiej bez niego.

Widziałem, że to, co mówię, trafia do niego.

– Posłuchaj, choć bardzo chciałbym się z tobą spróbować, Benjamin Church ma kałdun równie wielki jak ego. Tobie zależy na zapasach, które ukradł, ja chcę go ukarać. Łączy nas wspólny interes.

– Co proponujesz? – spytał ostrożnie Connor.

„Co ja proponuję?”, zapytałem sam siebie. Spozrzegłem, że jego spojrzenie pada na amulet na mojej szyi, sam popatrzyłem na jego naszyjnik. Bez wątplenia matka mówiła mu o amulecie; bez wątplenia

chciał mi go odebrać. Symbole, które nosiliśmy na szyjach, obu nam ją przypominały.

– Rozejm – powiedziałem. – Być może... być może dobrze nam zrobi trochę czasu spędzonego razem. W końcu jesteś moim synem i może uda się jeszcze ciebie uratować przed własną głupotą.

Zapadła chwila milczenia.

– Jeśli wolisz, mogę cię zabić od razu – roześmiałem się.

– Wiesz, dokąd pojechał Church? – spytał Connor.

– Obawiam się, że nie. Miałem nadzieję zasadzić się tu, jeśli wróci sam albo przyśle któregoś ze swoich ludzi. Ale widać się spóźniłem. Wyczyścili to miejsce dokładnie.

– Może uda mi się go wytropić – powiedział Connor z nutą dumy w głosie.

Cofnąłem się i patrzyłem, a on ostentacyjnie zademonstrował mi nauki Achilleasa, wskazując na kościelnej podłodze ślady po ciągniętych skrzyniach.

– Ładunek był ciężki – powiedział. – Prawdopodobnie załadowali go na wóz...

W skrzyniach były racje żywnościowe, a także zapasy medyczne i mundury.

Na zewnątrz wskazał zryty śnieg.

– Tu stał wóz... zapadał się coraz bardziej, w miarę jak ładowali na niego zapasy. Śnieg przysypał ślady, ale pozostały wystarczająco widoczne, żebyśmy mogli za nimi pojechać.

Chodź...

Poszedłem po konia i razem ruszyliśmy w drogę. Connor wskazywał ślady, a ja starałem się nie zdradzić podziwu. Nie po raz pierwszy uderzyło mnie, że mamy podobne spostrzeżenia, zauważyłem też, że robił dokładnie to, co ja zrobiłbym w takiej sytuacji. Jakies piętnaście mil za obozem odwrócił się w siodle i rzucił mi tryumfalne spojrzenie, wskazując coś przed nami.

Zobaczyłem popsuty wóz. Woźnica usiłował naprawić koło.

– A to pech... – Usłyszeliśmy jego mamrotanie, kiedy się zbliżyliśmy. – Zamarnę tu na śmierć, jak tego nie naprawię...

Zaskoczony, podniósł głowę i przestraszony wytrzeszczył na nas oczy. Jego muszkiet leżał nieopodal, ale zbyt daleko, by zdążyć go dosięgnąć. Kiedy Connor wyniośle zapytał: „Czy jesteś człowiekiem Benjamina Churcha?”, od razu zrozumiałem, że tamten ucieknie, i rzeczywiście tak się stało. Poderwał się z oszalałym spojrzeniem i popędził między drzewa, brnąc w śniegu. Biegł powoli, z wysiłkiem, niezdarnie niczym zraniony słoń.

– Dobrze rozegrane. – Uśmiechnąłem się. Connor rzucił mi gniewne spojrzenie, a potem zeskoczył z konia i pobiegł w las za woźnicą. Westchnąłem i również znalazłem się na ziemi.

Sprawdziłem, jak działa moje ostrze, posłuchałem hałasów dochodzących z lasu. Connor złapał zbiega, i skierowałem się w ich stronę.

– Ucieczka to nie był mądry pomysł – mówił właśnie Connor. Trzymał woźnicę przyciśniętego do drzewa.

– Cz...czego chcecie? – wykrztusił nieszczęśnik.

– Gdzie jest Benjamin Church?

– Nie wiem. Jechaliśmy do obozu na północy. Tam zazwyczaj wyładujemy towar.

Może tam go znaj...

Popatrzył na mnie, jakby szukał pomocy, więc wyciągnąłem pistolet i zastrzeliłem go.

– Dość tego – powiedziałem. – Lepiej ruszajmy w drogę.

– Nie musiałeś go zabijać – rzekł Connor, zcierając krew zabitego z twarzy.

– Wiemy, gdzie jest obóz – odparłem. – Odegrał już swoją rolę.

Kiedy wracaliśmy do koni, zastanawiałem się, jak Connor mnie oceniał. Czego próbowałem go nauczyć? Czy chciałem, żeby był tak samo zmęczony i znużony jak ja? Czy powinienem mu pokazać, na jakie manowce prowadzi ta droga?

Pogrążeni w rozmyślaniach, jechaliśmy w stronę obozu i wkrótce zobaczyliśmy nad koronami drzew wstęgę dymu. Przywiązaliśmy konie i

ruszyliśmy pieszo, bezgłośnie i skrycie sunąc przez las. Nie wychodząc z gęstwiny, położyliśmy się na brzuchach i przez moją lunetę popatrzyliśmy między bezlistnymi drzewami i konarami na ludzi kręcących się w oddali przy ogniskach i daremnie próbujących się ogrzać. Connor postanowił zakraść się do obozu, a ja ułożyłem się wygodnie, dobrze ukryty.

A przynajmniej wydawało mi się, że jestem dobrze ukryty, dopóki nie poczułem łaskotania lufy muszkietu na szyi.

– Proszę, proszę, co my tu mamy.

Zakląłem, kiedy postawiono mnie siłą na nogi. Było ich trzech, wyglądali na bardzo zadowolonych, że mnie złapali – i słusznie, bo niełatwo było mnie podejść. Dziesięć lat temu usłyszałbym ich i bezgłośnie się odczołgał. Dwadzieścia lat temu usłyszałbym, jak podchodzą, ukryłbym się, a potem wszystkich ich zabił.

Dwaj celowali do mnie z muszkietów, a trzeci podszedł bliżej, nerwowo oblizując usta. Cmokając z podziwem, odpiął moje ukryte ostrze i zabrał mi pałasz, sztylet oraz pistolet. Dopiero kiedy mnie rozbroił, ośmielił się rozluźnić; wyszczerzył w uśmiechu nierówny rząd poczerniałych, popsutych zębów. Pozostała mi oczywiście jedna ukryta broń: Connor. Ale gdzie on się u diabła podziewał?

Ten z popsutymi zębami podszedł bliżej. Dzięki Bogu, że tak źle maskował swoje zamiary, bo udało mi się uchylić przed kolanem, którym kopnął mnie w krocze – na tyle, by uniknąć poważnej krzywdy, ale zarazem tak, by on o tym nie wiedział. Zawyłem z udawanego bólu i padłem na zamarznąętą ziemię. Leżałem tam dość długo, udając oszołomionego i grając na czas.

– To pewnie jankeski szpieg – powiedział jeden z dwóch pozostałych. Pochylił się nade mną, oparty na muszkiecie.

– Nie. To ktoś inny – stwierdził pierwszy i też się pochylił. Podniosłem się na kolana.

– To ktoś wyjątkowy. Prawda... Haythamie? Church wszystko mi o tobie opowiedział – dodał.

– W takim razie powinieneś bardziej uważać – rzekłem.

– Nie jesteś w sytuacji, w której można kogoś straszyć – warknął ten z zepsutymi zębami.

– Jeszcze nie – odparłem spokojnie.

– Doprawdy? To może ci udowodnimy? Dostałeś kiedyś w zęby kolbę muszkietu?

– Nie, ale ty wyglądasz, jakbyś mógł mi opowiedzieć, jak to jest.

– Co takiego? Zebrało ci się na żarty?

Popatrzyłem w górę, na gałęzie drzewa za nimi. Zobaczyłem tam przycupniętego Connora z wysuniętym sekretnym ostrzem i palcem na ustach. Oczywiście był ekspertem w poruszaniu się po drzewach, bez wątplenia nauczyła go tego matka. Mnie też pokazała parę sztuczek. Nikt nie umiał wspinać się jak ona.

Spojrzałem na mężczyznę o popsutych zębach, wiedząc, że zostało mu zaledwie kilka chwil życia. Dzięki temu mniej bolał mnie kopniak w szczękę, który rzucił mnie w tył, w niskie zarośla.

„Nie ma już na co czekać, Connorze”, pomyślałem. Choć dwoiło mi się w oczach z bólu, zobaczyłem, że zeskakuje z gałęzi, jego dłoń strzela błyskawicznie do przodu, a w ustach nieszczęsnego opryszka pojawia się zakrwawiony, stalowy sztych. Zanim podniosłem się na nogi, dwaj pozostali także nie żyli.

– Nowy Jork – powiedział Connor.

– Co z nim?

– Tam znajdziemy Benjamina.

– A zatem w drogę.

26 stycznia 1778

*i*

Nowy Jork zmienił się od czasu mojej ostatniej wizyty, mówiąc ogólnie: spłonął. Wielki pożar z września 1776 roku zaczął się w gospodzie Pod Walczącymi Kogutami, strawił ponad pięćset domów i uczynił jedną czwartą miasta niezdatnym do zamieszkania pogorzelnikiem.

Brytyjczycy zaprowadzili w nim stan wyjątkowy. Mieszkańcom odbierano mieszkania, które oddawano brytyjskim oficerom, kościoły zmieniano w więzienia, koszary albo lazarety. Sam duch miasta przygasł.

Teraz z masztów na dachach domów z czerwonej cegły zwisały flagi Unii, a tam, gdzie przedtem pod markizami, kolumnadami i za oknami panował gwar i ruch – ziało pustką. Markizy były brudne i dziurawe, a okna poczerniały od sadzy. Życie toczyło się dalej, ale ludzie na ulicach chodzili ze spuszczoneymi głowami, zgarbieni, pozbawieni energii.

W takim klimacie ustalenie miejsca pobytu Benjamina nie było trudne. Okazało się, że miał skład wyszabrowanego dobra w opuszczonym browarze na nabrzeżu.

– Powinniśmy uwinąć się do świtu – przepowiedziałem, dość pochwopnie.

– To dobrze – odparł Connor. – Chciałbym zwrócić te zapasy prawowitym właścicielom najszybciej, jak się da.

– Oczywiście. Nie będę cię przecież wstrzymywał w twojej przegranej sprawie. Chodź więc za mną.

Wspięliśmy się na dachy i chwilę później patrzyliśmy na nowojorską panoramę w jej wojennej, mocno podupadłej chwale.

Wrażenie odebrało nam mowę.

– Powiedz mi coś – poprosił w końcu Connor. – Mogłeś mnie zabić, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Co wstrzymało twoją rękę?

„Mogłem pozwolić, byś skonał na szubienicy”, pomyślałem. „Albo by Thomas zabił cię w więzieniu Bridewell. Co mnie powstrzymało także wtedy? Jak brzmiała odpowiedź? Starzałem się? Robiłem się sentymentalny? Może tęskniłem za życiem, które nie było mi nigdy dane?”

Nie zamierzałem jednak zdradzać tego Connorowi. W końcu, po chwili milczenia, odparłem wymijająco:

– Ciekawość. Jeszcze jakieś pytania?

– Czego pragną templariusze?

– Porządku – odparłem. – Celowości działania. Niczego więcej. To wy próbujecie nam zaszkodzić tymi bzdurami o wolności. Kiedyś, dawno temu, asasyni walczyli o rozsądniejszy cel, o pokój.

– Wolność to pokój – rzekł Connor z przekonaniem.

– Nie. To zaproszenie do chaosu. Popatrz tylko na rewolucję, którą wzniecili twoi przyjaciele. Stałem przed Kongresem Kontynentalnym. Słuchałem, jak tupią i krzyczą. Wszystko to w imię wolności. Ale to tylko harmider.

– Dlatego popierasz Charlesa Lee?

– On rozumie potrzeby tego niedoszłego narodu o wiele lepiej niż głupcy, którzy go reprezentują.

– Wydaje mi się, że przemawia przez ciebie zazdrość i rozczarowanie zarazem – powiedział Connor. – Ludzie podjęli decyzję i wybrali Waszyngtona.

Znów to samo. Zazdrościłem mu niemal tego jednostronnego osądu. Żył bez wątpliwości.

Kiedy w końcu dowie się prawdy o Waszyngtonie – wkrótce, jeśli mój plan się powiedzie – jego świat, cały światopogląd legnie w gruzach. Jeśli zazdrościłem mu pewności siebie, którą miał teraz, to nie zazdrościłem tego, co go czeka.

– Ludzie niczego naprawdę nie wybierają – westchnąłem. – Zrobiła to garstka uprzywilejowanych tchórzy, którym zależało tylko na tym, by się wzbogacić. Naradzili się i podjęli najkorzystniejszą dla siebie decyzję.



Może i ubrali to w ładne słówka, ale to nie znaczy, że to prawda. Jedyna różnica, Connorze, jedyna różnica między mną a ludźmi, którym pomagasz, jest taka, że ja nie udaję, że kocham lud.

Popatrzył na mnie. Jeszcze niedawno byłem przekonany, że moje słowa nie zrobią na nim żadnego wrażenia, a mimo to próbowałem. I może się myliłem – może to, co mówiłem, jakoś do niego trafiło.

## ii

W browarze stało się jasne, że Connor musi się przebrać – jego szaty asasyńska za bardzo rzucały się w oczy. Zdobyć przebranie znów dało mu okazję do popisu, a ja znów byłem oszczędny w pochwałach. Kiedy obaj wyglądaliśmy już odpowiednio, ruszyliśmy w stronę gmachu. Zewsząd otaczały nas czerwone, ceglane mury, spojierające oczodołami wypalonych okien. Za bramą widziałem browarniane beczki i wozy oraz krzątających się ludzi. Benjamin zastąpił templariuszy swoimi najemnikami. „Historia się powtarza, pomyślałem”, wspominając Edwarda Braddocka. Miałem tylko nadzieję, że Churcha będzie łatwiej zabić. Kaliber moich obecnych wrogów nie pozostawiał mi złudzeń.

W ogóle miałem już mało złudzeń.

– Stać, nieznajomi!

Z ciemności wyszedł strażnik. Mgła zawirowała nam wokół kostek.

– Wchodzicie na prywatny teren. Co was tu sprowadza?

Uchyliłem kapelusza, by pokazać mu twarz.

– Prowadzi nas Ojciec Zrozumienia – powiedziałem, a strażnik trochę się rozluźnił, choć wciąż zerkał podejrzliwie na Connora.

– Pana poznaję – rzekł – ale dzikusa nie znam.

– To mój syn – odparłem i poczułem się... dziwnie, słysząc czułość we własnym głosie.

Strażnik przyjrzał się uważnie Connorowi, a potem zerknął na mnie z ukosa.

– Posmakowało się owoców lasu, co?

Pozostawiłem go przy życiu. Na razie. Uśmiechnąłem się tylko.

– Idźcie więc – powiedział.

Weszliśmy przez sklepioną bramę na teren browaru Smitha i Spółki. Potem szybko uskoczyliśmy w odludny kąt, skąd ciąg drzwi prowadził do magazynów i biur. Natychmiast zacząłem otwierać wytrychem najbliższe, a Connor stanął na straży.

– Musiałeś się dziwnie poczuć, dowiadując się o moim istnieniu – stwierdził.

– Ciekawi mnie, co ci mówiła o mnie twoja matka – odparłem, pracując wytrychem.

– Często się zastanawiałem, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy zostali razem. A przy okazji, co u niej? – spytałem, wiedziony instynktem.

– Nie żyje – odparł. – Została zamordowana.

„Przez Waszyngtona”, pomyślałem, ale powiedziałem tylko:

– Przykro mi to słyszeć.

– Doprawdy? Zrobili to twoi ludzie.

Otworzyłem drzwi, ale zamiast wejść do środka, odwróciłem się do Connora.

– Co?

– Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy przyjechali szukać starszych. Już wtedy wiedziałem, że są niebezpieczni, więc nic nie mówiłem. Charles Lee pobił mnie za to do nieprzytomności.

A zatem miałem rację. Charles istotnie zostawił ślad pierścienia templariuszy nie tylko w duszy Connora, ale także na jego ciele.

Bez trudu przyszło mi okazanie zgrozy, udawałem, że jestem wstrząśnięty, kiedy mówił dalej:

– Kiedy się ocknąłem, moja wioska płonęła. Twoich ludzi już nie było, tak samo jak zniknęły wszelkie nadzieje na przeżycie mojej matki.

Teraz miałem sposobność przekonać go do prawdy.

– To niemożliwe – powiedziałem. – Nie wydałem takiego rozkazu. Wręcz przeciwnie, kazałem im zaprzestać poszukiwań świątyni prekursorów. Mieliśmy się skupić na bardziej praktycznych celach...

Connor z powątpiewaniem wzruszył ramionami.

– To już nie ma znaczenia.

Ależ to miało znaczenie.

– Ale przez całe życie wierzyłeś, że ja, twój własny ojciec, jestem odpowiedzialny za tę zbrodnię. Nie przyłożyłem do tego ręki.

– Może mówisz prawdę. A może nie. Skąd mam wiedzieć?

### *iii*

Po cichu weszliśmy do magazynu. Piętrzące się dookoła beczki zasłaniały światło. Nieopodal stał zwrócony do nas plecami jakiś człowiek; ciszę mącił jedynie chrobot, z jakim zapisywał on coś gęsim piórem w księdze rachunków. Oczywiście od razu go poznałem; wziąłem głęboki oddech.

– Benjaminie Churchu! – zawołałem. – Jesteś oskarżony o zdradę zakonu templariuszy i porzucenie naszych zasad dla osobistego zysku. Zważywszy na twoje zbrodnie, niniejszym skazuję cię na śmierć.

Człowiek się odwrócił. Tyle że to nie był Benjamin. Wpadliśmy w pułapkę. Mężczyzna krzyknął nagle: „Teraz, teraz!”, i magazyn zapełnił się ludźmi, którzy wybiegli z kryjówek, mierząc do nas z pistoletów i wyciągając groźnie pałasze.

– Spóźniliście się – oznajmił ze śmiechem nieznajomy. – Church i towar dawno odjechali.

Obawiam się, że nie będziecie raczej na siłach podjąć pościgu. Staliśmy przed napastnikami i dziękowaliśmy Bogu za nasze zakony i ich nauki, bo obaj myśleliśmy to samo: w obliczu przeważających sił odbierz im element zaskoczenia. Przejdź z obrony do ataku.

I tak też uczyniliśmy. Zaatakowaliśmy. Zerknąwszy na siebie, obaj wysunęliśmy ostrza, obaj skoczyliśmy do przodu i obaj wbiliśmy je w najbliższych strażników, których wrzaski odbiły się echem od ceglanych ścian magazynu. Kopnięciem posłałem jednego ze strzelców w tył. Wyrznął głową w skrzynię; skoczyłem mu kolanami na pierś i wbilem ostrze przez twarz w mózg.

Obróciłem się i ujrzałem, jak Connor wiruje nisko przy ziemi i tnie zamasyście, rozpruwając właśnie brzuchy dwóm nieszczęśnikom. Upadli, chwytając wylewające się trzewia, obaj już martwi. Wypalił muszkiet;

usłyszałem śpiew powietrza i wiedziałem, że kula chybiła mnie o włos, ale strzelec zapłacił za to życiem. Rzuciło się na mnie dwóch innych. Wymachiwali szaleńczo bronią, a ja obu powaliłem, dziękując szczęśliwej gwiazdzie, że Benjamin korzystał z najemników, a nie templariuszy, którzy nie daliby się tak łatwo pokonać.

Walka była krótka i brutalna. W końcu został tylko człowiek przynęta. Connor stanął nad nim groźnie, a on dygotał jak przerażone dziecko na ceglanej podłodze, śliskiej już od krwi. Dobiłem jakiegoś konającego, a potem podszedłem do nich.

– Gdzie jest Church? – spytał Connor.

– Powiem wam – załkał mężczyzna. – Powiem wszystko, co chcecie. Obiecacie tylko, że mnie nie zabijecie.

Connor popatrzył na mnie, a potem – porozumieliśmy się czy nie – pomógł tamtemu wstać. Wodząc nerwowo wzrokiem między nami, sobowtór ciągnął:

– Wyjechał wczoraj na Martynikę. Zaokrętował się na kupiecki słupek Welcome. Połowę ładowni wypełnił towarami ukradzionymi kolonistom. Nic więcej nie wiem, przysięgam.

Stanąłem za nim i wbiłem mu ostrze w rdzeń kręgowy. Wytrzeszczył ze zdumieniem oczy, patrząc na zakrwawioną stal sterczącą mu z piersi.

– Obiecaliście... – wykrztusił.

– I on dotrzymał słowa – powiedziałem zimno i popatrzyłem na Connora, wyzywając go spojrzeniem, by mi się sprzeciwił. – Chodźmy – dodałem.

Na galerię nad nami z tupotem wpadło trzech strzelców, przyłożyło kolby do ramion i wypaliło salwą. Ale nie do nas, do beczek, które, jak zbyt późno zrozumiałem, były wypełnione prochem.

Zdążyłem tylko wepchnąć Connora za beczkę z piwem, kiedy wybuchł pierwszy ładunek, a potem kolejne. Każdy eksplodował z ogłuszającym hukiem gromu, który zdawał się wykrzywiać powietrze i zatrzymywać czas. Wybuchy były tak potężne, że kiedy otworzyłem oczy i odsłoniłem uszy, byłem zdziwiony, widząc wciąż stojące ściany wokół nas. Wszyscy w środku albo padli na ziemię, albo zostali tam rzućni siłą eksplozji. Ale najemnicy już się podnosili, sięgali po muszkiety i ogłuszeni, krzyczeli do

siebie, wypatrując nas w chmurach kurzu. Płomienie lizały beczki, skrzynie stawały w ogniu. Nieopodal jakiś człowiek wbiegł do magazynu; jego włosy i ubranie płonęły. Wrzeszcząc, runął na kolana i umarł z twarzą na kamieniach. Łapczywy pożar natrafił na łatwopalną zawartość którejś ze skrzyń i ta natychmiast wybuchła. Zewsząd otaczało nas ogniste piekło.

W powietrzu zagwizdały kule z muszkietów. Uciekając, powaliliśmy dwóch strażników uzbrojonych w białą broń, wbiegliśmy na schody prowadzące na galerię i przerąbaliśmy się przez grupę czterech strzelców. Pożar szybko się rozprzestrzenił – nawet najemnicy już uciekali – wspinaliśmy się więc coraz wyżej, aż w końcu znaleźliśmy się na strychu browaru.

Nasi prześladowcy byli za nami, ale płomienie nie czekały. Wyjrzawszy przez okno, zobaczyliśmy w dole wodę, i rozejrzeliśmy się w poszukiwaniu innego wyjścia. Nagle Connor chwycił mnie i pchnął; roztrzaskaliśmy okno i runęliśmy do wody, nim zdążyłem zaprotestować.

7 marca 1778

*i*

Nie zamierzałem pozwolić Benjaminowi ujść z życiem. Blisko miesiąc spędziliśmy na Aquili, dowodzonej przez przyjaciela Connora, kapitana Roberta Faulknera. Ścigaliśmy słup Benjamina, który pozostawał stale na granicy naszego zasięgu, unikał ostrzału z armat; sam Benjamin migał nam czasem na pokładzie, krzywił się kpiąco... Nie, nie zamierzałem pozwolić mu uciec. Zwłaszcza że dogoniliśmy go w końcu na wodach Zatoki Meksykańskiej, Aquila mknęła burta w burtę z jego statkiem.

Dlatego właśnie wyrwałem Connorowi koło sterowe, skręciłem je mocno na sterburtę i statek z szarpnięciem skręcił w stronę uciekiniera. Nikt się tego nie spodziewał. Ani załoga słupa, ani ludzie na Aquili, ani Connor czy Robert. Sam nie mam pewności, czy się tego spodziewałem, dopóki tego nie zrobiłem, dopóki każdy na pokładzie, kto niczego się nie trzymał, nie runął na bok, gdy dziób statku uderzył w lewą burtę słupa, z trzaskiem miażdżąc kadłub jak skorupę orzecha. Może postąpiłem lekkomyślnie. Może byłem winien Connorowi – a na pewno Faulknerowi – przeprosiny za uszkodzenie ich statku.

Ale nie mogłem pozwolić mu uciec.

*ii*

Przez chwilę panowało milczenie, słychać było tylko plusk wpadających do wody połamanych desek oraz jęki nadwyrężonych belek. Żagle łopotały nad nami na lekkim wietrze, ale żaden statek się nie ruszał, jakby wstrząs zderzenia oba sparaliżował.

A potem nagle na pokładach rozległ się wrzask, gdy obie załogi otrząsnęły się z oszołomienia. Wyprzedzając Connora, popędziłem na dziób Aquili i przeskoczyłem na statek Benjamina. Wylądowałem z wysuniętym już ostrzem i zabiłem pierwszego marynarza, który podniósł na mnie broń – przebiłem go i wypchnąłem ciało za burtę.

Wypatrzwszy luk, pobiegłem do niego, wyciągnąłem ze środka próbującego wydostać się na pokład marynarza, wbiłem mu ostrze w pierś, a potem skoczyłem w dół. Dwa szczipone ze sobą statki zaczęły się powoli obracać. Rzuciwszy po raz ostatni okiem na dzieło zniszczenia, do jakiego doprowadziłem, zatrzasnąłem klapę luku za sobą.

Z góry dobiegł mnie grzmiący tupot stóp, stłumione krzyki, huk wystrzałów i łomot padających ciał. Pod pokładem panowała dziwna, niesamowita cisza. Dobiegł mnie jednak chłupot i szmer wlewającej się wody, statek tonął. Chwyciłem się drewnianej podpory, gdy wtem statek się przechylił, a chłupot zmienił się w jednostajny szum. Jak długo jeszcze zostaniemy na powierzchni?

Tymczasem zobaczyłem coś, co wkrótce miał odkryć Connor: że zapasy, które tak długo ścigaliśmy, nie istnieją – a przynajmniej nie ma ich na tym statku.

Kiedy patrzyłem na pustą ładownię, z tyłu dobiegł mnie hałas. Odwróciłem się i ujrzałem Benjamina Churcha, który trzymał oburącz pistolet i mrużąc oczy, celował we mnie.

– Witaj, Haythamie – warknął i nacisnął spust.

Był dobry. Wiedziałem o tym. Dlatego wystrzelił od razu, by mnie powalić, kiedy wciąż miał przewagę zaskoczenia. Dlatego też nie celował we mnie, tylko trochę w prawo, bo wiedział, że jestem praworęczny i w naturalnym odruchu uskoczę w swoją silniejszą stronę.

Ale, oczywiście, wiedział to, bo ja go tego nauczyłem. Kula uderzyła w drewno kadłuba, kiedy skoczyłem – nie w prawo, lecz w lewo, przetoczyłem się, poderwałem na nogi i skoczyłem na Benjamina, zanim zdążył wyciągnąć szpadę. Chwyciwszy go za koszulę, wyrwałem mu pistolet i odrzuciłem precz.

– Mieliśmy wspólne marzenie, Benjaminie – warknąłem mu w twarz. – Marzenie, które ty próbowałeś zniszczyć. I za to, mój upadły przyjacielu, teraz przyjdzie ci zapłacić.

Kopnąłem go kolanem w krocze. Stęknął z bólu i zgiął się wpół, a ja uderzyłem go pięścią w brzuch i poprawiłem sierpowym w szczękę, tak mocno, że po podłodze potoczyły się dwa zakrwawione zęby.

Puściłem go. Upadł na deski, rozchlapując twarzą wzbierającą wodę. Statek znów się przechylił, ale nie obchodziło mnie to. Kiedy Benjamin spróbował podnieść się na kolana, kopnięciem wycisnąłem z niego powietrze. Złapawszy kawał sznura, poderwałem go na nogi, pchnąłem na beczkę i mocno przywiązałem. Głowa opadła mu do przodu, krew, ślina i smarki pociekły na deski. Cofnąłem się, chwyciłem go za włosy, a potem spojrzałem mu w oczy i rąbnąłem pięścią w twarz. Usłyszałem chrzęst łamanego nosa i odstałem, strząsając krew z kłykci.

– Dość! – krzyknął za mną Connor. Odwróciłem się do niego i zobaczyłem, że z obrzydzeniem patrzy szeroko otwartymi oczami na mnie i na Benjaminą.

– Jesteśmy tu w konkretnym celu... – powiedział.

Potrząsnąłem głową.

– Widać nasze cele są różne.

Ale Connor odepchnął mnie i brodząc w sięgającej już do kostek wodzie, podszedł do Benjaminą, który popatrzył na niego wyzywająco podbitymi, przekrwionymi oczami.

– Gdzie są zapasy, które ukradłeś? – zapytał Connor.

Church splunął.

– Idź do diabła. – A potem, choć trudno w to uwierzyć, zaczął śpiewać *Rule Britannia*.

Podszedłem bliżej.

– Zamknij gębę, Church.

Nie powstrzymało go to, dalej śpiewał.

W końcu Connor pochylił się nad nim i przystawił mu do gardła ostrze.

– Spytam jeszcze raz – powiedział. – Gdzie jest twój ładunek?



Benjamin popatrzył na niego i zamrugał oczami. Już myślałem, że splunie na Connora albo go zwyzywa, ale zamiast tego zaczął mówić:

– Na wyspie, czeka na odbiór. Ale nie masz do niego prawa, nie należy do ciebie.

– Nie, nie do mnie – powiedział Connor. – Te zapasy należą do mężczyzn i kobiet, którzy wierzą w coś więcej, którzy walczą i umierają, by któregoś dnia mogli żyć wolni od tyranii tobie podobnych.

Benjamin uśmiechnął się smutno.

– Czy to ci sami ludzie, którzy walczą muszkietami odlanymi z brytyjskiej stali? Którzy opatrują swoje rany bandażami szytymi przez brytyjskie ręce? Jak to się świetnie składa, że my to wszystko robimy, a oni tylko spijają śmietankę.

– Wymyślasz te brednie, żeby usprawiedliwić własne zbrodnie. Jakbyście to wy byli niewinni, a oni złodziejami.

– To wszystko kwestia perspektywy. Nie da się przejść przez życie, postępując zawsze słusznie i nikomu nie robiąc krzywdy. Naprawdę myślisz, że Korona nie ma nic na swoje usprawiedliwienie? Że nie ma prawa czuć się zdradzona? Powinieneś wiedzieć, że tak nie jest, skoro z takim poświęceniem walczysz z templariuszami, którzy sami swoje dzieło uważają za sprawiedliwe. Pomyśl o tym następnym razem, zanim zaczniesz się upierać, że tylko to, co ty robisz, służy większemu dobru. Twój wrogowie nie zgodzą się z tobą, i będą mieli słuszność.

– Może twoje słowa są szczerze – szepnął Connor – ale to nie czyni ich prawdziwymi.

I dobił Benjamina.

– Dobrze się spisałeś – powiedziałem, kiedy głowa Churcha opadła na jego pierś, a krew spływała do wciąż wzbierającej wody. – Jego odejście jest korzystne dla nas obu. Chodź.

Będziesz pewnie potrzebował mojej pomocy w zabieraniu zapasów z wyspy...

16 czerwca 1778

*i*

Minęło kilka miesięcy, odkąd ostatni raz go widziałem, ale nie mogę zaprzeczyć, że często o nim myślałem. Rozmyślając o nim, zadawałem sobie pytanie: jaką mamy nadzieję? Ja templariusz – templariusz wykuty w ogniu zdrady, ale templariusz – on asasyn, stworzony przez okrucieństwo templariuszy, których byłem przywódcą.

Kiedyś, dawno temu, marzyłem, że pewnego dnia zjednoczę asasynów i templariuszy, ale byłem wtedy człowiekiem młodym, naiwnym, idealistą. Świat nie pokazał mi jeszcze wszystkich swoich mrocznych stron. A jego prawdziwe oblicze było nieczułe, okrutne i bezlitosne, barbarzyńskie i brutalne... Nie było w nim miejsca na marzenia.

Mimo to syn wrócił do mnie i choć nic nie powiedział – przynajmniej jak dotąd – zastanawiałem się, czy w jego oczach nie kryje się mój młodzieńczy idealizm i czy to właśnie nie on zaprowadził go do moich drzwi w Nowym Jorku w poszukiwaniu odpowiedzi czy rozwiania jakiejś niedającej spokoju wątpliwości.

Może się myliłem. Może w tej młodej duszy kryła się mimo wszystko jakaś zagadka. Nowy Jork wciąż był w rękach czerwonych kurtek; po ulicach krążyły ich oddziały.

Minęło wiele lat i wciąż nie znaleziono winnego pożaru, po którym miasto popadło w brudne, uwalane sadzą przygnębienie. Niektóre jego dzielnice wciąż nie nadawały się do zamieszkania.

Trwał stan wyjątkowy, wojsko rządziło żelazną ręką, a ludzie wpadali w rozpacz. Jako osoba z zewnątrz studiowałem zachowania i jednych, i drugich, uciśnionych mieszczan spoglądających nienawistnie na

pozbawionych dowództwa żołnierzy zamieniających się w łupieżców. Patrzyłem na to wszystko, ale posłusznie nie ustawałem w pracy, szukając sposobu, by wygrać tę wojnę, skończyć okupację i zaprowadzić pokój.

Właśnie przesłuchiwałem jednego ze swoich informatorów, łotra zwanego Marszczynosem – nazwano go tak, bo ciągle marszczył nos – kiedy kątem oka zobaczyłem Connora. Zatrzymałem go podniesioną ręką i słuchałem dalej Marszczynosa, zastanawiając się, czego mój syn może chcieć. Co mogło go sprowadzić do człowieka, który według niego rozkazał zabić jego matkę?

– Musimy wiedzieć, co lojaliści planują, jeśli mamy położyć temu kres – powiedziałem swojemu człowiekowi. Connor czekał nieopodal, słysząc wszystko, choć nie miało to znaczenia.

– Próbowałem – odparł Marszczynos, rozdymając nozdrza i zerkając na niego – ale żołnierzom już nic nie mówią, każą im tylko czekać na rozkazy z góry.

– Szukaj dalej. Przyjdź do mnie, jak będziesz miał coś, czym warto się podzielić.

Marszczynos kiwnął głową i zniknął, a ja wziąłem głęboki oddech i odwróciłem się do Connora. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Zmierzyłem go wzrokiem – szaty asasyńska nie pasowały do młodego Indianina o długich, ciemnych włosach, przesywających oczach – oczach Ziio. „Co się za nimi kryło?”, zastanawiałem się.

Nad nami na gzymsie siedziało stado ptaków, głośno kracząc. Nieopodal patrol żołnierzy rozłożył się wokół wozu i gapił na przechodzące praczki, rzucając im sprośne propozycje i reagując na każde nieuprzejmie spojrzenie czy gest groźbami.

– Jesteśmy tak blisko zwycięstwa – powiedziałem, biorąc Connora za ramię i odciągając go ulicą od czerwonych kurtek. – Jeszcze kilka przemyślanych manewrów i skończymy wojnę domową, pozbędziemy się Korony.

Cień uśmiechu w kącikach jego ust zdradził pewną satysfakcję.

– Co zamierzacie?

– W tej chwili nic, bo działamy zupełnie po omacku.

– Myślałem, że templariusze mają wszędzie oczy i uszy – powiedział Connor z nutą kpiny w głosie. Zupełnie jak jego matka.

– Mieliśmy. Dopóki nie zaczęliście ich obcinać.

Uśmiechnął się.

– Twój informator mówił, że takie są rozkazy z góry. Wiemy więc, co musimy zrobić: znaleźć innych dowódców lojalistów.

– Żołnierze formalnie podlegają lokalnej milicji – powiedziałem. – ta ma swoje dowództwo, co oznacza... że zaczniemy od dołu i będziemy szli w górę łańcucha.

Podniosłem wzrok.

Żołnierze opodal wciąż zaczepiali kobiety, przynosząc wstyd mundurom, fladze i królowi Jerzemu. Milicjanci stanowili łącznik między dowództwem armii a szeregowymi żołdakami i mieli trzymać czerwone kurtki na smyczy, nie dopuszczać, by żołnierze drażnili już i tak wrogo nastawionych mieszkańców. Rzadko się jednak pokazywali – tylko wtedy gdy na ulicach zaczynały się naprawdę poważne kłopoty. Na przykład kiedy ktoś zabił angielskiego żołnierza.

Albo dwóch.

Wyciągnąłem pistolet i wymierzyłem go w stronę czerwonych kubraków po drugiej stronie ulicy przy wozie. Kątem oka zobaczyłem, że Connor rozdziawia usta; wycelowane w żołnierza, który właśnie składał niedwuznaczną propozycję kobiecie mijającej go ze spuszczoną głową i rumieńcem pod czepkiem. Nacisnąłem spust.

Huk wystrzału rozdarł powietrze. Żołnierz zatoczył się w tył, a z małego otworu między jego oczami popłynęła ciemnoczerwona krew. Upuścił muszkiet, runął ciężko na wóz i znieruchomiał.

Pozostali, wstrząśnięci, przez chwilę stali jak sparaliżowani, po czym zaczęli się rozglądać na wszystkie strony, usiłując wypatrzeć strzelca, i jednocześnie ściągali karabiny z ramion.

Ruszyłem na drugą stronę ulicy.

– Co robisz?! – zawołał za mną Connor.

– Zabijmy ich dość dużo, to zjawią się milicjanci – odparłem. – Zaprowadzą nas prosto do dowódców...

Jeden z żołnierzy natarł na mnie i zamachnął się do pchnięcia bagnietem. Ciąłem go ostrzem przez pierś, krojąc białe, skrzyżowane pasy, kurtkę i ciało. Nie czekając, rzuciłem się na następnego; trzeci, próbujący się wycofać i podnieść broń, wpadł prosto na Connora i zaraz potem zsunął się z jego ostrza.

Potyczka dobiegła końca, a ulica, przed chwilą gwarna, nagle opustoszała. Usłyszałem dzwony i puściłem do Connora oko.

– Milicja wyszła na ulice, tak jak mówiłem.

Pozostało nam schwytać jednego z nich, co z radością pozostawiłem Connorowi, a on mnie nie zawiodł. Niecałą godzinę później mieliśmy list, a podczas gdy oddziały milicjantów i regularnego wojska biegały z krzykiem po ulicach, wściekle szukając dwóch asasynów – „Asasyni, powiadam ci. Używali ostrzy Haszaszinów” – którzy tak bezlitośnie wyrznęli jeden z ich patroli, wspięliśmy się na dachy i usiedliśmy, by go przeczytać.

– List jest zaszyfrowany – powiedział Connor.

– Bez obaw – odparłem. – Znam ten szyfr. Ostatecznie to wynalazek templariuszy.

Przeczytałem całość, a potem wyjaśniłem:

– Brytyjskie dowództwo jest w rozsypce. Bracia Howe zrezygnowali, a Cornwallis i Clinton opuścili miasto. Ci, którzy zostali, zwołali zebranie w ruinach kościoła pod wezwaniem Trójcy Świętej. Tam powinniśmy się udać.

## *ii*

Kościół pod wezwaniem Trójcy Świętej stał na rogu Wall Street i Broadwayu. Powinienem raczej powiedzieć: to, co zostało z kościoła, znajdowało się na rogu Wall Street i Broadwayu. Kościół mocno ucierpiał w wielkim pożarze w 1776 roku, tak że Brytyjczycy nie kwapili się przerabiać go na koszary czy więzienie dla buntowników. Ogrodzili go tylko płotem i wykorzystywali w sytuacjach takich jak ta – jako miejsce spotkań dowódców, które Connor i ja mieliśmy szczerzy zamiar odwiedzić bez zaproszenia.

Wall Street i Broadway były ciemne. Latarnicy nie zapuszczali się tu, bo też nie było tu niemal latarni, przynajmniej żadnych działających. Jak wszystko w promieniu mili od kościoła te nieliczne były pocerniałe i pokryte sadzą, a ich szybki powybijane. Zresztą co miałyby oświetlać? Szare, pozbawione szyb okna okolicznych budynków? Puste kamiennieo-drewniane truchła, nadające się na mieszkania tylko dla bezpańskich psów i szczurów?

Nad tym wszystkim górowała wieża kościoła. Tam właśnie zmierzaliśmy, wspinając się na jedną ze stojących ścian, by zająć dobrą pozycję. Podczas wspinaczki uświadomiłem sobie, co przypomina mi ten budynek – większą wersję domu przy Queen Anne's Square po pożarze.

A gdy przycupnęliśmy w ciemnych wnękach, czekając na przybycie żołnierzy, wspomniałem dzień, gdy wróciłem tam z Reginaldem, i to jak wtedy wyglądał. Tak samo jak kościół stracił w pożarze dach. Tak samo jak kościół był pustą skorupą, cieniem dawnego siebie. W górze migotały gwiazdy; patrzyłem na nie przez chwilę, aż z zamyślenia wyrwało mnie szturchnięcie łokciem w bok. Connor wskazał w dół, na oficerów i żołnierzy idących wzdłuż zasypanej gruzem Wall Street w stronę kościoła. Dwaj z przodu ciągnęli wóz i wieszali latarnie na czarnych, kruchych gałęziach drzew, oświetlając drogę. Szybko zagłębili się między powalone kolumny, gdzie już rosły chwasty, mchy i trawa – natura upominała się o swoje. Postawili latarnie na ołtarzu i pulpicie, później odsunęli się na bok, kiedy do środka wmaszerowali delegaci: trzech dowódców i oddział żołnierzy.

Wyteżyliśmy słuch, by wychwycić, o czym rozmawiają, ale bezskutecznie. Policzyłem strażników. Było ich dwunastu, niewiele.

– Rozmawiają w grupkach – syknąłem do Connora. – Niczego stąd nie usłyszymy.

– Co proponujesz? – odparł. – Żebyśmy zeszli na dół i zażądali wyjaśnień?

Popatrzyłem na niego, a potem szeroko się uśmiechnąłem.

– Cóż, owszem – powiedziałem.

W następnej chwili schodziłem już w dół, a gdy byłem wystarczająco nisko, zeskoczyłem, zaskakując dwóch wartowników w głębi ruin. Zginęli, układając usta w zdziwione „O”.

– Zasadzka! – wrzasnął ktoś, kiedy wpadłem na dwóch następnych. Z góry dobiegło mnie przekleństwo, a potem Connor zeskoczył do mnie ze swojej kryjówki.

Miałem rację. Nie było ich zbyt wielu. Żołnierze jak zwykle za bardzo polegali na swoich muszkietach i bagnietach. Sprawdzały się może na polu bitwy, ale były do niczego w zwarciu, w czym z kolei ja i Connor celowaliśmy. Walka ramię w ramię szła nam coraz lepiej, już nimal się uzupełnialiśmy. Wkrótce porośnięte mchem rzeźby spalonego kościoła pokryły się kroplami świeżej, żołnierskiej krwi, dwanaście czerwonych kurtek nie żyło i zostało tylko trzech przerażonych dowódców lojalistów, skulonych, modlących się bezgłośnie w oczekiwaniu na śmierć.

Miałem jednak inne plany – ściśle mówiąc, wycieczkę do Fort George.

### *iii*

Na południowym skraju Manhattanu znajdował się fort. Ponadstulećdziesięcioletni, skierowany ku morzu, prezentował wyniosłą sylwetkę wież, iglic i podłużnych budynków koszar, które wydawały się ciągnąć przez całą długość wzniesienia. Za wysokimi murami leżały place ćwiczeń, otaczające wysokie dormitoria i budynki administracyjne, wszystkie silnie umocnione.

To było doskonałe miejsce na bazę templariuszy. Doskonałe miejsce, by zabrać do niego trzech dowódców lojalistów.

– Co planują Brytyjczycy? – spytałem pierwszego, przywiązawszy go do krzesła w celi przesłuchań głęboko w trzewiach budynku North End, przesyconej smrodem stęchlizny. Gdy nadstawiło się tu uszu, można było usłyszeć chrobotanie szczurów.

– Czemu miałbym ci powiedzieć? – prychnął.

– Bo jak nie powiesz, to cię zabiję.

Ręce miał związane, ale potoczył po sali przesłuchań ruchem brody.

– Zabijesz mnie, nawet jeśli powiem.

Uśmiechnąłem się.

– Wiele lat temu spotkałem człowieka nazwiskiem Cutter, eksperta od tortur i zadawania bólu, który potrafił utrzymywać swoje ofiary przy życiu przez wiele dni, zadając im przy tym wielkie cierpienia za pomocą jedynie...

Pstryknąłem mechanizm ostrza, które wysunęło się, połyskując okrutnie w migotliwym blasku pochodni.

Mężczyzna popatrzył na nie.

– Obiecaj mi szybką śmierć, jeśli ci powiem.

– Masz moje słowo.

Powiedział mi co chciałem, a ja dotrzymałem obietnicy. Kiedy było po wszystkim, wyszedłem na korytarz na zewnątrz, zignorowałem pytające spojrzenie Connora i zabrałem drugiego więźnia. W celi przywiązałem go do krzesła i patrzyłem, jak ogląda się na trupa pierwszego jeńca.

– Twój przyjaciel nie zechciał odpowiedzieć na moje pytania – wyjaśniłem – dlatego poderznąłem mu gardło. Jesteś gotów powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć?

Wytrzeszczył oczy i przełknął ślinę.

– Posłuchaj, cokolwiek to jest, nie mogę ci powiedzieć... sam nie wiem. Może dowódca...

– Och, to nie ty dowodzisz? – spytałem lekkim tonem i wysunąłem ostrze.

– Zaczekaj chwilę... – wybełkotał, kiedy stanąłem za nim. – Wiem jedno...

Znieruchomiałem.

– Mów.

Powiedział, a kiedy skończył, podziękowałem mu i przeciągnąłem ostrzem po jego gardle. Gdy konał, zrozumiałem, że to, co czuję, to nie słuszny zapach człowieka dopuszczającego się odrażających czynów w imię większego dobra, lecz raczej wrażenie nudnej nieuchronności.

Wiele lat temu ojciec uczył mnie litości, wyrozumiałości. Teraz zarzyłem jeńców jak bydło.

Oto jak nisko upadłem.



– Co tam się dzieje? – spytał podejrzliwie Connor, kiedy wróciłem na korytarz, gdzie pilnował trzeciego więźnia.

– Ten tu jest dowódcą. Wprowadź go.

Chwilę później drzwi celi zatrzasnęły się za nami z hukiem i przez krótki czas słychać było tylko kapanie krwi. Na widok trupów rzuconych w kąt dowódca zaczął się szarpać, ale pchnąłem go na krzesło – śliskie od krwi – przywiązałem go, a potem stanąłem przed nim i palcem włączyłem mechanizm ukrytego ostrza. Wysunęło się z cichym sykiem.

Spojrzenie oficera padło na nie, potem na mnie. Próbował nadrabiać miną, ale nie potrafił ukryć drżenia dolnej wargi.

– Co planują Brytyjczycy? – spytałem.

Patrzył na mnie Connor. Patrzył jeńiec. Kiedy nie odpowiedział, uniosłem lekko ostrze, tak że błysnęło w migotliwym świetle pochodni. Znowu spojrzał na nie jak zahipnotyzowany, a potem pękł...

– Wy...wymaszerować z Filadelfii. To miasto jest stracone. Kluczem jest Nowy Jork.

Podwoimy swoją liczbę i odepchniemy buntowników.

– Kiedy wyruszają?

– Za dwa dni od dziś.

– Osiemnastego czerwca – powiedział Connor obok mnie. – Muszę ostrzec Waszyngtona.

– Widzisz? – odezwałem się do jeńca. – To nie było takie trudne, prawda?

– Wszystko wam powiedziałem. Wypuście mnie teraz – odparł, ale znowu nie byłem wspaniałomyślny. Stanąłem za nim i na oczach Connora poderżnąłem mu gardło.

– Dwaj pozostali powiedzieli to samo – powiedziałem, widząc przerażone spojrzenie chłopaka. – To musi być prawda.

Przerażenie w oczach Connora ustąpiło miejsca obrzydzeniu.

– Zabiłeś go... zabiłeś ich wszystkich. Dlaczego?

– Ostrzegliby lojalistów – odparłem po prostu.

– Mogłeś ich tu trzymać, dopóki walki się nie skończą.

– Niedaleko stąd jest zatoka Wallabout – rzekłem – gdzie stoi na kotwicy okręt więzienny HMS Jersey. To zbutwiała stara krypa, na której jeńcy

wojenni mrą tysiącami, grzebią ich w płytkich grobach na brzegach albo po prostu wyrzucają za burtę. Tak Brytyjczycy traktują swoich więźniów, Connorze.

Przyjął to do wiadomości, ale nie ustąpił.

– Dlatego musimy się wyzwolić spod ich tyranii.

– Ach, tyrania. Nie zapominaj, że wasz wódz, Jerzy Waszyngton, mógłby uwolnić tych ludzi z pływających więzień, gdyby zechciał. Ale on nie chce wymieniać pojmanych Brytyjczyków na Amerykanów, dlatego amerykańscy jeńcy są skazywani na gnicie na statkach na zatoce Wallabout. Oto twój bohater Waszyngton. Jakkolwiek skończy się ta rewolucja, Connorze, gwarantuję ci, że skorzystają na niej ludzie posiadający bogactwa i ziemię.

Niewolnicy, biedacy, żołnierze wciąż będą gnić w nędzy.

– Jerzy jest inny – odparł z uporem Connor, ale w jego głosie pojawiła się nuta zwątpienia.

– Wkrótce zobaczysz jego prawdziwe oblicze. Odśloni się, a wtedy będziesz mógł podjąć decyzję. Będziesz mógł go osądzić.

17 czerwca 1778

*i*

Choć wiele o tym miejscu słyszałem, nie widziałem dotąd Valley Forge na własne oczy, a tam właśnie znalazłem się dziś rano.

Sytuacja wyraźnie się poprawiła, to na pewno. Stopniał śnieg, wyszło słońce. Kiedy szliśmy przez obóz, zobaczyłem oddział musztrowany przez człowieka z pruskim akcentem; jeśli się nie myliłem, był to słynny baron Friedrich von Steuben, szef sztabu Waszyngtona, który odegrał znaczącą rolę w formowaniu jego armii. Udało mu się to wyśmienicie. Przedtem żołnierzom brakowało morale i dyscypliny, cierpieli choroby i niedożywienie, teraz obóz był pełen zdrowych, dobrze wykarmionych ludzi, którzy maszerowali z dziarskim pobrzękiwaniem oporządzenia, stanowczym i szybkim krokiem. Wśród nich kręciły się markietanki z koszami zapasów i prania, albo parującymi garnkami i czajnikami. Nawet psy uganiające się i bawiące na obrzeżach obozu zdawały się czynić to z nową energią i wigorem. Tutaj, zrozumiałem, mogła się narodzić niepodległość: z mężnego ducha, współpracy i dzielności.

Mimo to, kiedy szedłem z Connorem przez obozowisko, uderzyło mnie, że bojowy duch armii wzmógł się głównie dzięki wysiłkom asasynów i templariuszy. To my zabezpieczyliśmy zapasy i udaremniliśmy dalsze kradzieże, powiedziano mi też, że Connor przyczynił się do uratowania von Steubena. Co zaś zrobił wielki wódz Waszyngton, oprócz tego, że ich wciągnął

w tę kabałę?

A oni cały czas w niego wierzyli.

Tym bardziej należało ujawnić jego dwulicowość. Tym bardziej Connor powinien ujrzeć prawdziwe oblicze swego bohatera.

– Powinniśmy podzielić się naszą wiedzą z Lee, a nie Waszyngtonem... – powiedziałem z irytacją.

– Sądzisz, że go faworyzuję – odparł Connor. Rozluźnił się, a jego czarne włosy lśniły w słońcu. Tu, z dala od miasta, jego indiańska krew rozkwitała.

– Ale moim wrogiem jest idea, a nie naród. Źle jest wymuszać posłuszeństwo, czy to wobec brytyjskiej korony, czy to krzyża templariuszy. Mam nadzieję, że z czasem lojaliści też to rozumieją, oni bowiem także są ofiarami.

Pokręciłem głową.

– Sprzeciwiasz się tyranii, niesprawiedliwości. Ale to są tylko objawy, synu. Ich prawdziwą przyczyną jest ludzka słabość. Jak myślisz, czemu cały czas próbuję pokazać ci niesłuszność twojego postępowania?

– Dużo mówisz, to fakt. Ale niczego mi nie pokazałeś.

„Nie, pomyślałem, bo nie słuchasz prawdy, kiedy pada z moich ust. Musisz usłyszeć ją od tego, kogo ubóstwiasz. Musisz usłyszeć ją od Waszyngtona”.

## ii

Wodza zastaliśmy w drewnianej chacie. Zajmował się korespondencją. Minawszy strażnika przy wejściu, zamknęliśmy drzwi, odcinając obozowy rejwach – krzyki sierżanta prowadzącego musztrę, bezustanne pobrząkiwanie naczyń z kuchni, skrzypienie wozów.

Waszyngton podniósł wzrok, uśmiechnął się i skinął głową Connorowi. Czuł się w jego obecności tak bezpieczny, że pozwalał wartownikom zostawać na zewnątrz. Mnie rzucił chłodniejsze, oceniające spojrzenie, a potem wrócił do swoich papierów. Umoczył pióro w kałamarzu i podpisał coś zamasyście. Staliśmy i cierpliwie czekaliśmy na wysłuchanie.

Waszyngton odłożył pióro, osuszył dokument, a potem wstał i wyszedł zza stołu, by nas powitać.

Connora o wiele serdeczniej niż mnie.

– Co was tu sprowadza? – spytał.

Kiedy się uściskali, przysunąłem się do stołu. Nie spuszczać wzroku z pozostałej dwójki, cofnąłem się odrobinę i zerknąłem na blat, szukając czegokolwiek, czego mógłbym użyć jako dowodu przeciw Waszyngtonowi.

– Brytyjczycy odwołali garnizon z Filadelfii – mówił Connor. – Idą na Nowy Jork.

Waszyngton z powagą pokiwał głową. Choć Brytyjczycy kontrolowali Nowy Jork,

niektóre jego części wciąż pozostawały w rękach rebeliantów. Miasto wciąż było kluczowe dla dalszego przebiegu wojny i gdyby Brytyjczykom udało się przejąć nad nim całkowitą kontrolę, zdobyliby znaczącą przewagę.

– Bardzo dobrze – powiedział wódz, którego wyprawa za rzekę Delaware, by odbić tereny w New Jersey, stała się jednym z punktów zwrotnych konfliktu. – Poprowadzę wojsko do Monmouth. Jeśli ich rozbijemy, szale zwycięstwa przechylą się na naszą stronę.

Kiedy oni rozmawiali, ja usiłowałem przeczytać dokument, który Waszyngton właśnie podpisał. Niepostrzeżenie przesunąłem go czubkami palców, żeby lepiej widzieć. A potem z milczącym tryumfem podniosłem go i pokazałem im obu.

– A cóż to takiego?

Waszyngton, któremu przerwałem, obejrzał się i zobaczył, co mam w ręku.

– Prywatna korespondencja – fuknął. Usiłował wyrwać mi list, ale odsunąłem się i wyszedłem z za stołu.

– Nie wątpię. Chcesz wiedzieć, co ona zawiera, Connorze?

Na twarzy mojego syna odmalowało się zmieszanie i rozdarcie. Poruszył ustami, ale nic nie powiedział. Skakał tylko wzrokiem to na mnie, to na Waszyngtona.

– Wygląda na to – ciągnąłem – że twój drogi przyjaciel właśnie rozkazał zaatakować twoją wioskę. Chociaż „atak” jest tu chyba zbyt łagodnym słowem. Powiedz mu, wodzu.

– Dostaliśmy meldunki, że sprzymierzeni tubylcy współpracują z Brytyjczykami – oznajmił Waszyngton wyniośle. – Kazałem moim ludziom położyć temu kres.

– Pałac ich wioski i posypując ziemię solą. Wzywając do ich eksterminacji, jeśli wierzyć temu rozkazowi.

Teraz miałem szansę powiedzieć Connorowi prawdę.

– I to nie pierwszy raz. – Popatrzyłem na Waszyngtona. – Powiedz mu, czego się dopuściłeś czternaście lat temu.

Przez chwilę w chacie panowała pełna napięcia cisza. Z zewnątrz dobiegało pobrzękiwanie rondli w kuchni, cichy turkot przejeżdżających wozów, stentorowe komendy sierżanta, rytmiczny chrzęst butów maszerujących oddziałów. Waszyngton poczerwieniał, patrząc na Connora, być może dodał w głowie dwa do dwóch i zrozumiał, co tak naprawdę uczynił przed laty. Otworzył i zamknął usta, jakby nie mógł znaleźć słów.

– To były inne czasy – wykrztusił w końcu. Charles zawsze lubił nazywać go niezdecydowanym, jękającym się głupcem, i oto po raz pierwszy zobaczyłem na własne oczy, co miał na myśli. – Wojna siedmioletnia – dodał Waszyngton, jakby sam ten fakt był wystarczającym wyjaśnieniem.

Zerknąłem na Connora, który zmartwiał. Wyglądał, jakby się zaledwie zamyślił, jakby nie słuchał tego, co się tu działo. Wyciągnąłem do niego rękę.

– Teraz widzisz, mój synu, co się dzieje z tym „wielkim człowiekiem” w chwili próby.

Szuka wymówek. Wymiguje się od winy. Robi bardzo wiele, ale nie bierze odpowiedzialności. Z twarzy Waszyngtona odpłynęła krew. Spuścił oczy i wbił wzrok w podłogę; na jego twarzy wyraźnie malowała się wina. Popatrzyłem na Connora, który zaczął gwałtownie sapać, a potem wybuchnął gniewem.

– Dość! Kto co zrobił i dlaczego, to musi poczekać. Przede wszystkim liczy się mój lud.

Wyciągnąłem do niego rękę.

– Nie! – Odskoczył w tył. – Między nami koniec.

– Synu...

Skoczył mi do oczu.

– Myślisz, że jestem takim mięczakiem, że zmienię zdanie, kiedy nazwiesz mnie synem?

Jak długo znałeś te fakty? Czy może mam uwierzyć, że poznałeś prawdę dopiero teraz? Krew mojej matki może splamiła też inne ręce, ale nie czyni to Charlesa Lee mniejszym potworem, a wszystko, co robi, robi z twojego rozkazu.

Odwrócił się do Waszyngtona, który cofnął się gwałtownie, nagle przerażony gniewem Connora.

– Ostrzegam was obu – warknął chłopak. – Spróbujcie mi się przeciwstawić, a was pozabijam.

I zniknął.

16 września 1781

(trzy lata później)

*i*

W bitwie pod Monmouth w 1778 roku Charles nie wykonał rozkazu Waszyngtona i miał zaatakować rejtujący się Brytyjczyków, sam się wycofał.

Nie wiedziałem, co go do tego skłoniło. Może wróg miał przewagę liczebną, a może Charles miał nadzieję, że jego odwrót postawi w złym świetle Waszyngtona i Kongres, i że w końcu wódz naczelny zostanie odwołany. Nie miało to już jednak żadnego znaczenia, nigdy go o to nie spytałem.

Wiem, że Waszyngton rozkazał mu atakować; zamiast tego Charles postąpił dokładnie na odwrót i jego manewr szybko zmienił się w ucieczkę. Podobno Connor brał udział w bitwie, pomógł rewolucjonistom uniknąć całkowitej klęski, podczas gdy Charles, wycofując się, wpadł prosto na Waszyngtona. Obaj panowie powiedzieli sobie, co myślą o tym drugim, zwłaszcza Lee nie przebierał w słowach.

Wyobrażam to sobie. Pamiętam młodego człowieka, którego spotkałem lata temu w bostońskim porcie, to, jak patrzył na mnie z nabożnym



podziwem, a na wszystkich innych z pogardą. Odkąd nie wybrano go naczelnym wodzem Armii Kontynentalnej, jego niechęć wobec Waszyngtona niczym otwarta rana paskudziła się i rosła, zamiast goić. Nie dość, że przy każdej okazji mówił o nim źle, umniejszał wszystkie aspekty jego osoby i stylu dowodzenia, to jeszcze rozpoczął listowną kampanię, by przeciągnąć na swoją stronę członków Kongresu.

Owszem, jego zapał wynikał po części z wierności zakonowi, ale przede wszystkim z osobistej urazy, że to nie jego wybrano. Choć Charles zrezygnował ze stopnia oficerskiego w brytyjskiej armii i został prawdziwym Amerykaninem, zachował bardzo brytyjskie poczucie wyjątkowości i był głęboko przeświadczony, że stanowisko wodza naczelnego należało się właśnie jemu. Nie mogłem mieć do niego pretensji o kierowanie się osobistymi uczuciami. Kto z rycerzy, którzy zebrali się po raz pierwszy w Zielonym Smoku, był od nich wolny? Z pewnością nie ja.

Nienawidziłem Waszyngtona za to, co zrobił w wiosce Ziio, ale jego dowodzenie rewolucją, choć czasem bezwzględne, jak dotąd nie zostało splamione zbędnym okrucieństwem. Miał na swoim koncie sporo sukcesów i teraz, kiedy wojna miała się ku końcowi i zostało już tylko proklamować niepodległość, jak można było nie uważać go za wojennego bohatera?

Ostatni raz widziałem Connora trzy lata temu, kiedy opuścił Waszyngtona i mnie.

Zostawił mnie samego. Całkiem samego. Choć starszy, wolniejszy i cierpiący od chronicznego bólu w boku, miałem okazję w końcu zemścić się za to, co Waszyngton uczynił Ziio: „odebrałem mu dowodzenie” na dobre, ale jego oszczędziłem, bo już wtedy zaczynałem się zastanawiać, czy się co do niego nie pomyliłem. Może pora przyznać, że tak. To zwykła ludzka słabość, dostrzegać zmiany w sobie i zarazem zakładać, że wszyscy inni pozostają tacy sami. Może tak właśnie było ze mną i Waszyngtonem. Może się zmienił. Może Connor miał rację co do niego?

Charles tymczasem został aresztowany za niesubordynację po incydencie, podczas którego skłął Waszyngtona. Stanął przed sądem polowym i został ostatecznie zdegradowany.

Skrył się w Fort George i odtąd tam pozostawał.

– Chłopak tu płynie – powiedział Charles.

Siedziałem przy swoim biurku w Zachodniej Wieży Fort George, przy oknie wychodzącym na ocean. Przez lunetę oglądałem statki na horyzoncie. Płynęły tu? Czy Connor był na jednym z nich? Może jego towarzysze?

Odwróciłem się w fotelu i gestem kazałem Charlesowi usiąść. Wydawał się tonąć w swoim odzieniu, twarz miał wychudzoną i ściągniętą, siwiejące włosy zwisały mu na twarz. Był zatroskany i jeśli Connor rzeczywiście tu zmierzał, miał do tego pełne prawo.

– To mój syn, Charlesie – powiedziałem.

Kiwnął głową i odwrócił wzrok, wydymając usta.

– Podejrzewałem to – odparł. – Widać rodzinne podobieństwo. Jego matka to ta Indianka, z którą uciekłeś, prawda?

– Och, uciekłem z nią, czyżby?

Wzruszył ramionami.

– Nie mów mi o zaniedbywaniu zakonu, Charlesie. Sam też nie jesteś bez winy.

Zapadła przeciągła cisza. Kiedy znów na mnie popatrzył, jego oczy zabłyśły żarem.

– Kiedyś oskarżyłeś mnie, że stworzyłem asasyna – powiedział kwaśno. – Nie uważasz, że to ironia, nie, hipokryzja, zważywszy, że to twój potomek?

– Być może – odparłem. – Sam już nie wiem.

Charles roześmiał się sucho.

– Przestało cię to obchodzić już wiele lat temu, Haythamie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem w twoich oczach coś innego niż słabość.

– Nie słabość, Charlesie. Wątpliwości.

– Niech będzie, wątpliwości – wycedził. – Zwątpienie nie przystoi Wielkiemu Mistrzowi Templariuszy, nie sądzisz?

– Być może – zgodziłem się. – A może przekonałem się, że nie mają ich tylko głupcy i dzieci.

Odwróciłem się do okna. Przedtem statki były ledwie punkcikami, teraz widać je było wyraźnie.

– Bzdury – powiedział Charles. – Gadka asasynów. Brak wątpliwości to wiara. Tego przynajmniej oczekujemy od naszych przywódców: wiary.

– Pamiętam, jak potrzebowałeś mego wstawiennictwa, by móc do nas dołączyć; teraz chcesz zająć moje stanowisko. Wydaje ci się, że byłbyś dobrym Wielkim Mistrzem?

– A ty nim byłeś?

Zapadła długa cisza.

– To bolało, Charlesie.

Wstał.

– Odchodzę. Nie mam ochoty tu być, kiedy asasyn, twój syn, przypuści szturm.

– Popatrz na mnie. – A ty powinienesz jechać ze mną. Przynajmniej będziemy mieli przewagę czasu.

Pokręciłem głową.

– Nie sędzę, Charlesie. Raczej zostanę i będę się bronił do końca. Być może masz rację, być może nie byłem najlepszym Wielkim Mistrzem. Może przyszła pora to naprawić.

– Chcesz z nim stanąć twarzą w twarz? Walczyć z nim?

Kiwnąłem głową.

– Co? Myślisz, że go przekonasz? Przeciągniesz na naszą stronę?

– Nie – powiedziałem ze smutkiem. – Obawiam się, że Connora nie da się przeciągnąć.

Nawet znając prawdę o Waszyngtonie, nie przestał go wspierać. Polubiłbyś go, Charlesie.

Connor ma „wiarę”.

– Co więc zamierzasz?

– Nie pozwolę mu cię zabić, Charlesie – powiedziałem i zdjąłem z szyi amulet. – Weź go, proszę. Nie chcę, by wpadł w jego ręce, jeśli mnie pokona w walce. Ciężko pracowaliśmy, żeby odebrać go asasynom, nie chcę im go zwracać.

Charles jednak cofnął rękę.

– Nie wezmę go.  
– Musisz go bezpiecznie przechować.  
– Doskonale potrafisz zrobić to sam.  
– Jestem nieledwie starcem, Charlesie. Zachowajmy ostrożność, dobrze?  
Wcisnąłem mu amulet w rękę.  
– Zostawiam ci paru żołnierzy – powiedział.  
– Jak chcesz. – Znów wyjrzałem za okno. – Lepiej się pospiesz. Mam wrażenie, że nadchodzi ostateczne rozstrzygnięcie.  
Charles kiwnął głową i ruszył do drzwi. Odwrócił się na progu.  
– Byłeś dobrym Wielkim Mistrzem, Haythamie – powiedział – i przepraszam, jeśli kiedykolwiek pozwoliłem ci sądzić, że jest inaczej.  
Uśmiechnąłem się.  
– A ja przepraszam, że dałem ci do tego powody.  
Chciał coś jeszcze dodać, rozmyślił się jednak i wyszedł.

### *iii*

Kiedy rozpoczął się ostrzał i zacząłem się modlić, by Charles zdołał uciec, dotarło do mnie, że to może być mój ostatni wpis, że te słowa mogą być moimi ostatnimi. Mam nadzieję, że Connor, mój własny syn, przeczyta ten dziennik i że kiedy dowie się więcej o mojej podróży przez życie, zrozumie mnie, może nawet mi przebaczy. Moja droga była wybrukowana kłamstwami, moja nieufność zrodziła się ze zdrady. Ale mój własny ojciec nigdy mnie nie okłamał i w tym pamiętniku ja ten obyczaj podtrzymuję.

Oto prawda, Connorze.

Zrób z nią, co uznasz za stosowne.

## Epilog

16 września 1781

*i*

– Ojczy! – zawołałem. Huk bombardowania był ogłuszający, ale przedarłem się do Zachodniej Wieży, gdzie znajdowały się jego pokoje, i znalazłem go w korytarzu prowadzącym do komnat Wielkiego Mistrza.

– Connor – odparł. Spojrzenie miał twarde, nieprzeniknione. Wyciągnął rękę i wysunął ukryte ostrze. Postąpiłem tak samo. Z zewnątrz dobiegał huk armat, łoskot spadających kamieni i wrzaski umierających. Powoli ruszyliśmy sobie na spotkanie. Walczyliśmy wiele razy ramię w ramię, ale nigdy przeciwko sobie. Zastanawiam się, czy tak samo jak ja jest ciekawy.

Z jedną ręką za plecami zasalutował mi ostrzem. Zrobiłem to samo.

– Na następną salwę – powiedział.

Salwa wstrząsnęła ścianami, ale żaden z nas się tym nie przejął. Walka się rozpoczęła; korytarz dźwięczał echem zderzającej się stali, wyraźnie słychać było nasze stęknienia powodowane wysiłkiem. Wszystko inne – zniszczenie fortu dookoła nas – było tylko tłem.

– Daj spokój – zakpił – nie sądzisz chyba, że sobie ze mną poradzisz, Connorze. Choć wiele potrafisz, jesteś tylko chłopcem i musisz się jeszcze

dużo nauczyć.

Nie okazywał mi litości. Nie dawał forów. Cokolwiek miał w głowie i w sercu, jego ostrze błyskało ze zwykłą precyzją i zajadłością. Jeśli w jesieni swojego życia, opadający z sił, był takim wojownikiem, to nie chciałbym się z nim mierzyć, gdy był w szczytowej formie. Dał mi odczuć, że sprawdza moje możliwości.

– Wydadz mi Charlesa Lee – zażądałem.

Ale Lee dawno tu nie było. Został tylko ojciec; uderzył szybko jak kobra, jego ostrze o włos minęło mój policzek. „Zmień obronę w atak”, pomyślałem i odpowiedziałem z podobną zwinnością; zawirowałem i trafiłem go w przedramię, przebiłem je i rozerwałem zapięcie jego ostrza.

Z rykiem bólu odskoczył do tyłu.

Zobaczyłem, że w jego oczach błyska żal, ale pozwoliłem mu odpocząć. Oderwał pas materiału z szaty i owinął nim rękę.

– To dla nas szansa – powiedziałem z naciskiem. – Razem możemy skończyć tę odwieczną wojnę. Wiem o tym.

Dojrzałem coś w jego oczach. Czyżby to była iskra jakiegoś dawno porzuconego pragnienia, niespełnionego marzenia sprzed lat?

– Ja to wiem – powtórzyłem.

Zaciągając zębami zakrwawiony bandaż, pokręcił głową. Czyżby był aż tak zgorzkniały?

Czyżby jego serce aż tak stwardniało?

Dokończył wiązać opatrunek.

– Nie. Ty chcesz to wiedzieć. Chcesz, by to była prawda. – W jego głosie pobrzmiwał smutek. – Też kiedyś tego pragnąłem. Ale to marzenie nieziszczalne.

– Jesteśmy jednej krwi – nalegałem. – Proszę...

Przez chwilę myślałem, że dał się przekonać.

– Nie, synu. Jesteśmy wrogami. I jeden z nas musi umrzeć.

Z zewnątrz dobiegł nas łoskot kolejnej salwy. Pochodnie zadygotały w uchwytach, światło zatańczyło na kamieniu, ze ścian posypał się pył.

Niech więc tak będzie.

Stoczyliśmy długą, zaciętą walkę. Nie zawsze pełną wdzięku. Atakował mnie pałaszem, pięściami, czasami nawet głową. Walczył inaczej niż ja, chwilami bardzo brutalnie. Brakowało mu mojej finezji, ale jego styl walki nie był przez to mniej skuteczny ani, jak się szybko przekonałem, mniej bolesny.

Odkoczyliśmy od siebie, zdyszani. Ojciec wytarł usta wierzchem dłoni, a potem przypadł nisko, poruszając palcami zranionego przedramienia.

– Zachowujesz się, jakbyś miał prawo mnie osądzać – powiedział. – Nazywać mnie i takich jak ja największym złem świata. A przecież wszystko, co ci pokazałem, co mówiłem i robiłem, powinno być jasnym dowodem, że jest inaczej. Nie krzywdziliśmy twojego ludu. Nie wspieraliśmy Korony. Chcieliśmy zjednoczyć ten kraj i zaprowadzić w nim pokój. Pod naszymi rządami wszyscy byliby równi. Czy koloniści patrioci obiecują to samo?

– Oferują wolność – powiedziałem, nie spuszczać z niego oka. Przypomniałem sobie coś, czego kiedyś nauczył mnie Achilles: że każde słowo, każdy gest to walka.

– Wolność? – prychnął. – Powtarzałem ci to nieraz, wolność jest niebezpieczna. Nigdy nie zapanuje zgoda, synu, między tymi, których pomogłeś wynieść na szczyty. Będą się różnić w swoim wyobrażeniu tego, co to znaczy być wolnym. Pokój, o który tak rozpaczliwie walczysz, nie istnieje.

Pokręciłem głową.

– Nie. Razem stworzą coś nowego. Coś lepszego niż to, co było przedtem.

– Tych ludzi łączy teraz wspólna sprawa – ciągnął ojciec, szerokim gestem rannego ramienia wskazując... nas, jak sędzę. Rewolucję. – Ale kiedy walka się skończy, zaczną się zmagać między sobą o to, jak najszybciej objąć władzę. Z czasem doprowadzi to do wojny.

Zobaczysz.

Skoczył do przodu, tnąc pałaszem – nie we mnie, lecz w moją rękę z ostrzem. Uchyliłem się, ale był szybki, zmienił kierunek i uderzył mnie na odlew rękojeścią w czoło. Zmętniało mi przed oczami i zatoczyłem się, broniąc się szaleńczo, gdy próbował wykorzystać chwilową przewagę.

Przypadkiem trafiłem go w zranioną rękę. Zawył z bólu i odskoczył. Obaj mieliśmy chwilę, by odzyskać siły.

Znów grzmot armat. Ze ścian posypał się pył, zadygotała podłoga. Krew płynęła mi z rozcięcia nad okiem; wytarłem ją wierzchem dłoni.

– Przywódcy rewolucji nie walczą o władzę – zapewniłem go. – Nie będzie tu monarchy.

Władza będzie należała do ludzi, tak jak powinna.

Powoli i smutno pokręcił głową. Był to protekcyjny gest; jeśli chciał mnie ułagodzić, to rezultat był odwrotny.

– Ludzie nigdy nie będą mieli władzy – powiedział ze znużeniem – zaledwie jej złudzenie. Oto wielka tajemnica: oni jej wcale nie chcą. Odpowiedzialność jest zbyt wielka.

Dlatego tak szybko się podporządkowują, kiedy ktoś staje na ich czele. Chcą, by im mówić, co mają robić. Pragną tego. Nic dziwnego, skoro ludzkość została stworzona, by służyć.

Znów wymieniliśmy ciosy. Obaj utoczyliśmy sobie nawzajem krwi. Czy patrząc na niego, widziałem lustrzane odbicie starszego siebie? Przeczytawszy jego dziennik, mogę teraz cofnąć się myślą i wiem dokładnie, jak widział mnie: jako człowieka, którym sam powinien był się stać.

Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym wiedział wtedy to, co wiem teraz?

Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Wciąż nie umiem.

– Skoro więc z natury jesteśmy podatni na kontrolę, kto się nadaje lepiej do jej sprawowania niż templariusze? – Pokręciłem głową. – Kiepska oferta.

– To prawda! – wykrzyknął Haytham. – Teoria i praktyka to dwie zupełnie różne sprawy.

Widzę świat takim, jakim jest, a nie takim, jakim bym pragnął go widzieć.

Zaatakowałem, a on się bronił. W korytarzu słychać było tylko szcęk stali. Obaj byliśmy zmęczeni: w naszych ruchach nie było już uprzedniej zwinności i szybkości. Przez chwilę zastanawiałem się, czy możliwe, że w



końcu po prostu się wypalimy, czy może być tak, że odwrócimy się i odejdziemy każdy w swoją stronę. Ale nie. Trzeba było położyć temu kres.

Wiedziałem to. W jego oczach widziałem, że on również wie. To się musiało skończyć tu i teraz.

– Nie, ojcze... poddałeś się i chcesz, byśmy wszyscy učinili to samo.

Wtedy nagle rozległ się huk i dygot uderzającej blisko armatniej kuli, a ze ścian posypały się kamienie. Blisko, bardzo blisko – zaraz musiała uderzyć następna. I uderzyła. Nagle w korytarzu powstała ziejąca wyrwa.

## ii

Wybuch rzucił mnie do tyłu i wylądowałem ciężko i boleśnie niczym pijak osuwający się po ścianie gospody, z głową i ramionami pod dziwnym kątem do reszty ciała. Korytarz wypełnił się kurzem i odłamkami; grzmot eksplozji powoli rozpląnął się w grzechot osuwającego się gruzu. Z bolesnym wysiłkiem podniosłem się na nogi i mrużąc oczy, dostrzegłem ojca, leżącego tak samo jak ja przed chwilą, tyle że po drugiej stronie dziury ziejącej w ścianie. Pokuśtykałem do niego. Przystanąłem i wyjrzałem przez wyrwę; powitał mnie obraz komnaty Wielkiego Mistrza z wywaloną tylną ścianą; poszarpane kamienie okalały widok na ocean. Na wodzie unosiły się cztery okręty, z dział na ich pokładach biły wstęgi dymu, właśnie wystrzeliło następne.

Podszedłem do ojca i pochyliłem się nad nim. Popatrzył na mnie i poruszył się; jego ręka popęzła do pałasza, który leżał tuż obok. Kopnąłem broń, która z brzękiem potoczyła się po kamieniach. Krzywiąc się z bólu, nachyliłem się bliżej.

– Poddaj się, to cię oszczędzę – powiedziałem.

Poczułem na skórze powiew wiatru i korytarz nagle wypełnił się naturalnym światłem.

Ojciec wyglądał bardzo staro, twarz miał poranioną i posiniaczoną. Mimo to się uśmiechnął.

– Odważne słowa jak na człowieka, który zaraz umrze.

– Z tobą wcale nie jest lepiej – powiedziałem.

– Ha! – Uśmiechnął się, ukazując zakrwawione zęby. – Ale ja nie jestem sam...

Odwrociłem się i zobaczyłem nadbiegających korytarzem dwóch żołnierzy. Unieśli muszkiety i zatrzymali się tuż przed nami. Popatrzyłem na nich i na ojca, który próbował się właśnie dźwignąć, powstrzymując ich uniesioną ręką. Tylko dlatego jeszcze mnie nie zabili.

Oparł się o ścianę, zakaszłał, splunął i spojrzał na mnie.

– Nawet kiedy wasz tryumf zdaje się w zasięgu ręki... my znów powstajemy. Wiesz dlaczego?

Pokręciłem głową.

– Dlatego, że nasz zakon zrodził się ze zrozumienia. Nie potrzeba nam kredo. Nie potrzeba nam indoktrynacji przez zdesperowanych starców. Wystarczy, by świat był taki, jaki jest. Dlatego właśnie templariuszy nie da się zniszczyć.

Teraz oczywiście zastanawiam się, czy pozwoliliby im mnie zabić?

Ale nigdy się tego nie dowiem. Nagle bowiem rozległ się trzask wystrzałów, obaj żołnierze zakręcili się i padli, powaleni przez strzelców wyborowych zza ściany. Ja zaś skoczyłem do przodu i zanim zdążył zareagować, powaliłem Haythama z powrotem na podłogę.

Stałem nad nim, cofając w zamachu rękę z ostrzem.

A potem, ogarnięty falą czegoś, co mogło być poczuciem daremności, mając w uszach dźwięk, który był moim własnym szlochem, pchnąłem go w serce.

Szarpnął się, przebity, a potem rozluźnił i kiedy wyciągnąłem ostrze, uśmiechnął się.

– Nie myśl, że zamierzam pogłodzić cię po policzku i przyznać, że się myliłem – powiedział cicho, kiedy uchodziło z niego życie. – Nie będę płakał i zastanawiał się, jak mogło być. Na pewno rozumiesz.

Uklęknąłem i wyciągnąłem do niego ręce. Czułem... nic. Otepienie. Wielkie znużenie, że musiało do tego dojść.

– Mimo wszystko – powiedział jeszcze, trzepocząc powiekami; krew uchodziła mu z twarzy – jestem z ciebie dumny. Okazałeś pewność. Siłę. Odwagę. To szlachetne cechy.

Uśmiechnął się ironicznie i dodał:

– Powinienem być cię zabić dawno temu.

A potem skonał.

Poszukałem amuletu, o którym mówiła mi matka, ale zniknął. Zamknąłem  
ojcu oczy, wstałem i odszedłem.

## 2 października 1782

Nareszcie, w mroźną noc na pograniczu, znalazłem go w gospodzie Conestoga. Kiedy wszedłem, siedział w półmroku, zgarbiony nad butelką. Starszy i zaniedbany, miał brudne, długie włosy i w niczym nie przypominał dawnego oficera, ale to na pewno był on: Charles Lee.

Kiedy podszedłem, spojrzał na mnie znad stołu. Zaskoczyła mnie dzikość w jego zaczerwienionych oczach. Wszelki obłęd jednak stłumił lub ukrył; nie okazał na mój widok żadnego uczucia, oprócz, jak mi się zdawało, ulgi. Ścigałem go od ponad miesiąca.

Bez słów poczęstował mnie whisky. Kiwnąłem głową, wypilem łyk i oddałem mu ją.

Potem siedzieliśmy długo we dwóch, patrząc na innych gości gospody, słuchając ich rozmów, okrzyków towarzyszących grze i śmiechu.

Wreszcie popatrzył na mnie, a choć nie rzekł ni słowa, wszystko powiedziały jego oczy.

Wysunąłem więc bezgłośnie ostrze, a kiedy zamknął powieki, pchnąłem go pod żebro, prosto w serce. Umarł, nie wydając głosu. Złożyłem jego głowę na stole, jakby zasnął, wypiwszy zbyt dużo.

Potem zdjąłem mu z szyi amulet i sam go założyłem.

Gdy na niego patrzyłem, załśnił przelotnie. Schowałem go pod koszulę, wstałem i wyszedłem.

15 listopada 1783

*i*

Prowadząc konia za uzdę, szedłem przez wioskę z narastającym niedowierzaniem. Widziałem zadbane pola uprawne, ale sama osada była pusta, długi dom opuszczony, ogniska wystygłe. Jediną żywą duszą był stary myśliwy – biały, nie Mohawk – siedzący przy ogniu na odwróconym wiadrze i piekący na ruszcie coś, co ładnie pachniało.

Przyglądał mi się uważnie, kiedy podchodziłem; zerknął na leżący nieopodal muszkiet, ale machnąłem ręką na znak, że nie mam złych zamiarów.

Kiwnął głową.

– Jeśli jesteś głodny, wystarczy i dla ciebie – powiedział wspaniałomyślnie.

Pieczyste drażniło mój nos wspaniałym zapachem, ale miałem na głowie inne sprawy.

– Wiesz, co tu się stało? Gdzie są wszyscy?

– Pojechali na zachód. Będzie parę tygodni temu. Podobno Kongres przyznał te ziemie jakiemuś typowi z Nowego Jorku. Uznali widać, że nie potrzebują zgody tych, którzy tu mieszkali.

– Co?

– Ano. Takie rzeczy się dzieją coraz częściej. Indianie są rugowani przez handlarzy i ranczerów, szukających nowych terenów. Rząd mówi, że nie zabierają ziemi, która już do kogoś należy, ale... Tutaj widać, że jest inaczej.

– Jak to możliwe? – spytałem, rozglądając się powoli i widząc tylko pustkę tam, gdzie przedtem widziałem znajome twarze swoich

pobratymców, ludzi, wśród których się wychowałem.

– Musimy sobie teraz radzić sami – ciągnął traper. – Nie ma już z nami dobrych, starych Anglików. Trzeba się urządzać samemu. I trzeba za to płacić. Ziemię sprzedaje się szybko i łatwo. I przyjemniej niż się płaci podatki. A skoro według niektórych cała ta wojna wzięła się właśnie z podatków, nikomu się nie spieszy, by je wprowadzić z powrotem. – Roześmiał się gardłowo. – Ci nasi nowi przywódcy to mądry ludzie. Wiedzą, że jeszcze za wcześnie dokręcać śrubę. To by się nie spodobało. To by było za bardzo... po brytyjsku. – Zapatrzył się w ogień. – Ale przyjdzie pora i na to. Zawsze przychodzi.

Podziękowałem mu i poszedłem do długiego domu, myśląc: zawiodłem ich. Mój lud odszedł, wygnany przez tych, którzy mieli ich chronić.

Amulet na mojej szyi zaśnił. Wziąłem go w dłoń i obejrzałem. Może było jeszcze coś, co mogłem zrobić – uratować to miejsce przed nimi wszystkimi, patriotami i templariuszami.

## ii

Na leśnej polanie przykucnąłem i popatrzyłem na przedmioty, które trzymałem w dłoniach: w jednej naszyjnik matki, w drugiej amulet ojca.

– Matko. Ojcze – powiedziałem do siebie. – Wybaczcie. Zawiodłem was oboje.

Obiecałem, matko, że będę chronić nasz lud. Myślałem, że jeśli powstrzymam templariuszy, jeśli uchowam rewolucję przed ich wpływem, to ci, których wspierałem, postąpią słusznie. I postąpili, zrobili to, co było słuszne dla nich samych. Co do ciebie, ojcze, myślałem, że zdołamy się pojednać, że zapomnimy o przeszłości i stworzymy lepszą przyszłość. Wierzyłem, że z czasem zaczniesz widzieć świat tak jak ja i że zrozumiesz. Ale to były czcze mrzonki. O tym też powinienem był wiedzieć. Nie jest nam więc dane żyć w pokoju? O to chodzi? Jesteśmy stworzeni do swarów? Do walki? Tyle głosów, a każdy domaga się czego innego.

Chwilami bywało ciężko, ale nigdy ciężej niż dziś. Ujrzałem, jak wszystko to, o co walczyłem, jest wypaczane, odrzucane, zapomniane.

Powiedziałbyś, ojczy, że opisuję w ten sposób całość ludzkich dziejów. Uśmiechasz się? Masz nadzieję, że wypowiem słowa, które miałeś nadzieję usłyszeć? Przyznam ci rację? Powiem, że miałeś ją od samego początku? Nie zrobię tego. Nawet teraz, gdy potwierdzenie znajdują twoje zimne słowa, odmawiam. Bo wierzę, że wszystko wciąż może się zmienić.

Może nigdy mi się nie uda. Asasyni mogą walczyć na próżno przez następny tysiąc lat.

Ale nie ustaniemy.

Zacząłem kopać.

– Kompromis. Na to wszyscy nalegali. Nauczyłem się więc kompromisu. Ale chyba rozumiem go inaczej niż inni. Wiem już, że to potrwa, że droga przede mną jest długa i spowija ją ciemność. To droga, która nie zawsze poprowadzi mnie tam, gdzie chcę iść, i wątpię, czy dożyję jej kresu. Ale i tak z niej nie zawrócę.

Kopałem i kopałem, aż dziura była wystarczająco głęboka, głębsza niż grób, tak głęboka, że mogłem się w niej skryć.

– Bo u mojego boku kroczy nadzieja. W obliczu wszystkiego, co nakłania mnie, bym zawrócił, ja idę dalej: oto właśnie jest mój kompromis.

Upuściłem amulet na dno dziury, a potem w promieniach zachodzącego słońca zasypałem go ziemią, odwróciłem się i odszedłem.

Pełny nadziei na przyszłość wróciłem do swojego ludu, do asasynów.

Przyszła pora na świeżą krew.

## Spis postaci

Asad Pasza al-Azm: osmański namiestnik Damaszku, ?–1758  
Jeffrey Amherst: brytyjski dowódca, 1717–1797  
Tom Barrett: chłopiec mieszkający obok Haythama przy Queen Anne's Square  
Betty: służąca w domu Kenwayów  
Reginald Birch, starszy zarządca majątku Edwarda Kenwaya; templariusz  
Edward Braddock, Buldog: brytyjski generał i wódz naczelny w koloniach, 1695–1755  
Benjamin Church: lekarz, templariusz  
Connor: asasyn; syn Haythama  
Cutter: oprawca  
Panna Davy: służąca pani Kenway  
Pan Jack Digweed: służący pana Kenwaya  
Edith: niańka Haythama  
Emily: pokojówka w domu Kenwayów  
James Fairweather, znajomy Haythama  
Stary pan Fayling: nauczyciel Haythama  
John Harrison: templariusz  
Thomas Hickey: templariusz  
Jim Holden: szeregowy armii brytyjskiej  
William Johnson: templariusz  
Kaniehtí:io, kobieta z plemienia Mohawków, zwana także Ziio; matka Connora  
Edward Kenway: ojciec Haythama  
Haytham E. Kenway  
Jenny Kenway: przyrodnia siostra Haythama  
Tessa Kenway, z domu Stephenson-Oakley: matka Haythama  
Catherine Kerr i Cornelius Douglass: właściciele Zielonego Smoka  
Charles Lee: templariusz  
Marszczynos: informator  
Wielki wezyr Raghib Pasza, najwyższy minister sułtana



John Pitcairn: templariusz

Pani Searle: służąca w domu Kenwayów

Pan Simpkin: podwładny Edwarda Kenwaya

Slater: kat i porucznik Braddocka

Silas Thatcher: handlarz niewolników i dowódca Artylerii Konnej, komendant fortu Southgate

Juan Vedomir: zdrajca templariuszy

Jerzy Waszyngton: adiutant generała Braddocka; wódz naczelny nowo utworzonej Armii Kontynentalnej, jeden z Ojców Założycieli i przyszły prezydent, 1732–1799

## Od autora

*Specjalne podziękowania dla:*

Yvesa Guillemota  
Stéphane'a Blaisa  
Jeana Guesdona  
Juliena Cuny'ego  
Coreya Maya  
Darby'ego McDevitta

*A także*

Alaina Corre'a Laurenta Detoca  
Sébastiena Puela  
Geoffroya Sardina  
Xaviera Guilberta  
Tommy'ego Françoisa  
Cecile'a Russeila  
Joshuy Meyera  
Działu prawnego Ubisoft  
Chrisa Marcusa  
Etienne'a Alloniera  
Anouka Bachmana  
Alexa Clarke'a Hany Osman  
Andrew Holmesa  
Virginie Sergent  
Clémence'a Deleuze'a